

WIN JONAS WINNER

A Ferris wheel is the central focus, silhouetted against a vibrant sunset sky with orange and red clouds. The wheel's structure is a complex web of lines. Overlaid on the dark background are various zodiac symbols in a light grey color, including ♈, ♉, ♊, ♋, ♌, ♍, ♎, ♏, ♐, ♑, ♒, ♓, ♈, ♉, ♊, ♋, ♌, ♍, ♎, ♏, ♐, ♑, ♒, ♓, ♈, ♉, ♊, ♋, ♌, ♍, ♎, ♏, ♐, ♑, ♒, ♓.

MURDER PARK

Park morderców

JONAS WINNER

MURDER PARK

Park morderców

Tłumaczenie
Agnieszka Hofmann



initium
wydawnictwo

Kraków 2017

*Uśmiechnąłem się
– jakież bowiem miałem powody do obaw?*

Edgar Allan Poe

MURDER PARK

Wkrótce otwarcie

Boston, MA, marzec 2017

Park rozrywki na Zodiac Island poświęcony tematyce seryjnych morderców zostanie otwarty jeszcze w tym roku. Właściciel parku, biznesmen Rupert Levin, wraz z grupą dziennikarzy, konsultantów i ekspertów odwiedzi Murder Park pod koniec miesiąca. Stare karuzele, kolejka górską, diabelski młyn i inne dawne atrakcje, rdzewiejące na Zodiac Island od lat dziewięćdziesiątych, zostaną częściowo przerobione i zintegrowane z nowym parkiem. Wesołe miasteczko na wyspie zamknięto w roku 1997 po serii brutalnych zabójstw. Zginęły wówczas trzy kobiety.

Wywiad filmowy 1 z 12

Panna

Imię i nazwisko: Paul Greenblatt

Wiek: 24 lata

Zawód: reporter

Paul: Byłem jak opętany. Miałem wtedy książkę – już nie pamiętam jej tytułu. Traktowała o seryjnych mordercach, ale też o najsłynniejszych płatnych zabójcach w historii kryminalistyki. Na przykład o Richardzie Kuklinskim, legendarnym Icemanie, który zabijał na zlecenie mafii... Było w niej również o zabójcach szaleńcach, o uczniach, którzy dokonali masakry w Columbine Highschool... i tym podobnych. I było o morderstwach na tle seksualnym. O zbrodniarzach, którzy zabijają, bo muszą. Zabijają, bo chcą. Oczywiście trzeba rozróżnić ich i płatnych zabójców oraz szaleńców, gdyż u morderców zabijających pod wpływem popędu wielką rolę odgrywa seksualność. To dodaje sprawie podniety.

Sheldon: Czy to właśnie ta podnieta tak pana fascynowała?

Paul: Nie... nie od razu. A przynajmniej nie świadomie. To się zaczęło, kiedy miałem... ile? Dziesięć, może jedenaście lat. Tamta książka o mordercach należała do mojego przybranego ojca. To był duży ilustrowany tom z licznymi czarno-białymi fotografiami, zdjęciami policyjnymi, fotografiami z miejsc zbrodni, relacjami naocznych świadków. Od razu mnie to zafascynowało. Jakby te obrazy wciągały mnie w siebie. Więzienia, krzesła elektryczne. Twarze przechodniów, stojących na krawędzi chodnika, wpatrzonych w zbrodniarza odprowadzanego przez policję. Oblicza sprawców. Ze śladami spustoszenia po nocy. Ciężki zarost, podkrążone oczy. Takie zakonserwowane, odległe, a jednak z tych zdjęć można było... Nie wiem, miałem wrażenie, że można było jakoś z nich wyczuć, że ci sfotografowani ludzie są żywi... albo byli. Jakby ta ich

żywołność wsiąkła w zdjęcia, w które się wpatrywałem. Mój przybrany ojciec zobaczył kiedyś, jak leżę na podłodze z tą książką. „Jesteś na to o wiele za mały”, powiedział, choć ja wcale tak nie uważałem. Ale on o tym wiedział. On wiedział, i ja również. Dosłownie wśliznąłem się w tę książkę, jakbym był namydlony na całym ciele! Mój przybrany ojciec odebrał mi ją, ale... połknąłem wtedy haczyk, jeśli można to tak nazwać. Rozpalił się we mnie ogień.

Sheldon: I zaczął pan gruntownie zgłębiać te sprawy.

Paul: Byłem tym opętany. Na początku fascynowały mnie wszelkiego rodzaju opowieści o morderstwach, ale potem... z czasem... może ma pan rację... może z czasem rzeczywiście doszedł do tego jakiś element seksualny. Ja... racja... potem coraz bardziej się skupiałem na sprawcach, którzy... którzy...

Sheldon: Tak?

Paul: Nie, nic, to chyba nonsens.

Sheldon: Na pewno nie, Paul. Proszę mówić. Proszę mówić zupełnie swobodnie. Wszystko, o czym pan teraz opowie, zdarzyło się wiele lat temu. Nie musi pan być ostrożny, jestem pewien... wiem, że wszystko to zostawił pan za sobą.

Paul: Ale dlaczego... Dlaczego w takim razie chce pan ze mną o tym mówić?

Sheldon: Pan wie, dlaczego o tym rozmawiamy, Paul. Rupert Levin poprosił mnie, żebym przeprowadził rozmowy ze wszystkimi, którzy wezmą udział w tej imprezie. Oczywiście nie chcemy rozmawiać o tym, gdzie pan spędził ostatnie wakacje czy jaki sport pan uprawia. Chcemy porozmawiać o Bohnerze, Paul. O Jeffie Bohnerze, gdyż to o niego chodzi przede wszystkim w tym parku.

Paul: Tak, oczywiście, ma pan rację.

Sheldon: Więc?

Paul: Więc co?

Sheldon: Co pan chciał powiedzieć?

Paul: Ja... wyleciało mi z głowy.

Sheldon: Chciał pan opowiedzieć o tym, jak na początku ogólnie interesował się pracą policji...

Paul: Tak, zgadza się, to były niesamowite historie. Ale... kiedy byłem nieco starszy, to nie płatni zabójcy... ani mordujący szaleńcy... fascynowali mnie tak naprawdę. To byli kilerzy seksualni. Kuba Rozpruwacz. Ed Gein. Ted Bundy...

Sheldon: Tak?

Paul: Zacząłem zbierać wszystkie dostępne informacje na ich temat. Czytałem książki o nich, ale te dość prędko się wyczerpały, ich autorzy i tak większość przepisywali od siebie nawzajem. Zacząłem szukać oryginalnych dokumentów. Protokołów z przesłuchań, raportów ze śledztwa, dokumentacji procesowej. Wtedy byłem już nieco starszy, miałem trzynaście, czternaście lat. Pisałem do archiwów z prośbą o przysłanie kopii, podróżowałem do miast, w których przebywali sprawcy, brałem udział w oprowadzaniu i odwiedzałem miejsca zbrodni.

Sheldon: Pana ojczym...

Paul: Przybrany ojciec. Skapitulował. Moi przybrani rodzice... Zawsze byli... bardzo wyrozumiali, rozumie pan?

Sheldon: Tak?

Paul: Ależ oczywiście. Mój przybrany ojciec, jak wspomniałem, musiał zdawać sobie sprawę, że to było coś w rodzaju chorej fascynacji, której sam nie umiałem zwalczyć – nie mówiąc o nim. Musiałem to po prostu robić, musiałem wiedzieć więcej o mężczyznach, o sprawcach – co ich napędzało, co myśleli, jak działali. Inni chłopcy w moim wieku spędzali po trzy godziny dziennie na boisku. Mnie to nie interesowało. Zacząłem się pogrążyć w tym świecie, który... który zaczął porastać ściany mojego pokoju niczym jakiś liszaj. Wieszalełem zdjęcia sprawców, miejsc zbrodni, ofiar, obok przyklejałem kopie protokołów, akt dotyczących śledztw i wycinki z gazet. Przekształciłem swój pokój w coś w rodzaju jaskini. Kiedy wchodziłem do tego refugium, ten odkryty przeze mnie świat praktycznie zamykał się nade mną. A ja to uwielbiałem. Uwielbiałem to uczucie, jakbym miał na karku oddech zabójcy. Nie wiem, ciągle zadawałem sobie pytanie: Dlaczego? Dlaczego nie chciałem robić nic innego, niż poruszać się w tej rzeczywistości, i myślę... ostatecznie sądzę, że w ten sposób chciałem być blisko niej. Nie uważa pan?

Sheldon: Blisko niej? Tej rzeczywistości?

Paul: Owszem, tej rzeczywistości, ale przede wszystkim blisko kobiety, która... no wie pan.

Sheldon: Ma pan na myśli... ją... pana matkę? Chciał pan w ten sposób zbliżyć się do niej?

Paul: Tak?

Sheldon: To całkiem możliwe, Paul, absolutnie.

Cztery tygodnie później

– Cholera!

Wcisnął hamulec.

Krople, wielkie jak orzechy, bębniły w blaszany dach samochodu. Wycieraczki ledwie nadążały ze zbieraniem wody. Paul nachylił się nad kierownicą i przetarł rękawem swetra zaparowaną szybę. Parę kroków dalej zauważył niewyraźną sylwetkę porządkowego w neonowopomarańczowej kamizelce; dawał mu znaki.

Paul opuścił szybę po stronie pasażera i zawołał, próbując przekrzyczeć deszcz:

– Tutaj? Mogę tu zaparkować? – Porządkowy miał głowę zwróconą w jego stronę, lecz w mroku Paul nie mógł rozpoznać jego twarzy. Mężczyzna spokojnie pomachał brudnożółtą lampą ostrzegawczą. – To jak?

Bez odpowiedzi. Woda gęstymi strugami wlewała się do wnętrza wozu i wsiąkała w fotel. Paul usiadł prosto i ostrożnie dodał gazu. Samochód przednim lewym kołem wyrznął z łoskotem o jakąś przeszkodę, a po chwili coś uderzyło w podwozie. Paul schował głowę w ramiona i pojechał dalej. Przed sobą, przez gęstą zasłonę deszczu, dostrzegł mur nabrzeża, za którym rozciągała się ciemnoszara przestrzeń, niknąca gdzieś między migoczącymi kroplami a niebem.

Zatrzymał się, zaciągnął ręczny hamulec, wyszarpnął kluczyki ze stacyjki i sięgnął po plecak. Był już spóźniony dziesięć minut, nie mógł dłużej szukać parkingu. Pośpiesznie otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu. Jego twarz w okamgnieniu załapała się wodą, włosy przywarły do głowy jak czepek. Zatrzasnął drzwi, zablokował zamki, przerzucił plecak przez ramię i podbiegł do porządkowego.

– Prom do... – *Parku morderców*, przemknęło mu przez myśl. – Rupert Levin, prom na imprezę prasową. Wie pan, skąd odbija?

Mężczyzna miał na sobie kapelusz przeciwdeszczowy z szerokim rondem; stał tak, że światło portowego reflektora skrywało jego twarz w cieniu.

– Widzi pan te światła ostrzegawcze? – wrzasnął Paulowi w twarz, żeby przekrzyczeć szum deszczu i huk fal rozbijających się o nabrzeże. – Jeśli pan się pośpieszy, powinien pan zdążyć.

Paul rozpoznał wybijającą się w ciemności niewyraźną burtę statku, cumy przytrzymujące stalowy kolos. Ruszył pośpiesznie w kierunku światła. Krople z impetem uderzały o beton, rozpryskując wodę z kałuż. Czy dobrze widział, że tam, w górze, stoją dwaj mężczyźni?

– Stop! Zatrzymać się! – krzyknął. – Muszę wejść na pokład. Paul Greenblatt!

Cienie popatrzyły na niego ponad burtą. W odpowiedzi rozległ się zgrzyt; podnoszony już trap opuścił się z powrotem na nabrzeże. Paul w pośpiechu wszedł na mostek, mocno trzymając się lodowatych stalowych linek, służących za barierkę. Słyszał chłupot fal w dole. Wszedł na pokład po sprężynującym pod jego krokami trapie. Lekko zbity z tropu niezwykajnym kołysaniem się podłoża, obejrzał się za siebie i zobaczył, że statek odbija od brzegu. Z wnętrza kadłuba dobiegało głucho dudnienie silnika. Paul przetarł oczy, ale światła ostrzegawcze, które doprowadziły go do promu, zostały już

połknięte przez krople deszczu.

– Pan Greenblatt, Paul Greenblatt?

Odwrócił się. Kobieta trzymała wielki czarny parasol. Światło sączące się przez okno z wnętrza statku wycięło z ciemności trójkąt jej twarzy.

– Tak?

– Cieszę się, że jednak pan zdażył. Constance Parker, rozmawialiśmy przez telefon.

– Wspaniale, Constance. – Paul wziął głęboki wdech.

– Proszę za mną. Pozostali są już w środku. – Kobieta skinęła głową w kierunku okien, za którymi widać było pomieszczenie dla pasażerów. W rzędach siedziała garstka mężczyzn i kobiet. Otworzyła ciężkie przeszklone drzwi do kajuty.

– ...szprycował trucizny, czasem wstrzykiwał pod skórę skoncentrowany kwas siarkowy, czasem pewne rodzaje łągu...

Sztuczne światło w kabinie pasowało do ciepłego powietrza. W przedniej części pomieszczenia przy pulpicie stała na oko czterdziestoletnia kobieta, wskazując na zdjęcie wyświetlane przez rzutnik na tablicę.

– Proszę usiąść, Paul – szepnęła Constance. – Porozmawiamy później.

– Przez jakiś czas ograniczał się do dłoni – podjęła kobieta. – Najwyraźniej interesowało go, jak tkanka reaguje na kwas.

Paul usiadł na krześle przy przejściu.

– Później Bohner koncentrował się na rejonach brzucha, łydek i pośladków. – Głos kobiety był jasny i klarowny. – Mamy dość dużą wiedzę na temat tego, jak przeprowadzał wstrzyknięcia, w jakiej kolejności, w jakich odstępach, wszystko to udało się zrekonstruować post mortem. Co jednak dokładnie nim kierowało, jaką potrzebę, jeśli mogę tak się wyrazić, chciał w ten sposób zaspokoić? Odpowiedź na to pytanie jest znacznie trudniej znaleźć.

Paul zdjął okulary, wyciągnął ze spodni rąbek koszuli i zaczął przecierać szkła. Usłyszał ciche kliknięcie towarzyszące wyświetleniu kolejnego slajdu.

– Mamy ustalenia odnośnie do poparzeń chemicznych na głowie, twarzy i w jamie ustnej...

Założył okulary. Powędrował wzrokiem do nowego zdjęcia na ekranie i poczuł, jak ściska mu się żołądek.

– ...wydawało się istotne, że ofiary wciąż żyły, stąd adrenalina – ciągnęła kobieta. – Jednocześnie najwyraźniej zależało mu na tym, by doprowadzić ofiary jak najbliżej progu śmierci. Z jednej strony poparzeniami i wstrzyknięciami, z drugiej poprzez podanie płynów pobranych ze zwierzęcych trupów. Celem tego było, w pewnym sensie, wywołanie... choroby.

Kolejne kliknięcie, kolejny slajd. Tym razem obraz przedstawiał ranę, maleńką, ledwie ukłucie. Skóra wokół niego była jednak zaczerwieniona.

Infekcja, pomyślał Paul. W ranę wdała się infekcja.

– Także eksperymenty z rybią ikrą, które Bohner przeprowadzał w ciągu ostatnich miesięcy przed swoim aresztowaniem, w gruncie rzeczy dają się wyjaśnić tylko tak. – Kobieta odwróciła się od słuchaczy i popatrzyła na wyświetlony obraz. – Widzimy wycięty w powłoce brzusznej kobiety otwór, w którym Bohner umieścił ikrę. Tego...

działania również nie da się wytłumaczyć inaczej niż tylko tym, że... mówiąc w wielkim skrócie, Bohner chciał jak najdłużej utrzymać ofiary na granicy śmierci. Chodziło mu o to, że dla każdego żywego organizmu, czyli również dla człowieka, czas trwania na granicy śmierci będzie różny. Każdy zbliża się do niej w inny sposób. Ten aspekt, jak się wydaje, był dla Bohnera bardzo istotny. Tak, odnosiliśmy wręcz wrażenie, że bliskość śmierci wywoływała w nim coś w rodzaju podniecenia seksualnego. Innymi słowy, w pewien sposób próbował przybliżyć śmierć, by następnie, kiedy ofiara już... – Mówczyni odwróciła się z powrotem do audytorium i zaznaczyła palcami cudzysłów – ...migotała, jak to się określa u pacjentów z porównywalnymi obsesjami... A zatem próbował połączyć się z ofiarą, kiedy już migotała. W znaczeniu interakcji seksualnej, w momencie, gdy ofiara znajdowała się na skraju śmierci. – Milczała przez chwilę, z namysłem wodząc wzrokiem po zebranych. – Ten moment zjednoczenia jest niejako jądrem czy też punktem zbiegu świata myśli i fantazji Jeffa Bohnera – podjęła w końcu. – Chciał osiąść swoje ofiary seksualnie, podczas gdy staczały się one ku śmierci. Dlatego tak pedantycznie pilnował, by jak najbardziej opóźnić moment zgonu. Jakby chciał zsynchronizować ten punkt z własnym szczytowaniem. Jakby chciał penetrować ofiarę równocześnie ze śmiercią. Jakby chciał sam tę śmierć – jeśli wyobrazimy sobie śmierć jako postać, która w chwili zgonu bierze ofiarę w posiadanie – a zatem jakby chciał sam seksualnie wejść w tę postać.

Paul nadal wbijał spojrzenie w zainfekowaną ranę. Odnosił wrażenie, że jego twarz jest trochę odrętwiała. Jakby była do niej przszyta druga skóra. Jakby końcówki synaps nie docierały do zewnętrznej warstwy.

– Przepraszam – usłyszał swój własny głos, docierający jakby z zewnątrz – czy mogłaby pani... to zdjęcie...

– Tak? – Kobieta przy pulpicie skierowała na niego wzrok.

– Czy mogłaby pani usunąć z ekranu to zdjęcie? Jest bardzo niepokojące.

Paru innych słuchaczy odwróciło się w jego stronę.

Czy to kołysanie promu? Statek tak falował, że Paul poczuł się, jakby jego żołądek szybował. Kobieta mówiła dalej, ale on nie zwracał już na nią uwagi. Chwycił mokry plecak, wstał i niepewnym krokiem skierował się ku wyjściu. Otworzył ciężkie, przeszkłone drzwi i wyszedł na zewnątrz. Oparł się o reling i głęboko wciągnął w płuca chłodne nocne powietrze.

– Paul, wszystko w porządku? Źle się pan czuje?

Zamrugnął. Obok przechylała się przez burtę Constance.

– Nie. Dziękuję, wszystko w porządku...

– To mocne zdjęcia, wiem. – Popatrzyła na niego ze współczuciem. – Sugerowałam Kate, że nie wszyscy chcą oglądać takie szczegóły. Ale ona była zdania, że koloryzowanie czegokolwiek nie byłoby właściwe.

Paul przejechał dłonią po ustach i popatrzył w otchłań. Kadłub statku rozcinał spienione migotliwe fale.

– Kate brała udział w śledztwie, wie pan? Kate Myerson. Myśleliśmy, że to może być ciekawa rzecz, gdyby przygotowała coś w rodzaju wykładu o okolicznościach zbrodni.

– Tak... jasne. – Kiedy statek przechylał się na boki, reling delikatnie wrzynał się w brzuch Paula.

– Powinna zaraz skończyć. Potem parę słów powie Beth. Beth Hoffman. Zna ją pan?

Rybia ikra w brzuchu, wkładanie ikry pod powłokę...

– Hoffman? Tak... To znaczy nie osobiście, słyszałem tylko jej nazwisko.

– Dwa lata temu wydała publikację poświęconą różnym zbrodniarzom z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, ale też Bohnerowi. Bardzo nam pomogła przy koncepcji parku. Poprosiliśmy ją, żeby umieściła go w kontekście historycznym. Ma ze sobą materiał filmowy, ale myślę...

– Constance, serio, zaraz wrócę do środka, proszę się mną nie przejmować. – Paul popatrzył w ciemnobrązowe oczy kobiety. – Czuję się dobrze. – Odetchnął głęboko. Świeże morskie powietrze podziało orzeźwiająco. W kabinie panował taki zaduch, że zrobiło mu się słabo; teraz czuł się o wiele lepiej.

– Okay. – Uśmiechnęła się. – Powinniśmy wkrótce dotrzeć na miejsce. Za jakieś dwadzieścia minut.

Skinął głową. Constance wróciła do kabiny.

Zatrzymał wzrok na plecaku złożonym u swych stóp. Podniósł go, oparł o barierkę i rozsunął suwak. W środku oprócz ubrania na zmianę znajdowała się teczka. Wyjął ją i otworzył. Było w niej kilka zszytych spinaczem stron wypełnionych tekstem, wielkoformatowe błyszczące fotografie, a nawet długopis. Teczka dla mediów z materiałem informacyjnym, którą przysłała mu Constance.

„Murder Park”. Logo było wyraźnie widoczne na wszystkich prospektach i na długopisie. Pod spodem widniał tytuł „Twój weekend z zabójcą”. Najwyraźniej takie było hasło reklamowe będące częścią znaku firmowego.

Paul przerzucił kartki. Do formularza ze zgodą, którego kopię musiał podpisać, aby zwolnić organizatora ze wszelkich roszczeń z tytułu odpowiedzialności, podpięto kartkę z kilkoma słowami powitania. Przebiegł wzrokiem linijki i przeskoczył do końca tekstu.

Podpisano: „Wasz Rupert Levin”.

Paul odwrócił kartkę. Jego oczom ukazała się błyszcząca fotografia wyspy w blasku słońca. Strome wybrzeże pod oslepiająco błękitnym niebem.

Zauważył, że jego dłoń, trzymająca kartkę, lekko drży. Zdjęcie słonecznej wyspy rozmyło mu się przed oczami. Mimowolnie przejechał wolną ręką po czole, jego ramionami wstrząsnął dreszcz.

Paul, nie!, usłyszał całkiem wyraźnie. *Zostań w swoim pokoju, Paul! Na miłość boską! NIE!*

Wywiad filmowy 2 z 12

Skorpion

Imię i nazwisko: Constance Parker

Wiek: 35 lat

Zawód: rzeczniczka prasowa

Sheldon: Pamięta pani swój pierwszy pobyt na wyspie, Constance? Pytam, ponieważ to dla nas szczególnie ważne. Jak się wówczas nazywała ta wyspa?

Constance: Zodiac Island. To naprawdę rzucało się w oczy. Cały park, a wtedy właściwie wesołe miasteczko... cały park podzielony był na sektory według dwunastu znaków zodiaku. Wie pan, Skorpion, Waga, Ryby i tak dalej. Mieli nawet na terenie wybieg dla prawdziwego lwa! Pamiętam ten moment, kiedy zobaczyłam znak Skorpiona, był zrobiony z neonowych świateł; świecący na pomarańczowo skorpion, który wznosił się na stelażu wysoko nad południową połowę wyspy. Widzieliśmy go, jak płonął w wieczornej mgle, kiedy zbliżaliśmy się promem do wyspy. Chwyciłam mamę za rękę i ścisnęłam mocno, bez słowa. Pamiętam to dobrze, po prostu ścisnęłam ją za rękę i czułam, jak stoi obok mnie, wpatrując się w tego skorpiona.

Sheldon: Ile miała pani wtedy lat?

Constance: To były moje szesnaste urodziny. Moim życzeniem było pojechać na Zodiac Island; koleżanka ze szkoły opowiadała mi o wyspie. Wyjątkowo przemawiała do mnie wtedy te znaki zodiaku. Cała wyspa pod znakiem gwiazd, to było takie... romantyczne, albo... sama nie wiem... tajemnicze? Nie wierzę w horoskopy i te wszystkie bzdury. Nigdy w to nie wierzyłam i dziś też nie wierzę, w mojej rodzinie ten temat nie istniał, ale lubiłam Zwierzyniec Niebieski, podobały mi się małe obrazki, za pomocą których przedstawia się dwanaście znaków, podobało mi się, jakie są różne, i to, że są symbole ludzkie i zwierzęce, i podobało mi się... tak, może najbardziej ze wszystkiego podobało mi się, że nasz los dzięki tym prostym znakom jest związany z gwiazdami. Zupełnie jakby nagle została odsłonięta tajemnica powiązań, wie pan? Powiązań między nieskończonymi światami uniwersum i nami, a także drogą, którą... nie chcę się rozwodzić...

Sheldon: Ależ skąd, Constance, proszę. To bardzo piękne, co pani mówi: nasz los i nieskończoność wszechświata... Dobrze to rozumiem...

Constance: Dzisiaj już nie powiedziałabym tak, ale wtedy miałam piętnaście, szesnaście lat... Kiedy jest się dzieckiem, napiera na człowieka tyle rzeczy, których się nie rozumie i wobec których jest się zupełnie bezradnym. Ale znaki rozumiałam. Mój znak – Skorpion, jad, niebezpieczeństwo. Bliźnięta, Lew i Koziorożec, to się da ogarnąć, a mimo to dotyczy wszystkich ludzi, bo przecież nie ma nikogo, kto nie byłby spod jakiegoś znaku. Podobała mi się perspektywa zwiedzenia parku rozrywki, który był

poświęcony zodiakalnej tematyce i podporządkowany Zwierzyńcowi Niebieskiemu. Właśnie dlatego poprosiłam rodziców, czy nie moglibyśmy tam pojechać w moje urodziny. Wtedy jeszcze na wyspie można było nocować; był tam hotel, który stoi do dziś, oferował mnóstwo pokoi, no i był jeszcze duży camping, z którego korzystało wielu odwiedzających. Można tam było spać i zostać w parku tak długo, ile się chciało. Pojechaliśmy z moim ojcem, bratem, no i oczywiście z mamą. Myślałam, że to będą najpiękniejsze urodziny w moim życiu, a okazało się, że wręcz przeciwnie.

Sheldon: Minęło już dwadzieścia lat, prawda?

Constance: Tak. Tak, zgadza się.

Sheldon: A dlaczego okazało się, że to nie były pani najpiękniejsze urodziny? Co się stało?

Constance: To pan nie wie?

Sheldon: Zgromadziliśmy trochę informacji, to prawda. I wybraliśmy panią, Constance, ponieważ w liście motywacyjnym wspomniała pani, że była kiedyś w dawnym parku. Pan Levin chciałby uratować i odtworzyć w nowym parku jak najwięcej z dawnej atmosfery Zodiac Island. Być może mogłaby nam pani w tym pomóc, bo była pani tam, doświadczyła tego na własnej skórze. Ale co dokładnie się wydarzyło, kiedy była pani na wyspie, tego nie wiem.

Constance: Okay...

Sheldon: Nie chce pani o tym mówić?

Constance: Ależ tak, owszem, tylko...

Sheldon: Tak?

Constance: Nie jestem pewna...

Sheldon: Wspomniałem o tym na początku naszej rozmowy, prawda? Wszystko, co pani tu powie, podlega ścisłej tajemnicy. Może być pani tego całkowicie pewna. Nic się nie przedostanie na zewnątrz z kręgu osób odpowiedzialnych za projekt Murder Park. Mam jednak nadzieję, że rozumie pani, iż mimo wszystko chcielibyśmy wiedzieć, kogo zapraszamy do naszego zespołu. Tak jak mówiłem, chodzi o stanowisko rzecznika prasowego. Samodzielnie odpowiadałaby pani za całość kontaktów z mediami. Przeprowadziliśmy już rozmowy z szeregiem innych kandydatów, ale sądzimy, że to pani mogłaby być odpowiednią osobą, Constance. Co pani o tym sądzi? Opowie mi pani, co się wydarzyło dwadzieścia lat temu?

Constance: Kiedy prom przybił do brzegu, było już prawie ciemno. Wyobraża pan to sobie? To był weekend, na promie mnóstwo rodzin, które przyjechały na wyspę. Zeszliśmy na brzeg i już tam, w małym porcie, w zatoczce, do której zawinął statek, stały budki, gęsto – jedna przy drugiej. Wszystko wyglądało jak ozłocone blaskiem padającym ze straganów na portową promenadę. Ludzie spacerowali, pachniało słodyczami i świeżym jesiennym powietrzem. Grała muzyka w najróżniejszych stylach, z oddali dochodziło turkotanie kolejki górskiej, głosy i śmiechy. Panowała pokojowa atmosfera, było przepięknie. Szum fal mieszał się z innymi dźwiękami, ale nie było słychać samochodów. Tylko ludzie, morze i maszyny, pisk wyrzucanych w powietrze przez obracającą się karuzelę, „paf-paf” dochodzące z bud ze strzelnicami, brzęk przewracanych puszek. Byłam... serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi, tak bardzo

byłam podekscytowana. Ani na moment nie puszczałam ręki mamy. Nigdy nie zapomnę, jak cała nasza czwórka, mama, ojciec, ja i mój brat, ramię w ramię, szliśmy szeroką drogą od portu w górę, gdzie nad terenem parku wznosił się hotel, w którym ojciec zarezerwował dla nas nocleg. Wzdłuż drogi stały budy i atrakcje, a ja nie wiedziałam, gdzie mam patrzeć. Czy na budę, przed którą mężczyzna w wysokim kapeluszu zapowiadał występ kobiety bez podbrzusza? Na karuzelę z przesłonicznie błyszczącymi drewnianymi konikami, na których siedziały maluchy? Na autodrom, gdzie zderzały się śmieszne samochodziki na prąd, a wyrostki, roześmiane chłopaki w moim wieku, siedziały odważnie na tylnych siedzeniach? Mijaliśmy to wszystko, aż w końcu przystanęłam przy jednej z atrakcji. Ciemna fasada wznosiła się ku czarnemu niebu na wysokość trzech pięter, a z balkonu nad głowami przechodniów wychylała się jakaś postać. Miała ze dwa metry wzrostu, a na ramieniu trzymała sierp... albo kosę. To była śmierć – pod szorstką tkaniną mogłam rozpoznać czaszkę i kości, kości ramion wystające przez materiał. Nie pamiętam już, dlaczego poprosiłam rodziców, żebyśmy zatrzymali się akurat tam. Czy to przez pobrząkiwanie łańcuchów na balkonie? Przez księżyc, błady i wielki, który wszedł nad szczytem fasady? A może zobaczyłam, że już prawie dotarliśmy do hotelu, i wiedziałam, że to ostatnia okazja, by tego dnia jeszcze coś przeżyć? W każdym razie nie chciałam iść do pokoju, chciałam zwiedzać wyspę, patrzeć na ludzi spacerujących alejkami, wdychać słodkie wieczorne powietrze. Odwróciłam się do ojca i skinęłam głową w stronę tuneli strachu, przy których przystanęliśmy. „Tato, proszę, nie moglibyśmy raz się przejechać? To na pewno nie potrwa długo”, powiedziałam. A nade mną stała śmierć w czarnej pelerynie, z kościstą twarzą zwróconą w moją stronę, i gapiła się na nas.

Sheldon: I ojciec się zgodził? Przejechaliście się tą kolejką?

Constance: Tak, przejechaliśmy się. Nikt nie czekał do kasy i ledwie ojciec zapłacił, od razu dostaliśmy wagonik. Pojazd podjechał na szynach, ktoś pomógł nam wsiąść i ruszyliśmy. Dobrze pamiętam, jak niemal ukłuło mnie w sercu, kiedy wagonik zanurzył się we wnętrzu zamku. Fasada? Była stylizowana na upiorne zamczysko, ze zbrojami rycerskimi, pajęczynami i okropnymi narzędziami tortur. Tak to wyglądało z zewnątrz. Ale w środku nagle zrobiło się kompletnie ciemno. Dał się słyszeć krzyk i oślepił mnie jaskrawy błysk światła. Siedziałam obok ojca i przywarłam do niego mimowolnie. Jechał pan kiedyś kolejką strachu? Nagle pojawiła się ogromna gęba jakiegoś... sama nie wiem, co to miało być... może zombie, twarz, z której zwisały strzępy tkanki. Zbliżała się, nasz wagonik pędził prosto na nią, błyskało światło, migotało, tak że wyrywkowo widziało się ruchy tej twarzy. A potem poczuliśmy nagły podmuch, uderzenie – i już ją minęliśmy, wagonik zaturkotał i pojechał dalej. Chciałam zawołać „Stop! Zaraz, nie tak szybko! Czy mogłabym się cofnąć, nie jestem... NIE JESTEM PEWNA, to wszystko dzieje się za szybko”. Za mną siedzieli brat i mama, ale ich nie słyszałam, byłam jakby otulona dźwiękami z czarnego tunelu. Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w ciemność przede mną, w ciemność, w którą pędziliśmy.

Sheldon: [potakuje]

Constance: Tak.

Sheldon: Może chce pani łyk wody, Constance? Moja asystentka zostawiła nam

karafkę.

Constance: Tak, dziękuję... To dobrze.

Sheldon: Co się stało potem?

Constance: Halloweenland – tak się nazywała kolejka strachu. Naprawdę mocne wrażenia. Było w niej mnóstwo takich efektów, jak nosy z papierowej masy, błyskawice i powietrzne wiry. Były żywe straszaki i ostre zakręty. To wszystko było... czar lunaparku, wie pan? Trzymałam się taty, on otoczył mnie ramieniem, a po paru pierwszych sekundach zaskoczenia jazda zaczęła mi się podobać. Nic nie mogło mi się stać. Wiedziałam, że jestem bezpieczna. Musiałam tylko pozwolić się wieść. I wtedy nagle nasz wagonik stanął. To był ten moment, w którym pojęłam, że coś jest nie tak. Że jednak nie mogę polegać na bezpieczeństwie.

Sheldon: Nie przyszło pani do głowy, że zatrzymanie wagonika to jeden z efektów?

Constance: W pierwszej chwili tak. Ale potem... Siedzieliśmy w ciemności i słyszeliśmy głosy innych ludzi. Ledwie wagoniki stanęły, ustały też błyski światła i efekty dźwiękowe. Dosłownie czuło się, że coś jest nie w porządku. Nie zapaliło się światło ani nic. Nadal panowała kompletna ciemność. I nagle – nigdy tego nie zapomnę – przez głośniki rozległ się komunikat: „Szanowni państwo, prosimy o zachowanie spokoju. W tunelach znajduje się mężczyzna, wyjaśniamy sytuację. Za chwilę jazda będzie kontynuowana”. Mężczyzna w tunelach. Popatrzyłam na ojca, ale w mroku nie mogłam rozpoznać wyrazu jego twarzy. „W tunelach znajduje się mężczyzna”. Dosłownie widziałam go przed sobą. Jak stąpa po szynach, przemyka obok wagonika, chowa się za figurami woskowymi, oblanymi sztuczną krwią. Patrzyłam przed siebie, mrużyłam oczy. Tam? Tamten cień w cieniu? „Okay, tu szef ochrony”, przemówił znowu głos. „Prosimy o uwagę, jazda nie może być kontynuowana”. Usłyszałam jęki zawodu, ale wciąż było ciemno, bardzo ciemno. I gorąco. „Wysyłamy do tuneli pracowników z latarkami”, obwieścił głos. „Proszę opuścić wagoniki dopiero wtedy, gdy dotrze do państwa ktoś z obsługi, kto wyprowadzi was na zewnątrz”.

Sheldon: Tak, chyba o tym słyszałem. To był piątek wieczorem, prawda? Piątek przed zamknięciem parku.

Constance: Może pan sobie wyobrazić, jakie to było nieprzyjemne! Wokół ciemno, choć oko wykol. Ojciec był zdania, że nie ma sensu czekać, aż ktoś się zjawi przy naszym wagoniku. Wiedzieliśmy, że w tunelach jest jakiś mężczyzna. Czy byliśmy bezpieczni? Nie było nawet widać, jaka odległość dzieli nas od podłogi. Jakiej podłogi? Któreśdy przebiegają szyny, czy jest coś w rodzaju chodnika? Chyba nie do końca wyłączyli elektrykę, bo słychać było ciche brzęczenie, jak pod linią wysokiego napięcia. Czy biegnie tam jakaś szyna pod prądem, na którą nie wolno stanąć? Słyszeliśmy w ciemności, że inni ludzie też nie zamierzają czekać w wagonikach, że chcą jak najszybciej wysiąść z tej kolejki, wyjść z tego przerażającego mroku. Tata pomógł mi wysiąść, a ja podałam rękę mamie, żeby i ona mogła się wygramolić na zewnątrz. Najpierw szliśmy gęsiego, z tatą na przedzie i bratem na końcu, po omacku brnęliśmy przed siebie. Potem coraz trudniej było nam utrzymać równowagę, więc puściliśmy się i uważaliśmy tylko, żeby nie oddalić się zbyt od siebie. Jedno tłukło mi się po głowie: co powiedział przez głośniki ten człowiek? „W tunelach”. TUNELACH. Czyżby był nie jeden tunel, po którym jeździły

wagoniki, tylko kilka?

Sheldon: Ile czasu minęło, zanim znalazła pani wyjście?

Constance: Tak...

Sheldon: Tak?

Constance: Trwało to dłużej, niżbym sobie życzyła. Staralam się zostać w pobliżu rodziny, ale... W pewnym momencie usłyszeliśmy za sobą dźwięk, jakby wagoniki ruszyły w naszą stronę. Odskokczyłam na bok, bo miałam wrażenie, że stoję na szynach; za wszelką cenę chciałam uniknąć zderzenia z żelaznym wózkiem. Turkot oddalił się jednak, może wagonik tuż za nami został skierowany w inną odnogę. Potykając się, brnęłam dalej, aż w końcu się zorientowałam, że nie słyszę obok kroków rodziców i brata. A kiedy zaczęłam ich wołać, kiedy wyciągałam w ciemności ręce, szukając czegoś, czego mogłabym się przytrzymać, zdałam sobie sprawę, że zabłądziłam.

Sheldon: Zabłądziła pani w tunelu strachu?

Constance: Kiedy wołałam, odpowiedzi dolatywały ze wszystkich stron, co dezorientowało mnie jeszcze bardziej. Dlatego ucichłam i próbowałam znaleźć drogę na własną rękę.

Sheldon: Niełatwe zadanie. Oglądałem kiedyś plan starego Halloweenland, to była bardzo skomplikowana trasa, w ogóle cały ten obiekt... Nigdy do końca nie zrozumiałem, na jakiej zasadzie decydowali, któredy puszczać poszczególne wagoniki.

Constance: W tamtej chwili było mi to zupełnie obojętne. Było ciemno, zgubiłam rodziców i brata – a w tunelach był mężczyzna. Ta myśl przez cały czas tłukła mi się po głowie. Mężczyzna w tunelach. Czy to jego oddech czułam na karku? Jego rękę na plecach? Na udzie? Cienie na podłodze zdawały się więc niczym węże, a ściany wokół mnie wyglądały na mokre i oślizgłe. Ale nie miałam wyboru. Wiedziałam, że muszę jak najprędzej wydostać się z tunelu. Co zrobią, kiedy wszyscy już wyjdą na zewnątrz? Zamkną go? Ze mną w środku? Przerazało mnie to – biegłam, potykałam się, upadłam, obtarłam kolano, wstałam, wyrwałam naprzód, uderzyłam o coś głową, obróciłam się, wpadłam na ścianę, odwróciłam się w drugą stronę, znalazłam jakieś przejście, goniłam dalej. Aż w końcu zauważyłam, że w mrok przenika mleczna poświata. Ruszyłam w jej kierunku i zobaczyłam, że dociera ze szczeliny w ścianie tuż nad podłogą. Uklęknęłam i przyłożyłam głowę do szpary, żeby przez nią wyrzeć. Za nią rozpościerało się pomieszczenie pełne luster i szyb, zalane mętnym, niewyraźnym światłem. Nie było tam figur woskowych ani masek unoszących się w półmroku, nie było urywanych, marionetkowych ruchów figur i maszyn, tylko powolniejsze, bardziej posuwiste, żywsze ruchy – niemal zwierzęce. I było słychać, że się ślizgają, posuwają, jęczą...

Sheldon: Kto?

Constance: Mężczyźni... i kobiety, ściskający się po kątach.

Sheldon: Wiem, co to było! Lustra, mówi pani? I naprawdę nie widziała pani, co... co to były za postacie, które tam... przebywały?

Constance: Panował półmrok, ludzie byli częściowo schowani za załomami. Ale jedną postać widziałam... raczej cień niż mężczyznę, cień w... pelerynie? Miał na sobie długą, czarną pelerynę i gumową maskę ze szpiczastymi uszami. Facet był przebrany za Batmana... za superbohatera!

Sheldon: Tak, naturalnie, to była wydzielona, nieoficjalna część kolejki strachu, nazywana Circle Room, ponieważ była okrągła – okrągła i wyłożona lustrami. Zodiac Island był przedsięwzięciem rodzinnym, ale pod koniec park cienko prządl finansowo. Dlatego, jak dziś wiadomo, dyrekcja postanowiła urządzić Circle Room. Bez wielkiego szumu, nie mieli o tym wiedzieć wszyscy, tylko wybrani, ci, którzy wchodzili w grę. Głównie ojcowie rodzin, którzy podczas rodzinnego wypadu chcieli przeżyć coś ekstra. To dla nich urządzono ten labirynt luster. Kobieta-kot? Superman? Spiderman? Żaden problem! Wybieraj! Chcesz się kochać z Marilyn Monroe? Z Kapitanem Ameryką? Z Chewbacą? W zasadzie wszystko było możliwe. Przy czym niemal wszystkie kobiety to były call girls. I zaglądała tam pani przez szparę?

Constance: Byłam tak zaskoczona, że w pierwszej chwili nie mogłam się oderwać. Ludzie po drugiej stronie najwyraźniej nie mieli pojęcia, co się dzieje w kolejce strachu. Byli bez reszty zajęci sobą. A kiedy dziewczyna w szkolnym mundurku, z uszami myszki jak z mangi, sprawia, że Hulk dyszy głośno z podniecenia, to wszystko wokół przestaje istnieć. Mieliśmy wprawdzie jesień, ale nie nastąpiły jeszcze chłody, a w środku skumulował się żar całego dnia. Klęczałam na podłodze, moje dłonie były mokre, po bokach też spływał mi pot. Czułam własne serce, mocno bijące z emocji, czułam, jak łapczywie chwytam powietrze – i nagle poczułam też, że nie jestem sama. Gdy miałam się obrócić, czyjeś ręce docisnęły moje ramiona do ziemi. Coś przywarło do mnie od tyłu. Otworzyłam usta, żeby krzyknąć, ale czyjaś dłoń prześliznęła się po moim mokrym policzku i zasłoniła mi usta. Poczułam, jak twarde ciało mężczyzny przywiera do moich pleców. Jak ręka, twarda niczym ze stali, zatyka mi usta. Jednocześnie w pomieszczeniu, które wciąż widziałam przez szparę, zamigotało światło. Błysnęło, zabręczało i zabzyczało – i nagle biała, blada poświata czterech jarzeniówek przymocowanych do sufitu rozlała się po pomieszczeniu i unurzała w bezlitosnym blasku wszystkich Batmanów, Marilyn, potwory i inne zabawiające się ze sobą postacie. Makijaż, plastik, gumowe maski, nylonowe peleryny, brzuchy pod tanimi kostiumami Spidermana, zmarszczki pod przepoconymi perukami. W środku pojawili się dwaj pracownicy ochrony i włączyli jarzeniówki. W swoich granatowych uniformach rzucali się w oczy; wydawało się, że doskonale wiedzą, co się dzieje w tym pomieszczeniu.

Sheldon: Oczywiście, dyrekcja parku wiedziała o Circle Room. Skoro jednak kazano wszystkim opuścić kolejkę strachu, to dla tego pomieszczenia nie mogło być wyjątku. Co zrobiła ochrona? Ewakuowała wszystkich?

Constance: Tak to wyglądało. Kazali tym ludziom wyjść...

Sheldon: A... ten mężczyzna, który panią napastował – kim on był?

Constance: Wtedy tego nie wiedziałam, ale... już w tamtym momencie przyszło mi do głowy, że to on. To ten mężczyzna, o którym mówił szef ochrony, mężczyzna w tunelach.

Sheldon: On był z panią, kiedy po drugiej stronie ściany ochrona kazała wszystkim opuścić Circle Room!

Constance: Nie mogłam krzyknąć, bo zasłaniał mi usta. Miałam próbować ugryźć go w palce? A jeśli zacząłby mnie dusić? Czułam, że jest bardzo silny! Miałam mętlik w głowie. Co powiedzą moim rodzicom? Że klęczałam przy szczelinie i zaglądałam do

tamtej nory? Ludzie tymczasem wychodzili z pomieszczenia, wkrótce opustoszało całkowicie. Zgasło światło, a ja poczułam, jak leżący na mnie mężczyzna rozpina mi dzinsy. Zsunął mi z pośladków spodnie razem z majtkami. Czułam, jak narasta jego podniecenie i czyni go coraz bardziej niecierpliwym, natarczywym, natrętnym. Miałam zaledwie szesnaście lat, ale to nie był pierwszy raz, kiedy... byłam z chłopakiem, z mężczyzną. I... W tym momencie, kiedy poczułam, jak we mnie wchodzi, jak mnie wypełnia... To było tak, jakby coś we mnie pękło, jakby całe to napięcie, skurcz, stwardnienie, którym dałam sobie zawiązać, rozplynęły się w gorący syrop, który uczynił mnie giętką i podnieconą, jak nigdy w życiu. Ledwie jednak zdałam sobie sprawę, co się dzieje, mężczyzna, który wziął mnie w posiadanie, oderwał się ode mnie, wycofał, nieomal odtrącił. Poczułam, jak podmuch powietrza owiewa moje obnażone pośladki, jak korytarz pustoszeje. Mężczyzna zostawił mnie i zniknął w mroku tunelu. Podczas całego zajścia, po równi intensywnego, co wstrząsającego, ani razu nie mogłam spojrzeć mu w twarz. Dzisiaj jednak wiem, że tamtego dnia znaleziono ostatnią ofiarę Jeffa Bohnera, i że znaleziono ją w Halloweenland, a mężczyzna, z którym byłam, mężczyzna, który wtargnął do tuneli i przez którego zatrzymano kolejkę – musiał być Jeffem Bohnerem, który zostawił tam zwłoki zamordowanej.

– Proszę sobie wyobrazić – milion! Milion osób odwiedza corocznie Alcatraz, wyspę więzienie u wybrzeży San Francisco. Ludzi to po prostu interesuje, to historia ich kraju, ale też całej ludzkości. Bo nie ulega wątpliwości: historia przestępczości, morderców, gangsterów i przestępców, ale też ofiar, cierpienia i rozpacz – to jest historia mężczyzn i kobiet, którzy żyli w tym kraju i po części nadal w nim żyją. To nie jest historia prezydentów i generałów, lecz nizin; to przeszłość, z której mimo wszystko w pewien sposób się wywodzimy. – Beth Hoffman przemawiała, stojąc przy pulpicie na wprost rzędów krzesel. Paul nie mógł zaprzeczyć, że sprawiała wrażenie bardzo zaangażowanej. – Zadaliśmy sobie wiele trudu, by uszanować historię, fakty i świadectwa, dokumenty i przekazy. Podeszliśmy do sprawy poważnie, nie dążąc do walorów rozrywkowych. Wręcz przeciwnie, intensywnie zajęliśmy się sprawcami, ich pochodzeniem, otoczeniem, rozwojem, zadając sobie przy tym pytanie, na kim moglibyśmy się skupić najbardziej. Czyje losy moglibyśmy przedstawić w sposób maksymalnie plastyczny? Czyją życiową ścieżkę odwzorować najbardziej wyczerpująco? W końcu doszliśmy do wniosku, że w centrum naszej kolekcji powinien się znaleźć Jeff Bohner! Cóż byłoby lepszym miejscem dla realizacji naszego projektu niż dawno opuszczony park rozrywki? Co nadawałoby się na park morderców lepiej niż Zodiac Island, zamknięty od dwudziestu lat lunapark, w którym w latach dziewięćdziesiątych mordował Bohner? Kiedy dotarło do nas, że możemy kupić wyspę – i założyć na niej Murder Park – nic już nie mogło nas powstrzymać! To było to. Strzał w dziesiątkę! Mogliśmy przywrócić Jeffa Bohnera do życia, mogliśmy wskrzesić dawną Zodiac Island, z całym czarem rozrywki, który prysnął, i stworzyć na niej Murder Park, świat, w którym będzie można wejść w myśli, emocje, tęsknoty, marzenia i lęki – tak, nawet lęki! – seryjnych zabójców. Wejść w obsesję Jeffa Bohnera, ale i innych znanych zbrodniarzy, poczynając od Kuby Rozpruwacza poprzez Eda Geina, Teda Bundy’ego, Syna Sama aż po młodszych sprawców, z których niektórzy jeszcze żyli i odsiadywali kary w więzieniach o zaostrzonym rygorze. Mogliśmy przywołać ich świat, aby ludzie się w nim zatracili – to był nasz plan, to nasza wiodąca idea.

– Skąd pan wytrzasnął tę wodę?

Paul spojrział w bok. Zanim ponownie zajął miejsce w kabinie, wziął butelkę wody mineralnej z niewielkiego kontuaru w przedsionku, gdzie wydawano napoje. Teraz popijał ją wolnymi łykami. To przyciągnęło uwagę kobiety siedzącej dwa miejsca dalej w tym samym rzędzie.

– Zaraz po lewej, jak wyjdzie pani z kabiny, na międzypokładzie, czy jak to się zwie. – Uśmiechnął się. Była atrakcyjna. Przechyliła się ku niemu.

– Greenblatt, prawda? Paul Greenblatt? – Zmrużyła ładne oczy.

Skinął głową. Czyżby go znała?

– Lizzie Hillstrom, miło mi. – Wyciągnęła rękę. Jej skóra była miła w dotyku.

– Mnie również. – Paul puścił jej dłoń. Może powinien zaproponować, że coś jej przyniesie?

– Lubię pana blog, Paul.

Jasne. Blog. To tam zobaczyła jego zdjęcie.

– Dziękuję. – Rozciągnął usta w uśmiechu. Prowadził blog od czterech lat, od czasu do czasu pisząc o zabójstwach, rozprawach sądowych albo śledztwach. Gdy zostawiał dla siebie prawa do któregoś ze swych artykułów, to jakiś czas po publikacji umieszczał go na stronie. Czasami jednak zachowywał wyłączność na reportaże o sprawie, która wydała mu się wyjątkowo pasjonująca, pouczająca lub niezwykła.

– Pani również, tak? – Pociągnął łyk wody i skinął głową w jej kierunku.

– Reporterka? Tak. – Kobieta położyła łokieć na wolnym oparciu między nimi i z wdziękiem zwiesiła dłoń. – Ale nie tylko reportaż policyjny. Robię materiały o różnych sprawach... właściwie o wszystkim, co mnie interesuje. – Zerknęła na mężczyzn siedzących przed nią po skosie. – Pracuję dla telewizji. Pan pozwoli, że przedstawię: Tony i Michael, kamera i dźwięk.

Paul już wcześniej zwrócił uwagę na bardziej postawnego z mężczyzn, tego, którego masywne barki miał tuż przed sobą. Ale to ten smuklejszy, który siedział obok, odwrócił się i wyciągnął do Paula delikatną dłoń. Skierował ku niemu bladą twarz, nieśmiało zerkając spod daszka czapki.

– Michael. Cześć. Jestem dźwiękowcem.

Paul uściśnął mu rękę, zanim jednak zdążył odpowiedzieć, mężczyzna odwrócił się z powrotem.

– Naturalnie mieliśmy pewne obawy – ponownie rozległ się głos Beth Hoffman – czy możemy pokazywać takie zdjęcia, czy możemy do tego stopnia wysuwać na pierwszy plan... historię Jeffa Bohnera? Co jesteśmy winni ofiarom, ich bliskim? Czy powinniśmy zataić pewne fakty, może nawet wypaczyć niektóre z nich, aby zatrzeć powiązania z realnymi osobami? – Kobieta zawiesiła głos, aby słuchacze sami odpowiedzieli sobie na te pytania; po chwili podjęła: – Zdecydowaliśmy się tego nie robić. Postanowiliśmy nie ukrywać prawdy, przeciwnie – obnażyć ją... bez upiększania. Dane, fakty, wszystko tak, jak było naprawdę. Było to możliwe między innymi dzięki temu, że mogliśmy liczyć na wsparcie władz śledczych, przede wszystkim na współpracę z Kate Myerson. – Beth spojrzała w stronę kobiety, która zajęła miejsce w pierwszym rzędzie. – Kate, jestem szczerze przekonana, że kiedy wraz ze swymi przełożonymi podjęła pani decyzję o udostępnieniu nam sporych części materiałów ze śledztwa, uczyniła pani sporo dobrego na rzecz ogółu.

– Dobrze, Beth. – Nieduży mężczyzna, na oko pięćdziesięciolatek, wstał ze swego miejsca. – Ogromne dzięki, naprawdę. My też – omiół spojrzeniem słuchaczy – udzielaliśmy się społecznie. Prawda, Kate?

– To Rupert. Rupert Levin. Zainicjował ten projekt – wyszeptała Lizzie.

Paul też go rozpoznał – zdjęcie Levina było zamieszczone w prospekcie, który znajdował się w materiałach prasowych.

– Ale żarty na bok – ciągnął Levin. – Jestem głęboko przekonany, że moi ludzie i ja stworzyliśmy coś wspaniałego. Za chwilę przekonają się o tym państwo sami.

– Muzeum, o ile dobrze zrozumiałam? – odezwała się Lizzie. Levin popatrzył na nią uważnie. – Muzeum przestępczości, zgadza się? – Paul odniósł wrażenie, że celowo nadała swemu głosowi kokieterijną nutę. – Kiedy przeglądałam teczkę z materiałami

prasowymi, pomyślałam, że to coś więcej niż zwykłe muzeum – dodała. – A teraz, gdy tak słucham Beth, to obawiam się wręcz...

– Nie, pani... – Levin na moment przeniósł wzrok na Constance. Usłyszał ciche: „Hillstrom”. – Pani Hillstrom, ma pani całkowitą rację, Murder Park jest czymś innym, jest czymś więcej, o wiele więcej niż muzeum przestępczości i morderstw. Proszę raczej pomyśleć o rozrywce i dreszczu emocji, o mrowieniu w brzuchu, proszę pomyśleć... – zawahał się. – No dobrze, na tym etapie nie chcę zdradzać zbyt wiele. Powiem tylko, że Murder Park jest nie tyle muzeum, co rodzajem parku rozrywki, podobnego do Disneylandu, jest tak zwanym parkiem tematycznym, w którym przybliża się ludziom jeden konkretny temat. A jaki to temat? Zbrodnia. Owszem. Czy to źle? – Obnażył zęby. Paul nie mógł oderwać od niego wzroku. – Nie! Przeciwnie – to doświadczenie, którego nie zapomni pani do końca życia! – Paul miał wrażenie, że rysy twarzy mężczyzny, i tak już wyraziste, napięły się jeszcze bardziej. – Tak, to, co chcemy zaprezentować państwu w ciągu najbliższych trzech dni, jest czymś w rodzaju parku rozrywki. I tak, Legoland i Disneyland też nimi są, ale jest jedna różnica: nasz park nie jest przeznaczony dla dzieci. – Zrobił pauzę. Paul uzmysłowił sobie, że głęboko we wnętrzu kadłuba znów słychać warkot turbin. Przez chwilę nikt nic nie mówił, wszyscy z napięciem patrzyli przed siebie. – Dlaczego nasz park nie jest muzeum? – podjął Levin. – Ponieważ tu mniej chodzi o to, by czegoś się nauczyć, a bardziej o to, by coś przeżyć. A co dokładnie można tu przeżyć, już w ten weekend pokażemy państwu z bliska. Zgadza się, Constance? – Popatrzył na swoją rzeczniczkę, która stała nieco z boku. – Dlatego zależało nam na tym, byście wszyscy...

– Byście wszyscy państwo byli singlami! – Constance zaprezentowała promienny uśmiech.

– Singlami? – Paul popatrzył na Lizzie w osłupieniu. – Dlaczego singlami?

– Pan nie jest singlem, Paul? – Wargi kobiety rozchyliły się odrobinę. *Owszem... jestem... ale...* – Myślę, że Rupert mówi nie do końca serio. Po prostu nikt z nas nie przyjechał tu z partnerem.

– Czy wszyscy ci ludzie są z mediów? – Paul powędrował wzrokiem po głowach współpasażerów. Nie było ich więcej niż tuzin.

– O to musi pan zapytać Constance. – Lizzie zabrała łokieć z oparcia między nimi. – Ale o ile wiem, projekt nie jest jeszcze ukończony. Levin i jego ludzie przygotowali tę prezentację, żeby już teraz przedstawić go prasie, a także osobom, od których mają nadzieję otrzymać wsparcie.

– Proszę popatrzeć, jest! Jak na zawołanie! – Levin spojrzał w stronę dużego okna, odsłaniającego widok na nocny ocean. – Jeśli zechcą państwo wyjść na pokład, zobaczycie wyspę.

Deszcz za oknami kajuty wyglądał tak, jakby z czarnego nieba spływały srebrne nitki, łamiąc się na szkło. Pomiędzy nimi, w oddali, dało się rozpoznać ciemny, zacieniony zarys, jakby wznoszącą się ponad fale górę. Na jej szczycie jarzył się neonowy napis.

Paul wstał, podobnie jak pozostali. Po sekundzie zorientował się, że Lizzie została na swoim krześle.

– Nie chce pani zobaczyć wyspy?

– Ależ tak, pewnie. – Wstała, jednak nie ruszyła się z miejsca. Podczas gdy inni pasażerowie po kolei opuszczali kajutę, skinęła głową w stronę pulpitu. – Widzi pan? Constance zapomniała swoich materiałów. – Paul odruchowo przeniósł wzrok na pulpit. Rzeczywiście. Na opuszczonej mównicy leżał segregator. – Proszę pójść za mną. Pokażę coś panu. – Lizzie ruszyła przejściem przed siebie. – Tutaj, niech pan spojrzy.

Paul popatrzył na drzwi. Ostatni gość właśnie wychodził na zewnątrz; Levin i Constance również byli już na pokładzie. Przeniósł spojrzenie z powrotem na pulpit. Lizzie właśnie nachylała się nad segregatorem.

Podszedł bliżej.

– Co takiego?

– Bez obawy, to tylko materiały dla mediów. – Na chwilę podniosła na niego wzrok. Cienką, wełnianą czapkę miała naciągniętą na oczy. – Znam Constance; to nic poufnego, możemy spokojnie zerknąć.

Paul popatrzył na kartkę. Widniał na niej jakiś plan, do którego przyklejono kilkanaście żółtych karteczek post-it.

– To jest rozkład pokoi w hotelu na wyspie. – Maleńki kamień na palcu serdecznym Lizzie odbijał światło kajuty. – Widzi pan to? – Wskazała jedno z pomieszczeń. Na karteczce widniało imię „Paul”. – Pana pokój ma drzwi przechodnie.

Drzwi w pokoju z jego imieniem były wyraźnie zaznaczone. Pomieszczenie miało jedne drzwi na korytarz i jedno do pokoju obok. Zanim Paul zdążył przeczytać imię na karteczce sąsiedniego pokoju, Lizzie ją odkleiła.

– Co pan o tym sądzi? – Zdjęła z planu inną karteczkę i przykleiła ją do pomieszczenia sąsiadującego z jego pokojem. Widniało na niej imię „Lizzie”. Paul obrzucił kobietę prędkim spojrzeniem.

Ten pokój ma przechodnie drzwi, pani Hillstrom. Czy jest pani pewna, że tego chce?

Jej zielonkavo-błękitne oczy były upstrzone delikatnymi pomarańczowymi cętkami. Starannie wygładziła karteczki z ich imionami. Paul pomyślał, że skóra na jej policzkach – na skutek zimna na zewnątrz i ciepła w kabinie – wygląda niemal jak...

...świeżo wyjęta z opakowania.

Wypuścił powietrze z płuc. Czy naprawdę o tym pomyślał?

– Paul... Lizzie? Nie chcecie zobaczyć, jak przybijamy do brzegu? – rozległ się głos.

Paul podniósł wzrok, nieco zaskoczony. Zmierziała ku nim Constance. Wyczuł, jak Lizzie trąca go lekko, odchodząc od pulpitu.

– Tak, masz rację – powiedziała, po czym minęła Constance i skierowała się w stronę szklanych drzwi.

Gdy rzeczniczka zbierała materiały z pulpitu, Paul zerknął na nią mimochodem. Najwyraźniej niczego nie zauważyła. Czy powinien coś powiedzieć? Tylko co? Jeśli ktokolwiek miał coś przeciwko zamianie pokoi, to przecież w każdej chwili można było cofnąć zmianę. Skinął przelotnie głową i podążył za Lizzie ku wyjściu.

Na pokładzie ziąb smagnął go w twarz. W strugach deszczu było już wyraźnie widać czarną i poszarpaną sylwetkę wyspy. Wznosiła się tuż przed nimi niczym

gigantyczny posępny żółw. Powietrze przepęłniał głuchy szum fal przyboju. Wokół zimnej, nagiej skały, zakotwiczonej głęboko na dnie morza, szalały ostre igiełki rozpryskiwanej wody, lodowatych kropli deszczu i przenikliwego wiatru.

Wywiad filmowy 3 z 12

Waga

Imię i nazwisko: Michael Bach

Wiek: 38 lat

Zawód: dźwiękowiec

Sheldon: Już raz był pan na wyspie, zgadza się? Kiedy to było?

Michael: W zeszłym roku.

Sheldon: Co pan tam robił?

Michael: Ile to już czasu, odkąd zamknęli ten lunapark, Zodiac Island? Będzie jakieś dwadzieścia lat, prawda? Kręciliśmy materiał na temat nieczynnego od wielu sezonów parku rozrywki, a wyspa oczywiście stanowiła wspaniałe kulisy. Wszystkie te stare karuzele i atrakcje, diabelski młyn przecież stoi do dziś, ale wiele z tego, co w zeszłym roku było kompletnie zardzewiałe i zarośnięte chaszczami, o ile wiem, zostało zdemontowane. Prawdopodobnie po to, żeby zrobić miejsce dla tego nowego projektu. W zeszłym roku jeszcze nic nie było widać. Kiedy przybiło się promem do brzegu, zaraz w porcie mijano się tablicę z napisem: „Witamy na Zodiac Island”. Wszędzie było widać jego ślady, różne zwierzęce symbole, Rak, Strzelec, Waga, Lew... Fajne to było, od razu mi się spodobało. Jako dziecko chętnie chodziłem do wesołego miasteczka, do cyrku, lunaparku, uwielbiałem tę typowo jarmarczną muzykę, podekscytowane twarze, tłumy, piski... Kiedy w zeszłym roku przyłynęliśmy na wyspę, cały lunapark jeszcze stał, kolejka górską, karuzele, budy z żarciem i strzelnicami, wszystko jak pogrążone w zimowym śnie. Śmiechy ludzi, nawoływania dziewczyn wciąż jakby odbijały się echem w alejkach, wisiały w zardzewiałych wiatach i stelażach maszyn, można było je sobie wyobrazić, choć to bardzo odległa wizja. Miałem wrażenie, że urządzenia przyczaiły się jak ogromne dinozaury, może w nadziei, że ludzie kiedyś do nich wrócą, dobrze wiedząc, że już się wysłużyły, że czeka je już tylko demontaż. Czy Rupert zostawił niektóre z tych starych atrakcji, czy nie ma już nic?

Sheldon: O to musi pan spytać Beth Hoffman, kiedy ją pan spotka, ona będzie wiedziała lepiej, to ona się tym zajmuje. Ale myślę, że kilka z dawnych atrakcji zachowano. Na przykład kolejkę górską. Już wtedy uchodziła za coś w rodzaju symbolu parku, prawda? Była widoczna z każdego miejsca na wyspie. A kiedy się wjechało na najwyższy punkt, ze szczytu widać było całą wyspę.

Michael: Kolejka górską jeszcze stała. Należała do strefy Wodnika, na stelażu był ogromny niebieski neon z Wodnikiem, oczywiście nieruchomy, ale można było sobie wyobrazić, jak to wyglądało, kiedy neon świecił i się obracał.

Sheldon: Był pan tam z ekipą telewizyjną, prawda? Jako kto?

Michael: No, jako dźwiękowiec, to mój zawód. Ja jestem od dźwięku, nie zajmuję się kamerą, nie jestem też dziennikarzem. Stoję tylko z „patykiem” i pilnuję, żeby na końcu każde nagrane ujęcie było porządnie udźwiękowione. Niektórzy mówią, że to banalnie proste, robota, którą może robić każdy, ale to nieprawda. To ważna praca, musisz być cały czas maksymalnie skoncentrowany. Jak pan myśli, co będzie, jeśli w decydującym momencie nie będę uważał i nie nagram dźwięku? Urwą mi łeb! Nie trzeba robić wiele, nie sto rzeczy na raz, tylko jedną. Dźwięk. Tym ważniejsze jest, żeby on rzeczywiście się nagrywał. To właśnie robię i to robiłem, kiedy w zeszłym roku przyjechaliśmy na tę przeklętą wyspę, żeby kręcić. Była zima, panował naprawdę przejmujący ziąb. Hulał wiatr, wszędzie pobrzękiwała blacha starych urządzeń. Ale najbardziej załazła mi za skórę tamta historia – historia, dla której tam pojechaliśmy. Sprawiała, że kiedy zobaczyłem, jak wyspa w końcu wyłania się z mgły nad wodą, zdjął mnie jeszcze większy chłód.

Sheldon: Jaka historia? Myślałem, że mieliście zrobić tylko parę malowniczych ujęć, jako podkład do materiału o dawnym parku rozrywki.

Michael: Tak, takie były kulisy. Ten styl późnych lat osiemdziesiątych, wczesnych dziewięćdziesiątych, typowy dla Zodiac Island. Ale to było tylko tło, my kręciliśmy inną historię.

Sheldon: A mianowicie?

Michael: A jak pan myśli?

Sheldon: Czy to miało coś wspólnego z zamknięciem parku?

Michael: Oczywiście! Właśnie o to chodziło tej redaktorce. Bohner! Chciała opowiedzieć historię zbrodni! Interesowało ją zwłaszcza trzecie, ostatnie morderstwo, bowiem to po nim zamknięto park.

Sheldon: Więc mieliście robić materiał głównie o ostatnim morderstwie?

Michael: Właściwie to o wszystkich trzech, ale najciekawsze było to ostatnie, bo na jego temat dodatkowo było mnóstwo materiału w archiwach serwisów informacyjnych. W tym właśnie tkwiło sedno sprawy, jej istota, na której skupiła się dziennikarka: że pierwsze dwa zabójstwa Bohnera zostały zatuszowane przez dyrekcję parku. Tylko co znaczy „zatuszowane”? Oczywiście poinformowano policję, ale nie zawieszono działalności Zodiac Island, pracy całego parku, rozumie pan? Po obu pierwszych morderstwach park nadal był czynny. Z dzisiejszego punktu widzenia to bardzo kontrowersyjna decyzja. Znaczący, ja jestem w stanie to zrozumieć. Wie pan, jaka to ogromna inwestycja – stworzenie takiego obiektu? Ile kasy w tym utopiono? Zodiac

Island istniał od lat pięćdziesiątych, z tamtego okresu pochodziły wszystkie urządzenia ze znakami zodiaku i tak dalej. Oczywiście od tamtej pory park odwiedziło mnóstwo turystów, w końcu działał prawie czterdzieści lat. Było jasne, że właściciele będą chcieli za wszelką cenę podtrzymać jego działalność. „Zrzuńcie mnie. Jeśli się rozniesie, że w parku miało miejsce morderstwo, nikt już nie będzie chciał tu przyjechać”, w takim stylu manager parku musiał się zwrócić do policji, do lokalnych polityków. I posłuchali go! Bo to naprawdę była wielka atrakcja turystyczna. Zodiac Island nie był największym, nie był najnowszym, nie był nawet najpiękniejszym parkiem na wschodnim wybrzeżu, ale też nie był zły. To nie tak, że ludzie zjeżdżali z całego kraju, żeby parę godzin zabawić się na małej wyspie, ale z promienia, powiedzmy... bo ja wiem... stu mil czy coś koło tego, owszem, przyjeżdżali. Przyjeżdżali i to był dobry interes dla całej okolicy. Mieli z tego zrezygnować przez jedną zamordowaną dziewczynę, mieli tyle ryzykować? Oczywiście, że nie! Postanowili zatem: Dobra, szczegóły na razie zachowamy dla siebie, ze względu na dobro śledztwa to i tak będzie lepsze rozwiązanie, nie zamkniemy parku, ale będziemy mieli oczy otwarte. I tak się stało. Wtedy doszło do drugiego morderstwa. To oczywiście był wielki problem, a jednak ludziom z parku ponownie udało się nie dopuścić do zamknięcia wyspy. Niech pan to sobie wyobrazi! Dopiero po trzecim zabójstwie nastąpił ostateczny koniec. Wtedy już nic nie dało się zrobić. Musieli zamknąć park i nigdy więcej go nie otworzyli. To był koniec Zodiac Island. Naprawdę nie było innego wyjścia, bo... trzeci trup... trzecia ofiara... podobno znaleźli ją w kolejce strachu, w Halloweenland. Widziano w tunelach jakiegoś mężczyznę. Zatrzymali kolejkę i wyprowadzili ludzi. Potem znaleźli te zwłoki. Tego już się nie dało zataić. Turyści przecież widzieli, co się stało. Poza tym wyszło na jaw, że w tunelach oferowano nieoficjalnie pewne usługi dla wybranych, głównie płci męskiej. Zamknięto wyspę najpierw tylko na tydzień, a w końcu na zawsze. Dopiero wtedy wyszło na jaw, że to było trzecie morderstwo – i już nikt nie chciał przyjechać.

Sheldon: A co pan tam nagrywał po tylu latach?

Michael: To, co zwykle nagrywam. Redaktorze szczególnie się spodobało Halloweenland, wtedy jeszcze istniało. Pokazali nam miejsce znalezienia trupa w kolejce strachu, sfilmowaliśmy też pokój hotelowy, w którym mieszkała zamordowana kobieta. Reportaż wyszedł całkiem nieźle. Może go pan widział?

Sheldon: Nie. Może Beth widziała. Ale chciałbym jeszcze zapytać o pana osobiste wrażenia.

Michael: Rozmawialiśmy ze śledczą, która potem wpadła na trop Bohnera i ujęła go. Pamiętam, że nazywała się Kate Myerson. Oprowadziła nas trochę po wyspie i opowiedziała, jak próbowali zrekonstruować drogę Bohnera. W sumie zamordował trzy kobiety. Oczywiście nasuwało się pytanie, dlaczego zrobił to na wyspie? Dlaczego akurat na Zodiac Island? Sporo przemawiało za tym, że chodziło mu o przebywające na wyspie dzieci, w końcu specjalizował się w samotnych matkach... Znaczący... „specjalizował się”, jak to brzmi...

Sheldon: Owszem, specjalizował się, wiem, co ma pan na myśli.

Michael: Więc tak, on najwyraźniej szczególnie upatrzył sobie matki samotnie wychowujące dzieci, a tych na Zodiac Island trochę było. Kobiety przyjeżdżały, by

spędzić miły weekend z córką lub synem. By wreszcie na dwa dni uciec od codzienności. Przyjeżdżały na wyspę, gdzie były karuzele, wata cukrowa, clowni i rodziny spragnione rozrywki. Normalny, spokojny świat – tak myślały. I właśnie takie kobiety miał na celowniku Bohner. Już na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. Oczywiście takie było najłatwiej skrzywdzić, rozumie pan? One tylko chciały dać dzieciom do zrozumienia: „Nawet jeśli twój tata nas opuścił, my się nie damy! Będziemy się dobrze bawić i bez niego”. Nie szczędziły przy tym wydatków na nocleg i całą resztę, pozwalały swoim pociechom strzelać na strzelnicy i przejechać się kolejką górską, potem przy budzie z kielbaskami zagadnął je jakiś facet, w całym tym zgiełku, przy muzyce, światłach. Wdały się z nim w rozmowę. Jeśli miały pecha, tym facetem był Bohner. Jak mówiłem, potrafię zrozumieć, że dyrekcja parku nie chciała zamknąć obiektu po dwóch pierwszych morderstwach, bojąc się o swój byt. Ale potrafię też zrozumieć tych, którzy mówią, że to było wielkie świństwo. Która matka odważyłaby się przyjechać do parku, gdyby wiedziała, że dwa razy popełniono tam taką zbrodnię? A tak? Żadna nie wiedziała, nawet się nie domyślała. I przyjeżdżały. „Zobaczysz, Bill...” albo „Dan” ... albo jak tam się nazywał synek czy córeczka... „spędzimy dwa fajne dni, tylko ty i ja”. A potem bach – trafia w łapska Jeffa Bohnera. I, i jedyne, co małemu albo małej zostaje po mamie, to poharatane ciało skąpane w krwi.

Sheldon: Dlaczego akurat Zodiac Island? Przed chwilą sam pan zadał to pytanie. Czy policjantka mogła panu powiedzieć coś na ten temat? W końcu matki samotnie wychowujące dzieci można spotkać też w innych parkach, w ogrodach zoologicznych, na plaży. Dlaczego Bohner poruszał się akurat na tej wyspie – czy o tym też był pana reportaż?

Michael: Eee, jakoś trudno mi było w to uwierzyć. Kate Myerson miała taką jedną teorię, ale sama mówiła, że to nic pewnego. Najwyraźniej Bohner planował kolejne zbrodnie, ale park zamknęli, a zaraz potem go złapali. I to był jego koniec. Na podstawie pierwszych trzech morderstw, tak przynajmniej uważa Kate, nie da się stwierdzić, czy ta teoria jest prawdziwa.

Sheldon: Jaka teoria?

Michael: Teoria dotycząca znaków zodiaku ofiar. Kate sądziła, że trzy ofiary Bohnera... że te trzy kobiety były spod różnych znaków. Pierwsza spod znaku Skorpiona, druga spod Ryb, a trzecia spod Byka. Wszystkie trzy zostały zamordowane przez Bohnera na Zodiac Island. Stąd nasuwało się pytanie, czy chodziło mu o te znaki zodiaku. Poza tym były przesłanki, że Bohner interesował się tą tematyką, bowiem kiedy w jego chacie... w tej chacie w lesie, w której w końcu go zatrzymali... więc kiedy ją przeszukali, natrafili na zegar słoneczny ze znakami zodiaku. Ale, jak mówiłem, ponieważ były tylko trzy ofiary, nie da się do końca potwierdzić tej teorii; tak uważa Kate. A on sam nie chciał się wypowiadać na ten temat. Kate mówiła, że pytali go o to, ale odmówił składania zeznań. Więc... w naszym reportażu nie zdołaliśmy wyjaśnić tej kwestii. Ale to naturalnie dodaje całej sprawie pewnego szczególnego... upiornego smaczku. Na materiale filmowym zardzewiałe neonowe Bliźnięta sprawiały złowrogię wrażenie, kiedy oświetlał je blady księżyc. Powyginany blaszany Lew wyglądał, jakby z pyska skapywała mu krew, Ryby o bladych brzuchach leżały na ziemi jak martwe, w miejscu, gdzie tablica

znacząca strefę Ryb przewróciła się przed laty i od tamtej pory nikt jej nie podniósł.

Sheldon: Strefa Ryb?

Michael: Tak... Park podzielony był na dwanaście stref. Po jednej na każdy znak Zodiaku. Ryby, Strzelec, Baran i tak dalej.

Sheldon: Czy podczas kręcenia reportażu mieszkał pan na wyspie?

Michael: Nie, jasne, że nie. Hotel stał pusty od prawie dwudziestu lat, nie dało się tam już mieszkać. Nocowaliśmy w małej miejscowości na wybrzeżu, skąd dawniej wyruszały promy dowożące turystów na wyspę. Ale... nie chciałbym wyjść na podejrzliwego, doktorze, proszę mnie źle nie zrozumieć, tylko... czy w naszej rozmowie chodzi o tamten reportaż, który kręciliśmy w zeszłym roku, czy o moją nową pracę?

Sheldon: Chodzi o nową pracę, oczywiście, że tak.

Michael: W takim razie nie rozumiem, jakie znaczenie ma wioska na wybrzeżu, w której nocowałem w zeszłym roku.

Sheldon: Poznał pan tam kogoś.

Michael: ...

Sheldon: Panie Bach?

Michael: Tak. Tak, poznałem kogoś. Pracowała jako kelnerka w małej kawiarence obok hotelu. Rozmawiał pan z nią?

Sheldon: Tak, rozmawialiśmy z nią. Kiedy ruszy projekt, za cztery tygodnie, ona również weźmie w nim udział.

Michael: Jay.

Sheldon: Tak, Jay, dokładnie. Ona też tam będzie.

Michael: Ach... Okay... Znaczy, czemu nie. A właściwie świetnie! Lubię Jay! Jest w porzo.

Sheldon: Tak.

Michael: Poznałem ją, kiedy kręciliśmy materiał, to prawda.

Sheldon: Rozmawiał pan z nią o reportażu?

Michael: Dlaczego?

Sheldon: Proszę, wie pan przecież, że może ze mną rozmawiać zupełnie otwarcie...

Michael: O tym wolałbym nie rozmawiać.

Sheldon: O czym?

Michael: Pan doskonale wie!

Sheldon: Nie mam pojęcia, co pan ma na myśli!

Michael: Rozmawiałem z nią o różnych rzeczach, jasne, ale... to było parę miesięcy temu. Myślałem, że już dawno dogadaliśmy sprawę z panem Levinem.

Sheldon: Jak mówiłem, nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Michael: Niech pan nie ściemnia! Przecież przeprowadza pan te wywiady na zlecenie Ruperta Levina. To oczywiste, że przekazuje mu pan, o czym tu się mówi. Prawdopodobnie wszystko to się nagrywa, a pan tylko puszcza mu taśmę!

Sheldon: Panie Bach, proszę pozwolić mi postawić sprawę jasno: nikt pana do niczego nie zmusza. Może pan w każdej chwili wyjść. Nie chcę pana stawiać pod ścianą. Jeśli pan chce, proszę wstać i opuścić ten pokój. Jedyne, czego wtedy nie będę mógł dla pana zrobić, to zapewnić panu udziału w projekcie w przyszłym miesiącu, kiedy Murder

Park będzie prezentowany prasie, to znaczy pierwszej grupie dziennikarzy.

Michael: Tak, jasne. A Jay? Naprawdę będzie tam w ten weekend?

Sheldon: Tak, będzie.

Michael: No dobra, powiem panu. Wspomniałem jej, że przypadkiem usłyszałem coś przez mikrofon. Czasami instaluję urządzenia, tak żeby nikt ich nie zauważył. Kto by tam zwracał uwagę na dźwiękowca. Przypinane mikrofony, bezprzewodowe połączenia, mikrofony kierunkowe... Człowiek sporo się dowiaduje dzięki nim. I jakoś nikt nie wpada na pomysł, że słucha ktoś jeszcze. Jako dźwiękowiec po prostu stoisz sobie gdzieś w kącie, niby zamyślony, majstrujesz przy jakichś urządzeniach – ale w rzeczywistości, jeśli tylko zechcesz, możesz dokładnie się przysłuchiwać temu, co mówi każdy w najbliższej okolicy. Często dzieje się to zupełnie nieumyślnie. W końcu instalowanie mikrofonów to moja praca. Bywa, że nagle mam w słuchawkach głos, i raptem zdaję sobie sprawę, że chyba nie powinienem tego słyszeć. Tak właśnie było z panem Levinem. Pewnego dnia, kiedy kręciliśmy na wyspie, on też nam był. I... znaczy, wiedziałem, że to on kupił wyspę. Nie mówię, że go szpiegowałem, ale... nie rozłączyłem się, kiedy go namierzyłem... bez jego wiedzy... Ale wszystko to już dawno zostało z nim wyjaśnione.

Sheldon: Naprawdę?

Michael: Tak! Powiedział panu coś innego?

Sheldon: Słyszę o tym po raz pierwszy. Pytanie tylko, co pan powiedział Jay. To chcielibyśmy wiedzieć. W przeciwnym razie... nie jestem pewien, czy naprawdę będę mógł coś dla pana zrobić, jeśli w tym punkcie się nie zgodzimy.

Michael: Powiedziałem Jay, że słyszałem, jak pan Levin rozmawiał z kimś przez komórkę. Okay? Nie wiem z kim i nie powiem panu, co usłyszałem. Ale mówił rzeczy... które później nie mogły mi wyjść z głowy. Dzień wcześniej poznałem Jay. Spodobała mi się... Dorastała w tej miejscowości na wybrzeżu. Zna wyspę, odkąd sięga pamięcią. Więc kiedy byliśmy w łóżku...

Sheldon: Poszedł pan z nią do łóżka?

Michael: Co z tego?

Sheldon: Nic, w porządku.

Michael: Więc wieczorem w łóżku trochę rozmawiałem o tym z Jay. Owszem, tak było.

Sheldon: O tym, że słyszał pan rozmowę pana Levina?

Michael: Tak. Ale nie powiedziałem jej, co słyszałem. Nigdy bym jej o tym nie powiedział.

Sheldon: Na pewno?

Michael: Przecież mówię!

– Podoba się panu? – Pokojówka ustąpiła, wpuszczając Paula do środka.

Jay.

Miała na imię Jay.

Paul nie miał pewności, ale odniósł wrażenie, że już ją widział na promie. Była młoda, na pewno nie starsza od niego, czarnowłosa i miła.

To ona zaprowadziła go do jego pokoju w dawnym hotelu na wyspie po tym, jak pasażerowie zeszli z promu i szeroką wyasfaltowaną drogą pomaszzerowali w górę, do hotelowego budynku.

Pokój mu się podobał. Był położony na trzecim piętrze i idealnie pasował stylem do hotelu – szerokiego, topornego budynku, pochodzącego z lat siedemdziesiątych. Taki typowy lodge. Ogromne polne kamienie i grube drewniane bale. Miało się wrażenie, że budynek przetrwa najgorsze sztormy.

– Wspaniale. – Paul podszedł do okna, z którego roztaczał się widok na zatoczkę z małym portem. W dole zobaczył brudnożółte światła pozycyjne promu unoszącego się na wodzie we mgle. – Czy statek odpływa? – Odwrócił się do Jay.

– Myślę, że tak. Odkąd rozpoczęły się prace remontowe, prom cały czas krąży w tę i z powrotem.

– Czy była pani na promie? – Uśmiechnął się. Czarne były nie tylko jej włosy, ale i oczy.

– Tak. – Popatrzyła na niego. – Hotel właściwie jest jeszcze nieczynny. Do tej pory nikt tu nie nocował, w ten weekend wprowadzą się pierwsi goście. – Skinęła głową, jakby chciała w ten sposób potwierdzić swoje słowa. – Przebudowa parku jeszcze się nie zakończyła. Zwykle poza robotnikami na wyspie nikogo nie ma. A budowa... przez długi weekend nie będą prowadzone żadne prace.

– Nie, jasne.

– Dlatego.

– Co dlatego? – Paul spojrzał na nią pytająco.

– Dlatego robotnicy wracają teraz na ląd i dlatego my przyjechaliśmy tym promem. To znaczy ja oraz Glenn i Mary, którzy będą się troszczyć o gości pana Levina.

– A, okay.

Single. Levin powiedział, że wszyscy jesteśmy singlami. Czy ty też, Jay?

– A te drzwi tutaj? – Paul podszedł do drzwi, które nie prowadziły ani do łazienki, ani na korytarz.

– To drzwi do sąsiedniego pokoju. Tak myślę – odparła Jay. – Ale powinny być zamknięte.

Paul chwycił za klamkę. Dała się nacisnąć, ale zamek nie ustąpił. Nie było w nim klucza.

– Świetnie.

To musiały być drzwi, które pokazywała mu na planie Lizzie. W całym zamieszaniu po przybyciu na wyspę Paul na chwilę stracił z oczu dziennikarkę, nie wiedział też, czy organizatorzy rzeczywiście zakwaterowali ją w pokoju obok. Popatrzył

na Jay, ale stwierdził, że nie ma sensu rozmawiać z nią na ten temat.

– Dziękuję, Jay – rzucił. Sprawiała wrażenie tak kruchej, że najchętniej dodałby: „I niech pani na siebie uważa”. Czy jej czarna spódnica nie była odrobinę zbyt krótka? Czy powinien dać jej napiwek?

– Na dole zorganizowano szwedzki stół, jeśli jest pan głodny – powiedziała Jay. – Pan Levin będzie rad, gdy przyjmie pan zaproszenie na poczęstunek.

– Dobrze, dziękuję. – Paul zsunął plecak z ramienia i włożył ręce w kieszenie spodni. Zatrzymał wzrok na starym telefonie z przyciskami, stojącym na nocnej szafce obok szerokiego łóżka. – Działa?

– O ile wiem, tak. Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić?

– Nie, wszystko w porządku, dziękuję.

Jay skinęła głową, odwróciła się i wyszła.

Paul powoli obrócił się dookoła. Drzwi do sąsiedniego pokoju. Okno. Światła promu oderwały się od nabrzeża i były już ledwie widoczne.

Usiadł na łóżku, sięgnął po telefon i wybrał numer redakcji. Odebrał dyżurny szef nocnej zmiany. Paul podał mu odczytany z aparatu numer do swojego pokoju. Wprawdzie w redakcji mieli numer jego komórki, ale nigdy nic nie wiadomo. Oprócz tego w paru słowach omówił z kolegą agendę, którą przed chwilą uzgodnił z rzeczniczką prasową. Pobyt miał potrwać trzy dni. Resztę piątku, sobotę i niedzielę. W poniedziałek o jedenastej miał przyplłynąć prom i przywieźć części zamienne do diabelskiego młyna, który ocalał z czasów dawnej świetności parku. Levin chciał zaprezentować gościom jego działanie, a następnie prom miał ich przewieźć z powrotem na ląd. Jeśli Paul popracuje trochę na zapas, to reportaż mógłby się ukazać już za cztery, najpóźniej pięć dni.

– Cały weekend? Przez trzy dni będziesz oglądał hotel? – Kolega po drugiej stronie słuchawki zachichotał.

– Park. To jest coś w rodzaju parku rozrywki.

– Ach tak.

– Nie wiem jeszcze wszystkiego, ale zaraz ma się odbyć jakiś poczęstunek, więc pewnie powiedzą coś więcej.

– Park rozrywki? Z górską kolejką i watą cukrową? O ile wiem, na tej niewielkiej skale na środku morza...

– Oj tam, zaraz na środku morza. Do wybrzeża jest jakieś czterdzieści kilometrów, nie więcej.

– To i tak trochę za daleko, żeby przepłynąć w pław, co nie? Ćwiczyłeś?

Paul się skrzywił.

– Kompleks hotelowy ma już za sobą lata świetności. Wybudowany z rozmachem, z indiańskimi mozaikami w holu tak wielkim, że mogłyby w nim parkować samoloty, ale kompletnie wymarłym. Jest nas tu może dwudziestka, a przebudowa hotelu jeszcze się nie zakończyła... – Urwał i obrócił głowę.

– Paul? – dobiegło ze słuchawki.

– Tak?

– Powiedziałaś, że przebudowa jeszcze się nie zakończyła.

– Tak... – Znowu ten dźwięk. Uch! Jakby ktoś wtulał twarz w poduszkę i głośno

wypuszczał powietrze.

– Poczekaj chwilę. – Nie odkładając słuchawki, wstał i podszedł do drzwi prowadzących do sąsiedniego pokoju.

Uch! Uch!

Przekręcił głowę i popatrzył na przeciwległą ścianę. Nie było w niej drzwi, ale dźwięk zdawał się dochodzić właśnie zza niej.

Ach! Ach! Ach! Teraz już wyraźnie słyhać było głos kobiety. Stłumiony, zduszony, ale wyraźny. Ich! Ich! Ich!

Bez wątpienia nie robiła tego sama.

– Halo, jesteś tam jeszcze?

Paul z powrotem przyłożył słuchawkę do ucha.

– Okay, przekaz na jutrzejszym kolegium, kiedy dostarczę materiał, dobra? Tutaj wszystko jest w najlepszym porządku. Muszę lecieć. – Odłożył słuchawkę, zanim rozmówca zdążył odpowiedzieć.

Aaaaaaooooooooochchch! Ucichła nieco, zrobiła się ostrożniejsza, bardziej przeciągała dźwięki, jakby nie chciała... *zbyttnio gnać do przodu.*

Co miał zrobić? Postukać w ścianę?

Podszedł do głównych drzwi i otworzył je. Z korytarza słyhać było niecierpliwy rytm uderzeń ramy łóżka – albo czegoś innego – o ścianę. Głos kobiety ustał, ale miarowe walenie stelażu o mur stało się jeszcze bardziej nieprzyjemne.

Paul zrobił krok na korytarz i popatrzył na drzwi sąsiedniego pokoju, zza którego dochodziły odgłosy. Ze zdumieniem stwierdził, że drzwi są uchylone. Głuchy łomot dobiegał właśnie stamtąd.

Przebiegł spojrzeniem korytarz wyłożony wiśniowym chodnikiem. Nikogo nie było widać. Najchętniej dyskretnie zamknąłby drzwi sąsiedniego pokoju, ale nagle przyszedł mu do głowy inny pomysł. Podszedł do drzwi po drugiej stronie. Za nimi znajdował się pokój sąsiadujący z jego własnym, w którym powinna zostać zakwaterowana Lizzie, o ile nie wycofała się z zamiany.

– Lizzie? – Zapukał z całej siły, po czym zawołał, głośno i wyraźnie: – Jest pani u siebie?

Bez odpowiedzi.

Łomot po drugiej stronie ustał. Usłyszeli. I dobrze.

– Lizzie. – Jeszcze raz, dobitniej.

Z pokoju, przed którym stał, nie dochodziła żadna reakcja. Dziennikarka prawdopodobnie zeszła już na dół.

Paul wrócił do swojego pokoju, zamknął za sobą drzwi i wszedł do łazienki. Chciał opłukać ręce i twarz, zanim zejdzie na poczęstunek. Ledwie odkręcił kran, usłyszał, jak po drugiej stronie, z pokoju, z którego dobiegały jęki i łomotanie, ktoś też wszedł do łazienki; musiała się znajdować dokładnie za ścianą. Usłyszał dźwięk spluczki, a potem przytłumiony męski głos o nieprzyjemnym tembrze. Nie mógł zrozumieć słów. W zamyśleniu wytarł ręce i odwrócił się do wyjścia. Na progu stanął jak wryty.

Co to?

Drzwi na korytarz stały otworem. A przecież był całkowicie pewny, że przed

chwilą zamknął je za sobą. Nie na klucz, ale na pewno je zatrzasnął. Teraz były otwarte. Widział czerwony chodnik na korytarzu.

Podszedł bliżej i wyjrzał na zewnątrz. Nikogo. Ostrożnie zerknął w stronę drzwi sąsiedniego pokoju, które przed chwilą były uchylone. Ktoś je zamknął.

Co to miało znaczyć? Kto się ośmielił po cichu, ukradkiem naruszyć jego prywatność? Lekko zaniepokojony, sprawdził plecak, oparty o stół. Niczego nie brakowało. Nasłuchiwał chwilę. Czy pozostali goście zaczęli już się gromadzić w holu na dole?

Pod wpływem impulsu sięgnął po marynarkę, wyszedł na korytarz, zamknął za sobą drzwi i wolnym krokiem ruszył do głównych schodów, które potężnym łukiem prowadziły trzy piętra w dół. Gdy pokonał kilka stopni, ciche kliknięcie sprawiło, że podniósł wzrok. Przez drążki barierki widział drzwi. Drzwi do swojego pokoju oraz dwoje sąsiednich. Ktoś otworzył drzwi pokoju, z którego przed chwilą dochodziły jednoznaczne odgłosy.

Paul zatrzymał się na schodku.

Miała na sobie tylko czarny stanik. Wyszła na korytarz, ale przystanęła w progu i powiedziała coś w stronę pokoju.

Paul przełknął ślinę. Jej skóra połyskiwała oleiście. Wszystko miała wygolone.

W tym momencie się odwróciła. Widział jej twarz.

To była Jay. Mokra od potu. Zaczerwieniona. Wycieńczona. Wyglądała, jakby właśnie wyszła z sauny.

Skulił się, żeby go nie dostrzegła. Usłyszał, jak boso biegnie korytarzem w drugą stronę.

– Kryminał, thriller i tajemnica są na topie. – Beth Hoffman stała na środku, zwrócona twarzą ku audytorium. – Są kryminalne rejsy statkiem i kryminalne kolacje, kryminalne planszówki i kryminalne odczyty, kryminały w ciemności i kryminały na zamku. Ale to, co chcemy zaoferować, wynosi dreszczyk, którego ludzie poszukują na tego typu imprezach, na zupełnie nowy poziom. – Urwała i powiodła natarczywym spojrzeniem po twarzach zebranych.

Paul sięgnął po kurze udko, które wziął ze szwedzkiego stołu, i zaczął ogryzać delikatne mięso.

No zdradź już, wyrzuć to z siebie. Co takiego macie do zaoferowania?

– A przy tym nasz zamysł jest całkiem prosty – podjęła Beth. – W Murder Park chodzi o najpiękniejszą rzecz pod słońcem. O to, by zbliżyć się do innego człowieka.

Ach tak? Paul przestał rzuć i ze zdumieniem nadstawił uszu.

– To, co planujemy, to nic innego, jak kulisy dla spotkań singli, w których będą mogli spędzić razem parę dni. A dlaczego Murder Park? Bo grasuje tu morderca! – Beth uśmiechnęła się, najwyraźniej całkowicie pewna swej racji. – Znacie historię Zodiac Island. Jeff Bohner zamordował tu trzy osoby. Bohner już dawno nie żyje, został schwytany i skazany. Ale dawny park rozrywki jeszcze jest. Cóż mogłoby połączyć ludzi bardziej niż uczucie, że jedno z nich jest mordercą? Komu mogę zaufać, kogo powinni unikać? Napięcie będzie wręcz namacalne. Napięcie i iskrzenie.

Paul, z pełnym talerzem, stał przy jednym z wysokich stolików, ustawionych obok szwedzkiego stołu. Większość gości, którzy zgromadzili się w sali jadalnej, znał już z promu. Byli tu Sheldon Lazarus, psychiatra, który przeprowadził z nim rozmowę cztery tygodnie temu, Rupert Levin, któremu Paul wciąż jeszcze nie został przedstawiony osobiście, Kate Myerson, Lizzie Hillstrom i jej zespół, Constance Parker, rzeczniczka prasowa... Obsługiwali ich rosła kobieta, zbliżająca się do czterdziestki, i postawny mężczyzna w podobnym wieku. Ich też widział już na promie.

– Naturalnie wszystko to tylko gra – ciągnęła Beth. – No dobrze, a jak to ma wyglądać? Kto jest – narysowała w powietrzu cudzysłów, tak jak Kate zrobiła na promie – ...mordercą? Tego nie wie żaden z gości. Wiedzą tylko jedno: ten, kto padnie ofiarą „mordercy”, musi wracać do domu. Dla „ofiary” pobyt dobiega końca – a tym samym przepada szansa na to, by kogoś poznać w ten weekend. Dla pozostałych, którym udało się ujść z życiem, gra toczy się dalej. I oczywiście każdy musi uważać, żeby nie separować się od innych. Bo ten, kto się separuje, jest dla „mordercy” łatwym łupem! A dlaczego? Ponieważ „mordercy” zależy na tym, żeby pozostać nierozpoznanym. A najłatwiej „zamordować” po cichu kogoś, kto jest sam. Zatem najlepiej uniknie „mordercy” ten, kto szuka bliskości innych gości. Osoba najbardziej towarzyska będzie żyła najdłużej. Cóż mogłoby być bardziej emocjonujące podczas wspólnego weekendu niż to, że wszyscy próbują się do siebie zbliżyć?

Paul wytarł usta serwetką. To dlatego już na promie mówili o singlach! Instynktownie powędrował spojrzeniem w bok, do stolika, przy którym stała Lizzie. Wsłuchana w słowa Beth, zdawała się go nie zauważać.

– Szczególnie dumni jesteśmy z autentycznego otoczenia, które stworzyliśmy na wyspie dla celów tego miejsca... spotkań – mówiła dalej Beth. – Biznes randkowy to zakres kompetencji Ruperta. – Posłała uśmiech Levinowi, który stał przy stoliku niedaleko. – Ja zaś zatroszczyłam się głównie o odpowiednie kulisy. – Jej oczy pały blaskiem. – Jak wiecie, cały park jest jednym wielkim miejscem zbrodni. Miejscem zbrodni Jeffa Bohnera. Autentykiem. Autentykiem, który uzupełniliśmy o jedyny w swoim rodzaju zbiór rzadkich eksponatów z historii przestępczości. – Prześliznęła się spojrzeniem po twarzach słuchaczy; jasne końcówki jej włosów zdawały się drżeć w powietrzu. – Murder Park jest nie tylko doskonale zakonserwowanym miejscem zbrodni, Murder Park jest największą na świecie kolekcją murderabiliaów.

Murderabilia...

– Znajdziecie tu oryginalne eksponaty, które są niczym posłańcy z ciemnej, obcej krainy, a jednocześnie w nieodparty sposób nas przyciągają. Dewocjonaalia, przedmioty kolekcjonerskie, memorabilia. Autentyczne świadectwa mrocznej strony ludzkiego istnienia. Ale myślę – ponownie rzuciła spojrzenie na Levina – że najlepiej będzie, jeśli pozwolimy przemówić samym przedmiotom, prawda, Rupercie?

Wątróbka z cebulą, dwa cheeseburgery, kilka rodzajów ciasta z wiśniami, lody waniliowe, cola i herbata z cukrem.

Lista była pedantycznie szczegółowa.

Paul wpatrywał się w dokument wiszący na ścianie za szkłem, upstrzony plamami pleśni i oprawiony w ramki. W górnym rogu kartki widniało logo więzienia. Był to spis dań, które Jeff Bohner zażyczył sobie na swój ostatni posiłek.

Tuż obok wisiało zdjęcie. Portret mężczyzny, który spoglądał prosto w obiektyw. Czarno-biała oficjalna fotografia z policyjnego rejestru. Głowa sprawiała wrażenie zbyt dużej, oczy były małe i wąsko rozstawione, za to cała reszta ogromna. Policzki, nos, uszy – twarz sprawiała wrażenie, jakby czyjeś niewprawne ręce uformowały ją z kawałka gliny. Pod spodem widniał napis: „Jeff Bohner”. Na twarzy mężczyzny nie było śladu uśmiechu.

Paul cofnął się o krok.

Beth Hoffman pokazywała gościom kolekcję pamiątek po mordercach. Po tym, jak wszyscy wrócili na chwilę do swoich pokoi po cieplejsze ubrania, managerka parku szeroką brukowaną alejką poprowadziła ich od głównego budynku do wąwozu, który wrzynał się w skałę niecałe kilkaset metrów od hotelu. Beth wprowadziła ich parę kroków w głąb wąwozu, gdzie ich oczom ukazał się szereg bungalów, zbudowanych w typowym stylu moteli z lat sześćdziesiątych. Były to proste budynki – cztery ściany, dwa okna, drzwi i płaski dach. Wydawały się przylegać plecami do kamiennych ścian jaru. W środku nie było turystów, tylko zbiory, które udało się zgromadzić Beth: kolekcja murderabiliów, a wśród nich zdjęcie Jeffa Bohnera z policyjnego rejestru.

Paul oderwał się od fotografii i dołączył do grupy, która wianuszkami otaczała Beth przy szklanej witrynie. Wystawiono w niej wyrwaną z gazety stronę, kolorową reklamę damskiej bielizny. Osadzony w celi śmierci – Beth wyjaśniła, kto nim był, gdy Paul studiował zdjęcie – ozdobił reklamę szeregiem satanistycznych motywów, które w obsceniczny sposób owijały się wokół ciała modelki. Tuż obok naszkicował kobietę, której brakowało głowy – toporny rysunek długopisem, będący wyraźną projekcją fantazji sprawcy na temat: co by zrobił, co go...

– ...Co go, trzeba to powiedzieć wyraźnie, kręciło – dokończyła Beth i obrzuciła spojrzeniem zebranych. – Tutaj – podeszła do kolejnej witryny, ustawionej po drugiej stronie niewielkiego pomieszczenia – mamy paznokcie z nóg tak zwanego kolejowego zabójcy, Ángela Maturino Reséndiza, a tuż obok jeden z głównych eksponatów naszej kolekcji.

Paul podążył za jej palcem; dopiero po chwili zorientował się, że patrzy na parę zabrudzonych kłapek. Pierwotnie musiały być biało-niebieskie, teraz jednak plastik miejscami był wypłowiały i pokryty nieprzyjemną warstwą brudu.

– Słyszeliście na pewno o Mansonie, Charlesie Mansonie – zwróciła się do słuchaczy Beth. – Niektóre strony oferują mnóstwo tak zwanej sztuki Mansona, ale my po dłuższym namyśle zdecydowaliśmy się na zakup oryginalnych kłapek.

Wzrok Paula zmącił się na widok japonek. Pozostałości po starym pocie

i brudzie... pewnie o to chodziło. Więc to brud Mansona był ogniwiem łączącym? Czy w innych witrynach wystawiali chusteczki, w które brandzlował się Manson lub paru jego kolegów?

– To jest obraz namalowany przez Donny’ego Johnsona – usłyszał głos przewodniczki. – Znacie prace Donny’ego? Odsiaduje karę za zabójstwo, ale nie chce rezygnować z malarstwa, więc rozpuszcza w wodzie słodką polewę z M&M’s-ów i używa jej jako farby! A pędzel? Korzysta w własnych włosów, z których wyplata przybory malarskie.

Co za brudy... Wystawili tu same brudy. Paul odniósł wrażenie, że w tych rzekomo cennych eksponatach widzi wyłącznie odpady i śmieci, które w dodatku zaczęły wibrować w dziwny, niemal obrzydliwy sposób.

Wyszedł z bungalowu i głęboko zaczerpnął tchu. Pozostali podążali za Beth, on jednak poczuł, że potrzebuje krótkiej przerwy. Powędrował wzrokiem wzdłuż wąwozu, w którym wśród nocy, mgły i wystających skał gubiły się latarnie oświetlające drogę. Najbliższy bungalow stał niecałe dwadzieścia metrów dalej. Po lewej stronie Paul słyszał szum płynącego głęboko w dole górskiego potoku, który przez tysiąclecia wyłobił sobie drogę w skale. Ostrożnie wymacał ręką barierkę umocowaną po prawej stronie drogi w kamiennym podłożu i pomaszerował w kierunku następnego domku. Drzwi bungalowu były ledwo przymknięte, okno rozświetlone, jednak biała, na wpół prześwitująca firanka zasłaniała to, co skrywało wewnątrz. Z zaciekawieniem dotknął cienkich drewnianych drzwi, a potem pchnął je lekko.

Był to całkiem normalny motelowy pokój, z brązowo-beżową tapetą, bezwartościową wykładziną dywanową i kanciastymi meblami, wyglądającymi tandetnie i niezbyt stabilnie. Przy wejściu stała wystawowa ścianka – na wysokości oczu przyczepiono do niej wycinek z gazety. Paul nachylił się, żeby przebiec artykuł wzrokiem. Ku swemu zdumieniu na zamieszczonej fotografii rozpoznał pokój, w którym się znajdował.

„Pierwsza ofiara na Zodiac Island... znaleziona kilka miesięcy temu w hotelu motelowym...”

Gdzie? Tutaj?

Meble, deseń tapety, firanki... nawet wiszącą na ścianie tanią reprodukcję można było wyraźnie rozpoznać na zdjęciu. Beth, zdaje się, dopilnowała, aby miejsce znalezienia ciała zachowano w stanie oryginalnym.

Miejsce znalezienia pierwszej ofiary Bohnera.

Paul powoli minął ściankę i wszedł głębiej. Telewizor – nie żadna elegancka plazma, tylko ogromne czarne pudło z minionej epoki, przymocowane bezpośrednio do ściany – był włączony. Na ekranie widać było mężczyzn z napuszonymi fryzurami z lat dziewięćdziesiątych, kobiety z warkoczykami à la Britney Spears; to musiał być program rozrywkowy sprzed co najmniej dwudziestu lat.

W niszy kuchennej obok telewizora stała lodówka z uchylonymi drzwiczkami; dochodzące z jej wnętrza błękitne, chłodne światło wzmagało dziwny nastrój.

Na łóżku stojącym za przepierzeniem leżała zapadnięta głęboko na zbyt miękkim materacu...

Paul odruchowo się zatrzymał i zasłonił dłonią usta. Owiął go ostry, metaliczny zapach, zapach, który pasował do plam na wykładzinie, do elektrycznego brzęczenia lodówki i do istoty... kształtu, woskowego kształtu na łóżku.

Młoda kobieta z fryzurą stylizowaną na Aniołka Charliego. Kobieta z wosku. Z połyskującą skórą i rozplatanym brzuchem. Jej głowa była głęboko wtulona w poduszkę, oczy wbite w sufit. Szklany wzrok o zatrwajającej żywotności. Płaty skórne jamy brzusznej rozchyłały się na boki.

Obok woskowego trupa na łóżku znajdowała się tabliczka z informacją, że do wycięcia żołądka Bohner użył tępego noża. Organ leżał na kołdrze obok; był z wosku, albo z gumy, błyszczący ciemną, niemal brązową czerwieńią, lepki. Tak, Paul nie wątpił ani przez sekundę, że woskowy żołądek jest lepki w dotyku.

Ostrożnie obszedł łóżko i odkrył, że figura kobiety jest przecięta wzdłuż i przedzielona szybą, tak by można było oglądać przekrój jej ciała. Pojedyncze warstwy jamy brzusznej, otwór w podbrzuszu, który zostawił po operacji Bohner, macica, a w niej – Paul nachylił się nieco, by lepiej widzieć – zabawkowy samochodzik, niewiele większy od kciuka, tak zwany muscle car, włożony w tkankę, we wnętrzości, w wosk kukły.

Sssss...

Cichy bzyjący dźwięk sprawił, że Paul drgnął i odruchowo wpił palce w uda. Miał wrażenie, jakby ktoś wycisnął mu na kark gąbkę nasiąkniętą lodowatą wodą. Ręka woskowej figury zaczęła się unosić, pewnie napędzana jakimś miniaturowym silniczkiem elektrycznym, który wydawał ten charakterystyczny odgłos. Niezdarnie, nierówno sztuczna kończyna przesunęła się nad twarzą kukły i dłonią do zewnątrz spoczęła na poduszce nad jej głową.

– Zaledwie siedemnastoletnia Nancy Cass – odezwał się głos z telewizora – chciała tylko spędzić weekend na Zodiac Island ze swą córeczką. Jej marzenie okazało się zgubne.

Paul przeniósł wzrok z kukły na ekran telewizora. Pojawiła się na nim fotografia dziewczyny, która rozciągała usta w uśmiechu odsłaniającym aparat na zęby.

– Młoda mama nie przeżyła tego weekendu.

To była ta sama dziewczyna, której woskowa podobizna leżała na łóżku.

Na ekran powrócił dziennikarz, ale dźwięk już zgasł, i choć spiker nadał poruszał ustami, nie było wiadomo, co mówi.

Paul wrócił spojrzeniem do materaca, do twarzy woskowej dziewczyny, której ręka leżała na poduszce. Zauważył, że wraz z ruchem ręki na ciało kobiety został naciągnięty cienki koc. Koc, który skrywał jej kształty i przerażającą ranę w brzuchu. Przez mgnienie oka wydawało mu się, że ma przed sobą nie woskową lalkę, a dziewczynę, która ciepła, naga i oddychająca...

...czeka na mnie.

NIE!

Wiedział przecież, co się kryje pod kocem!

W tym samym momencie za drzwiami łazienki, która znajdowała się obok kuchennej niszy, zaszumiała woda.

Paul poczuł ukłucie w piersi.

Ktoś uruchomił splotkę!

– Hej, mała! – Z łazienki dobiegł głos, męski głos z taśmy. Paul słyszał to wyraźnie, wydawało mu się nawet, że słyszy cięcia w miejscach, gdzie zmontowano nagranie. – Czekać na mnie, zaraz do ciebie przyjdę.

Czy głowa kukły na łóżku lekko się obróciła? Jej szklane oczy, przedtem skierowane na sufit, teraz spoglądały w stronę łazienki. Paul usłyszał, jak szum wody ustaje, drzwi otworzyły się ze zgrzytem i w progu pojawił się rosły cień.

Nie, nie cień...

...druga lalka z wosku, przerastająca Paula o głowę. Zimne światło lodówki padało na twarz figury – rozjaśniało nalaną, niesamowitą, PUSTĄ twarz Jeffa Bohnera, który zamarł na progu. Nagi. Z rękami wyciągniętymi do przodu, zastygłymi w ruchu, który doprowadził go do drzwi, w dogorywającym drzeniu.

– Chodź do mnie, chodź do mamy, no chodź. – Tym razem był to wysoki dziewczęcy głos, głos Nancy, dobiegający z poduszki, w której musiał się znajdować kolejny głośnik.

Ale... co ona robi?

Szklane oczy kukły nie były już skierowane na łazienkę; teraz patrzyły na NIEGO, tak, na NIEGO, widział to doskonale. To o NIEGO jej chodziło, do niego mówiła...

– Chodź, kochanie, pośpiesz się. Chodź do mamusi, do łóżka!

Poczuł się, jakby ktoś nagle odciął mu dopływ powietrza. Cofnął się gwałtownie, uderzył plecami o cienkie drzwi motelowego pokoju – obrócił się i wypadł na zewnątrz.

Zimno. Klarownie. Noc.

Paul łączywie chwycił powietrze. Z wnętrza domku nie dochodził już żaden dźwięk. Kukły pewnie tkwiły nieruchome, tak jak je zostawił. A może powróciły do pozycji wyjściowych?

Ruszył z powrotem w dół tą samą drogą, którą przyszedł. Budynek, w którym zostawił pozostałych, był pusty. Znalazł ich parę kroków dalej, w następnym bungalowie.

– Musimy oczywiście zdać się na zapewnienia handlarzy – objaśniała Beth, kiedy Paul do nich dobił. – Ale to mały świątek, wszyscy się znają. Nikt nie może sobie pozwolić na handlowanie falsyfikatami. A to tutaj – ściągnęła tkaninę okrywającą drucianą klatkę – ma naprawdę bardzo dobre certyfikaty. – Goście stłoczyli się ciasniej wokół stelaża, żeby lepiej widzieć. – To koszula, którą miał na sobie Bohner podczas swojego ostatniego morderstwa. – Beth przybliżyła twarz do klatki. – Skoncentrujcie się, a być może uda się wam pochwycić ślad zapachu, który powstaje, kiedy człowiek, taki jak Jeff Bohner, poluje na swą ofiarę. – Wyprostowała się, omiatając wzrokiem obecnych. – Paul! Wrócił pan.

Drgnął lekko.

– Tak... Byłem w bungalowie położonym parę kroków wyżej, rozejrzałem się tam trochę...

– Hmm. – Beth namyslała się chwilę. – Dobrze, skoro znów jesteśmy w pełnym składzie... chociaż, momencik. – Widać było, że liczy zwrócone ku niej twarze. – Nie. Wciąż brakuje jednej osoby. – Rysy jej twarzy wyostrzyły się nagle, nadając jej ptasi wygląd. – Ale kogo? – Rozłożyła ręce i popatrzyła dokoła.

– Brakuje Constance – odpowiedziała Lizzie.

Paul obejrzał się na pozostałych. Byli tu wszyscy: Sheldon, Rupert, Tony i Michael, Mary i Glenn – wspomniana przez Jay para gospodarzy, którzy obsługiwali gości podczas kolacji – Jay, Beth, Kate, która opowiadała na promie o Bohnerze, Lizzie i on sam. Jedenaście osób – wszystkie były na promie. Brakowało tylko jednej. Rzeczniczki prasowej. Constance.

– Constance jest brakującą osobą, ma pani całkowitą rację, Lizzie. – Beth rzuciła Rupertowi krótkie spojrzenie. – Rupercie, czy dał jej pan jakieś zadanie? Miała coś do załatwienia?

Levin z uśmiechem pokręcił głową.

– Dziwne, prawda? – Beth znów popatrzyła na pozostałych. – Mieliśmy przecież przyjść tu razem. Dlaczego nie ma z nami Constance?

A więc tak to ma się odbywać?

Paul oparł się ramieniem o ścianę. Dobrze. Tylko że on był tu po to, by zebrać materiały do reportażu, a nie, by się bawić w jakieś gierki. Niech inni się wygłupiają.

– Czy wszyscy, którzy w tej chwili znajdują się na wyspie, są teraz tutaj? – zapytała Lizzie. – Jest nas jedenaścioro. Plus Constance. Czyli dwunastka. Czy na wyspie jest jeszcze ktoś?

– Zaczęło się już, tak? – Paul jednak postanowił się wtrącić. – Gra, w którą tu

gracie. Czy mam rację?

– Chcemy w ten weekend zaprezentować nasz park, tak jak mówiliśmy – przytaknęła Beth. – Na co mamy czekać? Oczywiście, że się zaczęło. – Kąciki jej ust powędrowały do góry, ale uśmiech był sztuczny, jakby musiała się zmusić do okazywania dobrego humoru.

– Ach tak? I co to znaczy? Czy Constance padła ofiarą „mordercy”? A może po prostu nie miała ochoty tu przyjść i jest w hotelu?

– Może spróbuje pan się tego dowiedzieć, Paul? – odparła zaczepnie Beth.

Zauważył, że wszyscy wlepili w niego spojrzenie. Również Lizzie.

– A czego dokładnie mam się dowiedzieć?

– No, co się z nią stało, oczywiście.

– Nic! Co niby miało się stać?

– Co miało się stać? Chyba na wstępie daliśmy to wyraźnie do zrozumienia, prawda? Chodzi o weekend pełen rozrywki. Nic, co tu się dzieje, nie jest przypadkowe. Chcemy zaoferować naszym gościom coś wyjątkowego. Przygodę, dreszczyk, może odrobinę strachu. Proponuję więc, żebyście wszyscy – Beth posłała uśmiech dokoła – spróbowali ustalić, dlaczego nie ma tu z nami Constance.

Przez głowę Paula przemknęła pewna myśl.

– Gra kryminalna. To właśnie planujecie zorganizować w parku. Pewnie ma być tak: brakuje Constance, bo dorwał ją – zakrzywił palce w powietrzu – „morderca”, my zaś mamy się dowiedzieć, kto z nas nim jest.

Beth wzruszyła ramionami, ale się nie odezwała.

– Tylko jak „morderca” – Paul znów posłużył się palcami – mógł dorwać Constance, skoro wszyscy teraz są tutaj? Przed chwilą przecież właśnie to pani powiedziała. Wszyscy, którzy teraz znajdują się na wyspie, są w tym bungalowie. Czyli? Jak ktoś z nas mógł „zamordować” Constance, skoro jesteśmy tu razem i poza „ofiarą” nikogo nie brakuje? – Był odrobinę zły na siebie za to, co mówił. Dlaczego w ogóle dał się wciągnąć w tę nonsensowną sytuację? Ale to było silniejsze od niego – impuls, by przyczynić się do rozwiązania zagadki nieobecności Constance.

– PANA z nami nie było, Paul. – Słowa Beth trafiły go jak obuchem w głowę.

– Co?

– Pan, Paul. – Popatrzyła mu prosto w oczy. – Wszyscy byliśmy tu razem, to prawda. Brakowało tylko Constance. Constance i pana.

– Ja... Przecież to śmieszne. Tak jak mówiłem, byłem obok, w bungalowie z figurą Nancy Cass. – Poczul na sobie wzrok pozostałych i machnął ręką. – To jakiś absurd!

Tym razem uśmiech Beth wyglądał autentycznie.

– Okay, Paul, niezależnie od tego, gdzie pan był, proszę się zastanowić. Czy Constance była z nami, kiedy szliśmy do bungalowów? A może brakowało jej już podczas kolacji?

– Podczas kolacji jeszcze ją widziałem – odezwał się Michael. – Po drodze tutaj już nie.

Beth uniosła brwi.

– Może więc Constance już wcześniej padła ofiarą „sprawcy”. Wtedy, gdy wszyscy

rozeszli się do pokoi po ciepłe rzeczy. Czyli to mógł być każdy z nas, prawda?

Świetnie! Naprawdę znakomicie to sobie wykoncypowali.

Beth zrobiła pauzę, jakby chciała odczekać, aż uzmysłowią sobie, co to oznacza.

– „Sprawca” – podjęła wreszcie, tym razem rezygnując z zaznaczania w powietrzu cudzysłowu – albo „sprawczyni”! On lub ona dybie więc w hotelu na Constance, a potem miesza się między nas. Tak mogło być, czyż nie?

To gra – to tylko zabawa... Paul poczuł, jak jego wzrok prześlizguje się po twarzach innych. *Więc naprawdę jedno z nas. Ale kto? Ten dźwiękowiec, Michael? Czyżby to on był „sprawcą”? Glenn, który podczas kolacji wnosił półmiski na stół? Sama Beth – czemu nie? To mógł być każdy z nich. Kim była osoba, o której Beth powiedziała „sprawca” albo „sprawczyni”?*

– Może się rozdzielimy? – ciągnęła managerka. – I sprawdzimy, gdzie jest Constance? W ten sposób najprędzej ustalimy, co się stało. Paul, niech pan pójdzie z Mary, Tonym i Michaelem tam, gdzie już pan się rozejrzył. A reszta, czyli my, też się rozdzielimy i...

– Ale jak to będzie? – Paul nieco opryskliwie wszedł jej w słowo. – Znaczą, później, kiedy park będzie działał w sposób komercyjny? Kiedy ten „morderca” będzie szukał ofiary? Skąd będę wiedzieć, że... że co? Że mam udawać trupa? Ktoś do mnie przyjdzie i co? „Bu, jesteś martwy”?

– Może ją związał, znaczą Constance... Pomyślał pan o tym, Paul?

– Związał? Jak... Naprawdę związał, bez jej woli?

Beth ściągnęła usta.

– Tak, naprawdę związał. Czemu nie? Czy bez jej woli? Cóż, Constance jest pracownikiem, należy do załogi Murder Park, prawda? Nie musi pan się o nią martwić. Jest jedną z nas, zgodziła się na to.

– A co z klientami? Czy oni też pozwolą się związać?

– Drogi panie, dla koncepcji naszej gry ważne jest przede wszystkim to, żeby od początku żaden z gości nie wiedział, kto jest „mordercą”, zgodzi się pan ze mną? W tym tkwi haczyk. To musi być jeden z gości. A pozostali nie wiedzą, kto nim jest. Dlatego najprędzej trafi na tego, kto się oddali od reszty. Wtedy może się wydarzyć „morderstwo”, tak, by inni nie dowiedzieli się, kim jest „morderca”. Ludzie powinni więc się trzymać razem, nie mówiłam tego? Im mniej ktoś będzie się odłączał od reszty, tym mniej będzie zagrożony. A to z kolei będzie sprzyjać iskrzeniu między uczestnikami gry. Oczywiście jest wiele różnych wariantów; związanie jest tylko jednym z nich. A jeśli „ofiara” zostanie w porę uwolniona, to nie musi od razu wypadać z gry, nieprawdaż?

Nie zamierzam dać się wam związać tak po prostu!

– Niech pan pozwoli nam to odegrać i doświadczy wszystkiego po kolei, Paul. A teraz zajmijmy się Constance! – Beth ponownie zwróciła się do wszystkich. – Jeśli dalej chcecie mieć w swoim gronie naszą jasnowłosą rzeczniczkę, powinniście się pośpieszyć! Tak długo, jak Constance pozostaje „żywa” – znów cudzysłów w powietrzu – możecie ją „uratować”. A wtedy nadal będzie mogła uczestniczyć w grze.

Nadal uczestniczyć w grze... To miało chyba oznaczać, że dalej będzie do dyspozycji jako potencjalna singielka do pary – przemknęło Paulowi przez myśl.

I rzeczywiście, Beth puściła do niego oko. A może tylko mu się wydawało?
Przetarł dłonią oczy, a kiedy spojrzął na nią ponownie, już się odwróciła.
Wywiad filmowy 1: Paul Greenblatt

ciąg dalszy

Sheldon: Więc mówi pan, że miał pan trzynaście, czternaście lat, kiedy zaczął kolekcjonować artykuły z gazet i książki o seryjnych mordercach?

Paul: Tak, zgadza się. To musiało być jakieś dziesięć lat temu.

Sheldon: Proszę mi o tym opowiedzieć.

Paul: Wie pan, po części sam już się martwiłem, że to idzie za daleko, ale... miałem naście lat i wtedy byłem tym pochłonięty bez reszty. Z czasem poznałem innych chłopaków w swoim wieku; myślę, że młodzi ludzie, dorastając, często szukają czegoś, co chcą zgłębić tak naprawdę. Niektórzy rzucają się na Lego albo Gwiezdne Wojny albo... bo ja wiem... piłkę nożną? A u mnie... no tak, seryjni mordercy. Znałem każdego z nich. Liczbę ich ofiar, ich modus operandi, preferencje. Jak polowali i jak wpadli. Kogo nigdy nie ujęto. Znałem zabójców w Stanach i zabójców w Meksyku czy Rosji. Morderców z Niemiec z lat dwudziestych, zbrodniarzy z Japonii. Wysyłałem dziesiątki listów do sądów i więzień, bo chciałem, żeby pozwolono mi na widzenie z którymś z osadzonych, ale... Moi przybrani rodzice oczywiście o niczym nie wiedzieli. Pisałem te listy, wysyłałem je i jako adres zwrotny podawałem adres kolegi. Ale nigdy się nie udało. Nigdy nie dali mi zgody na widzenie. Dzisiaj mówię: całe szczęście.

Sheldon: Szczęście? Więc w końcu nastąpił taki moment, że nie chciał pan już się spotkać ze sprawcami?

Paul: Kiedy miałem szesnaście, siedemnaście lat, to zaczęło ustępować. No bo koniec końców... nie ma ich zbyt wielu. I nie wszyscy są jednakowo fascynujący. Powiedziałbym, że tak naprawdę... dobrze poznałem może dwudziestu, trzydziestu najbardziej znanych morderców. Zamówiłem sobie podręczniki FBI, w których wyjaśnione są techniki profilowania. Jest tam dokładnie wyłożone, jak wejść w skórę, w stan ducha zabójcy. Ale oni tego nie wiedzą, rozumie pan? Policja, kryminolodzy, psychologowie piszą, że próbują się postawić w sytuacji mordercy, ale... To tak, jakby ktoś próbował postawić się w sytuacji prezydenta. Jasne, można próbować, ale prawdę zna tylko ten, kto to zrobił naprawdę. Kto namierzył ofiarę, upolował, ukatrupił. Pozbył się ciała. Kto opuścił miejsce zbrodni, po wszystkim – tylko ten wie, o czym mówi. Dlatego bardziej niż do tego, co napisali śledczy, próbowałem uzyskać dostęp do wszystkiego, co napisali sami sprawcy. Ale i to, co napisali sprawcy, niestety, nie jest zbyt zadowalające. Bo... Miałem wrażenie, że na każdej stronie, w każdym wersie... że to szczególnie ludzie... faceci, którzy myślą na ośmiu lub dziesięciu poziomach jednocześnie. I którzy próbują tobą manipulować. Opowiadają o swoich doświadczeniach, ale myślą cholera wie o czym, mają w głowie jakieś cele i to te cele nimi kierują, kierują tym, co piszą. Nie chodzi im o to – przynajmniej ja odnosiłem takie wrażenie – obiektywnie rzecz biorąc,

nie chodzi im o nieprzefiltrowaną relację z tego, jak było naprawdę, nie, im chodzi o to, żeby na ciebie wpłynąć. A ja nie chciałem dać się manipulować, nie chciałem, żeby udało im się sprawić, bym uwierzył, że tak naprawdę wcale nie ponoszą winy za to, co zrobili. Chciałem wiedzieć, jak to jest. Chciałem wiedzieć, jak to jest zabijać, jakie to uczucie, co się wtedy myśli, co się czuje...

Sheldon: Te teksty, raporty, książki... pozostawiły w panu uczucie niezaspokojenia?

Paul: Tak, ale może po prostu miałem już dosyć. Czy to możliwe? Miałem szesnaście, siedemnaście lat i to po prostu ustało. Znałem ich przecież. W zasadzie przeczytałem i obejrzałem wszystko, co było dostępne na temat najbardziej znanych sprawców. Ja... pamiętam, jak zacząłem zdejmować ze ścian w swoim pokoju zdjęcia i artykuły. To było tak, jakby w pokoju znowu zaświeciło słońce.

Sheldon: Ale co dokładnie pana do tego skłoniło, Paul? Kiedy nastąpił moment, w którym postanowił pan, że chce się uwolnić od tego świata?

Paul: No cóż, miałem tego dosyć, ale też poznałem kogoś – może to była przyczyna? Znaczący, poznałem to może zbyt wiele powiedziane, ale zacząłem kogoś... adorować. Tak to się mówi? Nie postać z książki czy coś w tym rodzaju, tylko kogoś ze szkoły.

Sheldon: ...

Paul: To mogło być przyczyną. A może po prostu poczułem, że nie mogę pokazać tej dziewczynie pokoju wytapetowanego takimi zdjęciami. Więc sprzątnąłem i wpuściłem do środka słońce. A kiedy te rzeczy zniknęły ze ścian, już nic mnie do nich nie ciągnęło. Raporty policyjne? Dochodzenia z lat pięćdziesiątych? Hełoł?

Sheldon: Co to była za dziewczyna, Paul?

Paul: Tak jak mówiłem, z mojej szkoły. Była rok, dwa lata starsza ode mnie. Rozmawiałem z nią parę razy. Być może usłyszała gdzieś, kim jestem, znaczący co przeżyłem, być może to właśnie skłoniło ją do tego, żeby w ogóle do mnie zagadać. A dzisiaj? Nie wiem, gdzie mieszka, prawdopodobnie ma męża, może dzieci.

Sheldon: Ta dziewczyna do pana zagadała? Chociaż była starsza od pana?

Paul: Każdy ją znał, ona... rzucała się w oczy. Była naprawdę atrakcyjna. Czy to nie typowe? Dziewczyna, którą wszyscy zauważają? Mieszkała parę ulic dalej, a ja oczywiście wiedziałem, kim jest. Zacząłem ją podziwiać z dystansu. Może nawet w jakiś zwariowany sposób czuła, że ja...

Sheldon: Że pan co?

Paul: Że raz byłem bardzo blisko niej? Nie miałem jeszcze szesnastu lat, ale już wiedziałem, kim jest, więc... Znałem ją z widzenia ze szkoły. Ale w głowie miałem... przynajmniej wówczas odnosiłem takie wrażenie... w głowie miałem wtedy przede wszystkim akta FBI, raporty o zabójstwach, zdjęcia, wywiady z ofiarami, którym udało się wymknąć sprawcy. Był to czas, w którym czułem w sobie niedającą się ugasić wściekłość. Już wtedy byłem sporego wzrostu, rosły chłopak, może nie barczysty, ale wysoki. I włóczyłem się po okolicy. Godzinami przemierzałem ulice. Szwendąłem się.

Sheldon: I pana przybrani rodzice tego nie ukrócili?

Paul: Cóż, to byli tylko rodzice zastępczy, rozumie pan? Byli wyrozumiali, ale...

czuli, że tak naprawdę nie mają prawa mi mówić, co mam robić. Jakby jechali na zaciągniętym ręcznym hamulcu. Byli powściągliwi, ostrożni, mój przybrany ojciec na przykład nigdy nie podniósł na mnie głosu. Miałem cztery lata, kiedy do nich trafiłem, oprócz mnie nie mieli dzieci. Wiedzieli, co przeżyłem, a mimo to postanowili mnie przyjąć. Nie widziałem ich już od paru lat, ale to są – chciałoby się rzec – ludzie o dobrych sercach. Zawsze byli wobec mnie... pobłażliwi. Za bardzo? Nie wiem, ale coś takiego się czuje. To się wyczuwa, kiedy rodzice, albo ci, którzy przejęli ich rolę, mają poczucie, że tak naprawdę nie mają prawa ściągać ci cugli. To nie jest brak miłości. To raczej coś takiego jak... brak uprawnień. Po prostu są tylko przybranymi rodzicami i czegoś im brakuje. Mam rację? W każdym razie tak to widzę dzisiaj. Kochali mnie, respektowali, ale tak naprawdę nie należałem do nich – nie do końca, rozumie pan? I musiałem to jakoś czuć. Nie dawało mi to spokoju – choć wtedy nie miałem pojęcia, czego mi brakuje. Wiedziałem tylko, co czuję. Byłem niespokojny, rozedrgany, dziki. Tak, dziki. Więc włóczyłem się po okolicy – ale dom, do którego wszedłem, znajdował się niedaleko naszego.

Sheldon: Wszedł pan?

Paul: Tak, raz.

Sheldon: Ale co to znaczy, że pan „wszedł”?

Paul: To wcale nie było trudne. O wiele łatwiejsze, niż myślałem. To był dom tamtej dziewczyny, która zwróciła moją uwagę, dom jej rodziców. Wiedziałem, że tego dnia nikogo w nim nie będzie, były wakacje, prawie wszyscy z mojej szkoły wyjechali z miasta. Przez kilka dni filowałem po ulicy i wiedziałem, że ich nie ma. Tamtego wieczoru, ledwie zapadł zmierzch, wykradłem się ze swojego pokoju i poszedłem tam. Serce podchodziło mi do gardła. Ale w uliczce panował całkowity spokój. Byłem tylko wąskim cieniem w świetle księżyca; przeszedłem przez furtkę w ogrodzeniu i obszedłem budynek, zmierzając do tylnego wejścia. Jak w prawie każdym okolicznym domu w tylnych drzwiach była klapka dla kota, a oni jej nie zabezpieczyli. Nie zabrali zwierząt ze sobą, ktoś przychodził się nimi zajmować. I ten... opiekun kotów oczywiście nie zamknął ich w domu. Wsunąłem do środka rękę, przekręciłem się na plecy i od dołu dosięgnąłem do klamki. Chwila i drzwi były otwarte, a ja w środku.

Sheldon: Włamał się pan do czyjegoś domu.

Paul: Zgłosi pan to, Sheldon? To było dziesięć lat temu...

Sheldon: Powiedziałem panu, że nasza rozmowa jest poufna, Paul.

Paul: [wpatruje się w podłogę]

Sheldon: Co pan robił w tym domu?

Paul: A jak pan myśli, co robiłem?

Sheldon: Poszedł pan do pokoju dziewczyny. Jak miała na imię?

Paul: Nie zdradziłem panu jej imienia i nie chciałbym tego robić.

Sheldon: Więc poszedł pan do jej pokoju.

Paul: Poszedłem do jej pokoju.

Sheldon: I?

Paul: Położyłem się na jej łóżku. Włamałem się i byłem taki napalony... myślałem, że eksploduję. To było jak... jak rausz. Poduszka nią pachniała, cały pokój zdawał się nią

oddychać. Zupełnie, jakby ona sama tam była. Miałem szeroko otwarte oczy, bo nie zapaliłem światła, widziałem jej rzeczy na nocnej szafce, na regale, na ścianach – czułem się, jakby mnie otaczała ze wszystkich stron. Leżałem na jej łóżku i ją kochałem, okay? Nie robiłem nic brudnego, niczego nie zabrałem, po prostu leżałem tam i chłonałem jej bliskość.

Sheldon: Opowiedział jej pan o tym później, kiedy pan z nią rozmawiał?

Paul: Nie, nie opowiedziałem. Oczywiście, że nie. Ale po tym wieczorze, kiedy leżałem w jej łóżku, zdjąłem zdjęcia i wycinki ze ścian w swoim pokoju.

Sheldon: Czy kiedykolwiek opowiedział pan o tym komuś? O włamaniu?

Paul: Nikomu. Tylko panu.

Sheldon: A dlaczego? Dlaczego właśnie teraz?

Paul: Bo pyta mnie pan o Bohnera, dziwi to pana? To chyba normalne, że wychodzą przy tym takie rzeczy. To wszystko, o czym myślałem, że już dawno mam za sobą!

Sheldon: Proszę się uspokoić, Paul, to dobrze, że o tym rozmawiamy.

Paul: Tak? Jest pan pewien? A skąd pan może to wiedzieć? Bo jest pan psychiatrą? Bo wy cholerni świrolodzy znacie się na tym? Nie wiem. Wcale nie jestem tego pewien! Nie wiem, czy w ogóle chcę tam pojechać, do tego parku, do tego pierdolonego Murder Parku, w którym wszystko się kręci wokół Jeffa Bohnera!

– Jeśli dobrze widzę – Paul wszedł na niewielkie wzniesienie tuż obok bungalowu, z którego właśnie wyszli, i popatrzył w szumiącą mroczną skalną rozpadlinę – możemy albo wejść głębiej w wąwóz, albo pójść w drugą stronę. – Wskazał ręką kierunek odwrotny, ku budynkowi hotelu. Betonowy szkielet majaczył przez noc, rozjaśniony tylko paroma lampami na zewnątrz i latarniami oświetlającymi drogę, które blado migotały we mgle.

Rozdzielili się, dokładnie tak, jak zaproponowała Beth. Mary, Tony i Michael wyszli z Paulem na zewnątrz, podczas gdy Beth dalej instruowała grupę.

– Nie ma sensu wchodzić dalej w wąwóz teraz, kiedy jest tak ciemno. – Tony stanął obok Paula na wzniesieniu. – Tam... czy to jakaś ścieżka? Powinna prowadzić prosto do hotelu. Prawdopodobnie i tak mamy znaleźć Constance w głównym budynku, co nie? – Potężny kamerzysta przejechał dłonią po krótkiej szczecinie na podbródku; do uszu Paula doszedł odgłos cichego drapania. – Chyba nie chcą, żebyśmy powpadali do potoku i połamali karki.

– Też tak myślę. – Michael, w płóciennych tenisówkach, zsuwał się z wzniesienia do ścieżki, która zaczynała się zaraz za bungalowem. – Wróćmy do hotelu i skończmy tę żalosalną farsę.

Paul wymienił z Tonym spojrzenia, a potem pomaszerował stromą ścieżką w dół. Usłyszał, że Mary i Tony ruszyli za nimi. Przez jakiś czas szli gęsiego w milczeniu.

– Może być wszędzie, prawda? – usłyszał z przodu głos Michaela. – Mamy jej szukać całą noc? Przecież nie pozwolą jej zamarznąć.

– Nie chciałbyś być tym, który ją znajdzie, Michael? – odezwał się Tony za plecami Paula. – Wtedy na pewno mógłbyś zdjąć jej więzy.

Paul przystanął i obejrzał się. Tuż za nim szła Mary, pochód zamykał kamerzysta.

– Radzi sobie pani? – Paul podał kobiecie rękę. – Może się pani przytrzyma?

Solidne półbuty Mary miały wprawdzie niewysoki obcas, ale raczej nie ułatwiały marszu po kamienistym podłożu.

– Wszystko w porządku, panie Greenblatt, dziękuję. – Mary miała na sobie płaszcz, który całkowicie zakrywał jej obfite ciało, tylko ponad kołnierzem wystawała jej niezwykajnie długa szyja. Rozpuszczone włosy miała ułożone na pazia. – Proszę się mną nie przejmować.

– Naprawdę robicie to we trójkę, Mary? – Paul przepuścił Mary i Tony'ego, szedł teraz za nimi. – To znaczy troszczyć się o cały hotel i wszystkich gości? Pani, Glenn i Jay.

– Każdy pomaga, jak może – usłyszał w odpowiedzi. – Constance, Beth, nawet Kate. Poza tym posiłki są już przygotowane, a ja i mąż tylko podajemy do stołu.

– Pani mąż? Glenn?

– Tak, Glenn, naturalnie. – Mary rzuciła mu przez ramię spojrzenie, które pomimo ciemności wydało mu się przepełnione podejrliwością.

Czy nie mówili, że przyjechali tu sami single? Ale może to nie dotyczyło personelu, który miał się zajmować hotelem i gośćmi...

– Jeszcze na promie Constance i Rupert wspomnieli, że wszyscy jesteśmy... no, wie pani... singlami.

– Ale przecież nie ja i Glenn, panie Greenblatt – odparła Mary. – My jesteśmy odpowiedzialni za hotel i posiłki. Pan Levin specjalnie chciał zatrudnić małżeństwo i dlatego nas przyjął.

I Jay jako pokojówkę. Jay zdaje się dość poważnie potraktowała słowa o randkowym zlocie.

Paul dostrzegł, że Michael i Tony nagle przystanęli. Kamerzystą przytrzymał Michaela za ramię, wyglądał na wzburzonego. *Kim jesteś?* Czy on właśnie zawołał: „Kim jesteś”?

– Widziałem cię zaledwie jeden raz! Podczas zdjęć w zeszłym roku – teraz już wyraźnie dało się zrozumieć słowa Tony’ego. – Większość ekip, kamerzyści, dźwiękowcy to zawsze ci sami ludzie. Wszyscy się znają. A ty? Ciebie spotkałem tylko jeden raz i potem nigdy więcej!

Paul i Mary dotarli do mężczyzn.

– Ludzie widzą się to na jednym planie, to na innym. – Tony kipiał ze złości. – Lizzie powiedziała, że będzie tu jakiś Michael. „Okay”, mówię, nic sobie z tego nie robiąc. Ale teraz? Tutaj? Kim jesteś? Czy w ogóle pracujesz jako dźwiękowiec, czy można cię spotkać tylko na tej wyspie?

Mary minęła ich bez słowa i poszła dalej, w stronę hotelu.

– Tego, co robi „patyczak” – Tony rzucił okiem na Paula – mogę cię nauczyć w jedno popołudnie! – Przeniósł wzrok na Michaela. – To jak? Dlaczego po tamtym razie nigdy cię nie spotkałem?

– Ach, pierdol się! – Z ust Michaela wyrwały się niewybredne słowa. Minął kamerzystę, prawie go potrącając. Najwyraźniej nie zamierzał dać się przesłuchiwać w ten sposób.

– Kiedy to wszystko prawda! – Tony zwrócił się do Paula. – Czy ja wymagam za wiele? Bo chcę wiedzieć, z kim pracuję?

– Żałuję, że w ogóle przyjąłem tę zasną robotę! – Michael odwrócił się z furją.

– Ach tak? A to dlaczego? – Tony popatrzył na niego z lekką drwiną. – Tak źle ci płacą?

– Naprawdę uważasz, że mówią nam, o co tu chodzi?

– Weź nie panikuj! – Tony dał znak Paulowi. – Chodźmy, Paul. Mamy parę kroków do hotelu. Pozostali pewnie są już w łózkach. Znajdźmy Constance. Zarobimy parę punktów u kierownictwa parku!

Paul popatrzył na Michaela.

– O co tu właściwie chodzi?

Dźwiękowiec tylko wzruszył ramionami i podreptał za Tonym w stronę mającego w ciemności budynku.

Ścieżka wychodziła na tyły budynku, tam, gdzie znajdował się wjazd do piwnic. W białym świetle latarni stał wózek widłowy, w rzędach ustawiono palety z owiniętymi w folię zapasami. Skrzynki z napojami, zanitowane metalowe beczki, tekturowe pudła i pojemniki ze styropianu czekały na zwiezenie do magazynu.

– Bydlaki!

Coś twardego uderzyło o palety i odbiło się od betonowej ściany wjazdu.

– Szczury czy... kuny? – To był Michael. Wyjął z jednego z pudeł puszkę z konserwą i cisnął w cień, który mignął między stertami z prowiantem.

– Ogarnij się, człowieku! Co z tobą? – Tony wyciągnął dłoń w stronę Michaela, jakby chciał mu grozić.

– To, co mówią... gra kryminalna! – Oczy Michaela były rozwarte w nienaturalny sposób. Paul dopiero teraz spostrzegł, jak wzburzony jest dźwiękowiec. – Zabawa? Rozrywka? Pozdawanie ludzi? Chyba sam w to nie wierzysz? Tutaj chodzi o coś zupełnie innego...

– Ach tak? – przerwał mu Paul. – A o co, do cholery? – Zobaczył, jak zaczerwienione oczy mężczyzny kierują się w jego stronę.

– Nie słyszał pan, co mówią o Bohnerze?

– O Bohnerze? Jeffie Bohnerze? Co pan ma na myśli?

– Człowieku, posłuchaj, co mówią, zasięgnij informacji. – Michael zgromił Tony'ego wzrokiem. – Nie udawaj, że wszyscy jesteśmy tu dla przyjemności!

– Oczywiście, że nie. – Paul podrapał się w ucho. – Mamy zrobić materiał o parku. Nikt nie jest tu dla przyjemności. Przyłączyliśmy się na tę wyspę, żeby pracować. Każdy na swój sposób. Ale...

– Ach, to przecież tylko plotki. – Tony wszedł mu w słowo. – Bohner! Niech go pan nie słucha...

– Nie. Niech mi pan da skończyć...

– Taaaaam! – Ryk Michaela ugodził go jak cierń.

Paul obrócił się błyskawicznie. Serce zaczęło mu bić jak oszalone.

CO? Gdzie?

– Tam wyżej, za wjazdem...

Zobaczył to. Coś... jakiś płaszcz... cień... łopoczący materiał? Postać niczym strach na wróble... zniknęła. Miał wrażenie, że w ułamku sekundy jego ciało wypełniły odłamki lodu.

– Stop! – Łapczywie chwycił powietrze.

Sekundę później nogi poniosły go betonowym wjazdem i dalej, z boczem w górę, gdzie na szczycie widniała postać.

Tam! Znów tam był! Rozedrgany cień, podrygujący, łopoczący, skaczący.

– Hej!

Postać miała na głowie kaptur. Peleryna, kaftan – czy co to było – przeszkadzał jej w biegu.

– Stój, do cholery! – Paul puścił się sprintem za cieniem, żeby go dogonić, zanim do reszty połknie go ciemność. Już czuł w palcach materię czarnej peleryny – nieprzyjemną, syntetyczną tkaninę – kiedy postać zatrzymała się nagle i odwróciła.

Usłyszał swój ciężki, powolny oddech, jakby spóźnione westchnienie...

Ta *twarz*...

Była *ogromna*, była *wściekła*, *zła*...

CO TO JEST?

Maska.

To musi być maska...

Spod kaptura wpatrywała się w niego wielka niemowlęca buzia – maska bobasa. Przez wycięcia na oczy patrzyły źrenice kryjącego się pod maską stworzenia. Ostre, czerwone, wredne.

Wywiad filmowy 4 z 12

Baran

Imię i nazwisko: Beth Hoffman

Wiek: 40 lat

Zawód: dyrektorka parku

Sheldon: Kto ostatecznie zdecyduje, którzy uczestnicy wezmą udział w pierwszym weekendzie dla mediów? Pani czy Rupert?

Beth: Rupert mówi, że nie ma czasu na takie rzeczy. Poprosił mnie o dokonanie ostatecznego wyboru, między innymi na podstawie przeprowadzonych przez pana rozmów. Ale co właściwie ma pan na myśli? Chce mi pan pomóc w dokonaniu wyboru? Ostatecznie to pan przeprowadził wywiady, patrzył w oczy każdemu z kandydatów. Właściwie to panu byłoby o wiele łatwiej podjąć decyzję niż mnie.

Sheldon: Wrócimy jeszcze do tego tematu. Ja... chętnie pani doradzę, ale ostatecznie... Mogę sporządzić profil psychiatryczny kandydatów, jednak wolałbym, żeby to pani zdecydowała, która z tych osób nada się najlepiej. Ale wie pani co, Beth? Chętnie dam pani listę z moimi propozycjami. Będzie pani mogła je zaakceptować lub odrzucić. Dwanaście osób, zgadza się? Chociaż kto powiedział, że ma ich być dwanaścioro? Czy to był pani pomysł?

Beth: Nie, ja nie mówiłam o dwunastu osobach.

Sheldon: Więc kto? Czy to Rupert chciał dwunastkę?

Beth: Rupert powiedział mi, że to był pana pomysł, Sheldon. Podobno powiedział pan, że dwanaście osób tworzyłoby dobrą dynamikę. Że to daje tyle rozmaitych możliwości stworzenia zrównoważonej grupy. Dwa razy po sześć osób, albo trzy razy po cztery, albo cztery po trzy...

Sheldon: Naturalnie, dwanaście zawsze jest dobrą liczbą, ale to nie ja

zasugerowałem ją Rupertowi. Dlatego zapytałem o to panią... Prawdę mówiąc, przychodzi mi do głowy coś jeszcze. Czy pani też to zauważyła?

Beth: Co?

Sheldon: Dwanaście. Dwanaścioro gości – dwanaście znaków zodiaku. Od Barana przez Raka po Ryby – to dokładnie dwanaście znaków. I ma być dwanaścioro gości. Czy istnieje tu jakiś związek? A może coś sobie dośpiewuję? Przecież pani wie, że wyspa nazywała się kiedyś Zodiac Island...

Beth: Wiem, oczywiście, że wiem.

Sheldon: Dokładnie, więc pewnie słyszała pani też o teorii, że Jeff Bohner zwracał uwagę na to, spod jakiego znaku są jego ofiary.

Beth: Tak, słyszałam o tym. Kate Myerson rozważała taką teorię, ale nigdy nie udało się tego dowieść. Trzy morderstwa to po prostu za mało.

Sheldon: Tak... tak się mówiło.

Beth: W takim razie załatwione. Czy mogę już iść?

Sheldon: Tak... pewnie... zaraz... tylko... jeszcze chwila, Beth.

Beth: Tak?

Sheldon: Nie wyczerpałem tematu z Rupertem, ale... Jeśli dobrze zrozumiałem, to chodzi mu przede wszystkim o to, by ten park, Murder Park... On to traktuje jak inwestycję, która ma przynosić zyski, zgadza się? Zeszło się tu kilka czynników. Możliwość taniego kupna wyspy... A on szukał jakiegoś projektu. To był pani pomysł, prawda? Murder Park. Seryjni mordercy, bungalowy, to wszystko pani wymyśliła. To pani zaraziła tą ideą Ruperta.

Beth: Projektuję parki rozrywki, Sheldon, przecież pan wie...

Sheldon: Owszem. Nie chcę mieszać pani w głowie, Beth, po prostu... Powiedziała pani Rupertowi, żeby spróbował szczęścia z Murder Park. Że Zodiac Island byłby odpowiednim miejscem po tym, co tam się wydarzyło. To był pani pomysł, prawda, Beth?

Beth: Co... o co panu chodzi? Dlaczego mnie pan tak sztorcuje?

Sheldon: Nie sztorcuje, tylko stwierdzam, że wykręca się pani od odpowiedzi. Ma pani coś do ukrycia? Czy jest coś, co powinna mi pani teraz powiedzieć? I proszę się nie zasłaniać wymówkami!

Beth: Dobrze, to był mój pomysł. I co? Nie podoba się panu?

Sheldon: To był pani pomysł. A zbiory pamiątek po mordercach? To też był pani pomysł.

Beth: Przede wszystkim one. Zbiory, kupno wyspy, dawny park, całe te kulisy, owszem. Rupert łyknął to z marszu. Właściwie szukał odpowiedniego miejsca na coś w rodzaju parku randkowego. I od razu załapał, że ta wyspa jest wręcz idealna.

Sheldon: Klapki Charlesa Mansona, krzesło elektryczne, naszyjnik z sutków Eda Geina. Zdobyła je pani, Beth. Spotykała się pani z handlarzami, negocjowała warunki, zagłębiła w tę materię, w ten duszny, mroczny, rozgorączkowany świat seryjnych morderców, wokół których tworzy się swego rodzaju kult. Czy mam rację? Spotykała się pani z mężczyznami, którzy sprzedają takie rzeczy. Noszą w kieszeni obcięte paznokcie morderców, gotowi opylić je za parę dolarów. Co pani zaoferowała tym mężczyznom, Beth? Tylko dolary? A może zaangażowała się pani, jak przystało na pełną poświęcenia

pracownicę, totalnie, bez reszty? Flirtowała pani z nimi, żeby zdobyć szczególnie wartościowy eksponat, żeby wytargować atrakcyjną cenę?

Beth: Nie muszę tego wysłuchiwać.

Sheldon: Nie, nie musi pani. Ale jednego będzie pani musiała wysłuchać. Obejrzałem je sobie, te... eksponaty... murderabilia dotyczące najważniejszego mordercy w pani zbiorach, Jeffa Bohnera. Wśród nich znajduje się notatka z dziennika, który rzekomo prowadził. Notatka zapisana na jadłospisie. Kojarzy pani?

Beth? Tak, kojarzę...

Sheldon: Proszę, tu mam kopię. Pani pozwoli, że przeczytam na głos.

Beth: Nie wiem, po co...

Sheldon: „Stoisz przede mną w całej okazałości” – tak się zaczyna. Pamięta pani?

Beth: Oczywiście, tylko...

Sheldon: „Stoisz przede mną w całej okazałości, twoje oczy błyszczą. Jestem SZANOWANĄ OSOBĄ, zdajesz się mówić. Mam NAZWISKO, RODZINĘ, zawód, STANOWISKO, DOM. Konto w banku. Mam PRACOWNIKÓW. Mam mężczyzn i kobiety, za których ODPOWIADAM, którzy mnie słuchają. Wiedzą, kim jestem, słuchają, gdy coś mówię. MAM SPOTKANIA, ZADANIA, ZOBOWIĄZANIA. I nie mam CZASU. Zupełnie. Potrafię się śmiać, kiedy trzeba, kiedy jest wesoło, kiedy śmiech sprawia radość, kiedy jest chwila luzu. Ale poza tym MAM CO ROBIĆ”. Tak pisze Bohner. Ten dokument znajduje się w pani zbiorach, Beth.

Beth: Czego pan ode mnie chce, Sheldon?

Sheldon: Proszę pozwolić mi doczytać do końca. „Ale – pisze dalej – to tylko wierzchnia warstwa. A ja jestem tym, który zdejmie z ciebie nie tylko wierzchnią warstwę, ale wszystkie, które leżą pod nią. Aż wyłoni się meduza, którą w rzeczywistości jesteś. Meduza. Mokre, bezkostne, wrażliwe stworzenie, kryjące się pod tymi wszystkimi warstwami. Stworzenie bez kręgosłupa, bez statury, stworzenie, które zna tylko ból, doznania... och, i rozkosz. Kiedy odczuwa rozkosz, zamyka oczy... a pod powiekami robi się jeszcze bardziej wilgotno. Stworzenie nie ma rąk ani nóg, ani uszu czy nosa... ma tylko usta, jamę ustną, do której może coś wsunąć. Jamę ustną, w której jest ciepło i wilgotno. To jest MEDUZA, stworzenie, które skrywa się pod tymi wszystkimi warstwami. Meduza jest twoim prawdziwym ja, meduza jest tym, co czyni cię godnym miłości. Tylko że ty już tego nie potrafisz. Nie potrafisz dostrzec w sobie meduzy. Tak bardzo się oddaliłaś od tego, że zaprzeczyłabyś głośno, gdyby ci powiedziano, że tym właśnie jesteś w rzeczywistości: delikatnym kłębkim nerwów i komórek, z którego ust kapie ślina. Mięczakiem, który pod wielką presją otwiera się jeszcze bardziej. Im robi się groźniej, tym bardziej otwarty, miękki. To właśnie czyni ze mnie cierń. Kiedy czuję, jak te warstwy topnieją, rozplývają się, jedna po drugiej, gdy zagrożenie jest już nie do zniesienia, a opór słabnie, kiedy czuję, jak meduza przenika twoje warstwy, wtedy nadchodzi mój czas. Im miększa meduza, tym twardszy cierń, który w tobie zatapiam – w twojej tkance, twojej miękkości, twojej delikatności”.

Beth: Znam ten tekst, Sheldon.

Sheldon: Tak, zna go pani, Beth. Mam pani powiedzieć, skąd pani go zna? Bo sama go pani stworzyła! To pani go napisała.

Beth: Skąd niby może pan to wiedzieć?

Sheldon: Wiem, Beth, wiem. I proszę mi nie mówić, że się mylę.

Beth: Nie może pan tego wiedzieć...

Sheldon: Owszem, mogę. Wiem, że podrobiła go pani, bo chciała go mieć w swej kolekcji. Dlaczego, Beth? Co z pani za kobieta? Wnika pani w mentalność seryjnego mordercy? Co naprowadziło panią na pomysł z Murder Parkiem? Co takiego fascynuje panią w seryjnych mordercach? Snuje pani fantazje o tym, jak wpada w sidła jednego z nich? Beth? O czym pani fantazjuje?

– To jest część gry! To niejako się mieści w zakresie usługi!

Beth, przemknęło Paulowi przez głowę, zanim otworzył oczy.

Kiedy istota w kapturze się odwróciła, drgnął. Nagły sprint, hamowanie – zatoczył się, zrobił unik na bok, prosto w wyrwę w ziemi, której nie zauważył w ciemności. Kostkę przeszył mu ostry ból. Stracił równowagę i rąbnął twarzą o kamienie.

– Czy pan Greenblatt został pobity? Nie! Sam pan powiedział...

Głos się urwał. Najwyraźniej *Beth* spostrzegła, że się poruszył. Musiał stracić przytomność, tylko na chwilę, ale wystarczająco długą, że wezwali *Beth*.

Zamrugał. Pochylali się nad nim – Tony, Michael i *Beth*. Raził go promień światła. Zasłonił dłonią oczy.

– *Beth*, oślepia mnie pani.

Snop światła przesunął się w bok.

– Jak się pan czuje? Czy coś pana boli?

Paul wypuścił powietrze z płuc.

– Co... kto to był? – Dźwignął się do góry. Bolała go prawa kość policzkowa, czuł łupanie w czaszce, ale poza tym chyba nie dolegało mu nic poważnego.

– Kto?

– Ta... istota, przed chwilą, w czarnej pelerynie – odparł.

I w masce niemowlęcia.

– Może najpierw pan wstanie.

– Nie, niech mi pani powie...

– Przepraszam, Paul. Potknął się pan? Uderzył się pan w głowę?

– Kto to był, do cholery?! – krzyknął. *Co tu jest grane?* – Kogo pani gania po tej wyspie? Czy to jakiś żart?

– To część gry, Paul – *Beth* próbowała go uspokoić. – Nie ma gry kryminalnej bez sprawcy, okay?

– Sprawcy? – Popatrzył na nią. – A co z *Constance*? Znaleźliście ją?

– Czuję się dobrze. Znalazła ją druga grupa. Jest w hotelu.

– A ten świr w masce, który przede mną uciekał?

– Paul...

– Jest późno, pęka mi głowa, niefartownie upadłem. Rozumiem, że chcecie zaoferować swoim gościom coś wyjątkowego, ale my nie jesteśmy gośćmi, my tylko mamy o tym pisać. Więc niech pani ułatwi nam wszystkim sprawę i wyjaśni, co za typ grasuje na wyspie.

– To nie był żaden typ, Paul. To była... Poprosiliśmy *Jay*, żeby założyła maskę...

– *Jay*? – *To nie była Jay*. – To... Nie, nie, ta postać była zbyt wysoka i... to nie była kobieta. – Wciąż miał ją przed oczami. Podrygujące ramiona, nogi. Kobiety tak nie biegają! *Jay*? Widział ją przedtem, naga, była drobna i niewysoka...

– To była *Jay*, Paul. Na dziś wystarczy. Dosyć już się tu wymarziłmy, to był długi dzień.

Paul zerknął na *Tony*'ego. Przecież on też widział postać faceta w kapturze.

– Niech pan już da spokój, Paul – powiedział Tony, zanim Paul zdążył się odezwać. – Słyszał pan, to zabawa, taki żart. Oni tu wszystko dopracowali do najdrobniejszego szczegółu. Chociaż, prawdę mówiąc, sam się wystraszyłem, kiedy ta postać wyrosła nagle w ciemności nie wiadomo skąd.

To nie była Jay! Może Beth sama nie ma pojęcia? Może sama nie wie, że to nie była Jay!

– Jay, proszę do nas przyjść, pan Greenblatt nam nie wierzy. Niech pani mu powie, że to była pani, że poprosiliśmy, aby założyła pani pelerynę.

Paul stał w jadalni. Beth przywołała gestem Jay, która razem z Mary i Glennem nalewała właśnie gorącą zupę. W przestronnej sali zebrała się większość gości. Jeszcze trochę bolała go głowa, ale strach wywołany upadkiem najwyraźniej był większy od szkód, jakich przy tym doznał. Czuł się dobrze i z radością wyczekiwał wieczornego posiłku. Może po nim ulotni się mglisty ziąb wyspy, który przeniknął go do kości.

– Panie Greenblatt, przykro mi, że pan się przewrócił... ale... to prawda, co powiedziała Beth, że to ja... Znaczy... – Jay stanęła przed nim i podniosła wzrok. – Że uciekałam przed panem.

Paul zmierzył wzrokiem szczupłą dziewczynę. Dlaczego twierdziła, że to ona? Czy to też część gry? Czy wszystko tu było grą? Zainscenizowaną przez Ruperta, Beth i spółkę?

Widziałem panią na górnym korytarzu, Jay, kiedy była pani praktycznie naga. I później, w tym kaftanie, to nie była pani.

Co takiego wykrzykiwał Michael, wzburzony do głębi, tuż przedtem, zanim z mroku wyłoniła się ta postać? „Tutaj chodzi o coś zupełnie innego!”. Paul zerknął na dźwiękowca, stojącego przy jednym ze stolików. Mary właśnie stawiała przed nim miskę z zupą, on jednak stał z pochyloną głową, jakby nie chciał ściągać na siebie uwagi.

– Kto konkretnie znalazł Constance? – Paul popatrzył na Beth.

– Glenn. – Kiwnęła głową w stronę potężnego czterdziestolatka, który pomagał Mary roznosić zupę. – Okay, Jay, dziękuję pani. – Posłała pokojówce uśmiech sugerujący, że może odejść.

– A gdzie? Gdzie ją znalazł? – Paul przyciągnął do siebie miskę, którą postawiła przed nim Jay.

Beth obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

– W starej portierni, zaraz przy wejściu do holu. Łatwo ją znaleźć. Była związana, niezbyt mocno, ale nie mogła wstać tak po prostu.

– Naprawdę?

– Była przywiązana do krzesła. Ten wariant zakłada, że ofiara nadal uczestniczy w grze, jeśli w porę zostanie uwolniona. Jeśli nie, musi wyjechać.

– Ponieważ „nie przeżyła”, zgadza się? – Paul wykonał palcami znak cudzysłowu.

– Tak jak mówiłam, gra ma różne warianty, a to jeden z nich. Chodzi o to, żeby grupa zbyt prędko nie uległa redukcji, rozumie pan? Jutro możemy się zająć tym bardziej szczegółowo, jeśli pan chce. Ważne, żeby uczestnicy, kiedy park zacznie już działać na dobre, wraz z kierownikiem gry...

– Którym będzie pani?

– Czasami. – Uśmiechnęła się. – Zasadniczo chcemy oferować imprezy całoroczne, a wtedy nie zawsze będę do dyspozycji. Ale oczywiście na początku będę się opiekować grupami...

Mówiła dalej, ale Paul już jej nie słuchał. Omiótł wzrokiem pomieszczenie

i zatrzymał go na Constance. Wyglądała zupełnie normalnie, w żadnym razie nie było po niej widać, że przeżyła coś złego. Stała razem z Kate i Tonym przy stoliku, zajęta swoją zupą. Gdy poczuła na sobie jego spojrzenie, przekreśliła głowę w jego stronę.

Odwrócił się z powrotem do Beth.

– ...jednak istota rzeczy – ciągnęła dyrektorka – we wszystkich wariantach jest taka sama: jedna osoba z grupy jest sprawcą, który zagraża innym. Chodzi o to, by dowiedzieć się, kto nim jest. Tak jak we wszystkich grach kryminalnych dostępnych na rynku.

– Pięknie. I co teraz? – Paul podmuchał zupę, żeby ją ostudzić. – Kiedy znaleziono Constance? Czekamy, na kogo trafi w następnej kolejności? Jaki jest plan?

Beth badawczo spojrzała mu w oczy.

– Paul, proszę posłuchać... Może traktuje pan to wszystko trochę zbyt poważnie.

Tak, być może.

– A może po prostu powie pani, kto naprawdę się skrywał pod tamtą maską?

Wciąż się uśmiechała.

– Czemu miałabym to zrobić? Żeby przedwcześnie zakończyć grę?

– Co tu jest grane? Chce pani, byśmy tańczyli jak pieprzone marionetki – *szklane* oczy, Paul widział migoczące mętnie w świetle z lodówki szklane oczy kukły Nancy Cass – podczas gdy pani będzie pociągać za sznurki i zawsze wyprzedzać nas o krok? – Poczul, że wzbiera w nim złość.

– Spokojnie, niech pan się odpręży, Paul. – Levin oderwał się od gzymsu kominka, o który się opierał, i podszedł bliżej. – To jest park rozrywki, w którym ludzie mają się dobrze bawić. Nie ma powodu do złości. Czemu pan się tak denerwuje?

Czyżby podniósł głos? Nie miało sensu wdawać się we wzajemne połajanki.

– Nie chcę oczerniać pańskiego parku, naprawdę – zapewnił Paul. – Chcę tylko powiedzieć jedno: To nie była Jay. Rozumie pan? Owszem, przyznaję, świetnie pan to wszystko przygotował, ale to nie Jay uciekała przede mną. Być może sam nie zdaje pan sobie z tego sprawy.

– Nie? – Rupert się uśmiechnął. – Aha. No, skoro tak pan uważa. – Rzucił spojrzenie Beth, co znów wzbudziło w Paulu złość.

– Muszę przyznać rację koledze z prasy, panie Rupercie. – To Sheldon podniósł się z długiej kanapy stojącej pod panoramicznym oknem. Paul rozmawiał z psychiatrą cztery tygodnie temu. Taki był warunek uczestnictwa w imprezie – porozmawiać z Sheldonem Lazarusem. – Prosił mnie pan o pomoc w przygotowaniach. Teraz jednak, kiedy jestem na wyspie po raz pierwszy, muszę przyznać, że nieco inaczej wyobrażałem sobie pański projekt.

– Tak? – Nie dało się nie usłyszeć irytacji w głosie Levina.

– Życzy pan sobie, bym wziął udział w tym projekcie, jeśli dobrze rozumiem? – Twarz Sheldona lekko poczerwieniała. – Chce pan móc napisać w prospektach reklamowych, że w całości go popieram. Czyż nie? Cóż, teraz, kiedy już tu jestem i widzę, co pan planuje w rzeczywistości, mam poważne wątpliwości.

– Naturalnie chcemy mieć pana po swojej stronie, Sheldon. Murder Park i Jeff Bohner to między innymi podróz do świata psychiki... potwora? Czy można to tak nazwać? Kto bardziej przekonująco niż pan mógłby obiecać ludziom, że przeżyją tu coś

autentycznego, nieprzefiltrowanego? Każdy wie, że świat seryjnych morderców nie byłby kompletny bez pańskiej ekspertyzy! – Rupert potrafił czarować. – Oczywiście, że mam nadzieję pozyskać pana poparcie.

Sheldon przyglądał mu się. Paul odniósł wrażenie, że są sobie równi – obaj już nie całkiem młodzi, nieco szpakowaci, ale pewni siebie, wzmocnieni swoimi sukcesami.

– Czy kiedykolwiek spotkał się pan z jednym z nich, Rupercie? – zapytał Sheldon. – Rozmawiał pan z kimś? Z ojcami, matkami, przyjaciółmi ofiar? Chyba zdaje pan sobie sprawę, że po swoich doświadczeniach z bliskimi ofiar nigdy nie będę mógł podpisać się pod tym, co pan chce tu stworzyć? – Paul zauważył, że dłoń, którą psychiatra opierał o kanapę, lekko drżała. Starcze plamy na jego przystojnej twarzy rzucały się w oczy bardziej niż zwykle. – Nie chcę czynić panu wyrzutów – ciągnął – ale prawdę mówiąc, nie popieram tego, co pan tu robi. Sądziłem, że będzie tu chodzić o rodzaj... ambitnej pod względem naukowym prezentacji konkretnego przypadku z historii psychiatrii. Nie miałem pojęcia, że historyczne dokumenty i materiały, które pan zgromadził, mają posłużyć jedynie za tło, za kulisy... – Wydawał się szukać właściwych słów. – Że nadużyje pan tego materiału jako dekoracji dla przedsięwzięcia w rodzaju serwisu randkowego! Nigdy bym na to nie wpadł. I nie mogę tego poprzec.

Większość obecnych zwróciła się teraz w stronę Sheldona. Milczeli. Paul stwierdził, że musi przyznać rację wzburzonemu psychiatrze. Bez dwóch zdań! Czyż jemu samemu nie przyszło do głowy, że to, co tu się rozgrywa, jest nie w porządku? Zamiast jednak posłuchać siebie i swej podświadomej niechęci, dał się bez reszty pochłonąć pytaniu, który z pracowników Ruperta wdział maskę.

– Tak czy siak, jutro rano zamierzam opuścić wyspę – zakończył psychiatra.

Czy prom nie miał przyjechać dopiero za trzy dni, w poniedziałek?

Zapadło pełne zakłopotania milczenie. Przejściu Sheldona przez salę jadalną w kierunku schodów towarzyszyło pojedyncze pobrzękiwanie sztućców.

Paul przeniósł wzrok na Lizzie; stała przy panoramicznym oknie z kieliszkiem w ręku. Ledwie rozpoznawał jej twarz, ponieważ za jej plecami świecił reflektor, a jednak odniósł wrażenie, że kobieta uśmiecha się do niego drwiąco.

– Co pan na to?

Odwrócił się, zaskoczony. Pytanie, skierowane do niego, zadał Levin.

– Czy pana zdaniem powinniśmy traktować tę sprawę tak śmiertelnie poważnie, jak robi to Sheldon? A może jednak pozwolimy sobie na odrobinę zabawy?

– Kim był człowiek w masce? – Paul oparł dłonie o stół i wyprostował ramiona. – Jeśli o mnie chodzi, możemy ciągnąć to dalej, ale chcę wiedzieć, kto to był.

Do kogo należały te przekłete wąskie źrenice?

– Nie daje pan za wygraną, co? – zaśmiał się Rupert.

Podszedł do stojącej obok kominka szafy z lustrzanymi drzwiami i otworzył ją. Odbicie Paula mignęło i pomknęło w bok, a potem jego oczom ukazało się coś w rodzaju garderoby.

Czarne peleryny. Kaftany. Dziesięć, może dwadzieścia. A po wewnętrznej stronie drzwi – maski. Maski o twarzach niemowlaków. Świńskie ryje. Podobizny Nixona...

– To mógł być każdy, Paul. – Rupert zdjął z wieszaka jedną z gumowych masek

i rzucił w jego stronę. – Może ta? Podoba się panu? Albo ta? – Nadleciała kolejna. Rupert zatrzasnął szafę. – Witamy w Murder Park!

– Ma pan dosyć, Paul? A myślałam, że jeszcze przez jakiś czas dotrzyma nam pan towarzystwa.

Paul spokojnie jadł swoją zupę. Goście, w grupkach, stali przy stolikach i rozmawiali. Został sam. Kiedy skończył, zauważył drugie drzwi na tyłach jadalni; wychodziły na zewnątrz. Zapytał o nie Mary, kiedy podeszła po jego pustą miskę. Dowiedział się, że z tej strony prowadzą też schody na piętro.

Postanowił wypróbować tę drogę, gdy do jego stolika podeszła Lizzie. Poczul się tak, jakby go na czymś przyłapała.

– Aż tak to widać? – rzucił.

– Owszem. Wygląda pan, jakby zamierzał opuścić wyspę razem z Sheldonem jutro skoro świt.

– Rozwahałem taką możliwość.

– Nie podoba się panu Murder Park?

Zmrużył oczy.

– Trochę rozumiem Sheldona. Z jednej strony mordercy... ich paznokcie... ta kolekcja... Z drugiej strony przecież to tylko zabawa. Arena dla widowiska polegającego na swataniu. Prawdę mówiąc, odrzuca mnie to.

Z jej twarzy wyczytał pełne zrozumienie.

– Mimo to się zdziwiłam – odparła. – Parę tygodni temu spotkałam się z Sheldonem i odniosłam wrażenie, że całym sercem popiera projekt. Myślałam, że jest członkiem zespołu. A teraz zachowuje się tak, jakby szokowało go to, co tu zaplanowano.

– Z panią też rozmawiał?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Ze wszystkimi, którzy tu są? – Paul powędrował spojrzeniem po twarzach tych, którzy zostali w sali. – Po co?

– Podejrzewam, że Levin chciał wiedzieć, kogo zaprasza na prezentację. Musiał mieć pewność, że dobra sława jego projektu nie zostanie splamiona w przededniu inauguracji.

Paul zmarszczył czoło.

– Jeśli to oznacza, że Rupert chce wpłynąć na mój reportaż... W każdym razie nie zamierzam pozwolić, by dyktował mi, co mam napisać.

Lizzie popatrzyła na niego uważnie, jakby coś chodziło jej po głowie.

– Michael to pani dźwiękowiec, prawda? – Paul kiwnął w stronę mężczyzny, który nadal stał przy stoliku i rozmawiał z Tonym. – Przedtem... kiedy wracaliśmy do hotelu... Powiedział, że nikt z nas nie ma pojęcia, o co tu tak naprawdę chodzi.

– Tak? – Lizzie też spojrzała na dźwiękowca. – Nie wiem, co o nim sądzić. Nigdy przedtem z nim nie pracowałam. Z Tonym owszem, ale z Michałem...

– A pani? Dlaczego chciała pani zostać zakwaterowana w pokoju obok mojego?

Spojrzała mu w oczy.

– Przeszkadza to panu?

– Nie, nie przeszkadza. Chciałbym tylko wiedzieć dlaczego. Czy to nie wydaje się

pani dziwne?

– Lubię pana blog, Paul. Mówiłam panu o tym.

– Ale...

– A może chodzi o widok z okna? Nie wpadł pan na to? Pokój, który przydzielono mi na początku, znajduje się na parterze.

I to ma być powód, dla którego zamieniłaś pokoje?

– To jak, Paul? Idzie pan do siebie czy jeszcze zostaje?

„Idzie pan do siebie?”. To zabrzmiało prawie jak: „Idziemy do pana?”.

Pomyślał o odgłosach, które dochodziły z sąsiedniego pokoju, gdy dotarł do hotelu.

– Chyba pójdę z panem. – Lizzie powiodła wzrokiem po sali. Nie czekając na odpowiedź, dodała: – Jutro też jest dzień.

– W takim razie chodźmy. – Paul skinął głową w stronę drzwi, które przed chwilą odkrył. – Tam ponoć też są schody.

Zauważył, że Beth odprowadza ich wzrokiem, ale nie obeszło go to.

Korytarz za drzwiami nie był wyłożony dywanem; prowadził obok kuchni. Duża kuchenka, niekończące się blaty, gigantyczna zmywarka do naczyń. Hotel wyraźnie był dostosowany do obsługi dużej liczby gości. W kuchni paliło się światło, ale nikogo nie było widać. Paul sięgnął ręką ku poręczy schodów, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

– Panie Greenblatt? – To była Jay. Stała schowana w cieniu schodów.

– O, pani Hillstrom – powiedziała Lizzie. – Proszę nie mówić o tym panu Levinowi... – Przeniosła spojrzenie z powrotem na Paula. Słowa płynęły z jej ust tak pośpiesznie, że ledwie ją rozumiał. – Ma pan rację, panie Greenblatt, ja... to nie byłam ja, tam, pod hotelem... To nie ja przed panem uciekałam. Próbowałam już rozmawiać o tym z Mary i Glennem, ale oni nie chcą mnie słuchać. – Paul rzucił spojrzenie na Lizzie, która weszła za nim na schody. Sprawiała wrażenie lekko poirytowanej. – Kazali mi założyć maskę – szepnęła Jay i chwyciła Paula za ramię. – Ale nie zdążyłam. – Nachyliła się w jego stronę. Miał wrażenie, że czuje jej ciepło. – Constance była tu, w portierni, przywiązana do krzesła. Nie chciała, żebym zostawiała ją całkiem samą, więc odwiesiłam maskę, którą dała mi Beth... maskę z twarzą niemowlaka... z powrotem do szafy i zostałam przy Constance. Dopiero gdy usłyszałam, że nadchodzi Glenn, wycofałam się. Ale wtedy było już za późno, żeby zakładać maskę, bo większość grupy wróciła do hotelu.

– Ach tak? – rzucił Paul. *Wiedziałem, że to nie była Jay.* – Była pani z Constance? – *Więc Constance widziała, że byłaś przy niej, podczas gdy ty rzekomo chodziłaś po dworze?*

– Nie... nie, nie do końca z nią. Nie było mnie w portierni. Przebywałam w pobliżu, więc mogłabym ją usłyszeć, gdyby wołała. Byłam w szatni, tuż obok portierni. Nie chciałyśmy, żeby ktoś mnie zobaczył razem z nią. Ona tego nie chciała. I Beth też by tego nie chciała. Ale nie chciała też zostawać całkiem sama, przywiązana do tego krzesła...

– A Glenn? Widział panią? – *Czy Glenn może potwierdzić wobec Beth, że to nie ty chodziłaś w masce?*

– Nie. Kiedy usłyszałam, że ktoś przyszedł... kiedy Constance wypowiedziała jego imię, od razu sobie poszłam. Wiedziałam, że wszystko jest w porządku, że Constance już mnie nie potrzebuje.

Więc to nie był Glenn. Paul popatrzył z wahaniem na Jay.

– Mówię panu, to te eksponaty. – Dziewczyna wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi oczami. – Te rzeczy, które pan Levin umieścił w bungalowach, przynoszą nieszczęście!

– Nieszczęście? Jak... Co pani przez to rozumie? – Jej słowa odrobinę wytrąciły go z równowagi. *Co mają z tym wspólnego eksponaty?*

– Jay, proszę – wtrąciła Lizzie – tylko niech pani nie mówi, że jest pani przesądna.

– Rozmawiałam z robotnikami, którzy mają remontować park, wczoraj, kiedy zeszli z promu. Mieszkam w miasteczku portowym, do którego zawija prom. – Oczy Jay przypominały Paulowi gigantyczne fasetowe oczy owada. – Mieszkam w miasteczku, znają mnie tam, opowiadali o tym... Mówili, że...

– Tak? – Paul nachylił się ku niej.

– Ponton. Na wyspie znaleźli jasnoszary ponton, w zeszłym tygodniu. Początkowo nic sobie nie myśleli, ale potem, kiedy sprawdzili parę godzin później, już go nie było. – Paul odruchowo powędrował spojrzeniem ponad przedziałkiem Jay w stronę korytarza prowadzącego do kuchni. *Ponton... Ktoś... Czyżby na wyspie był ktoś jeszcze? Ktoś, o kim nie wie Beth?* – Glenn i Mary nie chcą, żebym rozmawiała o tym z panem Levinem – szeptała dalej Jay. – Ale tam na pewno był ponton, robotnicy nie mieli wątpliwości.

– Nie zgłosili tego panu Levinowi? Ci robotnicy?

Jay pokręciła głową tak energicznie, że jej czarne włosy zdrząły w powietrzu.

– Uznali, że to nie jest aż tak ważne. Ale mówię panu, ktoś łązi po budowie. I nikt nie wie kto. Ten człowiek w masce, którego pan widział, to nie byłam ja. Beth kazała mi powiedzieć panu, że to byłam ja, ale to nie byłam...

– Jay!

Paul drgnął.

Krępa sylwetka Glenna nadciągała od strony kuchni.

– Czemu zatrzymujesz gości? – Popatrzył na Paula. – Panie Greenblatt, pani Hillstrom, proszę wybaczyć... – Machnął ręką w opryskliwym geście. – Idź już spać, Jay. Jutro czeka nas dużo pracy.

– To nie jej wina. – Paul się uśmiechnął. – To my zatrzymaliśmy Jay, prawda, Lizzie? – Popatrzył za oddalającą się pośpiesznie pokojówką.

– Mam nadzieję, że Jay nie zawracała państwu głowy.

– Nie, skąd. Nic się nie stało. Dobranoc, Glenn. – Paul ściągnął ramiona i odwrócił się, by podążyć schodami za Lizzie.

– To chyba wina tej atmosfery na wyspie – usłyszał za sobą głos mężczyzny. – Jay pochodzi z miejscowości, z której wypływa prom. Ludzie wygadują różne rzeczy o wyspie. Nie należy traktować jej słów zbyt poważnie. – Paul obejrzał się na okrągłą twarz Glenna. – Dlatego pan Levin mógł kupić ten obiekt, rozumie pan? Ale niech pan się nie martwi, to jest idealny klimat dla parku potworów.

Parku potworów?

– Parku potworów? – Paul przechylił się przez poręcz i spojrział w dół. Ale zobaczył już tylko łysinę z tyłu czaszki Glenna. Odprowadził go wzrokiem.

– Czy on właśnie powiedział „park potworów”? – rzucił w przestrzeń.

Ale klatka schodowa była pusta. Lizzie już poszła. Paul w zamyśleniu wszedł po schodach.

Wywiad filmowy 5 z 12

Ryby

Imię i nazwisko: Jay Jackson

Wiek: 28 lat

Zawód: pokojówka

Jay: Tak, spędziłam tam dzieciństwo. Dorastałam w sennym miasteczku na wybrzeżu. Niewielki port, główny plac w centrum miasta i budynek sądu. Mieścina jak z obrazka, tyle że parę mil od wybrzeża leży ta wyspa. Kiedy pod koniec lat pięćdziesiątych zbudowali tam park, ochrzcili wyspę mianem Zodiac Island, ale pierwotnie miała inną nazwę. Nazywała się New England Island i nikt tam nie mieszkał. Ludzie z Zodiaka mogli ją kupić i urządzić na niej park. Wraz z pierwszą falą turystów, która napłynęła do naszego miasteczka, by dostać się na wyspę, jego los został przypieczętowany. Już nie wychodziło z cienia wyspy, wie pan? Ale większość mieszkańców była z tego zadowolona. Nie było u nas żadnego przemysłu, pieniądze przynosiła wyłącznie turystyka. Ludzie nie mieli więc nic przeciwko temu, żeby turyści przyjeżdżali do nas i płynęli na wyspę. Z wyjątkiem garstki osób, które uważały, że żądza rozrywki przybyszów nam zaszkodzi. Inni się z nimi nie zgadzali; mówili, że wśród turystów jest wiele rodzin z dziećmi, że nie mają na myśli nic złego, chcą tylko zażyć trochę radości ze swoimi maluchami. Ale przeciwnicy wyspy nie dali się przekonać. Muszę przyznać, że nigdy do końca nie zrozumiałam, dlaczego najbardziej życzyliby sobie, żeby sztorm wyrwał ten kawałek skały z dna oceanu i zabrał w cholerę. Nie rozumiałam tego. A jednak gdzieś głęboko, mgliście pojmowałam... właściwie czułam to, co oni. Że u wybrzeży leży jakaś ciemna moc, skryta we mgle, widoczna z naszego miasteczka tylko przy pięknej pogodzie. Moc, na którą nie mieliśmy wpływu. Czułam, że wyspa leży tam, w oddali, i czeka, by w końcu pochłonąć naszą piękną mieścinę wraz z budynkiem sądu, małym portem i kolorowymi domami.

Sheldon: Była pani na wyspie w czasach, gdy działał dawny park? Była pani w Zodiac Island?

Jay: Jasne... Tak, byłam tam. Raz.

Sheldon: I?

Jay: I co?

Sheldon: Co pani wtedy przeżyła?

Jay: Czemu?

Sheldon: Co czemu?

Jay: Czemu pan o to pyta?

Sheldon: Czy chce pani u nas pracować, Jay? Tłumaczyłem to już pani. Pan Levin chce ponownie otworzyć wyspę dla publiczności. Nie będzie to Zodiac Island, ale rodzaj innego parku rozrywki. I szuka ludzi do pracy. Na początek parę osób, które zajmą się gośćmi podczas pierwszej prezentacji dla mediów. Prace na wyspie, z pewnością słyszała pani o tym, prace budowlane są już dość zaawansowane. Nowy park nie jest jeszcze całkiem gotowy, ale w ciągu najbliższych tygodni zostanie po nim oprowadzona grupa przedstawicieli mediów. Potrzebujemy kogoś, kto się nimi zajmie. Parę osób już mamy. W tej chwili szukamy dziewczyny, która ogarnie pokoje. Zmieni pościel, uzupełni minibar... Ale może też się zdarzyć, że zostanie poproszona o umycie łazienki i tak dalej. Czy jest pani zainteresowana?

Jay: Przecież powiedziałam już to osobom, do których się zgłosiłam. Tak, jestem zainteresowana. Chciałabym dostać tę pracę.

Sheldon: Zgadza się, ma pani całkowitą rację, Jay. A panu Levinowi bardzo się spodobało pani podanie. Panu Levinowi albo komuś z jego personelu... Nie wiem dokładnie, czy Rupert Levin osobiście oglądał pani podanie czy może była to Beth Hoffman... Poproszono mnie, żebym z panią porozmawiał. Chodzi o wyjaśnienie paru ostatecznych kwestii. Jeśli mi się to uda, to nic nie stanie na przeszkodzie, by panią zatrudnić, Jay.

Jay: A dlaczego panu Levinowi albo tej pani... dlaczego podobało im się moje podanie?

Sheldon: Bo jest pani idealną kandydatką, Jay! Zna pani wyspę od dziecka, pani matka nawet tam pracowała, czyż nie?

Jay: Tak, to prawda...

Sheldon: Jest pani... proszę mnie źle nie zrozumieć, ale... Jest pani ładna, potrafi się pani poruszać i uśmiechać. Oczywiście, że wybrano panią!

Jay: Wspaniale. W takim razie wszystko jasne.

Sheldon: Momencik, tak jak mówiłem, musimy jeszcze wyjaśnić parę kwestii.

Jay: Tak?

Sheldon: To nic skomplikowanego, Jay, chcielibyśmy tylko wiedzieć, co pani pamięta z Zodiac Island, z czasów, gdy pracowała tam pani matka.

Jay: A co to ma wspólnego z moją nową pracą?

Sheldon: Nie mnie proszę o to pytać. To najlepiej wyjaśni Beth, która będzie pani bezpośrednią przełożoną. Ja... Wie pani, Jay, ja jestem odpowiedzialny za coś w rodzaju ekspertyzy psychiatrycznej.

Jay: Ekspertyzy psychiatrycznej? To pan jest psychiatrą?

Sheldon: Tak.

Jay: Ach! I ma pan mnie zbadać?

Sheldon: To tylko rozmowa, Jay. Nie musi pani się bać.

Jay: Ale się boję... Chociaż, moment, nie, to nie tak. Nie mam nic przeciwko panu, panie doktorze, próbuję tylko zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. I czego dokładnie pan ode mnie chce.

Sheldon: Chcę, żeby odpowiedziała mi pani na kilka pytań. To wszystko.

Jay: Okay, niech będzie, ale... może najpierw powie mi pan jedną rzecz. Co... Co konkretnie zamierza zrobić z wyspą pan Levin? Park rozrywki, ale nie taki jak Zodiac Island, tak? Jak mam to sobie wyobrazić?

Sheldon: Jay, ja... Jak mówiłem, parkiem zajmuje się Beth Hoffman, to ona go zaprojektowała i uzgodniła szczegóły z Rupertem Levinem. Jaki dokładnie rodzaj przedsięwzięcia planuje pan Levin, tego nie mogę powiedzieć. Dopiero wszedłem w tę sprawę. Mam tylko sporządzić parę ekspertyz i wypytać wybranych kandydatów o Zodiac Island.

Jay: A więc wszyscy kandydaci mieli coś wspólnego z Zodiac Island?

Sheldon: W taki lub inny sposób... w szerokim sensie... tak. Przecież pani również, prawda? To jak, możemy kontynuować?

Jay: Skoro pan chce...

Sheldon: Widzi pani, to nie jest przypadek, że akurat mnie poproszono o przeprowadzenie tych rozmów. Przyczyna leży w tym, że w ciągu ostatnich lat bardzo intensywnie zajmowałem się człowiekiem, którego nazwisko nierozzerwalnie łączy się z Zodiac Island.

Jay: Tak?

Sheldon: Słyszała pani o Jeffie Bohnerze?

Jay: Bohner... zamordował kobietę... na wyspie. Zgadza się? Albo... nie pamiętam dokładnie... czy to nie z tego powodu trzeba było zamknąć park?

Sheldon: Dokładnie tak.

Jay: Jasne, wiem, kim był Bohner. Wiem nawet, że podobno był w tym pomieszczeniu... w Circle Room, no, wie pan. Moja matka pracowała tam kiedyś. Wspomniałam o tym w podaniu o pracę... Niechętnie o tym mówię, ale pomyślałam sobie, że może to państwa zainteresować.

Sheldon: Dobrze pani zrobiła, Jay. Pani matka pracowała w Circle Room? Naprawdę? Czy wie pani, co tam robiły kobiety, Jay?

Jay: Dowiedziałam się o tym dużo później, kiedy wyspa była już zamknięta, rozmawialiśmy o tym wtedy z mamą. Kiedy byłam młodsza, a park jeszcze był czynny i ludzie przyjeżdżali tabunami, wtedy o tym nie wiedziałam. Ojca prawie nie było w domu, pracował jako kierowca ciężarówki i często wyjeżdżał na wiele dni. A mama pracowała na Zodiac Island. Parę razy widziałam, jak przynosi do prania kostiumy. Kolorowe, z kapturami i pelerynami. „Co to jest, mamoo?”, pytałam. Od razu mnie to zainteresowało. Nie dałam za wygraną. „Bawimy się tam, Jay”, odparła. „Wiesz, dorośli też czasem się bawią. A mama bawi się z gośćmi”. „A w co się bawicie?”, chciałam wiedzieć. Ale tego już mi nie powiedziała.

Sheldon: Wspomniała pani wcześniej, że była raz na wyspie. Pojechała pani tam

z matką?

Jay: Nie.

Sheldon: A z kim?

Jay: To było, kiedy zachorował mój brat. Byłam... Miałam może osiem lat, nie więcej, a on pięć. Moja mama zawsze powtarzała... znaczy, kiedy tata był na wyjeździe, a mama szła do pracy, mówiła: „Jakby co, idźcie do sąsiadki”. Poza tym musiałam uważać na brata, kiedy nie było szkoły. Tamtego dnia taty nie było, mama poszła do pracy, a brat zachorował. Gorączkował i nie przestawał kaszleć. Był całkiem blady i miał czerwone plamy na policzkach. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego. Próbowałam mu zmierzyć temperaturę, ale się nie udało, więc poszłam do sąsiadki. Nie było jej jednak w domu. Trochę poczekałam, ale brat czuł się coraz gorzej. Zaczęłam się bać. Po prostu nie wiedziałam, co robić. Jak mówiłam, miałam zaledwie osiem lat i... w tym wieku człowiek jeszcze nie potrafi jasno myśleć. Właściwie wiedziałam tylko jedno: że chcę do mamy. Wiedziałam, gdzie jest. Pracowała na wyspie w Halloweenland – a może Hollywoodland? – ciągle mi się myliło, ale byłam pewna, że ją znajdę. Ubrałam brata i poszliśmy do portu, skąd odbijały promy. Nie było jeszcze późno, a statek zawożący ludzi na wyspę odpływał co godzinę. Znałam mężczyznę, który wpuszczał na prom turystów, nasze miasteczko nie było duże. Kiedy zobaczył, że mój brat jest chory, wpuścił nas bez biletu.

Sheldon: I to był ten jeden raz, kiedy była pani na Zodiac Island?

Jay: Tak. Kiedy przyплыliśmy, zapytaliśmy, jak się dostać do Halloweenland. Przepychaliśmy się przez tłum, cała wyspa aż migotała od szumu i wirowania karuzeli, od okrzyków ludzi. Wyspa zabiera mi мамę, takie i podobne myśli chodziły mi wtedy po głowie, cała wyspa stała się w moich oczach czymś dziwnie żywym. Może za sprawą gorączki brata, która powoli przechodziła na mnie, a może przez jaskrawe światła i przenikliwe dźwięki – ta skała, urządzenia, ludzie, wszystko zdawało się zrastać w jedną, na wpół cielesną, na wpół techniczną istotę, istotę, która gdzieś głęboko w sobie skrywała moją matkę. Kiedy wreszcie znaleźliśmy kolejkę strachu i zapytaliśmy w kasie o мамę, kazali nam poczekać na zewnątrz. Obiecali, że zaraz ją zawołają. Staliśmy tak z pół godziny, aż w końcu ktoś przyszedł i zaprowadził nas do tylnego wejścia. Obiekt był o wiele większy, niż przypuszczałam. Szliśmy prawie dziesięć minut wzdłuż kolejki, która była na połę wbudowana w skałę, aż dotarliśmy do wejścia, gdzie bardzo starannie kontrolowano, kto wchodzi i wychodzi. Stała tam mama w białym szlafroku, pamiętam, jak się uśmiechnęła, kiedy wyszliśmy zza rogu. Włosy miała wysoko upięte, jeszcze nigdy nie widziałam jej w takiej fryzurze, a jej twarz była zaczerwieniona, jakby rozgorączkowana. Była umalowana, a kiedy wzięła nas w ramiona, pachniała perfumami. Moja mama się perfumuje, pomyślałam. Wtuliłam twarz w jej bok, szczęśliwa, że ją znaleźliśmy. Mój brat również, tyle że on był już słaby, naprawdę źle z nim było. Mama objęła nas mocno, przycisnęła mnie do brata. Poczułam, jakie rozpalone jest jego ciało. Siedzieliśmy tak na schodach z pięć minut, aż zauważyłam, że mama cała drży. Oderwałam się od niej i odchyliłam trochę. Zobaczyłam, że płacze. Łzy spływały po jej twarzy. „Mamo, przecież już jesteśmy razem, wszystko będzie dobrze”, powiedziałam. I wtedy jej szlafrok rozchylił się odrobinę, a ja poczułam nagłą suchość w ustach. Jej

ciało, jej skóra, brzuch, wszystko było porośnięte sierścią, to było... kocie futro, tak pomyślałam. Jej głowa nie, ale cała reszta była pokryta gęstym futrem, które ciasno opinało jej ciało, podkreślając wszystkie krągłości. „Mamo, co to jest?”, zawołałam i niewiele myśląc, ściągnęłam z niej szlafrok, odkrywając jej owłosiony tułów. Mój brat przyłożył dłonie do policzków, jego oczy były ogromne, gdy tak wpatrywał się w mamę. I wtedy mnie uderzyła, tak mocno, że zobaczyłam ciemnoczerwone iskry. Moja matka z całej siły mnie spoliczkowała. Zobaczyłam tylko, jak desperacko naciąga szlafrok, by ukryć przed nami sierść.

To było jak wynurzenie się z beczki pełnej czarnego atramentu. Pierwsze, co Paul zobaczył, to granatowy prostokąt – okno jego pokoju. Czarny zarys górskiego grzbietu, za nim ogromny złoty księżyc. Podparł się na łóżku. Obrazu dopełniło srebrne migotanie morza. Wybrzeże. Odległe wybuchy przyboju, gdy fale Atlantyku rzucały się o skały, rozpryskując na kilka metrów w górę pianę i drobinki wody.

Puk, puk.

Spojrzał na drzwi. Ktoś pukał – obudziło go pukanie. Przeskoczył wzrokiem na wyświetlacz radiobudzika stojącego na nocnej szafce. Było tuż po czwartej nad ranem.

– Tak?

– Paul, nie śpi pan?

Już nie.

Kobięcy głos. Nie wiedział czyj, w każdym razie nie była to Lizzie. Wieczorem, po tym, jak zniknęła mu z oczu na klatce schodowej, już jej nie widział. A pukanie nie dochodziło od strony drzwi łączących ich pokoje, tylko od strony korytarza.

– Niech pan otworzy, Paul... Ja... ja... tylko...

Wygramolił się spod kołdry. Bokserki i T-shirt, to musiało wystarczyć. Poprzedniego wieczoru umył się, a potem padł do łóżka i natychmiast zasnął. Zmęczenie ciążyło mu na powiekach.

– Momencik, już idę.

Nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Czy był lekkomyślny, nie zamykając ich na noc na klucz?

Była o głowę niższa od niego. Włosy miała odrobinę potargane, twarz bez makijażu. Poczul, jak budzi się w nim odruch otoczenia jej opieką.

– Constance! Co się dzieje?

– Też pan to słyszał? To stukanie?

Nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Stukanie? O, rany... Przepraszam, ale czy nie moglibyśmy kontynuować tej gry jutro? Kiedy jestem niewyspany, nie mogę zebrać myśli.

Jej oczy zwęziły się w przyjazne szparki.

– Jasne. Ale pana drzwi znajdują się dokładnie po przeciwnej stronie moich, więc... No dobrze, nie chcę panu przeszkadzać. – Skierowała wzrok w stronę korytarza. Drzwi naprzeciwko były otwarte. To musiał być jej pokój.

– Niech pani wraca do łóżka, Constance. – Paul nie puszczał klamki. – Niech pani nie da się wkręcić.

– Hm. – Zerknęła na niego przelotnie. – To... to nie brzmiało jak zabawa.

– Okay. – Szarpnął głową. Zamierzał się wycofać, zawahał się jednak, bo zatrzaśnięcie drzwi przed nosem kobiety wydało mu się nieuprzejme.

– Jakby na podłogę waliły się garnki. – Wbiła w niego wyczekujące spojrzenie swych wielkich oczu.

– Constance, nie wiem, który pokój zajmuje Beth. Ale niech pani ją znajdzie. Ona się tym zajmie.

– Pomyślałam tylko... – Zamrugła. – Bo powiedział pan przedtem, na dole, w jadalni, że nie podoba się panu to, co tu się wyczynia. Pomyślałam więc, że najlepiej będzie, jak zwrócę się do pana. – Wciąż się w niego wpatrywała. Uznał, że to nie jest zwykła kokieteria. W jej źrenicach przeblyskiwał niepokój, poczucie zagrożenia. – To był naprawdę głośny łomot. Kto robi takie rzeczy? Chodzi i rzuca garnkami? Mary? Glenn? Rzucają patelniami o podłogę? Po co? Przecież to nie może... Myśli pan, że Beth kazała im to robić? Że to element gry? – Kobieta może nie była wystraszona, ale... sytuacja nie była dla niej komfortowa, to było oczywiste. Tylko co miał jej powiedzieć? *Niech się pani zamknie w swoim pokoju i nikomu nie otwiera?* – Mógłby pan zejść ze mną na chwilę? Na dół? Sprawdzilibyśmy... Pewnie i tak już nie zasnę, zaraz zacznie świtać.

Popatrzył na jej profil, gdy odwróciła głowę w stronę okna znajdującego się na końcu korytarza.

– Była pani przywiązana do krzesła, tak? – Obserwował, jak odwraca głowę z powrotem, ku niemu. – Przedtem.

Po jej twarzy przemknął uśmiech.

– Ach, tak. Ale to było uzgodnione. Beth zapytała, czy zgadzam się... być niejako pierwszą ofiarą. Kiedy wszyscy rozeszli się do pokoi, żeby wziąć ciepłe ubrania na spacer do bungalowów, przywiązała mnie do krzesła. Mogłabym sama się uwolnić, chodziło tylko o to, by pokazać wszystkim jeden z wariantów gry.

– I znalazł panią Glenn, tak?

Skinęła głową.

– Jay była tak miła i została w pobliżu, aż usłyszałyśmy, jak ktoś przechodzi przez hol i kieruje się do portierni.

– W pobliżu? Czyli gdzie?

– W szatni, tuż obok portierni. Po prostu czułam się lepiej, wiedząc, że ktoś będzie niedaleko, gdybym zawołała. Ale potem przyszedł Glenn, wypowiedziałam na głos jego imię, żeby Jay wiedziała, że wszystko jest w porządku i że już nie musi tam siedzieć.

– Czyli nie widziała pani Jay? Słyszała pani, czy pokojówka mówiła coś jeszcze, zanim poszła?

– Czemu? – Constance popatrzyła na niego uważnie.

– Tylko tak... Znaczy... Widziała ją pani czy nie?

– Nie... nie, nie zwracałam na to uwagi. Ale wszystko było w porządku. Przecież był Glenn. Ale teraz... te garnki... – Machnęła ręką. – Ale tak, oczywiście ma pan rację, Paul. Przepraszam, że pana obudziłam...

– Nie, to żaden problem – przerwał jej. *Jezu!* – Chodźmy to sprawdzić.

Wrócił do pokoju, wziął z komody klucz, założył jeansy i wsunął stopy w hotelowe kapcie, a potem wyszedł na korytarz. Zamknął drzwi na klucz.

– Rozejrzemy się na dole. Potem chciałbym jednak chwilę się zdrzemnąć. – Tanie klapki jednorazowego użytku wyglądały tak, jakby zostały sklejone z tektury i plastiku. Paul nie wziął własnych, ale też nie chciał chodzić na bosaka. – Teraz już nic nie słyszać, prawda?

Zerkał na Constance, która schodziła głównymi schodami u jego boku. Długie, jasne włosy opadały swobodnie na jej ramiona. Znad kołnierza białego hotelowego

szlafroka wyłaniała się jej smukła szyja. Kobieta patrzyła pod nogi, by się nie potknąć.

– Jest mi naprawdę przykro, Paul. – Spojrzała na niego przelotnie. – Nie powinnam była pana budzić.

– W porządku – odparł z uśmiechem. – Lubię się snuć nocami po hotelowych korytarzach. – Widział, że jest mu wdzięczna.

– Pewnie byłoby lepiej, gdybym zapukała do Beth, ale wie pan... Beth... Dobrze się ze sobą dogadujemy, ale czasem można odnieść wrażenie, jakby miała potrzebę udowodnienia, że... że wszystko zrobiła, jak należy.

– W jakim sensie?

– No... Beth zajmuje się całym projektem parku... Może naprawdę to dla niej trudne. Mnie jest łatwo: mam tylko się kontaktować z przedstawicielami mediów i opiekować się nimi, tu nie ma wiele miejsca na błędy. Beth ma o wiele więcej do stracenia... No i oczywiście każdy uważa, że ma rację: „To jest fajne, a to nie”. Zaś Beth musi przekonać wszystkich, że to ona ma najwięcej racji w kwestiach tego, na co będą mieli ochotę klienci. A to przecież rzecz gustu. – Znowu na niego zerknęła. – Czasami odnoszę wrażenie, że Rupert sam nie jest do końca pewny, czy może ufać intuicji Beth. A zainwestował już masę pieniędzy w realizację jej pomysłów. To stwarza pewną presję, rozumie pan?

– Hmm... – mruknął i rozejrzał się po holu. – Mówi pani, że słyszała brzęk garnków? – Wskazał głową w stronę jadalni. – Do kuchni idzie się tędy.

– Zatem sprawdzmy tylko kuchnię. Nie chcę pana dłużej ganiać. – Constance owinęła się ciasniej szlafrokiem.

Ruszyli po czerwonym dywanie, którym był wyłożony hol. Palilo się tylko oświetlenie awaryjne – lampki, żarzące się tuż nad podłogą, sprawiały wrażenie, jakby pomieszczenie było pod wodą. Z podłogi wyrastały ukośne cienie. Skądś, zapewne z piwnicy, dobiegało głucho pomrukiwanie dmuchawy klimatyzacji albo centralnego ogrzewania.

– Psst... – Constance lekko klepnęła Paula w rękę.

Przystanął.

Klasklasklask... Teraz i on słyszał odległe pobrzękiwanie.

– Winda. – Nachyliła się ku niemu, zniżając głos do szeptu.

– Tak? – Paul zdał sobie sprawę, że też zaczął szeptać. Odchrząknął i głośniejsz dodał: – Ktoś jeszcze jest na nogach. Nie szkodzi.

Dał się słyszeć odgłos otwieranych i zamykanych drzwi windy. Potem nastąpiła cisza.

Constance obejrzała się w stronę schodów, którymi zeszli.

– Pojechał na górę.

– On? – zapytał z uśmiechem Paul. – Albo ona. – Wziął wdech. – To idziemy do tej kuchni czy nie?

Przeszli z holu do jadalni, również oświetlonej lampkami awaryjnymi, umocowanymi tuż nad podłogą. Stoły nakryto już do śniadania. Podwójne drzwi na tylny korytarz były zamknięte – przez szybę na wysokości oczu wpadała jaśniejsza poświata. W korytarzu prowadzącym do kuchni paliło się światło.

Paul pchnął skrzydła drzwi. Na podłodze w kuchni leżało kilka aluminiowych i miedzianych garów. Obie szyby środkowego okna były otwarte. Na blacie pod oknem stało jeszcze parę garnków. Najwyraźniej kilka z nich spadło na ziemię, kiedy okno się otworzyło, pchnięte czyjąś ręką lub podmuchem wiatru.

Rozejrzał się. Constance została na progu.

– Ma pani rację. Pospadały garnki. – Schylił się, żeby podnieść z podłogi jeden. – Okno się otworzyło i zmiotło je z blatu. – Odstawił naczynie na miejsce. *No dobrze, ale czy okno zostało otworzone od środka czy od zewnątrz? Jeśli od środka, to przedtem ktoś chyba odsunąłby garnki na bok. Od zewnątrz?* Dokładniej przyjrzał się framudze. Na pierwszy rzut była cała. *A więc od środka... Ale dlaczego? Ktoś wyszedł przez okno?*

– Widział pan to na końcu korytarza? – zapytała Constance.

– Co? – Odwrócił się do niej.

– Tamten pokój.

Paul minął kobietę i wrócił na korytarz. Wychodziło z niego kilkoro drzwi; wszystkie były zamknięte – z wyjątkiem jednego, lekko uchylonych.

Popatrzył na Constance.

– To pewnie jakaś spiżarnia albo coś w tym rodzaju.

– Tutaj, owszem, to magazyny. Ale na końcu są pokoje Glenn i Mary. Glenn, Mary i Jay.

– Tak?

– Byłam dziś po południu u Jay, chciałam poprosić o dodatkowy koc. – Policzki Constance nagle jakby się zapadły. Domyślał się, że ona też nie nawykła do tego typu nocnych wędrówek. – To jej pokój, Paul. Na końcu jest pokój Jay.

Paul spojrział wzdłuż korytarza. Coś mu mówiło, że powinien wrócić do swojego pokoju i tym razem dobrze się zabarykadować. Constance jednak ruszyła w stronę uchylonych drzwi.

– Niech pani zaczeka!

Dogonił ją. Constance chwyciła kołnierz szlafroka i otuliła się jeszcze ciaśniej.

– Kiedy byłam u niej po południu, sprawiała wrażenie... Coś z nią było nie tak.

Naga, tylko w czarnym staniku. Jakby oślepiła go błyskawica. Jay po wyjściu z pokoju. Z naoliwioną skórą.

„Ponton”, usłyszał jej głos. „...Znaleźli jasnoszary ponton”. „To była Jay, Paul”. „To nie byłam ja... to nie ja przed panem uciekałam”.

Constance pchnęła uchylone drzwi.

Powiało chłodem.

Pokój był pogrążony w mroku, łóżko rozgrzebane – a oba skrzydła okna otwarte. Sekundę później pod wpływem przeciągu zatrzasnęły się z hukiem.

– Widzi pan! – Constance rzuciła się do okna i otworzyła je. Nie było zakratowane. – Tam dalej! – Pokazała coś na zewnątrz.

Za ich plecami ponownie coś huknęło. Tym razem były to drzwi.

Wyspa – skały – noc – przybój.

Paul rozpoznał poruszające się w oddali potężne i powolne morze – wznosiło się i opadało, uderzając z łoskotem o skały. Niecałe trzydzieści metrów od okna coś leżało

na ziemi, furkotało na zimnym wietrze, słabo oświetlone latarniami wokół budynku.

Paul jednym susem dopadł do parapetu, przesadził go i zeskoczył po drugiej stronie na kamieniste podłoże. Czując żwir pod tekturowymi podeszwami kapci, pomknął przez plac w stronę jaśniejszej plamy. Jeszcze zanim do niej dotarł, wiedział, co to jest.

Nachylił się, sięgnął po tkaninę i przycisnął ją do siebie. Miękkie, szerokie spodnie. Nie zastanawiając się, wtulił w nie twarz, wciągnął powietrze i – poczuł jej zapach. Zapach Jay. Tak samo pachniała, kiedy zagadnęła go u podnóża schodów.

– Co to jest?

Odwrócił się. Budynek wcinający się ostro w noc niczym popękany trójkąt o długich bokach. Na dole, na wprost, okno, przez które wyszedł. W nim sylwetka Constance. Nie była sama. Obok niej stała druga kobieta. Krótkowłosa i chuda.

– Co pan tam ma, Paul?

Beth.

– Kurwa, spodnie od dresu! – Poczuł, jak kapeć zsuwa mu się ze stopy, ale nie przejął się tym. – Dresowe spodnie, Beth. I niech mi pani nie mówi, że pani nie wiedziała! – Potykając się, ruszył ku świetlnemu prostokątowi, w którym stały kobiety. Wciąż kurczowo ścisnął spodnie. – Spodnie Jay. To pani je tu położyła...

– Paul, niech pan się uspokoi...

– Położyła je tu pani, żebyśmy je znaleźli. No, gdzie on jest? – Prawie krzyczał, nie potrafił już się pohamować. To ta wyspa, ta przeklęta wyspa. – Gdzie jest ten kiler, którego sobie pani wymyśliła? Murder Park! Tak? Naprawdę? Powiedzieć pani coś? Wcale się dobrze nie bawię! Park rozrywki – rzygam nim, jeśli chce pani wiedzieć! – Dotarł do budynku. Stanął pod oknem i wykrzyczał Beth prosto w twarz: – Co pani sobie myślała? Jest noc, jestem zmęczony! I co teraz? Mam wrócić do łóżka i spać dalej? A co z Jay? W dupie to mam! Przecież to tylko gra!

Na pewno? Jego wzrok przeskoczył na Constance i nagle cała złość ustąpiła. A jeśli Jay tylko po coś poszła?

– Może Jay po prostu usłyszała łomot garnków w kuchni i wstała, żeby to sprawdzić – mruknął bardziej do siebie niż do Constance.

– Ale spodnie? Co robią na dworze te spodnie? – Na rzęsach Constance zawisły łzy. Jej twarz nie wyrażała już niepokoju, tylko czystą panikę. – Przecież w życiu nie zdjęłaby tu spodni!

– To na pewno da się wyjaśnić... – wtrąciła Beth, ale Paul wszedł jej w słowo:

– Ach tak? Co to znaczy? Że sama pani nie wie, co tu się dzieje? – Już nie krzyczał; kontrolował się. Przynajmniej tak mu się wydawało.

– Usłyszałam łomot – wyjaśniła Beth. – Łomot garnków. Constance mówi, że poustawiał je pan na miejsce, że wcześniej garnki leżały na podłodze. Dlatego zeszałam. A teraz krzyczy pan na mnie, a ja wiem tylko...

– Niech pani nie ściemnia! – Jednak wybuchnął. – To – rzucił spodnie na parapet – prawdopodobnie zostawiła pani tam osobiście. Albo kazała podłożyć komuś ze swoich ludzi!

– Ach, niech pan sobie wierzy, w co chce. – Beth popatrzyła na Constance. – Niech pani obudzi Glenna. Musimy zapalić wszystkie latarnie na zewnątrz. Chcę wiedzieć, gdzie

się podziela Jay.

– Nie ma jej w pokoju ani w łazience, nie ma jej w pomieszczeniach pokojówek. Nie ma jej nigdzie w trakcie kuchennym, na recepcji ani w piwnicy. Nikt nie widział jej u siebie pokoju ani na korytarzach. – Glenn wbijał w nich przenikliwe oczka.

Paul wstąpił do swojego pokoju po buty i sweter. Teraz powiódł wzrokiem po zgromadzonych w sali śniadaniowej. Wciąż te same twarze. Constance i Beth, Sheldon i Rupert, Glenn i Mary, Tony i Kate... Z nim i Lizzie łącznie dziesięć osób. Z Jay jednaście. Czy Beth nie wspomniała wczoraj, że na wyspie jest ich dwunastka?

„... To nie byłem ja, tam, pod hotelem... To nie ja przed panem uciekałam”.

– Przecież istnieje możliwość, że Jay wzięła latarkę i chodzi teraz po wyspie – odezwał się Tony.

– Ale po co? – Glenn spojrzał na niego. – Dlaczego miałyby wychodzić w środku nocy? – Znalezione przez Paula spodnie leżały na jednym ze stolików obok Glenna. Tony wzruszył ramionami. – Dobra, sama nam to powie, jak już ją znajdziemy – ciągnął Glenn. – Podzielimy się na grupy, tak najszybciej ustalimy, gdzie jest Jay.

– Może pan o tym zapomnieć – rozległ się głos. Paul odwrócił głowę. To Sheldon, ubrany w marynarkę, z charakterystyczną jedwabną apaszką na szyi. – Panie Rupercie? – Psychiatra odnalazł wzrokiem Levina; rozmowa z Glennem najwyraźniej była poniżej jego godności. – Panie Rupercie, powiedziałem już wczoraj, że nie zamierzam brać udziału w tym cyrku. Chcę wsiąść na powrotny prom, gdy tylko wstanie świt. – Z namysłem pogładził cienki wąsik. – Mam nadzieję, że to nie zakłóci zbyt wiele waszej strategii gry... Z drugiej strony, nie będę się tym przejmował. – Skinął głową Levinowi, siedzącemu przy stoliku. Ten milczał, wpatrując się w swoje paznokcie. – To tak tytułem informacji.

– To nie będzie możliwe, panie Sheldonie. – Levin nie podniósł wzroku. Nie podniósł też głosu, a mimo to skupił na sobie uwagę wszystkich. – To niestety nie będzie możliwe, bo jutro rano na wyspę nie przybędzie żaden prom.

– Nie. – Nie zabrzmiało to jak pytanie, lecz jak stwierdzenie, jakby Sheldon otrzymał potwierdzenie swoich przypuszczeń. – W takim razie czy mógłby pan, z łaski swojej, zatroszczyć się o to, by przysłano po mnie łódź? A może... może macie jakąś na wyspie?

– Na wyspie nie ma żadnej łodzi, panie Sheldonie. I nie mogę żadnej wezwać.

– Ach tak?

– Próbował pan kiedyś wyczarować łódź? To nie powinno być trudne, prawda?

Paul zauważył, że Sheldon odrobinę traci rezon.

– Jestem pewien, że dysponuje pan odpowiednimi kontaktami, panie Rupercie, ja zaś musiałbym najpierw się dowiedzieć, kto wynajmuje łodzie...

– To niemożliwe, panie Sheldonie. Telefony nie działają. – Paul lekko uniósł brew. Przecież jeszcze wczoraj telefonował do redakcji. – Stacjonarne. I komórki też. – Rupert w końcu podniósł wzrok, spojrzał przelotnie na Sheldona, a potem omiótł spojrzeniem twarze pozostałych. – Może niektórzy z państwa już to zauważyli, coś musi być nie w porządku z wieżą przekaźnikową na wyspie.

Paul odruchowo przesunął dłonią po kieszeni jeansów, do której włożył komórkę. Wyjął ją i wyłączył wygaszacz. Telefon działał, ale faktycznie nie było zasięgu. Dostrzegł, że Tony, Lizzie i Kate również są zajęci swoimi telefonami.

– Sam się zorientowałem przed chwilą, tuż po tym, jak Beth powiadomiła mnie o zniknięciu Jay – ciągnął Rupert. – W przeciwnym razie oczywiście poinformowałbym o tym...

– Bez promu, bez telefonów, bez komórki. – Tony wszedł mu w słowo. – A czy mamy wystarczającą ilość jedzenia?

– Spizarnia jest pełna, wystarczy na kilka dni – Glenn starał się przekrzyczeć narastające zamieszanie.

– A kiedy powinien przyplłynąć prom zgodnie z rozkładem rejsów? – zapytał Tony.

– Zaplanowane były trzy dni – Constance dołączyła do Ruperta – więc zostało jeszcze dwa i pół dnia. Sobota i niedziela. W poniedziałek przed południem prom przyplynie na wyspę. Proszę was, przecież wszyscy wiedzieliśmy, że spędzimy tu cały weekend.

– Bez telefonu?

– Chce pan powiedzieć, że nie mogę opuścić wyspy? – odezwał się Sheldon.

Gdzie jest Jay?, przemknęło przez głowę Paulowi.

– Panie Rupercie – głos zabrała Lizzie – od samego początku byłam za tym projektem, ale musi pan zrozumieć, że my... że to poszło za daleko. – Levin odchylił się do tyłu i położył ramię na oparciu krzesła za plecami Constance. – Co pan powie na to, żeby jednak najlepsze sztuczki zachować dla prawdziwych gości? – podsunęła z uśmiechem Lizzie. – Obiecuję panu – zerknęła na Paula – że niczego nie zdradzimy. Więc tak między nami, niejako *off the record*. To jest drugi krok, tak? Że znika pokojówka. Stacjonarne telefony nie działają, komórki nie mają zasięgu. Wow. – Pokiwała głową z uznaniem. – Świetnie. Naprawdę. Oczywiście ludzie będą... cóż, będą się denerwować. W końcu o to chodzi, prawda? O uwolnienie hormonów stresu. Uważam...

– Okay! – przerwał jej głośno Rupert, po czym wstał i odwrócił się tyłem. – Jay! Zdemaskowali nas! Może pani wyjść! – Odwrócił się z powrotem do nich. Paulowi nagle wydało się, że twarz Ruperta porały czarne bruzdy. Wyglądał staro. Jakby coś odcisnęło na nim piętno. – Przykro mi, pani Hillstrom – Levin zatrzymał wzrok na Lizzie – ale obawiam się, że będziemy musieli zrobić to, co mówi Glenn. Podzielić się na grupy i wyruszyć na poszukiwania pokojówki. Chciałbym państwu tego oszczędzić, ale nie mogę.

Wtedy rozległo się wołanie:

– To stacja bazowa!

Zabrzęczały wielkie szklane drzwi prowadzące na taras. Stał w nich Michael. W dłoni trzymał latarkę, której ostry promień kierował na i tak jasno oświetlone pomieszczenie.

Michael! Oczywiście! To jego brakowało. Dwunasta osoba.

– Co jest ze stacją bazową? – zapytał Paul, stojący najbliżej Michaela. Nie wiedział wprawdzie, czym jest stacja bazowa, jednak przypuszczał, że ma coś wspólnego z awarią

sieci komórkowej.

– Niech pan pójdzie ze mną. Musi pan to zobaczyć! – Michael ustąpił, by przepuścić Paula.

– Zaczekajcie, pójdę z wami. – Lizzie przecisnęła się obok nich na zewnątrz.

Chwilę później plama światła latarki zatańczyła na ścieżce, która prowadziła przez grzbiet góry ku kamienistej dolinie.

– Początkowo zastanawiałem się, skąd on ma kluczyki – opowiadał Michael. – Ale potem...

– Był pan na górze, tak? – Paul szybkim krokiem, ramię w ramię z dźwiękowcem, maszerował przez mrok. Lizzie trzymała się w tyle.

– Chciałem wiedzieć, co się dzieje, kiedy zauważyłem, że nie ma zasięgu.

– I?

– Glenn powiedział mi, że połączenia komórkowe są obsługiwane przez stację bazową. W praktyce to coś jakby rodzaj anteny. No to poszedłem tam. Tutejsi robotnicy oczywiście zostawiają kluczyki w stacyjce, bo kto tu miałby coś ukraść? Tam, widzi pan?

W ciemności żarzyły się czerwone tylne światła maszyny budowlanej. Ciężka łyżkowa ładowarka stała jakieś pięćset metrów od nich, ale droga biegła teraz w dół, dzięki czemu mogli ją zobaczyć.

– Tam? Ta antena?

– Tak. Musiał się posłużyć ładowarką, żeby uszkodzić maszt.

– On? Czy to musiał być mężczyzna? – Paul spojrzał czujnie na Michaela. – Może ładowarką jechała jakaś ona?

– On... albo ona... jasne. W każdy razie osoba, która wzięła pojazd, nawet nie wyłączyła świateł. – Szli dalej. – Nie znam się na tym – rzucił po chwili Michael – ale to nie wygląda dobrze. A ten dings... ta antena stoi tak daleko od hotelu, że nic nie słyszeliśmy. Już parę godzin temu mógł...

– On... Czyli kto? – *Czyżby wiedział coś więcej?*

– Tak, sorry, ma pan rację. – Michael przystanął i zsunął bejsbolówkę na tył głowy. Świecił latarką w stronę pojazdu; jego tylne światła zdawały się wskazywać na nich. – W każdym razie łyżka ładowarki parę razy porządnie walnęła w tę szafę z oprzyrządowaniem elektrycznym u stóp masztu. No i wszystko padło.

Paul minął Michaela i ruszył w stronę masztu. Teraz widział już światło przednich reflektorów skierowanych na wieżę. Zbliżył się do ciężkiego pojazdu. Drzwi ładowarki były otwarte, kluczyki tkwiły w stacyjce. Ciężka łycha wgniatała się w antenę tak silnie, że ta prawie złamała się w pół. Szafa u podnóża masztu była zabezpieczona ogrodzeniem z drutu kolczastego, ale pojazd zmiażdżył je, jakby było z zapalek.

On.

Co tu się działo?

Przeniósł wzrok na Michaela, który podszedł do szoferki, by oświetlić latarką jej wnętrze. Kabina była pusta.

Oczywiście.

Do szafy podeszła Lizzie. Paul popatrzył na nią.

Wtedy w głębi siebie usłyszał szept:

Zaczęło się. Ktoś rozpoczął na nas nagonkę.

– Po prostu nie wierzę, że coś tu się wymyka spod kontroli. A ty? – Lizzie, wzburzona, popatrzyła na Paula. – To wszystko jest ukartowane, jasna sprawa!

Rozdzielili się. Michael wrócił do hotelu, by omówić z pozostałymi dalsze kroki, a Paul i Lizzie zamierzali ruszyć wzdłuż wybrzeża w poszukiwaniu śladów Jay.

– Masztu nie wygięli ot tak, dla zabawy. – Paul trzymał latarkę Michaela, tak że promień światła wyławiał z ciemności kamienie i żwir jakieś dwa metry przed nimi. – Taki maszt jest zbyt drogi.

Na horyzoncie ciągnęło się cienkie srebrne pasmo, odcinające wyspę i morze od nieba. Jednak nad nimi i z tyłu ląd, woda i powietrze nadal zlewały się w jedno – w potężną, czarną kałużę, która zdawała się czyhać na nich, kiedy brnęli krętą ścieżką, uzbrojeni w jedno wątle światelko.

– Jedno z nich wsiadło do koparki i skosiło maszt, żebyśmy nie mogli wezwać pomocy, tak? – Lizzie wzięła Paula pod rękę.

– Faktem jest, że ktoś wsiadł i skosił maszt, owszem.

– Ktoś! Co masz na myśli? Ktoś z nas? Uczestnik imprezy dla mediów? To chyba mało prawdopodobne, nie? Na wyspie musi być jeszcze ktoś, ktoś, o kim nie wie ani Beth, ani Rupert. Zgadza się?

– A skąd mam wiedzieć? – Pas światła na horyzoncie zaczął się rozszerzać. – Jay wspominała o jakimś pontonie. Byłaś przy tym. Podobno robotnicy znaleźli na wyspie ponton.

– Myślisz, że to dlatego zniknęła? Że ten ponton ma coś wspólnego z jej zaginięciem?

– Trudno powiedzieć.

– Ponton... Ktoś mógł przybyć nim na wyspę.

– Hmm.

– Ktoś, kto jeździł ładowarką. – Lizzie spojrzała na Paula.

– Tak, ja też o tym pomyślałem.

– Ktoś, o kim Rupert i jego ludzie nie wiedzą.

Paul poczuł, że narasta w nim niepokój.

– Tak. A to z kolei oznaczałoby, że Rupert i Beth być może nie mają pojęcia, co naprawdę się tu dzieje.

– Być może osoba, która zniszczył maszt, ukrywa się gdzieś na wyspie. – Lizzie świdrowała spojrzeniem otaczający ich mrok.

– Ten mężczyzna... albo kobieta... chociaż... – Paul zerknął na nią. – Ta postać z maską niemowlaka wczoraj wieczorem... Nie kryła się pod nią kobieta; To się nie poruszało jak kobieta.

Lizzie mocniej ścisnęła jego ramię.

– Chyba lekkomyślnie jest tędy chodzić. On może się czaić w cieniu.

Przy drodze z ciemności wyłoniła się potężna skała. Paul miał wrażenie, że coś za nią umknęło, ale pewnie był to tylko cień poruszający się za sprawą wędrującego promienia latarki. Minęli skałę.

– Albo to naprawdę ktoś z personelu hotelowego – mruknął. – Niejako jedno z nas.

– Też o tym myślałam.

– To mógłbym być ja.

– Tak. – Zgodziła się Lizzie, ale w jej głosie dał się słyszeć lekki chichot. Nie puściła jego ramienia. – Albo Tony... Albo... Glenn lub... Bo ja wiem.

– Myślałem raczej o Michaelu. Przedtem, kiedy wszyscy zebraliśmy się w jadalni, tylko jego brakowało. Rzekomo był przy maszynie, ale... równie dobrze mógł robić coś innego.

– Michael... Nie podejrzewam go o coś takiego. Może jest trochę dziwny, ale... prawdziwym świrem jest Tony.

– Tak?

– Nie chciałam, żeby to on kręcił, ale producent powiedział, że muszę go wziąć.

Tony. Paul przywołał w myślach postać krępego kamerzysty o okrągłej głowie, krótkich włosach i wielkich oczach.

– A dlaczego nie chciałaś?

– Jasne, rozumiałam, czemu tak bardzo zależy im właśnie na nim. On się zna na takich rzeczach...

– Jakich rzeczach?

– Na takich... policyjnych... związanych z przestępstwami. Aż za bardzo, jak na mój gust.

– Prawdziwy fachura.

– Można tak powiedzieć. Czy ty też nie zajmowałaś się kiedyś podobnymi rzeczami? Czytałam na twoim blogu. Nasłuchujesz częstotliwości policyjnej, a kiedy jest wezwanie do przestępstwa, starasz się dojechać na miejsce jak najszybciej.

Zdarzało się...

Ze trzy czy cztery razy Paulowi udało się zdobyć w ten sposób materiał na wyłączność. Kiedy szybko reagował, słuchając częstotliwości policyjnej, mógł wrzucić na blog relację z miejsca zbrodni, zanim cała reszta dowiadywała się o sprawie.

– Tony wyspecjalizował się w tym parę lat temu – ciągnęła Lizzie. – Pracował na własną rękę, miał tylko małą kamerę cyfrową i taki skaner do prowadzenia nasłuchu, odbiornik czy jak to się nazywa. No i oczywiście samochód. Był ciągle w drodze. Noc w noc. W dzień spał, a kiedy robiło się ciemno, włączał skaner i czekał. Na następną ofiarę. Następną krew. Jak jakiś Dracula.

– Pewnie potrzebował kasy. Może to nie jest piękne zajęcie, ale...

– Koleżanka opowiadała mi kiedyś, że podobno raz był na miejscu przed policją. To był napad w prywatnym domu, napad, podczas którego coś poszło nie tak. Padają strzały, złodzieje w długą, sąsiedzi wzywają policję. I kto przyjeżdża pierwszy? Tony – swoją małą obtluczoną hondą. Wyciąga kamerę, wchodzi do środka. Miał najwyżej trzy, cztery minuty, żeby się ulotnić, zanim policja go przymknie. Zrobił trochę zdjęć...

– Tak?

– Nie można ich było opublikować. Ale Tony jest z nich bardzo dumny. Ja w ogóle nie chciałam oglądać tego materiału, ale on się uparł. Krew. Na białych kafelkach. Wyraźnie było widać, że ktoś się na niej pośliznął. Tony kręcił rozchwianą kamerą, on

nie potrafi utrzymać ręki spokojnie. Dosłownie miało się wrażenie, jakby obrazy pulsowały w rytmie pompującego serca. Wszedł do środka przez taką sień, wychynął zza winkla, a tam... leżała ona. Oczy otwarte. Powalona na kanapę siłą postrzału. Kule wbiły się w pierś i brzuch. Wiesz, tak się zastanawiam... czy ona jeszcze żyła? To musiało być... ze trzy, może pięć minut po tym, jak padły strzały. Tony był na miejscu tak prędko, tylko dlatego że przypadkiem był w pobliżu. Widziałam te zdjęcia, ta kobieta... była... wyglądała jakby jeszcze żyła, rozumiesz? Zaróżowiona. Młoda. Wilgotne wargi. Tuż przedtem zwilżyła usta językiem, a teraz była zastrzelona. Tony dopadł do niej z kamerą i filmował. Zbliżenie twarzy, ślady po kulach... Cofnął się, pośliznął na krwi, złapał równowagę...

– I dlatego nie chciałaś, żeby tu był?

– „Jesteś żółtodziobem, Lizzie”, powiedzieli mi w wytwórni. „Weź ze sobą starego wyjadacza”. Jasne, rozumiem to. Tony jest miły, jak na mój gust czasem aż za miły. „Lizzie, chcesz to, Lizzie, chcesz tamto, powiedz, czego ci potrzeba, pogadajmy, jak to widzisz”. To jest takie... oślizgłe? Chociaż zawsze pozuje na takiego kozaka. Ale jak zostaje się z nim sam na sam... Na pewno nie ma nic złego na myśli, ale to i tak średnio przyjemne. Mówię mu: „Tony, świetnie ci idzie. Zdaję się na ciebie”, ale potem przypominają mi się zdjęcia z tamtego domu. Wiesz, co mnie w tym najbardziej niepokoiło?

– Krew?

– Nie. To, że on się... Nie jestem do końca pewna, ale wydawało mi się, że on się tym jarał. Że go to nakręcało. Krew, przemoc, impet, bliskość śmierci, oczywiście także to, że ta kobieta, ofiara, była taka młoda. Prześliczna młoda dziewczyna. Ale gdyby ją zobaczył na ulicy albo nawet w domu w kostiumie kąpielowym, to by go tak bardzo nie podnieciło. Leżała tam tak. Z otwartymi oczami. Umazana. I to go tak jarało. Podniecało seksualnie. Nie mam pojęcia, po czym to było widać. Ale tak było. Kręciło go to totalnie. Tak bardzo, że podniecało go pokazywanie mi tego. Dla mnie to było za bardzo pokręcone. Powiedziałam mu, że nie powinniśmy razem pracować, ale on wykręcił kota ogonem i poprosił mnie, żebym go odwiedziła u niego w domu. Szkoda mi się go zrobiło. Mówił, że potrzebuje tej roboty. „Przyjdź do mnie, zobacz, jak jest, i wtedy zdecydujesz”.

– Więc pojechałaś do niego.

– Pojechałam. Ale to nie było tak, że mnie zaczepił na ulicy albo w parku. I ostatecznie to wytwórnia naciskała na naszą współpracę. „Sporo się od niego nauczysz”, mówili. Dlatego pojechałam. Pomyślałam sobie, że może naprawdę źle go oceniłam.

Przystanęli. Paul wyłączył latarkę. Pasma na horyzoncie rozświetliło już prawie połowę nieboskłonu. Wyspa odcinała się od niego poszarpaną linią. Droga, którą obrali, wiała się lekko w górę. Znajdowali się już dość wysoko nad falami przyboju, rozbijającymi się o zavalone skały w dole.

– Telewizor na tekturowym pudle, materac, parę hantli w kącie. To wszystko.

Paul popatrzył na Lizzie; poświęcała więcej uwagi jemu niż pejzażowi.

– W mieszkaniu Tony’ego?

– Tak. Jeden pokój, kuchnia, z pralką i zmywarką, ale bez stołu. Okno wychodziło na taki wąski świetlik. Blok ma może trzydzieści pięter, ale Tony mieszka na pierwszym

czy drugim. Nawet nie dociera tam światło.

– Mieszka sam?

– Oczywiście! Leży dzień i noc na materacu i rozmyśla. Sam mi to powiedział! Aż ktoś zadzwoni i da mu jakieś zlecenie. Wtedy wychodzi na zdjęcia, dwadzieścia, czterdzieści godzin, potem wraca do tej nory i na materac. I tak do następnego telefonu.

– Rozmyśla? A o czym?

– O swojej żonie i córce. Zostawiły go. O tym też mi opowiadał, kiedy siedzieliśmy w tym jego mieszkaniu na podłodze. Opuściły go w tamtym czasie, kiedy noc w noc słuchał policyjnego radia. Napięcie musiało ciągle rosnąć, aż w końcu przestał sobie z nim radzić.

– Tak ci powiedział.

Skinęła głową.

– Widać było, że nie mówi o tym zbyt często, ale że go to nurtuje, i że się cieszy, mogąc o tym komuś opowiedzieć. Co dokładnie się wydarzyło, nie chciał mi zdradzić. Mówił, że nocne wyjazdy na miejsca przestępstw, ciągły stres związany z policją, wahanie, jak daleko może się posunąć – wszystko to go wykańczało. Musiało, zdaje się, dojść do kłótni z żoną, podczas której nieźle się poprzytkali. Nie mówił o szczegółach, ale wyglądał na dość zdołowanego. – Lizzie patrzyła na Paula wielkimi oczami. Zrozumiał, dlaczego się go uczepliła – skoro na wyspę wysłali tego kamerzystę. – W każdym razie chyba nieźle się wściekł, więc go zostawiła.

– I teraz on o tym rozmyśla.

– Tak. Jasne, szkoda mi go było, nadal jest... ale... Nie sądzę, żeby to akurat stres spowodował ten jego wybuch. Myślę, że to było to, co zwróciło moją uwagę na tych zdjęciach. On to kocha. Kocha przemoc. Nie zawsze, nie codziennie. Ale czasem go nachodzi. Tli się gdzieś głęboko. Myśli skupiają się na tym coraz częściej, aż w końcu nie może ich dłużej hamować. I wtedy to się dzieje. To właśnie mnie niepokoi. Powiedziałam o tym w wytwórni. „Okay, byłam u Tony’ego, rozumiem, że chciałby wziąć tę robotę, rozumiem, że próbował pozyskać moje zaufanie szczerością, ale mimo to wołałabym kręcić z kimś innym”. Ale oni powiedzieli, że wiedzą o Tonym, że mogę mu ufać i że bym nie robiła ceregieli. Jest najlepszy, jeśli chodzi o to zlecenie, i już.

– Ach tak. – Paul wreszcie zaczął widzieć sprawy jasno. – To dlatego chciałaś mieć pokój obok mojego.

Lizzie machnęła ręką.

– Nie... Tony... oczywiście nic mi nie zrobi... ani komukolwiek innemu. Jest w porządku, po prostu jest trochę... samotny. Może. – Uśmiechnęła się. – Ta sprawa z pokojem... Nie boję się Tony’ego, po prostu wołałabym kręcić z kimś innym, to wszystko.

Ruszyli dalej. Niebo pojaśniało już całkowicie. To był pierwszy raz, gdy Paul widział wyspę w świetle dnia – skąpo porośnięta roślinnością skała pośrodku oceanu.

– Co? – Zatrzymał się i spojrzał na Lizzie. Czy coś powiedziała?

Przycisnęła obie pięści do ust. Miała szkliste oczy, a głowę schowała w kościstych, sterczących ramionach.

Podążył za jej spojrzeniem. I wtedy to zobaczył.

Głęboko w dole, może ze dwieście metrów w linii prostej od miejsca, w którym stali, tam, gdzie fale uderzały o poszarpane strome wybrzeże, w wodzie leżało ciało. Z tej odległości niewiele było widać poza wykręconą na plecy ręką, włosami, które grubymi pasmami oblepiały nagą skórę, tułowiem, obmywanym przez kipieli. A jednak Paul wiedział. Był tego tak pewien, jakby patrzył jej prosto w oczy. To była Jay. Leżała tam, łagodnie kołysana falami, z twarzą do dołu, w wodzie.

– Tak, jasne, to możliwe, ale ja w to nie wierzę. Nie wierzę, że spadła. Było ciemno, wybrzeże opada tam stromo, było wąsko, może nie miała ze sobą latarki. Ale po co miałyby w środku nocy oddalać się od hotelu? Z latarką czy bez! – Paul wlepił wzrok w Beth. – Dlaczego miałyby zdejmować spodnie... Dlaczego miałyby wałęsać się w taki ziąb? Ja... nie wiem, wszystko mogło się wydarzyć, ale to nie był wypadek, Beth. Nie wmoi mi pani tego!

„To nie ja przed panem uciekałam. Próbowałam już rozmawiać o tym z Mary i Glennem, ale oni nie chcą mnie słuchać”. Paul nie potrafił walczyć z echem słów Jay brzmącym mu w uszach. „Te rzeczy, które pan Levin umieścił w bungalowach, przynoszą nieszczęście”. Jej czarne, szeroko rozwarte oczy...

Odwrócił się i popatrzył na pozostałych. Przymocowywali właśnie do skały solidną linę, którą przyniósł Glenn. W tym miejscu było zbyt stromo, by Paul i Lizzie mogli podjąć próbę zejścia w dół do Jay. Czy jeszcze żyła? Z wody wystawały tylko jej potylicy i plecy. Klif w tym miejscu był zbudowany z luźnych warstw skał, które w każdej chwili mogły się osunąć w dół wraz ze stojącymi na nich ludźmi. Niewielka zatoczka, w której leżała Jay... zwłoki Jay... była z obu stron zamknięta stromymi skałami, które trzeba by opłynąć, by się do niej dostać. Ale wody zatoki były ciemnoszare i wzburzone. Ocean ryczał, poruszał się niczym gigantyczny płaskowyż, przesuwiał się i unosił, by za chwilę rozciągać się i rozlewać w nowe nurty.

Paul i Lizzie pośpieszyli do hotelu, żeby powiadomić pozostałych. Wrócili do zatoki razem z Glennem, Beth i Michaeliem. Cała reszta wycofała się do swych pokoi albo była gdzieś na wyspie.

– Zaraz będziemy mogli się spuścić na linie. – Glenn zauważył, że Paul śledzi go wzrokiem.

– Widziałem Jay wczoraj wieczorem, tuż po naszym przybyciu, w korytarzu, w którym jest mój pokój. – Paul znów zwrócił się do Beth. – Wyszła... rozebrana... z pokoju obok. – *A wcześniej slyszalem, co tam robili.* – Kto zajmuje ten pokój? Po jednej stronie kwateruje Lizzie Hillstrom, a po drugiej?

Beth przelotnie dotknęła czoła.

– Po drugiej stronie? Sheldon Lazarus. Został tam zakwaterowany.

Sheldon.

Paul usiłował zachować spokój. Wystarczyło popatrzeć na Beth, by wiedzieć, że bez reszty przerasta ją to, co się dzieje.

– Porozmawiam z nim potem. Ale to nie wystarczy, Beth. Będzie pani musiała sama z nim pomówić. Zapytać go, co wie o Jay.

– Tak, Paul, oczywiście.

– Nie, nie: „Tak, Paul, oczywiście”. Naprawdę musi pani to zrobić. Rozumie pani?

– Porozmawiam z Rupertem...

– Uprawiali seks w pokoju obok, Sheldon i Jay, wyraźnie ich slyszalem!

– I dlatego miałby zepchnąć dziewczynę z klifu?

– Paul? – zawołał Glenn. – Czy może pan tu podejść?

– Tak, sekundę. – Paul dał mu znak, że zaraz do niego dołączy.

– Sheldon nie jest tu przypadkiem – powiedziała Beth. – Rupert włączył go do zespołu, bo ma nadzieję, że poprze projekt parku. Każdy wie, że dwadzieścia lat temu Sheldon osobiście brał udział w poszukiwaniach Jeffa Bohnera. Dla Ruperta Murder Park będzie kompletny dopiero wtedy, gdy będzie mógł powiedzieć, że Sheldon Lazarus współdziałał przy jego projektowaniu. To byłaby znakomita reklama...

– Po tym wszystkim, co tu się stało, pani myśli o reklamie?

– Paul, proszę posłuchać, rozumiem, że jest pan zaniepokojony, każdy jest. Ale... muszę prosić, żeby wykazał pan również odrobinę zrozumienia dla nas, dla pana Levina. Zainwestował ogromne środki i nie może nagle...

– Nie, nie, do cholery! – przerwał jej, wzburzony. – Kto tkwił pod maską niemowlaka? Czy chociaż to możemy wyjaśnić? Bo to nie była Jay. Rozmawiała ze mną o tym. Kazała jej pani chodzić w masce, ale to nie była Jay.

– Jak to? – Oczy Beth zwięzły się w szparki.

– Ktoś ją zatrzymał. Konkretnie Constance. Nie chciała siedzieć sama w portierni, więc poprosiła Jay, by została w pobliżu. Dlatego Jay odwiesiła maskę, którą dostała od pani, z powrotem do szafy i została z Constance. Nie mogła być tą osobą. To nie ona chowała się pod maską!

Beth zawahała się, wyraźnie zbита z tropu.

– Jay była z Constance w portierni?

– Była w pobliżu, w szatni.

– Więc Constance nie widziała Jay?

– Nie, przecież mówię...

– Idzie pan, Paul? – Glenn wciąż stał parę kroków za nim.

– Tak, momencik...

– Jay dostała maskę, Paul. Nie wiem, co panu mówiła. Nie mogę teraz wyjaśniać wszystkiego w najdrobniejszych detalach, ale Murder Park to przedsięwzięcie, w którym chodzi o...

– Nie interesuje mnie, jakie przedsięwzięcie tu sobie planujecie. Interesuje mnie, kto zepchnął Jay z klifu! I niech mi pani nie mówi, że skoczyła sama! Rzekomo była osobą w masce, ale to też nieprawda. Jay sama mi się zwierzyła, jeszcze w nocy...

– Naturalnie przygotowaliśmy – Beth ciągnęła, jakby w ogóle jej nie przerwał – to i owo na ten weekend, żeby zaprezentować mediom poszczególne aspekty parku, ale to nie oznacza jeszcze...

Odwrócił się. To było nie do zniesienia. Ta kobieta była jak budyń, który próbowało się przybić gwoździami do ściany. Nie wydobydzie z niej nic sensownego.

– Michael jest już na występie skalnym w połowie wysokości. – Glenn wyszedł Paulowi naprzeciw. – Przymocowuje tam drugą linę, która powinna sięgnąć do samego dołu.

Paul podszedł do krawędzi klifu i wyciągnął szyję, żeby popatrzeć w otchłań. Nie mógł się pozbyć uczucia, że trawiasty nawis nad przepaścią w każdej chwili może mu się usunąć spod nóg. Jakies dwadzieścia metrów niżej zobaczył Michaela; stał na sporawej półce skalnej i spoglądał w górę.

– Proponuję, żebym to ja zabezpieczył linę na górze, a pan zjedzie pierwszy do Michaela. Stamtąd jeden z was zostanie spuszczonej na sam dół. – Glenn wpatrywał się w przepaść.

Od dziewczyny, której plecy wystawały z kipieli pomiędzy potężnymi głazami, dzieliło ich jakieś osiemdziesiąt metrów.

– W porządku. – Paul owinął sobie linę wokół ręki, skinął głową Glennowi i powoli wycofał się na krawędź klifu. Podeszwami butów wprawiał w ruch kamyki; turlały się w otchłań. Obciążył linę całym ciężarem.

– Niech pan uważa, żeby zrzucić w dół jak najmniej kamieni – usłyszał z dołu głos Michaela.

Zsunął się dalej. Kiedy minął krawędź, doznał wrażenia, że huk przyboju się wzmógł. Słysząc każdą falę z osobna, syk, z jakim woda rozlewała się pomiędzy skałami, bulgot, z którym wsiąkała pod kamieniami. W uszach gwizdał mu ostry wiatr, niosący drobniutkie kryształki soli. Najgorszy był jednak brak rękawiczek. Lina była surowa i szorstka, ale nie mógł jej puścić ani na moment. Chwył za chwytem, powoli spuszczał się w otchłań.

– Bardzo dobrze, Paul, jest pan już prawie na miejscu. – Głos Michaela brzmiał już tuż pod nim.

Paul odepchnął się stopami od ściany, zawisł i opadł w dół. Z głuchym łoskotem wylądował na skalnej półce. Chwył wyciągniętą ku niemu dłoń i pozwolił się dźwignąć na nogi. Przez chwilę on i Michael patrzyli sobie w oczy.

– Żałuję, że przyjąłem to zastrane zlecenie! – wyrwało się Paulowi, zanim zdążył pomyśleć. – Co pan miał na myśli wczoraj wieczorem? – Wyprostował się i zobaczył, jak wzrok Michaela pod daszkiem czapki zmacił się na chwilę. – Czy pan wie, o co tu chodzi?

„Naprawdę uważasz, że mówią nam, o co tu chodzi?”, te słowa Michael cisnął Tony’emu w twarz.

Dźwiękowiec odwrócił głowę i spojrzał w przepaść, jakby unikał wzroku Paula.

– To nie takie proste... – zaczął, ale urwał.

– Nie? Dlaczego? To bardzo proste. Wyglądał pan na poważnie przestraszonego, a teraz... – Paul również przeniósł spojrzenie na wodę, na bladą skórę Jay. – Wie pan o czymś, o czym ja nie wiem?

Zielone oczy Michaela ponownie skierowały się na niego.

– Nie mogę z panem o tym rozmawiać. Chciałbym, ale... – Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Paul miał wrażenie, że Michael właśnie podjął jakąś decyzję. – Nie chcę stracić roboty, okay? Ja też muszę jakoś zarabiać na życie.

– Jay nie żyje, a pan się boi, że straci robotę?

– Niech pan posłucha, Paul, nie interesuje mnie, co pan sobie myśli. Nie ma pan pojęcia... – Michael przerwał i odwrócił się.

Paul wypuścił powietrze z płuc. Było oczywiste, że Michael nie chciał mówić. On zaś nie mógł go do tego zmusić.

– No dobrze. Może pogadamy dziś wieczorem, tak?

– Niech będzie... – Nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie.

– Schodzę pierwszy, zgoda? – Próbował wyczytać coś z twarzy Michaela, na wpół

zasłoniętej daszkiem czapki. – Niech pan zabezpiecza linę.

– Jasne – odparł Michael, wyraźnie zadowolony, że rozmówca przestał go naciskać. Sięgnął po linę, której koniec dodatkowo był zabezpieczony na skale, i owinał ją sobie wokół ręki.

Paul zaczął ostrożnie przesuwac się za krawędź urwiska. Nie było tu już trawy, żwiru ani piasku, tylko naga skała, wrastająca w wodę jak monolit. Dzięki temu jego stopy lepiej trzymały się podłoża. Przyzwyczaiał się już też do liny. Nie minęło dziesięć minut i dotarł do podstawy klifu. Zwalone głazy tworzyły tu solidne podłoże. Puścił linę i spojrział w górę. Z miejsca, w którym stał, nie widział już Michaela. Dostrzegł jednak Glenna – spuszczał się w dół przez krawędź klifu. Zanim dotrze na dół, upłynie trochę czasu, a Paul nie chciał czekać.

Popatrzył w stronę wody. Jay musiała leżeć jakieś dziesięć metrów dalej, tam, gdzie fale rozbijały się z wysokim rozbryzgiem. Szum i huk Atlantyku zdawał się kisić w zatoce jak w kotle.

Krok za krokiem, ruszył po kamieniach, próbując utrzymać równowagę.

– Paul, niech pan zaczeka!

Odwrócił się i spojrział w górę. Glenn wisiał w połowie wysokości klifu. Przykładał dłoń do ust, by ochronić głos przed wiatrem. Wolną ręką dał Paulowi jakiś znak. Wskazywał na Jay? Paul zobaczył, że mężczyzna porusza ustami, ale nie rozumiał, co mówi.

– Zobaczę, czy dam radę wyciągnąć ją z wody. – Słowa drapały go w gardle.

Glenn pokręcił głową.

Co?

Mam czekać?

Ale na co?

– ...przyływ!

Przyływ. Glenn wykrzyczał: „przyływ”.

Paul obejrzał się w stronę morza. Tak, oczywiście, to możliwe. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi, ale prawdopodobnie nadchodził przyływ. Tym bardziej powinien się więc pośpieszyć!

Przeskoczył rozpadlinę przed sobą i wylądował na kolejnym głazie, który był już w połowie zalany wodą. Był to rodzaj leżącej ukośnie płyty, sterczącej ku falom przyboju. Usłyszał głuchy łoskot – syk – i w powietrze, na wysokość co najmniej ośmiu metrów, wystrzeliła struga wody, po czym spadła gęstym deszczem. Przez chwilę widział tylko krople i rozmazane kształty, aż uświadomił sobie, że jego okulary pokrywa warstewka słonej wody. Przetarł szkła, założył je z powrotem – i wtedy ją zobaczył. Jay. Leżała w niewielkiej niecce, która utworzyła się pomiędzy płytą pod jego stopami a ostatnim skalnym okrucem wybrzeża.

Jeśli doczołga się do zewnętrznej krawędzi płyty, może uda mu się chwycić jej rękę. Obejrzał się na Glenna. Ten dotarł już do skalnej półki w połowie wysokości, teraz przy pomocy Michaela zabierał się do pokonania ostatniego odcinka.

Paul schował okulary do zamykanej na suwak kieszeni kurtki. Odwrócony plecami do oceanu, przycupnął, by dosięgnąć do powierzchni wody.

Usłyszał łoskot –
obejrzał się za siebie –
i zbyt późno pojął, co to było.
Ściana –
ale nie z kamienia –
lecz z wody.

Wysoka niczym drzewo. Tuż za nim. Wielka, spiętrzona.

Lodowate ręce sparaliżował mu skurcz. Chciał się rzucić z powrotem na płytę – i w tym momencie poczuł, że woda go dosięga, unosi łagodnie jak gigantyczna matka – zimna, mokra, nieubłagana. *Nie martwa. Ale i nie żywa.*

Otworzył usta. Poczul, jak słona woda obmywa mu twarz, wlewa się do ust, nosa, uszu. Zaraz potem oderwało go od skały. Płynął – szybował – unosił się w wodzie. Uderzył bokiem o ostrą skałę, stopił się z otaczającym go szumem i poczuł, jak ogromna fala porywa go ze sobą. Przeszorował ciałem ponad skałami, rozpaczliwie młóćąc rękami, by głębina go nie pochłonięła – i wynurzył się na powierzchnię.

Wyspa. Poszarpana skała niczym pancierz żółwia. Strome wybrzeże. I maleńkie kropki na klifie: kolorowe ubrania Beth i Lizzie. Wszystko wokół niego było szare, granatowe, zielone i czarne. Ocean, który go niósł i szarpał. Szarpał za buty. Za jeansy, kurtkę, nasiąkniętą wodą.

– Boże, zlituj się...

Czy powinien zdjąć buty? Na bosaka nigdy nie uda mu się wspiąć po tych skałach. Płynął kraulem. Próbował opanować wzbierającą w nim panikę, czuł, jak fale unoszą go i opuszczają – i rozbijają o wybrzeże.

Wywiad filmowy 6 z 12

Rak

Imię i nazwisko: Mary Padillo

Wiek: 37 lat

Zawód: gospoia

Mary: Nie, nie znałam tamtej dziewczyny, pierwszej ofiary Bohnera... Jak jej było? Cass? Nancy Cass? Tak, właśnie. Nie znałam jej. Była tylko turystką. Wie pan, ilu

turystów przybywało wtedy codziennie na Zodiac Island? Setki, jeśli nie więcej! Ale to prawda, oczywiście, że byłam mniej więcej w jej wieku, byłam nastolatką, ale nie znałam jej.

Sheldon: Pani dziadek pracował na Zodiac Island, zgadza się?

Mary: Tak, to prawda. Prowadził tam scoternię, był jej właścicielem. Pawilon nazywał się Bumper Buggy, miał ponad czterysta metrów kwadratowych, jeździło w nim trzydzieści samochodzików. Interes kwitł.

Sheldon: Chętnie pani tam bywała.

Mary: Chętnie? Ja... właściwie to nie miałam wyboru. Ale tak, to było całkiem fajne. Często odwiedzałam tam dziadka, oboje dziadków. Moi rodzice byli zadowoleni, szczególnie w wakacje; byli zadowoleni, kiedy tam byłam i nie musieli się mną zajmować. To może brzmi, jakby byli nieczuli, ale tak po prostu było. Rodzice musieli pracować, więc pytali: „Nie chcesz do dziadków na wyspę?”. Wchodziłam za darmo do wesołego miasteczka, bo mój dziadek prowadził Bumper Buggys, więc spędzałam tam całe dni. Tylko że dziadkowie oczywiście też nie mogli się mną za bardzo zajmować. Babcia siedziała w kasie, a dziadek zawsze miał jakiś samochodzik, który musiał zreperować, albo coś innego, a to odbierak prądu, a to światła, a to głośniki... Ale nie przeszkadzało mi to. Siedziałam na barierce i przyglądałam się ludziom. Nie byłam jakoś szczególnie ładna, więc... Nie miałam złudzeń, wiedziałam, jak wyglądam. Ale byłam młoda, co nie? Miałam siedemnaście lat i nic do roboty. Wie pan, jak się na mnie gapili? Chociaż nie zależało mi na tym. Nudziłam się. Przesiadywałam na scoterni i zabijałam czas. Nie odmawiałam, kiedy ktoś chciał mi zafundować watę cukrową albo coś innego. Czemu nie? Zgadzałam się i zjadałam tę watę. Wszyscy mnie znali, nie bałam się. Znałam wszystkich właścicieli urządzeń, wiedziałam, że mogę ich zawołać, gdyby któryś z chłopaków, którzy mi coś kupowali, nie rozumiał, kiedy należy przyhamować. Więc jadłam watę cukrową i pozwalałam się zapraszać. Potrafi pan sobie wyobrazić, jacy wygłodniali byli niektórzy z nich? Dosłownie płonęli! Cały dzień chodzili trójkami albo czwórkami po lunaparku, ale tak naprawdę to chcieli tylko poznać jakąś dziewczynę. Tylko że większość przyjezdnych była z kimś. Ja nie. Ja byłam sama. Miałam czas. Nie byłam ładna, ale oni byli tacy napaleni, że można było dosłownie się sparzyć.

Sheldon: I tak poznała pani Glenna?

Mary: Często widywałam go na terenie miasteczka. Początkowo nie zwracał na mnie uwagi. Mimo wszystko wiedział, że jestem – jego oczy zdawały się mówić: „I kto tam stoi”. Ale potem odwracał wzrok i zachowywał się tak, jakby go to nie interesowało. Parę tygodni później pojawił się znowu i popatrzył w moją stronę. Kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, było tak, jakby coś trzasnęło, takie miałam wrażenie. Trzask! Jeju! Co to było! Od tamtej pory przychodził w każdy weekend.

Sheldon: Miała pani siedemnaście lat. A on?

Mary: On był trochę starszy. O trzy lata. Miał wtedy dwadzieścia lat. I zawsze był w grupie. Przeważnie były w niej dziewczyny, stąd wiedziałam, że podobają mu się blondynki. Widziałam, jak reagował na jasnowłose koleżanki. Kiedy jakaś się pojawiała, gapił się na nią, a mimo to zawsze spoglądał w moją stronę, choć nie byłam blondynką. Stałam przy barierce i jadłam lody, a on siedział na jednym z samochodzików i taranował

pojazd kolegi, aż iskry leciały. Potem obracał głowę i patrzył mi prosto w oczy. Czułam się, jakbym miała w brzuchu gorącą piłkę.

Sheldon: To było tego lata, kiedy zamordowano Nancy Cass.

Mary: Tak. Wiedziałam, że popełniono morderstwo. Wezwano przecież policję. Tylko nie powiadomiono media i opinii publicznej, żeby nie psuć interesów parku. Ale ci, którzy tam pracowali, a więc również moi dziadkowie, oczywiście o wszystkim wiedzieli. Nie znałam Nancy, ale ciągle o niej myślałam. Wiedziałam, że była w moim wieku. I nie mogłam przestać myśleć o tym, że morderca może wrócić. Czułam na sobie spojrzenia mężczyzn i myślałam o tym, że któryś z nich mógł zamordować Nancy. Któryś z nich mógł widzieć mnie taką, jaką on ją widział i powiedzieć sobie: *Ona. To ona. Chcę ją mieć.*

Sheldon: Bała się pani?

Mary: Oczywiście.

Sheldon Ale to nie odwiódło pani od nawiązania relacji z Glennem.

Mary: Jak mówiłam, Glenn zawsze był w grupie. Nic nie wiedzieliśmy o mordercy Nancy Cass, ale to, że Glenn nigdy nie był sam, działało na mnie uspokajająco. Od jakiegoś czasu przecież troszkę go znałam, zamieniliśmy nawet parę słów i... raz widziałam go, jak leżał na ziemi za budą z goframi. Na tyłach, idąc w stronę wejścia prowadzącego do budki z kasą, widać było tylną ścianę budy, w której sprzedawała gofry i naleśniki taka... no, dość gruba pani. Raz, kiedy szłam do babci, zobaczyłam tę panią. Najpierw tylko jej twarz; miała zamknięte oczy i wszystko się na niej... trzęsło? Miała chyba ze dwa razy tyle lat, co Glenn. Nie zauważyła mnie. Odeszłam na bok, a potem zrozumiałam, że on leżał między jej grubymi udami. Był goły, nigdy wcześniej nie widziałam go bez koszulki. Był umięśniony, nie miał na sobie ani grama tłuszczu, dosłownie same mięśnie. Był zlany potem, a ona cała dygotała, wszystko się na niej trzęsło. Odwróciłam wzrok. Ale nie mogłam tego zapomnieć. Więc postarałam się, żeby następnym razem, kiedy przechodził obok, zauważył, że na niego patrzę. Miałam na sobie krótką spódnicę. Tym razem nie kazał na siebie czekać. Podszedł do mnie, a ja nic nie powiedziałam. Ale poszłam z nim za scoternię, za budkę z kasą, a potem wczłógaliśmy się pod spód. Byłam tam już wcześniej, wiedziałam, że człowiek ledwie się tam mieści, ale nigdy nie wczłogałam się tam z chłopakiem. Tylko z Glennem. Było duszno i ciasno, a tego dnia panował upał. Nad naszymi głowami wpadały na siebie z łomotem samochodziki, słychać było trzaski elektryczności. Dosłownie czułam, jak to na niego działa, jaki był niecierpliwy, jakby zaraz miał eksplodować. Miał w ręku lody, dał mi je, ale było tak gorąco, a ja leżałam na plecach, i cała ta maź spływała mi po ręku aż po łokieć. Próbowałam to zlizać, ale było strasznie lepkie, wszystko się kleiło. Śmierdziało tam pod spodem, prawdopodobnie nie byłam jedyną osobą, która знаła to miejsce, śmierdziało, że ledwie oddychałam, ale Glennowi było wszystko jedno. Był jak naelektryzowany. Podciągnął mi koszulkę i... to... ja...

Sheldon: Chce pani zrobić przerwę?

Mary: Nie, wszystko w porządku, tylko... muszę przyznać, że jeszcze nikomu o tym nie mówiłam.

Sheldon: Okay.

Mary: Podciągnął mi koszulkę, a ja miałam całe ręce w tych lodach, nie wiedziałam, co z nimi zrobić, on podniósł mi koszulkę i naciągnął ją na twarz. Chciałam ją zdjąć, chciałam zobaczyć, co się dzieje, co on robi, ale przytrzymał mnie za ręce i powiedział, żebym zostawiła, jak jest. Nic nie widziałam, czułam tylko tę lepkość na dłoniach, rękach, brzuchu, czułam smród, czułam napięcie, jakim pulsował. Chciałam ściągnąć koszulkę, ale on trzymał ją mocno. Dlaczego? Bo nie chciał zobaczyć mojej twarzy! Lubił blondynki, a ja nie byłam blondynką. Nie byłam ładna. Ale byłam młoda. Chciał mnie bez mojej twarzy.

Sheldon: Może tylko tak się pani wydaje, Mary.

Mary: Ja to wiem. Po prostu wiem. Leżałam tam i myślałam: *Trudno, on na pewno zaraz skończy.* Leżałam w ciemności, w skwarze, ale on nie skończył szybko. To trwało i trwało. Wydawało mi się, że on pęcznieje coraz bardziej, robi się coraz twardszy, coraz głośniejszy. A tuż nad naszymi głowami pędziły te samochodziki, łomotało i brzęczało, jazgotała muzyka. Spływałam potem, wydawało mi się, że leżę w kałuży, że pływam, pływam w kałuży oleju i smaru. Może nawet tak było, tam pod spodem zlewały się ze sobą rozmaite substancje. Ale Glennowi to nie przeszkadzało, on o tym nie myślał, myślał tylko o tym... Myślał tylko o tym, jak mnie... jak we mnie był. Jak się we mnie poruszał. I nagle... nagle zrobiło się wokół mnie bardzo ciepło, rozumie pan? Nie dokoła, to ja zrobiłam się bardzo ciepła, to było takie mrowienie, nie wiem, jak on to zrobił, ale... znaczy, ja nic nie wiedziałam, tylko czułam, że coś jest inaczej. Całe urządzenie było jak pod napięciem, prąd płynął po kracie, z której samochodziki pobierały elektryczność, prąd płynął po otwartej kracie, a Glennowi jakoś udało się podpiąć pod ten prąd i podłączyć jeden z tych aparatów.

Sheldon: Jakich aparatów?

Mary: Niech pan nie pyta... Dostał to od kolegi, na prąd... taka zabawka... na prąd... którą się podłącza, a potem wytwarza się wysokie napięcie, ale mało woltów... albo na odwrót. A kiedy dotknie się tym kogoś, to przez tego kogoś przepływa prąd... tak że czuje się mrowienie, nic nie można zrobić... To podniecające, ale w taki... dziwny sposób... Jakby... jakby to podniecenie dosłownie rozładowywało się nad kimś...

Sheldon: Podłączył jakąś elektryczną zabawkę erotyczną?

Mary: Tak, coś w tym stylu... bo nagle zrobiło mi się bardzo ciepło i wszystko zaczęło mrowić, i miałam wrażenie, że trochę... odlatuję. Odlatuję ponad to, co normalnie się czuje. Czy to była rękawica, czy jakiś pręt albo elektroda, nie wiem, ale nagle pojawiło się to mrowienie i poczułam, jakby Glenn był dosłownie wszędzie. Wszędzie z tą elektryczną stymulacją, aż miałam uczucie, że jest naładowany. Jednocześnie byłam trochę oszołomiona, a on był niezmordowany, chciał to ciągnąć i ciągnąć. Był wszędzie, jak pająk o ośmiu rękach i nogach, który łąził po mnie i dotykał, i drażnił, i odwlekał coraz bardziej, coraz dalej od tego, co znałam do tamtej pory – aż w końcu zaczęłam krzyczeć. Krzyczałam i krzyczałam, i przez chwilę myślałam, że nigdy nie skończę, tylko przeminę, spalę się w tym prądzie, który przeze mnie przepływał.

Parę wysuszonych ździebeł trawy od razu pochwyciło ogień. Lizzie ostrożnie dosunęła patyczek do maleńkiego płomienia. Natychmiast się zajął. Zebrała drewno w kupkę i umieściła nad płomykiem kilka dodatkowych gałązek. Odłożyła zapalniczkę i podniosła wzrok.

Paul siedział na kamieniu obok. Na ramionach miał płaszcz, który narzuciła na siebie Lizzie, kiedy w środku nocy wyruszyli razem z Michaeliem do stacji przekaźnikowej. Swoje mokre ubranie zdjął i rozłożył na kamieniach wokół paleniska.

Słońce stało wysoko na niebie, świeciło oślepiająco. Siedzieli na kamienistej plaży tylko parę kroków od wody. Za ich plecami wznosił się klif.

Michael i Glenn stali na brzegu, wymachując rękami. Woda objęła Paula lodowatym uściskiem. Przez chwilę myślał, że pójdzie na dno jak kamień. Ale potem uświadomił sobie, że przecież może opłynąć przybrzeżne rafy okalające zatokę, do której zszedł. I nagle opadło z niego nieznośne zmęczenie, które nim zaważnęło. Kropelki wody, wzbudzone wiatrem, pryskały mu w twarz, oczy i usta. Ale nie odpuszczał. Przecież umiał pływać! Nie chciał zsunąć butów ze stóp, bo obawiał się, że bosy nie da rady wyjść na ląd po ostrych kamieniach. Ale zdjął kurtkę i koszulę, pozwalając im zatonać. Ziąb działał ożywczo. Napędzał go. Paul czuł, jak zbliża się brzeg po drugiej stronie rafy. Tam urwisko było nieco łagodniejsze. Fale nie waliły tak bezlitośnie o skały, tylko przetaczały się po kamieniach, tworzących w tym miejscu plażę. Lizzie poszła za nim ścieżką. Dała znak pozostałym, a potem zsunęła się po zboczu i czekała na niego, podczas gdy on mozolnie brnął przez fale. Na ostatnich metrach wyszła mu naprzeciw; pomogła mu wygramolić się na żwir.

Ogień trzaskał. Lizzie zebrała trochę wyrzuconego na brzeg drewna i ułożyła kamienny krąg. Paul czuł, jak czaszka pali go od słońca, jak schną mu włosy. Dwie godziny, może trzy – dłużej nie spał tej nocy. I stało się, bez słowa, w milczeniu. Jego głowa osunęła się na jej kolana, zamknął oczy.

– Chcemy spuścić w dół leżankę z hotelu i wciągnąć na niej Jay – mówiła Lizzie. – Glenn powiedział Beth, żeby ściągnęła tamtą ładowarkę łyżkową. Podobno łatwo tym kierować. Przyczepią do niej linę.

– Czy Jay... ona... nie żyje, prawda?

– Sam upadek...

Ile czasu umierała? Czy leżała tam – sama, na kamieniach, zanim fale ściągnęły ją do morza? Z roztrzaskanymi kośćmi... Patrzyła w nocne niebo i czekała na śmierć?

Paul usiadł. Ogień płonął teraz żywo, żar promieniował ciepłem.

O mały włos nie zasnął.

– Zdrzemnij się spokojnie, Paul. Mamy czas. – Lizzie uśmiechnęła się do niego. Promienie słońca tańczyły w jej włosach. Była taka piękna!

Wypuścił powietrze z płuc. Czuł się rozbity, ale nie chciał spać. Coś cały czas chodziło mu po głowie i chciał o tym z kimś pogadać. Najlepiej z Lizzie. Nie wiedział dlaczego, ale ufał jej bardziej niż komukolwiek innemu na tej wyspie.

– Potrafię to zrozumieć – zaczął w końcu. – Potrafię zrozumieć, dlaczego

Tony'emu tak bardzo dopiekleła ta praca, kręcenie w miejscach zbrodni. Ze mną w gruncie rzeczy jest podobnie. – Nie wiedział, od czego zacząć.

– Zawsze chciałeś pracować jako reporter policyjny? – Lizzie wsunęła dłonie pod uda i spojrzała na niego. – Chodzić do sądu, współpracować z dochodzeniówką, śledzić procesy... to fascynujące, bez dwóch zdań.

Tak.

Ale był jeszcze inny powód. I on tkwił głębiej.

– Czy to nie szaleństwo? – usłyszał głos Lizzie. – Wczoraj wieczorem wyjaśnili nam, na jakiej koncepcji opiera się idea parku, a dziś... Jay...

Paul gapił się w ognisko.

– Jak popatrzeć na to, co zgromadzili w tych bungalowach – *to człowiek czuje się, jakby wlaził w mózg Jeffa Bohnera* – to można stwierdzić, że to nie może być przypadek. Że coś takiego dzieje się akurat tutaj. Że ktoś ginie. – Wyczuwał, że Lizzie na coś czeka. – Minęło już dobre dwadzieścia lat – ciągnął powoli. – Miałem cztery latka, gdy byłem tu z matką.

– Na wyspie?

– Tak, na Zodiac Island, w dawnym lunaparku. Diabelski młyn widziałaś już z portu. Mieli tu wszystko, kolejkę górską, strzelnice, samochodziki... komplet atrakcji. Park był bardzo lubiany w okolicy. Matka wychowywała mnie sama, a kiedy chciała mi sprawić radość, przyjeżdżała ze mną tutaj. Na cały weekend, z noclegiem w bungalowu. – Widział go teraz wyraźnie. Mały betonowy bungalow, w którym się zatrzymali. – Byliśmy sami, kiedy wszedł. Tak po prostu. Z tyłu, przez małe drzwi obok kuchni. Najpierw słyszysz trzaśnięcie moskitiery. Potem kłapnięcie drzwi. W końcu kroki. Kiedy jesteś sam z matką, nastawiasz uszu, słysząc takie kroki. – Lizzie w milczeniu patrzyła na kamienną plażę. – Moja matka miała wtedy dwadzieścia parę lat. – Paul słyszał swój głos z boku, jakby opowieść snuł ktoś inny. Czasami wydawało mu się, że przez całe swoje życie nie robi nic innego, tylko walczy z tym, o czym właśnie mówił. – Była ładna, naprawdę słodka. Mam jej zdjęcia. Musiała go poznać w czasie, gdy odbywałem poobiednią drzemkę. Zawsze tak było. Po południu musiałem się kłaść spać, a wtedy ona chodziła po parku. – Paul nie wiedział gdzie dokładnie, ale miał pewne podejrzenia. – Tamtego dnia, kiedy wszedł przez kuchenne drzwi, zobaczyłem go po raz pierwszy. – *Jeff*. – Powiedział mi, żebym mówił mu „Jeff”. Pamiętam jeszcze głos... tak mi się wydaje... ale jego twarzy... Później oglądałem policyjne akta. Dużo później. Kiedy już dawno nie żył. Stąd wiem, jak wyglądał. – Odwrócił głowę i popatrzył na Lizzie. – Policja powiedziała, że zamknął mnie w sypialni, ale nie wiedzieli kiedy. W którym momencie... – Widział przed sobą Jeffa, takiego, jaki spoglądał na niego później z akt. I widział plecy mężczyzny, wyginające się w pałąk nad jego matką, leżącą na kanapie. – Zasłaniał jej usta. – *I dyszał*. – Lizzie oparła stopy o kamień i podciągnęła kolana pod brodę. – To wszystko można przeczytać w aktach. I zobaczyć. Zdjęcia z miejsca przestępstwa. Krew. Ślady krwi. Są także zdjęcia... które zobaczyłem dopiero wiele lat później, nie chcieli mi ich pokazać, kiedy byłem mały, a potem... Później nie mogli mi już odmówić. Zdjęcia, na których widać moją matkę. Ma na nich otwarte oczy. Dobrze obejrzałem te fotografie. Czasami myślę, że nie powinienem był tego robić, bo... wryły

mi się w głowę, a wszystko inne, co w niej było, poukładało się wokół tych zdjęć. – Zamilkł na chwilę. – Zaproszenie na prezentację dla mediów... – Murder Park. Co miał powiedzieć? „Otwieracie park, ale ja nie zamierzam go oglądać?”

– Twój ojciec... Czy on...

– Nie wiem, kto jest moim ojcem – przerwał jej. – Moja ciotka, siostra mamy, miała się mną opiekować, ale nie mogła. Sama ledwie wiązała koniec z końcem. Dlatego zdecydowano, że mam trafić do rodziny zastępczej. Miałem tylko cztery lata. Nie mogłem... tak jak mówiłem, nie pamiętałem praktycznie nic. Wiem tylko, że któregoś dnia mamy po prostu zabrakło. Przyjęli mnie do siebie moi przybrani rodzice, małżeństwo bez własnych dzieci. Dobrze u nich miałem. – *Były takie dni, kiedy nawet nie myślałem o tym, co się stało.* – Dlatego... – Zerknął na nią i zauważył, jak mocno obejmuje swoje nogi. – To ze względu na Jeffa Bohnera zacząłem pracować jako reporter policyjny. Rozprawy sądowe, procesy o morderstwo... Tak, jak mówisz. Relacjonowanie, jak coś takiego przebija się przez powierzchnię i... – szukał odpowiednich słów – skrywający się pod spodem świat przemocy nagle staje się widoczny. – Żar ogniska promieniował. Płomienie syczały, wprawiane w ruch przez wiatr. Paul patrzył w tańczące języki ognia, ale ledwo je widział. – Czasem, kiedy piszę o nowym zabójstwie, odnoszę wrażenie, że wściekłość tkwiąca w sprawie wyciąga po mnie ręce. Mimo to nie jestem... zafascynowany przemocą tak jak Tony. – *Wściekłość, którą sprawca toruje sobie drogę? Impet, z jakim wdziera się w świat? Czy to cię pociąga? NIE!*

– Co? – Lizzie spojrzała na niego, wystraszona.

– Co takiego?

– Jęczałeś... To zabrzmiało jak „nie” ...

Paul dotknął czoła.

– Naprawdę? – Usiłował wziąć się w garść. – Moja matka i ja nie mieliśmy dużo pieniędzy, często się tym martwiła, ale byliśmy szczęśliwi. Tak przynajmniej myślę dzisiaj. Kiedy siedzieliśmy przy śniadaniu albo gdy leżeliśmy w łóżku, tylko ona i ja, kiedy mi czytała, byliśmy szczęśliwi. Ja z nią, ona ze mną. Ale potem przyszedł Bohner. Nawet nie musiał wyważać drzwi... i odebrał mi ją. – Sięgnął po długi patyk i wbił jego koniec w żar. W powietrze posypały się iskry.

– Paul? – odezwała się Lizzie. Nie zareagował, pochłonięty wspomnieniami. – Paul... Ja chcę ci coś powiedzieć. Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zły. To, że chciałam mieć pokój obok twojego... – Podniósł na nią wzrok. Stała obok ogniska i patrzyła na niego. – Słyszałam o tym. O tym, że ty... że twoja matka... Constance mi powiedziała. Pomyślałam, że mogłabym to wykorzystać w swoim materiale. Park, stara sprawa Bohnera, wywiad z osobą dotkniętą tą tragedią. Stwierdziłam, że powinnam zrobić wszystko, by pozyskać cię do swojego materiału. Przepraszam.

Wiedziała. Oczywiście! Wszyscy wiedzieli, co łączyło go z Bohnerem – i dlatego chcieli, żeby tu był. Jako swoisty żywy eksponat.

Bez słowa wstał i zabrał swoje rzeczy. Powoli zaczął się ubierać. Koszula i kurtka zostały w wodzie, ale miał jeszcze jeansy i buty; były już tylko lekko wilgotne. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Lizzie ruszyła na górę. Rozgarnął patykiem żar, choć tu, na kamieniach, tak blisko wody ogień i tak nie mógłby wyrządzić wielkich szkód.

A potem sam również ruszył w drogę powrotną.

Jego matka nazywała się Sarah Greenblatt. Była trzecią ofiarą morderczej serii na Zodiac Island – po Nancy Cass i Patricii Tartaglione. Trzecią i ostatnią. Po jej śmierci park ostatecznie zamknięto.

Wywiad filmowy 7 z 12

Byk

Imię i nazwisko: Glenn Braxton

Wiek: 40 lat

Zawód: dozorca

Glenn: Tak, często bywałem na Zodiac Island, lubiłem tę atmosferę, nastrój, ludzi, atrakcje, radość z wciśnięcia guzika, rozumie pan? Wsiadasz, opuszczasz pałąk, wciskasz guzik – i ten dreszcz emocji! Automatycznie. Maszynowa radocha. Ruszasz, karuzela się kręci, twoje serce szaleje, twoja krew buzuje. Ani śladu nudy, lenistwa, zmęczenia.

Sheldon: Lubi pan to? Świat jarmarków, lunaparków?

Glenn: Owszem. Poznałem to na Zodiac Island, jako nastolatek, i nigdy się od tego nie uwolniłem. Ostatecznie był to jeden z powodów, dla których przez całe swoje życie... a przynajmniej jego większą część pracowałem w wesołych miasteczkach.

Sheldon: A koniec Zodiac Island – dwadzieścia lat temu – pamięta pan?

Glenn: [kiwa głową]

Sheldon: Przedtem poznał pan tam swoją żonę.

Glenn: Żonę? Kogo pan ma na myśli? Mary? Tak, poznałem ją tam – ale nie tylko ją. Jak mówiłem, bywałem tam dość często; chodziliśmy grupą chłopaków, łaziliśmy od budy do budy i podrywaliśmy dziewczyny, albo próbowaliśmy to robić. Była tam taka jedna właścicielka, na jej straganie można było kupić naleśniki, rany, mówię panu. Grubasica taka, ale... napalona. Jak wielki garniec bitej śmietany. Garniec, w którym się kładłem. Brała mnie za budę i wtedy się zaczynało. W tamtym czasie byłem... jak pod ciśnieniem. Nagromadziło się we mnie tyle energii – tyle wściekłości, że chyba musiała to czuć. Może dlatego że udawało mi się wprawić całe to jej sadło w drgania. Nie każdy to potrafił. Ale ja miałem w sobie to coś. Paliłem się do tego, nie mogłem tego powstrzymać. Pamiętam, jak rzuciłem się na nią za pierwszym razem, dosłownie odebrało

jej dech. Widziałem to w jej oczach, jak ją to porwało. Byłem wściekły, ale jej się podobało. A powiedzieć panu, czemu byłem taki wściekły, skąd się wzięło to całe ciśnienie, co takiego się we mnie nagromadziło? To się wiązało z moim młodszym bratem, Jimmym. Za każdym razem, kiedy jechałem na Zodiac Island, on zostawał w domu. Ciągle był w domu. Niemal bez przerwy siedział w swoim pokoju, a ja ruszałem w tango. Nie wytrzymałem tam. Nie chciałem być w pobliżu niego, nie chciałem być tam, gdzie jego zdychanie zaczęło pokrywać wszystko szarą mgłą. Może pan to sobie wyobrazić?

Sheldon: Był... chory?

Glenn: Zaczęło się niewinnie, od zwykłych mdłości. Jakiś rodzaj zmęczenia... po prostu nie mógł normalnie funkcjonować. Biegać? Skakać? Szaleć? Zaraz był wycieńczony, musiał odpoczywać, robić sobie przerwę. A potem doszła do tego gorączka, zaczął chudnąć, robił się coraz cieńszy. Pocił się w nocy. Wtedy rodzice zaczęli się martwić. Miał zaledwie dwanaście lat i był całkiem normalnym chłopcem, i nagle to się zaczęło. Poszli z nim do lekarza, ale ten nic nie znalazł. Potem wszystko zaczęło go swędzieć. Wtedy zacząłem się denerwować. Jimmy i Jimmy, Jimmy i Jimmy, wszystko kręciło się wokół niego. Mnie to w sumie nie przeszkadzało, niechby tam się nim zajmowali, ale ten niepokój, ten cholerny niepokój po prostu mnie wykańczał. Swędziało go całe ciało, dostawał wysypki... Siedziałem przy śniadaniu, widziałem mojego brata z plamami na twarzy i zdejmował mnie strach. To była białaczka, pierdolona, przeklęta białaczka. Kiedy już postawili diagnozę, na nasz dom jakby spadła czarna zasłona. Na mnie, na moją duszę, na moje usposobienie. Twarz mojej matki, twarz ojca się zapadły, poszarzały, kąciki ust nie wędrowały już do góry, oczy stały się matowe. A Jimmy? Prawie nie mogłem na niego patrzeć. Kiedy już wiedziałem, że umiera, że jest śmiertelnie chory, w wieku dwunastu, trzynastu lat, nie mogłem na niego patrzeć. Jego twarz się wydłużyła, ciało wykrzywiło. Urządzili mu pokój na tyłach domu, leżał tam w piżamie, w łóżku, w pieluchach, z maską tlenową na głowie. A kiedy ból się wzmagał, zaczynał krzyczeć. Wyłożyli pokój matą piankową, wzmocnili drzwi styropianem. Kiedy się je zamykało, krzyki docierały stłumione, ale i tak było je słychać w całym domu. Przełaziły pod drzwiami, przez szpary, wpełzały mi do uszu. On krzyczał, a ja zatykałem uszy, ale w mojej głowie krzyczał dalej. Nagle zaczął krwawić, jego ciało się rozpadało, bolały go kości, był tak słaby, że już nie mógł wstać, i blady jak kreda. Wchodziłem do jego pokoju tylko wtedy, gdy musiałem, a i tak niemal cały czas o nim myślałem. Kiedy byłem w domu, patrzyłem w kierunku jego pokoju i myślałem o Jimmym. O chłopcu, jakim był, i o potworze, jakiego zrobiła z niego choroba. Potem wychodziłem z domu i jechałem przed siebie, jechałem na Zodiac Island, żeby o tym zapomnieć. Na huśtawkę – zaciągnąć pałąk, wcisnąć guzik i jazda. Kiedy huśtawka przekrzywiała się, tak że właściwie powinienem był wypaść, kiedy adrenalina gotowała mi się w uszach, wtedy Jimmy'ego wyrzucało z mojej głowy. Wtedy przez parę sekund nie miałem go przed oczami, nie widziałem czarnych cieni na jego twarzy, nie słyszałem jego krzyku i kaszlu, nie czułem zapachu sączącego się z jego pokoju na korytarz. Ale wściekłość, wściekłość nadal miałem w brzuchu. Wściekłość na niego, na siebie, na... Boga? Nie wiem, nie myślałem o Bogu, ale myślałem o tym, że Jimmy leży tam, w swoim pokoju. Spoglądał na mnie

z dołu, ze swojego łóżka, kiedy musiałem mu zanieść herbatę; jego wielkie oczy patrzyły na mnie spod maski tlenowej, a jego suche, spierzchnięte usta się poruszały: „Glenn, weźmiesz mnie ze sobą, kiedy będziesz jechał?”, pytał. „Na Zodiac Island? Weźmiesz mnie, żebym raz się przejechał?”. Potem zaczynał kasłać, a jego oczy przymykały się nieco. Nigdy go tam nie zabrałem. Przecież był o wiele za słaby, nie pozwoliliby mu. Tak sobie mówiłem i tak było dobrze, ale jednak mnie to wkurzało. Nienawidziłem siebie, rozumie pan? Nienawidziłem siebie, bo jeździłem tam, żeby zapomnieć – bo musiałem o nim zapomnieć – bo nie zabierałem go ze sobą. Byłem wściekły, nienawidziłem siebie i właśnie to rypałem w brzuch grubej babie od naleśników. Wprawiałem jej sadło w kolebanie, bo uciekałem przed Jimmym, przed obrazem jego osoby, jaki nosiłem w głowie. To było jak ciąg – mogła być nie wiem jak tłusta, a ja i tak wbijałbym się w ten tłuszcz.

Sheldon: Ile to trwało?

Glenn: Prawie dwa lata. Potem zrobiło się jeszcze gorzej. Miałem w pokoju taką butelkę z rozpylaczem i kiedy budziłem się rano, spryskiwałem nią wszystko wokół siebie, żeby przegnać zapach, który docierał z pokoju Jimmy’ego. Otworzyć okno, wpuścić świeże powietrze? Otwierałem. Ale ten zapach, smród mięsa tkwił w ścianach, w tapecie, w dywanie, w kocach, tkwił we mnie, w moich włosach, skórce, oczach, żołądku. Wypełniał mnie. A potem słyszałem krzyki dochodzące z pokoju Jimmy’ego, bo już nie mógł znieść bólu. Moi rodzice? Ojciec już praktycznie nie wracał do domu. A matka? Była tam, ale taka szara, że już ledwie widoczna. Chuda, prawie tak chuda jak Jimmy, który składał się już tylko ze skóry i kości. Przeważnie siedziała w fotelu w salonie. Ale kiedy się wchodziło do tego pokoju, prawie się jej nie widziało. Może była zbyt słaba, by otworzyć drzwi do pokoju Jimmy’ego, ale już tam nie wchodziła. Nie dawała rady. Koścista twarz pod czarnymi paskami maski tlenowej, płonące gorączką oczy, spękane usta, wycieńczone ciało, które ledwie się odznaczało pod kołdrą – nie dawała rady tam wchodzić. Jimmy jednak krzyczał nie tylko dlatego, że cierpiał ból – on wołał o pomoc. Nie potrafił już kleić całych zdań, był jedną wielką raną, straszliwie krwawił z nosa, krew zlepiła jego pościel, wysychała mu na ustach. Krzyczał o pomoc, krzyczał o to, żeby ktoś na niego spojrzał, ale nikt już nie dawał rady do niego chodzić. Więc uciekałem; pędziłem na Zodiac Island i kręciłem się na karuzeli, aż musiałem rzygać gdzieś w kącie, bo nic nie jadłem i tylko dawałem sobą potrzasać. Nie jadłem, ale byłem napalony na kobiety. Kiedy widziałem jakąś dziewczynę, wystarczyło, że tylko zakołysała biodrami, patrzyłem na jej uda, włosy już pęczniałem, aż robiło mi się za ciasno w spodniach. A kiedy na mnie spoglądała, ledwie mogłem się pohamować. Podchodziłem do niej, nic nie mogło mnie powstrzymać. Nie odpuszczałem, wikłałem ją. Miałem na karku szkielet w czarnej masce tlenowej – i to była śmierć. Ale zapach dziewczyny mogłem czuć, czułem woń, którą promieniowała, ona była życiem. To była taka nieubłagana siła przyciągania, że czasem któraś nie mogła się oprzeć. Wtedy nie musiałem już pozwalać miotać sobą na huśtawce, wtedy zaszywałem się z nią w jakimś kącie, między budami, na uboczu. Czasami zabierała mnie do swojego pokoju, jeśli trafiłem na jedną z tych samotnych matek, które przyjeżdżały z dziećmi do parku – brała mnie do pokoju, gdzie czekały ją takie fajerwerki, że odbierało jej słuch i wzrok. To

były prawdziwe ekscesy, idące tak daleko, że sam nie wszystko pamiętam. Zabierałem ją w ogniście czerwone tunele, w których jak przez mgłę słyszałem dyszenie i jęki, kiedy wszystko zlewało się w jedno. Ale nie przestawałem, pędziłem dalej, byle uciec od potwora w masce tlenowej, który mnie gonił. Wiedziałem, że na koniec i tak muszę do niego wrócić.

Sheldon: [robi notatki]

Glenn: A potem, jednego wieczoru... pamiętam, że byłem na wyspie cały dzień, to było wtedy, gdy w parku zrobiło się zamieszanie. Znaleźli trupa, ciało tej Sarah – jak jej tam było... Greenwald, Green... nie pamiętam, w każdym razie znaleźli jej zwłoki, w Halloweenland, i wszyscy musieli opuścić park. Tego wieczoru wróciłem do domu, a tam po raz pierwszy panowała martwa cisza. Może cuchnęło odrobinę bardziej niż przedtem, ale z pokoju Jimmy'ego nie dochodziły żadne dźwięki. Zaszłem się w swoim pokoju, patrzyłem przez okno, jak przyjeżdża karetka, jak wynoszą coś na noszach. A potem w domu znów zapanowała cisza. I powoli, z każdym dniem zapach się ulatniał. Na początku odeszła też moja wściekłość, ulotniła się wraz z fetorem. Myślałem, że pozbyłem się jej. Ale tak nie było. Odeszła, oczywiście, ale potem zauważyłem, że wraca. Jakby te dwa lata z Jimmym – „nie, Jimmy, nie mogę cię zabrać” – jakby coś wryło się we mnie tak głęboko, że nie dało się już tego wymazać. Nie zabrałem brata na wyspę ani razu. Żyłem w pokoju obok niego i zatykałem uszy, kiedy krzyczał. I nigdy sobie tego nie wybaczyłem.

To było jak jazgot – jego źródłem nie był jednak człowiek, a maszyna. Mechaniczny. Bezlitosny. Jakby cięto jednocześnie dziesięć tysięcy stalowych płyt.

Paul usiadł na łóżku, łapczywie chwytając powietrze. *Co? Jak?* Miał uczucie, jakby wstrzymywał powietrze przez długie minuty. Serce waliło mu jak młotem, plecy miał lepkie od potu. Leżał na łóżku, ubrany w same bokserki. Spojrzał na swoją pierś. Pulsowała w rytm tętna.

Czarny korytarz. Tunel. Schody! Długie schody prowadzące w dół. Zbiegał po nich – był jeszcze mały, dużo mniejszy niż teraz, był chłopcem...

czterolatkiem...

Zeskoczył ze schodów, słyszał swe własne dyszenie.

To był sen – sen!

Śniło mu się, że gna po schodach i wybiega z tunelu, prosto w oślepiające światło.

Byłem tu, na wyspie – byłem na Zodiac Island.

Biegł po gorącym piasku, parząc sobie stopy – do bungalowu, tego, w którym mieszkał z matką...

Ale ona nie była sama...

Wtedy zza muru, wzdłuż którego biegł, wyłoniło się słońce, świecąc mu w twarz i zalewając wszystko blaskiem.

– Ten dźwięk dochodzi z pokoju Michaela, szlifierka kątowna, pilarka do kamienia czy jak się tam nazywa to cholerstwo... Maszyna z budowy! Czy on kompletnie zwariował?

Głos przeszedł w falset.

Paul jednym susem wyskoczył z łóżka. Sen wysączył się z jego ciała. Wszystko powróciło na swoje miejsce. Siedział przy ognisku na plaży z Lizzie, opowiadał jej o matce, a potem poszli z powrotem do hotelu. Tony czekał przed wejściem na Lizzie, a Paul udał się do swojego pokoju, żeby założyć świeże ubranie. Chciał tylko na moment usiąść na łóżku – i zasnąć.

Podbiegł do drzwi i otworzył je gwałtownie. A potem puścił się biegiem w dół korytarza.

Metaliczny wizg wtargnął do jego pokoju i zmieszał się ze snem. Teraz umilkł, ale głos... który odezwał się tuż przedtem, czy to nie był głos Tony'ego?

W korytarzu coś uderzyło – głucho i ciężko. Jakby z dużej wysokości spadł worek z piaskiem. Odgłos zdawał się dochodzić z zewnątrz!

Zbiegł głównymi schodami, w oczy uderzył go blask słońca.

Pierwszym, co zobaczył, była zaparkowana na placu przed hotelem ładowarka czołowa. Cień maszyny odcinał się czernią na piaszczystym podłożu. Nie było jej tu przedtem.

Jak długo spał? Dwie godziny? Trzy?

Jay. Wciągnęli ją na klif. Przypiętą do leżanki – na linie – za pomocą ładowarki...

Gdzieś z boku usłyszał pierzasty trzepot. Obrócił się – i wtedy je zobaczył.

Mewy. Trzy albo cztery. Trzepotały w powietrzu, rozkładając potężne skrzydła.

Tańczyły tuż nad ziemią, odskakiwały do tyłu i na nowo parły naprzód. Jeszcze się nie ośmielały podlecieć całkiem blisko, ale ledwie mogły się powstrzymać. Czyhały na coś, co leżało na piasku, tuż za zewnętrznym murem hotelu. Coś miękkiego... dużego...

Ciało.

Mężczyzna.

W zsuniętej na twarz bejsbolówce.

Jego bok połyskiwał wilgocią. Czerwienią. Zwoje. Tkanka. Krew.

– Sio! – Paul jednym susem doskoczył do leżącego. Ptaki rozpierzchły się na boki. – Wynocha!

Ukląkł. Miał wrażenie, że płonie. Unikał patrzenia na połyskujące wnętrzości. Wyciągnął rękę ku czapce – i w tym momencie głowa mężczyzny poruszyła się delikatnie. Daszek odchylił się na bok i Paul zobaczył utkwiony w sobie wzrok Michaela.

Trzeba lekarza...

– Maszyna z tarczą... stalową. – Głos mężczyzny był ledwie chrapliwym szeptem. – To ona mi... na litość boską... – Jego ciałem wstrząsnął kaszel.

Paul poczuł, jak zaczyna mu łupać w czaszce. Zamrugał. Jak przez mgłę dostrzegł Kate, która przykucnęła przy rannym.

– Co... co się stało?

Michael usiłował skoncentrować wzrok na Kate; jego drżące usta formułowały coś niezrozumiałego.

– Ktoś... – wydusił Paul – ...ze szlifierką albo czymś w tym rodzaju...

– Ktoś? – Kate nachyliła się nad rannym. – Michael, widział pan, kto to był? Rozpoznał pan tego mężczyznę...? Czy to był mężczyzna?

Z ust Michaela wypłynęła krew.

– Poruszał się jak mężczyzna... Nie wiem... maska... miał maskę niemowlaka... gumową, jedną z tych z szafy w holu... i pelerynę, ale nie wiem, kto to był, każdy... – Jego powieki zatrzepotały, gałki oczu powędrowały do góry.

– Musimy... zdezynfekować ranę. Mamy tu morfinę, jakiś środek znieczulający? – rozległ się głos.

Paul podniósł wzrok i zobaczył nadchodzącego ku nim Ruperta. Towarzyszył mu Glenn.

– Ja... nie wiem... Nie... nie wiem. – Glenn utkwiał wzrok w Rupercie.

Paul poczuł, jak dłoń Michaela szuka jego ręki. Zacisnął palce na jego palcach. Były lodowate i lepkie od potu. Mężczyzna na nowo przywarł doń wzrokiem. Jego twarz była poorana bólem, policzki ubrudzone piaskiem i żwirem. W jego oczach nie było lęku przed śmiercią, w nich śmierć już się zagnieździła. Śmierć szarpiąca za nitki, na których wisiało życie Michaela.

Nagle wszystko się rozżarzyło, jakby wyspa była wulkanem, a hotel – piecem hutniczym. Wszyscy inni zdawali się naładowani elektrycznością. Każde spojrzenie, które łowił Paul, kłuło jak igła. Serce w jego piersi tłukło się niczym dziko łomoczący bęben.

Sprawdzono każdą komórkę. Żadna nie funkcjonowała. Działały, ale nie było zasięgu. Mogli krzyczeć, lecz i tak nikt ich by nie usłyszał. Telefony stacjonarne były martwe. I nikt nie miał pojęcia, jak obchodzić się z nagłym przypadkiem medycznym.

– Jay, Michael. Kto następny?! – Glenn trzymał w zaciśniętej dłoni ciężki nóż i wodził wzrokiem po pozostałych.

Minęła dobra godzina, odkąd Michael wypłoszył ich wszystkich z pokoi, ale mieli wrażenie, jakby to było lata temu.

Mary odnalazła hotelową apteczkę. Zaaplikowali rannemu środki przeciwbólowe. Tony i Glenn zanieśli go do pokoju na parterze, Kate i Beth właśnie próbowały prowizorycznie opatrzyć ranę. Widok okaleczenia wżarł się Paulowi w głowę jak rozwścieczony jadowity pajak.

Glenn wbił nóż w melon, który przyniósł ze spiżarki do sali śniadaniowej. Nikt nic nie jadł od czasu wczorajszej zupy. I choć na myśl o jedzeniu Paula aż mdliło, zmusił się do sięgnięcia po jeden z kawałków. Jadł owoc ręką z jednego z podstawionych przez kogoś talerzy. Ekspres, w którym Mary parzyła kawę dla gości, nieustannie prychał i posykiwał.

– Kto będzie następny?

Było już jasne, że sprawca zaskoczył Michaela w jego pokoju. Dźwiękowiec próbował jeszcze uciec do łazienki, gdzie został zaatakowany. Udało mu się dowlec na balkon, skąd prawdopodobnie umyślnie wyskoczył – ale ciężkich obrażeń doznał przed skokiem.

– Jeszcze dziś rano rozmawiałem z Michaelem – wykrztusił Glenn. – Bał się, miał złe przeczucia. Zwłaszcza jak się dowiedział o zniknięciu Jay. Dlatego... zamknął się w swoim pokoju. Powiedział, że nie wyjdzie aż do przybycia promu. Zamknął się w swoim pokoju, bo się bał!

– A potem otworzył mordercy? – Paul nie spuszczał wzroku z Glenna. *Otworzył ci, Glenn, a ty wciskasz nam tę gadkę, żeby ukryć swoje prawdziwe oblicze?*

Glenn popatrzył na Paula. Nie dało się nie dostrzec błysku w jego oczach.

– Rozmawiałem z nim, ale mi nie otworzył. – Ponownie pochylił się nad swoim kawałkiem melona. – Rozmawiałem z Michaelem przez drzwi. Nie sądzę, by komukolwiek otworzył. Tyle że nie musiał. Może pan sam zobaczyć, jeśli pan chce. W szafie. Niech pan zajrzy do szafy w jego pokoju.

Paul przyglądał się, jak Glenn kroi owoc. Mężczyzna miał na oko jakieś czterdzieści lat. Był silny i zręcznie posługiwał się nożem. I chyba się zorientował, że Paul mierzy go wzrokiem, bo nagle podniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

– To jak, chce pan wiedzieć, jak gość, który tak urządził Michaela, dostał się do jego pokoju? – zapytał. – A może woli pan urządzić mi małe przesłuchanie? – Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że nie zamierza się na to godzić.

Czy Glenn mógł być sprawcą bardziej niż ktokolwiek inny z nich? Paul odstawił talerz. Próba rozsądnej rozmowy nie miała w tej chwili sensu. Wszyscy byli jak zainfekowani.

– Więc pan wiedział! – Głos Tony’ego wybiegł mu na spotkanie, gdy zmierzał korytarzem na pierwszym piętrze w stronę pokoju Michaela. – Kto jeszcze, panie Rupercie, kto jeszcze o tym wiedział?

Paul przekroczył próg, zza którego dobiegał dźwięk.

Tony, przybrawszy groźną postawę, stał na wprost Ruperta. Oba lustrzane skrzydła szafy były otwarte. W kącie, jak na budowie, walały się jakieś narzędzia. Na łóżku siedziała Constance.

– Co pan ma na myśli? – wydusił Rupert. – Kto wiedział? I o czym?

– Kto oprócz pana wiedział o tym dodatkowym wejściu? – Tony wyglądał, jakby za chwilę miał się na niego rzucić. – Ten, który tak urządził Michaela, dostał się do środka tędy. Więc pytam: kto oprócz pana wiedział o tym wejściu? Nikt? Czyli to musiał być pan, racja? To pan musiał przydybać Michaela w pokoju.

Paul postąpił krok naprzód i zajrzał do szafy. W środku wisiało parę ubrań Michaela, na półce wyżej leżała walizka. Jego uwagę przykuła tylna ściana szafy. Była przesunięta na bok, a za nią dało się dostrzec wąski przesmyk.

„Chce pan wiedzieć, jak gość, który tak urządził Michaela, dostał się do jego pokoju?”. Więc o to chodziło Glennowi.

– Kto o tym wiedział? – powtórzył Rupert. – Który z robotników budowlanych? Która z osób zaangażowanych w planowanie?

– Nie. Kto z nas, tych, którzy są teraz na wyspie! Poza panem! – cisnął mu w twarz Tony.

– Z nas obecnych tutaj? Nie mam pojęcia. Constance, wiedziała pani o tym?

– Oczywiście, panie Levin. Beth, Glenn i Mary również byli poinformowani, o ile mi wiadomo.

Paul podszedł do szafy i wsunął głowę do środka. Wąski przesmyk za odsuniętą tylną ścianą był wprawdzie tylko słabo oświetlony światłem padającym z pokoju, ale jedno dało się wyraźnie rozpoznać – za szafą znajdowały się schody prowadzące w dół.

– Musiał wejść do pokoju tymi schodami. – Constance wstała z łóżka i stanęła obok Paula. – Michael zamknął się tutaj, ale ten... ta osoba... dostała się do środka przez szafę. – Skinęła głową w stronę łazienki po przeciwległej stronie szafy. Paul nie mógł do niej zajrzeć, ponieważ była zamknięta. Na skrzydle drzwi, na wysokości piersi, rysowało się głębokie zadrapanie; szczerba przecięła farbę i wniknęła głęboko w drewno. – Michael prawdopodobnie próbował się ratować, uciekając do łazienki, ale nie udało mu się w porę zamknąć drzwi. A nawet gdyby, to on... albo ona miała ze sobą piłę do kamienia. Maszyna jeszcze tu jest. – Kobieta skinęła głową ku łazience. – Pewnie wzięto ją z magazynu robotników, który znajduje się na tyłach budynku hotelowego. Prace remontowe wciąż trwają. Stamtąd pochodzą również pozostałe narzędzia na podłodze, przynajmniej tak uważa Rupert.

Czy powinien otworzyć drzwi i zajrzeć do łazienki? Paul się zawahał.

– Cała łazienka jest we krwi – usłyszał cichy głos Constance.

„Ten dźwięk dochodzi z pokoju Michaela, szlifierka kątowa, pilarka do kamienia czy jak się tam nazywa to cholerstwo... Maszyna z budowy”. Paul słyszał przecież, jak ktoś to woła – czy to nie był Tony?

Odwrócił się i popatrzył na filmowca.

– To był pan, Tony? – zapytał. – Czy to pan przedtem wołał?

Tony spojrział na niego.

– No jasne! Usłyszałem wycie szlifierki. Pan nie?

– Owszem...

– Mój pokój jest tuż za ścianą. Słyszałem, że ten dźwięk dochodzi z pokoju Michaela! Wybiegłem na korytarz, ale drzwi były zamknięte. – Paul skinął głową. Glenn i Constance też tak mówili. – Dlatego zacząłem wołać – ciągnął Tony. – Niech pan zapyta Mary. Widziała mnie pod drzwiami, kiedy jeszcze było słychać warkot silnika!

– A teraz? – Paul przeniósł wzrok na drzwi, przez które tu wszedł. – Kto je otworzył?

– Ja – odezwał się Rupert. – Wszedłem przez szafę i otworzyłem od środka. Ta szlifierka, czy jak to zwał, jeszcze wtedy chodziła. Ktoś zacisnął drut na włączniku, żeby się nie wyłączył po wypuszczeniu z ręki. Wpadłem od razu do łazienki, ale tam już nikogo nie było. Tylko to urządzenie chodziło na najwyższych obrotach.

Metaliczny jazgot... To właśnie on wyrwał Paula ze snu. Sam kiedyś pracował dorywczo na budowie i miał do czynienia z podobnymi narzędziami. Szaleńcze obroty tarczy... Przecinało się nią beton i kamienie... i właśnie czymś takim...

...ktoś...

...rozharatał Michaelowi bok.

Zakręciło mu się w głowie.

– On... albo ona... rozplątał Michaelowi bok i tak go zostawił – zauważyła Constance.

Paul popatrzył na nią. Zastłaniała dłonią usta, a jej ramiona drgnęły konwulsyjnie, jakby coś w środku niej próbowało znaleźć ujście.

– A jak się znalazł na dole? – zapytał.

Opuściła rękę.

– Musiał być pod tak wielkim wpływem adrenaliny, że zdołał jeszcze się dowlec na balkon. Tak przynajmniej uważa Rupert i w tym punkcie obaj z Tonym są zgodni. Z łazienki można wyjść na balkon. Dźwięk rozniósł się po całym budynku, kiedy Michael otworzył drzwi na balkon. Z balkonu spuścił się w dół. Być może po to, by umknąć napastnikowi... Tego nie wiemy.

Odgłos uderzenia o ziemię...

Paul położył dłoń na klamce. Zgrzytnęła, kiedy nacisnął ją ostrożnie. Pchnął i drzwi uchyliły się lekko. Przez moment wydało mu się, że widzi świetlne punkty przemykające mu przed oczami. Kafelki. Rozbryzgi. Krew. Jakby do wyłożonej glazurą łazienki napadał deszcz. Albo jakby została spryskana zraszaczem do trawnika. Zastłona prysznic. Ręczniki. Lustro. Sufit. Krople rozbryzgały się po całym pomieszczeniu. W jednym miejscu podłoga była kompletnie pokryta zeskorpiałą krwią. W poprzek kafli ciągnął się rozmazany ślad, biegnący ku otwartym przeszkłonym drzwiom balkonowym. Między

sedesem a umywalką sterczała plastikowa obudowa maszyny. Tam zaklinowała się tarcza szlifierki. Na uchwycie wyraźnie widać było drut blokujący włącznik, powodujący, że maszyna nadal działała, choć nikt nie trzymał jej już w ręku.

– Kate powiedziała, żeby nic nie ruszać. – Constance stanęła obok Paula, kierując na niego swe wielkie oczy. – Nawet jeśli nie możemy powiadomić policji, w poniedziałek przyplynie prom i wtedy dokonają oględzin łazienki... wszystkiego tutaj.

– A pan, Paul?

Obejrzał się za siebie.

Tony patrzył na niego wyczekująco. Jego twarz wyglądała jak naszkicowana.

– Co? – Paul zamknął za sobą drzwi.

– Wiedział pan, że do pokoju Michaela prowadzi dodatkowe wejście? Ja nie! – Tony wciąż stał na szeroko rozstawionych nogach na wprost Ruperta.

Paul pokręcił głową.

– Nie, oczywiście, że nie, nie wiedziałem o tym.

– Właśnie! – Tony znów podniósł głos. – Ale pan wiedział, panie Rupercie. Przed chwilą pan to przyznał. Dostał się pan do środka przez szafę. A wie pan, co ja sobie myślę? Że to, co tu się dzieje, dokładnie odpowiada waszym planom, nie mam racji? Garstka gości. I morderca grasujący na wyspie! Tylko że to miała być zabawa, a teraz... to wcale nie jest zabawne!

– Niech pan będzie rozsądny, Tony. – Levin usiłował zachować spokój. – Chyba nie sądzi pan, że mam z tym coś wspólnego.

– A nie ma pan?

– Panie Levin? – To był głos Beth. Musiała stać pod budynkiem, bo wołanie dochodziło z zewnątrz.

– Tak? – Rupert minął Tony'ego i podszedł do otwartego okna.

– Chodzi o... o dźwiękowca – dobiegł głos zza okna. – Ja chyba... nie mogę wyczuć jego tętna.

Paul przejechał ręką po twarzy i poczuł, że jest mokra od potu.

– Rozumiem, Beth. Czy ktoś przy nim jest?

– Kate.

– W porządku. – Głos Ruperta lekko drżał. Zwrócił się ponownie do Tony'ego: – Każdy, kto był na budowie, mógł bez trudu odkryć to wejście.

– Ile takich tajemnych korytarzy jest tu jeszcze, panie Rupercie? – wydusił Paul. – Gdzie czyha więcej zasadzek, w które można wpaść? A może chce pan być jedyną osobą, która je zna, podczas gdy cała reszta będzie zdana na łaskę i niełaskę mordercy?

– Co to znaczy „więcej zasadzek”? – Tony szarpnął Ruperta za ramię.

– Tony, ależ proszę, co pan robi?!

Levin uwolnił ramię mocnym szarpnięciem. Było oczywiste, że niezbyt wysoki, szpakowaty przedsiębiorca fizycznie nie mógł się mierzyć z kamerzystą.

– Nie ma żadnych pułapek, to nonsens. – Przygładził włosy, nie spuszczać czujnego wzroku z Tony'ego. – Ale owszem, to prawda, wcale nie przeczę, że jest kilka... prostych forteli, które zrealizowaliśmy w hotelu i które, powiedziałbym... – przeskoczył wzrokiem na Paula i z powrotem na Tony'ego – są absolutnie niezbędne dla tego, co

zamierzamy robić w parku.

– Ach tak. – Słowa Tony’ego zabrzmiały jak warknięcie psa.

– Beth objaśniła to wczoraj z detalami – powiedział Rupert, jakby czuł, że zyska przewagę, jeśli tylko zdoła omotać Tony’ego. – Planujemy coś w rodzaju platformy dla singli...

– Platformy dla singli?

– Świat singli, park singli, park przygodowy dla singli. Miejsce, w którym ludzie będą mogli się do siebie zbliżyć, bo będzie tu grasował ktoś, kto im – tu jego palce zaznaczyły w powietrzu cudzysłów – „zagraża”. A cóż może być bardziej zaskakującego niż osoba, która nagle zjawia się przez ukryte w ścianie drzwi, znika w tajemnym korytarzu albo wydostaje się z pomieszczenia, które przedtem starannie zamknięto? – Levin zmrużył szare oczy, a jego usta rozchyliły się nieco. – To przecież znakomicie się wpasowuje w atmosferę, którą chcemy stworzyć w Murder Park, musi pan to dostrzegać, Tony. To będzie... wprowadzało u gości pewien... niepokój, a jednocześnie potęgowało adrenalinę. – Spojrzał na szafę, w której za tylną ścianką widniały ukryte schody. – Opracowałem to wszystko razem z Beth, dokładnie obmyśliśmy, jak przerobić ten stary betonowy klocek na coś w rodzaju skrzynki pełnej tricków. – Machnął ręką. – Nic wielkiego. Parę przejść, parę luk, ale efekt, jestem tego pewien, będzie obezwładniający. – Ponownie popatrzył na Paula, jakby chcąc zaskarbić sobie jego aprobatę.

Paul jednak nie chciał, by dopraszano się jego aprobaty. Oczywiście, że nie! Gdyby nie to cholerne ukryte przejście Michaelowi może nic by się nie stało.

– Beth wspomniała, że ona bardziej zajmowała się eksponatami i parkiem, a pan, panie Rupercie, był autorem pomysłu, by wykorzystać ten teren jako – poszukał właściwych słów – jako miejsce spotkań dla singli. Chce pan zarabiać na strachu, dobrze rozumiem? To jest pana siłą napędową? Żądza pieniądza? A może tkwi w tym coś więcej?

Rupert wytrzymał ostre spojrzenie Paula. I znów w oczach mężczyzny, który tak intensywnie oddziaływał na innych, pojawił się błysk. Przedsiębiorca emanował czymś, co przy całej niechęci Paula dla tego projektu jednak budziło w nim sympatię.

– Jestem biznesmenem, Paul. – Levin starannie dobierał słowa. – Inwestuję pieniądze, wprawiam rzeczy w ruch, ale te pieniądze muszą do mnie wracać, jakkolwiek by to było nieeleganckie. Bez biznesplanu Murder Park nigdy by nie powstał. A szkoda by było. – Ponownie zwrócił się do Tony’ego: – Nie chciałbym, żebyśmy się źle zrozumieli: prace związane z przebudową obiektu wciąż trwają. Dlatego w poniedziałek na wyspę przyplyną robotnicy. Zobacz pan, Tony, zaraz w poniedziałek rano, pierwszym promem. I oczywiście prace te nie są żadną tajemnicą, skądże, to byłoby absurdalne. Istnieją plany, znają je murarze, całkiem normalnie. Dlatego mówię, że każdy, kto odrobinę się rozejrzy po budowie, w krótkim czasie zorientuje się we wszystkich krokach, które zaplanowaliśmy, a częściowo też zrealizowaliśmy. Myślę, że w biurze brygadzysty – pokazał kciukiem za plecy – są wszystkie plany.

Tony opadł na stojące przy ścianie krzesło.

– Ale spośród nas... – powtórzył jak uparte dziecko, które nie może się pozbyć wrażenia, że chce się je oszukać – spośród nas tutaj... kto o tym wie? Przecież to nie ma znaczenia, co wie brygadzysta czy ktoś tam. Ten, kto to zrobił Michaelowi, jest na wyspie

teraz, a nie w poniedziałek przed południem! A teraz jesteśmy tu tylko my. I nikt więcej. Pytam więc po raz ostatni: kto z nas wie o tym dodatkowym wejściu ukrytym w szafie?

Rupert wsunął ręce do kieszeni marynarki i popatrzył przez okno, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Tony, co to znaczy „spośród nas”? Skąd ten pomysł, że ktoś z nas zrobił to Michaelowi? Na wyspie musi się ukrywać ktoś jeszcze, gdzieś w gąszczu na południu. – Powiódł ręką w powietrzu. – Wyspa nie jest zbyt wielka, to prawda, ale wystarczająco duża, by ktoś mógł się na niej ukryć.

Tony spuścił wzrok na pomarańczowo-brązowe romby na wykładzinie podłogowej.

– I ten nieznajomy – odezwał się Paul – czekał tu na nas, tak?

Rupert odwrócił do niego głowę. Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: Czyż nie jest tak, że wszystko jest możliwe?

– Wziął wcześniejszy prom i czekał na nas na wyspie – zastanawiał się na głos Paul. – Mógł też... bo ja wiem... może przyplłynął pontonem. Raz, by rozejrzeć się na budowie. I drugi raz, by się na nas zaczął. To byłoby możliwe, prawda? – Zauważył matowy błysk w oczach Ruperta.

– Ponton, tak. – Levin zerknął na Constance, jakby chciał uniknąć spojrzenia Paula. – Glenn mówił mi, że Jay podobno widziała ponton... A właściwie, że robotnicy wspominali o jakimś pontonie. Sam z nią o tym nie rozmawiałem, ale to oczywiście możliwe.

– Powiedziała, że zgodnie z tym, co mówili, ponton później zniknął – wyjaśnił Paul. – Ten, kto nim przybył, musiał opuścić wyspę.

Rupert wzruszył ramionami.

– Albo przyplyniecie we dwójkę i odpłynął jeden z nich. Skąd pan to może wiedzieć? – Popatrzył na Tony'ego. – Ale może to rzeczywiście ktoś z nas, Tony, tak jak pan mówi. No bo przecież nie możemy tego wykluczyć. Ktoś mógł przybyć tu pontonem, zorientować się w sytuacji, a potem odpłynąć. A potem on... lub ona... – skinął głową, jakby sam chciał potwierdzić to przypuszczenie – mógł udać się na wyspę promem razem z nami. Dzięki temu wie więcej od nas, za to my nie mamy pojęcia, o czym wie on. Wtedy rzeczywiście byłby to ktoś z nas.

– Paul, niech pan zaczeka!

Constance wciąż stała pod drzwiami łazienki. Tony i Rupert właśnie opuścili pokój wyjściem za szafą, bo Tony chciał wiedzieć, dokąd prowadzą. Paul miał zamiar podążyć za nimi, ale wtedy zawołała go Constance.

Zatrzymał się i obrócił. Podeszła do niego, stanęła na palcach i chwyciła go za rękę. Poczł na policzku jej ciepły oddech.

– Wiem, kto to jest – wyszeptała mu do ucha. Paul wciągnął powietrze, zbity z tropu nie tylko słowami młodej kobiety, ale też jej nagłą bliskością. – Chyba wiem, Paul... – Zajrzał w jej niebieskie oczy. Poczł, jak zarzuca mu ręce na szyję. – To Glenn – szepnęła ledwie słyszalnie. Przywarła do niego. W tym momencie coś spadło na jego dłoń. Podążył tam wzrokiem i zauważył połyskujące na swej skórze krople wody – albo łzy. – To Glenn. Teraz zabije mnie.

Położyła głowę na jego ramieniu, a on objął ją odruchowo.

– Glenn. Dlaczego on, co jest z nim nie tak?

– Jay powiedziała mi... niedosłownie, ale opowiadała, że rozmawiała z Michaelem, rok temu. Michael był tu, na wyspie, kręcili jakiś materiał dla telewizji. Wtedy się poznali, Jay pracowała w kawiarni w porcie jako kelnerka. No i się z nim... zaprzyjaźniła. A on zdradził jej, że coś usłyszał. Przez te swoje mikrofony.

– Mikrofony?

– On robi w dźwięku... wszędzie zabiera te swoje mikrofony. Podszłuchał, jak pan Levin rozmawia przez telefon. Michael nie bardzo wiedział z kim, ale Glenn to jego chłopak do wszystkiego...

– Czyj?

– Pana Levina! Znają się od dawna. Glenn jest na każde jego skinienie. O ile nie pracuje akurat na którymś z tych swoich jarmarków.

– Co takiego usłyszał Michael?

Michael i Jay. Akurat ta dwójka.

– Jay aż się trzęsła, kiedy mi o tym opowiadała. Uważała, że ktoś musiał się dowiedzieć, że Michael z nią o tym rozmawiał, tylko nie wiedziała kto.

„Naprawdę uważasz, że mówią nam, o co tu chodzi?”

– ...A teraz oboje nie żyją.

Wciąż trzymał ją w ramionach – była lekka jak piórko, a jednocześnie ciężka mu odrobinę. Miał wrażenie, że ta dziewczyna jest do tego stworzona.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Beth powiedziała panu, że byłem związana, prawda? I że Glenn mnie znalazł. – Wodziła wzrokiem między jego oczami.

– Tak.

– Glenn nie tylko mnie znalazł. Nie zastanawiał się pan, kto mnie związał?

– Kto? – Pomyślał chwilę. – Chyba wspominała pani, że to była Beth? – Teraz sobie przypominał. Rozmawiał już o tym z Constance, kiedy zeszli na dół, by sprawdzić, co tak hałasuje.

– Tak twierdziłam – zgodziła się, nie zdejmując dłoni z jego karku. Wydało mu się, że opuszki jej palców zatapiają się głębiej w jego włosach. – Bo nie chciałam panu mówić, co się wydarzyło naprawdę.

– Kiedy się wydarzyło?

– Kiedy mnie związał.

– Związał? Kto?

– Glenn. Związał mnie Glenn. To nie była Beth. Tylko Glenn. I... wykorzystał to.

Krew. Zastłona prysznicowa – ślady na wykafelkowanej podłodze. Paul zamknął za sobą drzwi łazienki, ale miał wrażenie, że zaskorupiałe ślady przepelzają pod nimi i wspinają się po jego nogach.

Udo Constance zaczęło się wsuwać między jego nogi. Obejmowała go tak ciasno, że przez moment – wbrew jego woli, co w niczym nie umniejszało przemożności doznania – był zbyt podniecony, by się przed tym bronić.

– To prawda, to było ze mną uzgodnione, wiedziałam, co się dzieje – szeptała. – Ale Glennowi sprawiało przyjemność przywiązywanie mnie do krzesła. – Czuł jej oddech, jej włosy dotykały jego policzka. – Poprosiłam go, żeby nie zaciskał tak mocno więzów, na co odparł: „A co za to dostanę?”. Pozwoliłam mu więc, by... mnie dotykał... więcej niż to było konieczne. Jak powinien dotykać mężczyzna, który cię wiąże, Paul? – *Glenn...* – Wiązanie było częścią gry. – Musnęła wargami jego ucho. – Częścią planu, ale Glenn... Glenn to nie jest gra. Glenn jest prawdziwy. Tak chce Rupert. Rupert chce, żeby Glenn zabijał.

– Ale dlaczego? – Paul uwolnił się odrobinę z objęć Constance i obrócił, tak by widzieć jej twarz. Była tak blisko, że ich usta prawie się dotykały. Przez moment zdawała się nad czymś zastanawiać, na coś czekać.

– Nie zrozumiał pan jeszcze? – zapytała w końcu. – To wszystko to efekt PR-u. Marketing, promocja, reklama. Jestem rzeczniczką prasową, trochę się na tym znam. Rupert chce, żeby ktoś mordował, bo wtedy wyspa zyska ogólnoswiatową sławę. To już nie jest Zodiac Island, park rozrywki dla całej rodziny. To to jest Murder Park, Paul! Po co się go odwiedza? Żeby się bać i do siebie zbliżyć. A gdzie można się najeść więcej strachu niż w hotelu, w którym naprawdę popełniono zbrodnię? Najpierw morderstwa Bohnera, a teraz to! Rupert od razu zapowiedział: to nie jest rozrywka dla dzieci. Nie, Murder Park to coś specjalnego, coś unikatowego na światową skalę. Prawdziwy dom zbrodni, wyspa morderców, na której można przenocować!

Tym razem to Paul wędrował spojrzeniem między jej źrenicami. O czym ona mówiła? To... to nie może być prawdą! Tylko co tu się naprawdę działo? Pod tym względem z pewnością miała rację: najpierw Jay, potem Michael – kto będzie następny? To właśnie to uwierało ich wszystkich jak rozżarzony cierń.

– Paul, boję się. Niech pan to poczuje. – Constance ujęła jego dłoń i ostrożnie rozprostowała zgięte palce, a potem położyła ją tam, gdzie biło jej serce, trochę poniżej szyi, ale na tyle nisko, by mógł wyczuć wypukłość piersi. Chciał odruchowo cofnąć rękę, przytrzymała ją jednak, patrząc mu w oczy. Rozchyliła wargi. A on czuł bicie jej serca. Jej oddech. – Musi mi pan pomóc.

A ty wyciągniesz spod łóżka szpikulec do lodu i wbijesz mi go między oczy.

Ta myśl przemknęła mu przez głowę tak prędko, że ledwie ją zauważył. W tym samym momencie poczuł na swych wargach jej gorące, miękkie usta, jej dłoń na karku, drugą na plecach. Zaczęła przesuwając się powoli w dół.

Wizg szlifierki – otwarta tkanka – rana...

Osunął się na nią ciężko, kiedy pociągnęła go za sobą na łóżko. Jej ciało zdawało się rozciągać pod nim, jej nogi skrzyżowały się na jego łądźwiach, jej wargi należały tylko do niego.

Ostatkiem woli oderwał się od niej i podparł ręką na materacu. Lizzie... chciała mieć pokój obok niego. A teraz Constance. Co tu się dzieje?

Zobaczył, że kobieta płacze.

– Masz rację, Paul. – Przyłożyła dłoń grzbietem do skroni, odwracając głowę, tak że mógł widzieć tylko jej profil – drobny nos, małe ucho, jasne kosmyki włosów, wijące się na szyi. – Nie wiem, co się dzieje na tej wyspie, ale czy ty też to czujesz? Nie widzisz, że nie wyjdziemy stąd żywi? – Wstrząsnął nią dygot. Prześcieradło zwilgotniało pod jej policzkiem. Czy tego chciał czy nie, ten nagły intymny dotyk... w głowie mu szumiało, jakby ich ciała wiedziały już, co dla nich dobre. – Nie chcę umierać, Paul.

Na sprzączce od paska poczuł jej dłoń. Wypuścił gwałtownie powietrze z płuc i usiadł.

Constance leżała obok niego, zasłaniając twarz ramieniem. Milczała.

Nie wiedział, co powiedzieć. W głowie miał mętlik.

Nikt nie wyjdzie stąd żywy?

Może rzeczywiście tak było. Śmierć deptała im po piętach. Paul widział ją w oczach Michaela. Widział, co zrobiła z Jay. Jeszcze żyli. On. Constance. Ale jak długo?

Powędrował wzrokiem ku leżącej przy nim młodej kobiecie. Tkanina cienkiej bluzki podwinęła się nieco, tak że mógł widzieć jej pępek. Była taka żywa, tak ciepła, świeża, że nie potrafił jej nie pożądać. A mimo to wiedział, że to niemożliwe – że to nie wchodzi w rachubę.

Poderwał się i stanął przy łóżku.

– Chodźmy do pozostałych.

Płakała, wstrząsana szlochem. Podciągnęła kolana do brzucha, dłonie docisnęła do twarzy. To nie była żadna sztuczka, żadna mało finezyjna próba uwiedzenia – ona naprawdę się bała, przyznała to przed chwilą. To był żywy, oślepiający strach. Czy z nim nie było podobnie? Widzieli Michaela, widzieli Jay – czuli, jak śmierć wyciąga po nich swoje macki.

– Paul, on powie Glennowi, że mam być następna.

– Uspokój się, Constance...

– Rupert chce, żeby ci się tu spodobało, Paul. Chce, żebyś napisał reportaż, który przykuje uwagę. A wie, że chętnie piszesz o tym, co przeżyłeś. Jeśli się ze mną nie prześpisz, powie Glennowi...

– Że ma cię zabić?

– Widziałeś Michaela. Widziałeś, co tu się wyprawia.

– Sam ci to powiedział, Constance? Rupert. Że masz... że masz ze mną...

– Nie, oczywiście, że nie! To nie jest takie proste! – Przetarła oczy. W tym samym

momencie z piętra niżej dał się słyszeć jakiś dźwięk. Metaliczny dźwięk. Paul instynktownie odwrócił głowę w stronę drzwi. – Przechodziłam terapię u Sheldona – usłyszał głos Constance. – To za jego pośrednictwem skontaktowałam się z mną Rupert.

– Terapię? Dlaczego?

– To... wyjaśnię ci to innym razem, Paul, ale Sheldon... to on ze mną rozmawiał. Znowu metaliczny łomot.

– Co to jest?

Spoglądała na niego zapłakanymi, zaczerwienionymi oczami. Nie odpowiedziała. Przycisnęła rękę do ust. Wyglądała teraz jak kot, który wpadł do wody.

I znowu. Głośno. Przeszywająco. Bam!

– O ile wiem, Sheldon rozmawiał z nami wszystkimi – podjęła. – A podczas rozmowy ze mną dał do zrozumienia, że... mam się do ciebie zbliżyć, Paul. Że Rupert życzy sobie tego, żeby mieć pewność, że twoja relacja o wyspie wypadnie pozytywnie.

– Sheldon rozmawiał z tobą o tym, że masz... mnie...

Jak miał się wyrazić? Że miała go uwieść, że miała mu się oddać?

Bam!

Cholera!

Paul podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Na korytarzu było pusto. Wrócił spojrzeniem do pokoju. Constance klęczała na łóżku, z bluzką nad głową.

– Constance, nie... proszę, załóż to z powrotem. – Wyciągnął rękę, zażenowany.

Wtedy spod materiału wyjrzała jej twarz. Dziewczyna nie miała stanika. Rzuciła bluzkę na łóżko i zwinnym ruchem zsunęła z bioder miękkie spodnie. Figi pod nimi były wąziutkie jak tasiemka. Klęczała, wpatrując się w niego.

Przez moment patrzyli sobie w oczy. Wyspa, hotel, dochodzący z dołu hałas, wydarzenia ostatnich godzin – wszystko przybladło i nie było wokół nich nic prócz tego spojrzenia.

A potem Paul odwrócił się i na sztywnych nogach wyszedł z pokoju.

Zanim już nie będę mógł się od niej uwolnić.

Od ust, które przywarły do jego warg. Od ciała, które się do niego przyciskało. Od drobnych dłoni, które wsunęły się między jego nogi.

– Paul... *Paul!*

Bam!

– Proszę, Paul, nie zostawiaj mnie samej. – Jej głos podążył za nim na korytarz.

Ruszył szybkim krokiem. „Powie Glennowi, że mam być następna”. Coś mu mówiło, że to prawda. Że nie zobaczy już Constance żywej. Bo to śmierć krążyła po wyspie – chuda, czarna i ogromna. Śmierć, której zimne usta musnęły już każdego z nich.

Bam!

Bammmmm!!

Baammmmm!!!

Każde uderzenie zdawało się rezonować w jego kościach.

Paul schował głowę w ramionach. Wzdrygał się za każdym razem, gdy klatką schodową wstrząsał kolejny łoskot.

Siekiera. Odgłos uderzeń siekiery... albo pałki... o... drzwi sejfów. O metalowe drzwi. Uderzeń tak mocnych, że pozostawiały wgłębienia. Głębokie szczyrby.

Bam!

– Halo!

Główne schody zostawił za sobą puste. W salce śniadaniowej – nikogo. Krzesła – puste. Nikt nie posprzątał. Na stołach stały jeszcze talerze i jedzenie. Nikogo z gości jednak nie było.

Halo.

Do środka wpadały promienie słońca. Nad wyspą rozpinano się wspaniałe błękitne niebo. Przez moment wydawało mu się, że wydarzenia ostatnich godzin nie mogą być niczym innym jak tylko sennym koszmarem.

Bamm!

Nie, to nie był sen, fantazja ani iluzja, tylko rzeczywistość. Tak realna jak krwawa rana. Tak realna jak realne były szeroko rozwarte, nabiegłe krwią oczy Michaela.

Bamm! Bamm! Baammm!!

Jest w amoku. Ten, kto wali o metalowe drzwi, szaleje... jak tonący, łapczywie chwytający powietrze.

– Halo! – *Cholera.* – Gdzie jesteście?

Przez szerokie szyby wychodzące na zewnątrz też nikogo nie było widać. Taras, tak. Skały, tak. Wyspę, morze, niebo, góry, tak, tak, tak, tak – ale ani śladu człowieka.

Paul stał w korytarzu koło spiżarni. Minął kuchnię i tylne schody prowadzące na górę. Drzwi, przy których przystanął, były zabezpieczone potężną dźwignią, która za pośrednictwem pionowej sztaby poruszała dwie zasuwki u góry i u dołu. Z zewnątrz nic nie było widać, lecz Paul był pewien, że to w te drzwi ktoś walił. Od wewnątrz. W środku był człowiek. Za drzwiami. W tym pomieszczeniu. W chłodni, bo to musiała być chłodnia, zamknięta w taki sposób.

Za drzwiami. Dlaczego? Czy to pozostali go tam zamknęli? Bo to był on, ten, który okaleczył Michaela? A może ona? Może w chłodni była kobieta?

Odwrócił głowę. Korytarz był pusty.

– Hej! – krzyknął w stronę drzwi chłodni.

W odpowiedzi ze środka dobiegł jakiś dźwięk. Głos. Głos mężczyzny. Paul nie mógł zrozumieć, co mówi. Nie wiedział, kto mu odpowiedział. Głos był ledwie słyszalny i jakby zduszony.

– Słyszysz mnie pan?

– Hmmm.

Najpierw musiał odszukać pozostałych, porozmawiać z nimi, zapytać, czy to oni zamknęli tam mężczyznę. Lecz z chłodni nie dobiegały już ciosy, tylko coś jakby wędrujące po drzwiach drapanie, szuranie i ocieranie. Paul śledził je wzrokiem. Najpierw z lewej strony, potem z prawej, a potem u góry. Poczuł, jak jego dłoń rozpała się żarem – i dopiero potem usłyszał głucho uderzenie własnej pięści o drzwi.

Metal był zimny. Odrobinę wilgotny, zapewne dlatego że był chłodzony od środka, podczas gdy korytarz, w którym stał Paul, ogrzewano.

Chłodnia. Paul nie wiedział, jak i gdzie można sterować temperaturą w środku. Ale czuł: w chłodni musiało panować lodowaty ziąb.

To dlatego mężczyzna walił w drzwi!

Może jest ubrany tylko w T-shirt. I tekturowe kapcie, które dawali tu gościom. W lodówce.

– Hej! To pan zaatakował Michaela?

Z chłodni dobiegł głos. Zabrzmiał desperacko, przenikliwie i boleśnie. Dłoń Paula zacisnęła się na dźwigni. Ona też była lodowata. Poruszył nią. Potężne zasuwki wysunęły się z suwnic, zasyczało – i natychmiast dał się odczuć chłód, wydobywający się z pomieszczenia.

– Oszałał pan?! – Człowiek wyszedł, niemal wypadł z pomieszczenia i chwycił Paula za przedramiona. Stanął przed nim, prawie dymiący, z włosami przyklejonymi do czaszki, z szeroko rozwartymi oczami i policzkami pooranymi bruzdami strachu, który z każdym stopniem, który traciło jego ciała, coraz głębiej wcinał się w skórę.

Glenn.

– Drzwi! Ktoś zatrzasnął za mną drzwi, kiedy poszedłem po zapasy!

Paul sięgnął do regału ze stertami obrusów, przy którym stali. Owinął mężczyznę w dwie, trzy, cztery bawełniane płachty.

– Widział go pan, panie Greenblatt? – wydusił Glenn. – Był pan przy tym? – Nadal cały drżał.

Paul pokręcił głową, wciąż mając się na baczności.

Czy Glenn zamknął się tam sam? Żeby odsunąć od siebie podejrzenia?

– Ktoś zatrzasnął drzwi, tak? – zapytał.

Glenn wskazał na chłodnię, w której piętrzyły się skrzynki z rybą, kosze z warzywami i napoje.

– Odwróciłem się plecami do drzwi i nagle – trzask – słyszę, jak się zamykają. – Pokazał deskę, którą musiał wyłamać z palety. – Gdybym nie walił w drzwi... – *On dobrze się orientuje w tym budynku. Tak jak Rupert. Jest tu dozorcą, do cholery.* – To nie był pan, prawda? To nie pan mnie tu zamknął?

– Nonsens, oczywiście, że nie! – obruszył się Paul.

Glenn był nieco niższy od niego, ale bardziej krępy. *Może pod T-shirtem nosi ocieplaną bieliznę. Może zmarzły mu tylko twarz i dłonie...*

Mężczyzna odwrócił się, by przejść obok niego.

– W takim razie pan chyba odpada, mam rację, Glenn?

Dozorca przystanął, jakby ugodzony tymi słowami. Powoli obrócił się, otulony w obrusy, wciąż jeszcze ze śladami przerażenia na twarzy.

– Cz... czemu?

– Czy zamknęli pana pozostali, bo dowiedzieli się, że to pan zaatakował Michaela?

– Co... Nie! Nie wiem, kto to był – zaciętrzewił się. – Rozległ się trzask i drzwi się zamknęły. Nikt ze mną nie rozmawiał.

– Ach tak? – mruknął Paul. – Tym samym nie wchodzi pan już w rachubę, prawda? Jeśli miał pan tu zamarznąć, to nie mógł pan być osobą, która napadła na Michaela. I zamordowała Jay. Czy mam rację? Bo to oznaczałoby, że nie jest pan napastnikiem, tylko jedną z jego ofiar!

Chyba że jesteś szczególnie cwany. Czasowo byłoby to wykonalne. Najpierw zabijasz Jay i Michaela, potem zatrząskujesz się w chłodni. I oczywiście wszyscy myślą, że ten, kto cię zamknął, to ta sama osoba, która zaatakowała Michaela i Jay. Ale ty nie jesteś aż taki cwany, prawda? Na tyle, by najpierw zabić tych dwoje, a potem samemu się zamknąć, by odsunąć od siebie podejrzenia?

Oczy Glenna były ciemne. Jego powieki drgały.

Zrobił krok w stronę Paula.

– Nie, nic nie zrobiłem Michaelowi i Jay, skurwysynu – wycedził. – I nie zamknąłem się sam w tej lodówce. Nie da się tego zrobić od wewnątrz. – *A jeśli ktoś ci w tym pomógł?* – Możesz pan mnie podejrzewać, ile chcesz, to w niczym nie zmienia faktu, że ten, kto załatwił Michaela, nadal gdzieś tu krąży. – Paul w milczeniu mierzył go wzrokiem. – Paul, nie ma pan pojęcia, co tu się dzieje. Może... – Szerokie bary Glenna drgnęły pod białymi płachtami. – I może nawet tak jest lepiej!

– Dlaczego? Co takiego się dzieje? Wie pan? Niech pan powie!

Glenn utkwiał w nim spojrzenie.

– Zajmuję się hotelem, to prawda. Ale tak naprawdę wcale nie mam lepszego rozeznania niż pan. Byłem tu tylko raz, w zeszłym tygodniu. Miałem parę godzin na zapoznanie się z budynkiem. – *Ach!* – Constance towarzyszyła na promie mnie i mojej... – Glenn omiół wzrokiem korytarz, ale byli sami – ...mojej żonie.

– Constance, tak? Wczoraj wieczorem miał ją pan związać. Potraktował ją pan może odrobinę ostrzej, niż to było konieczne? Jak pan myśli?

Glenn znieruchomiał.

– Kto tak twierdzi?

– Constance zasugerowała coś w tym stylu. – Paul jeszcze nie skończył wypowiadać tych słów, gdy przez głowę przemknęła mu myśl, że może nie powinien o tym wspominać. Z drugiej strony kto oprócz Constance mógł wiedzieć, co się wydarzyło podczas krępowania?

– Co zasugerowała?

– Że wykorzystał pan sytuację, kiedy ją wiązał.

– Wykorzystał... Słuchaj pan, niech pan nie wierzy w nic, co mówi Constance. To właśnie miałem na myśli. Ona... znaczy... Constance była tu w zeszłym tygodniu, kiedy mieliśmy się zapoznawać z hotelem. I ktoś jeszcze. Sheldon. Sheldon Lazarus. – *Psychiatra.* – Miałem właściwie obejrzeć system ogrzewania – Glenn obiema rękami przytrzymał owinięte wokół siebie obrusy – ale potem zauważyłem, jak Constance prowadzi Sheldona na górę. Myślę sobie: *Co jest? Co ona mu pokazuje?* Bo wie pan...

Constance – nie dość że blondynka, to jeszcze była dodatkowo zrobiona. Miała taką dość krótką sukienkę. Ten psychiatra cały czas się zgrywa na poważnego gościa, ale ja myślę, że on już dobrze wie, jak wyjść na swoje. – *Czy nie to właśnie mówiła Beth? Że odgłosy, które Paul słyszał z pokoju obok pierwszego wieczora... że to był pokój Sheldona?* – Zaprowadziła go do jednego z pokoi sypialnych. – Glenn przypatrywał się z ciekawością Paulowi, jakby nie chciał przegapić reakcji na swoje słowa.

– I?

– Zrobiła to z nim, z tym starym dziadem! Szkoda, że pan tego nie słyszał! Rupert kazał jej iść z każdym do łóżka! – prychnął. Złość była dosłownie wypisana na jego twarzy. – Z każdym, tylko nie ze mną! Przecież jestem tylko stróżem, zwykłym pieprzonym dozorcą! – Zimno, które wsiąkło w ubrania Glenna, zdawało się sączyć z obrusów. – Zaraz tego samego dnia wziąłem Sheldona w obroty – ciągnął – i zapytałem, co to była za akcja z blondyną w pokoju. Wiedziałem, że w następnym tygodniu mam przyplłynąć z wami na wyspę, więc chciałem wiedzieć, o co biega. I o co będzie biegać za tydzień. Dobrze, może pan to powtórzyć mojej... mojej żonie, jak pan chce! – Glenn przetarł czoło, mierzwiąc przyklejone do czaszki, mokre włosy. – Ale ten cały doktor Lazarus... oczywiście mnie objechał i powiedział, że jeśli mam pytania, to mam się zwrócić do Beth. – Zrobił krok w stronę Paula, który dosłownie poczuł buchającą od niego parę; poczuł zapach lodówki, zapach wody chłodzącej, zmrożonego potu i zatęchłego powietrza. – Ale potem Sheldon powiedział coś jeszcze, coś, czego się nie spodziewałem. Żebym nie łamał sobie głowy z powodu Constance, że w tym projekcie chodzi o coś zupełnie innego. I czy nie słyszałem, jak naprawdę było z Bohnerem.

– Z... z Bohnerem? – Paul nagle poczuł się tak, jakby cały ten chłód, wilgoć, ten zimny zaduch przenikały go na wskroś.

– Tak, z Bohnerem. „Nie wiesz, co mówią o Jeffie Bohnerze?”, pyta mnie. A ja na to, że nie wiem. Ale nie chciał powiedzieć więcej, choćbym nie wiem jak nagabywał.

„Co mówią o Bohnerze...”. To samo sugerował Michael minionej nocy, tuż zanim z mroku wyłoniła się tamta postać. Plotki, czy nie tak wyraził się Tony? „Niech go pan nie słucha!”

– Robię to dla pieniędzy – burknął Glenn bardziej do siebie niż do Paula. – Oczywiście to dla pieniędzy przyjechałem na tę wyspę. Ale od jakiegoś czasu myślę, że nie ma takiej kasy, którą powinni mi zapłacić za to, co tu się dzieje. – Uśmiechnął się krzywo; między jego spierzchniętymi od zimna wargami błysnęły zęby. – Gdyby pan wiedział, czego ja nie robiłem, żeby dostać tę robotę. Niech pan zapyta Mary, powie panu to samo.

Paul nie mógł przestać myśleć o Constance.

– Wykorzystał pan to, że miał związać Constance, tak czy nie?

– A jeśli nawet, to co? Każdy może ją mieć. Sheldon, Rupert. Sądzi pan, że Rupert jej nie miał? Co dokładnie panu powiedziała?

Powiedziała, że ją zabijesz w następnej kolejności.

– Napastował ją pan. Więc może jednak to pan zamordował Jay i Michaela?

Dozorca wbił w niego gniewny wzrok.

– Oszalał pan? Co to ma znaczyć? To przecież pan jest największym wariatem z nas

wszystkich! Jeśli w ogóle ktoś wchodzi w grę, to pan, Paul. Nic dziwnego! Po tym, co pan przeszedł jako dziecko. Ostatnią ofiarą Bohnera była przecież pańska matka. Ani kroku! – warknął, kiedy wzburzony Paul ruszył w jego stronę. – Nie zbliżaj się do mnie!

Glenn jednym susem dopadł kredensu po drugiej stronie korytarza, otworzył szufladę, obrócił się i wycelował czubek noża prosto w serce Paula.

Paul uchylił się odruchowo i chwycił za obrusy, które zsunęły się z ramion dozorca. Przydeptał je i szarpnął w górę; poczuł, że materiał blokuje ciężar mężczyzny. Glenn błyskawicznie zeskoczył na bok, ale Paul zdążył owinąć sobie tkaninę wokół dłoni. Uderzył chronioną w ten sposób pięścią w nóż.

– Więc to jednak nie przypadek, że akurat ty otworzyłeś drzwi chłodni! Jasne, oni chcieli, żebyś mnie wypuścił, właśnie o to im chodziło... Ani kroku! – krzyknął Glenn z przerażeniem w oczach. Był tak bardzo skupiony na Paulu, że nie dostrzegł, iż w korytarzu, za jego plecami, ktoś się pojawił.

Tony.

Paul zmusił się, by nie patrzeć na kamerzystę. Nie chciał zdradzać Glennowi jego obecności. Tony zbliżał się powoli z wysuniętą do przodu ręką, bezszelestnie. Był już tylko parę kroków za Glennem.

– Do tyłu – wysyczał Glenn, tnąc nożem powietrze. – I przestań wymachiwać tym obrusem! Idź tyłem do chłodni, to nic ci nie zrobię!

Spojrzenie Paula musiało chyba jednak drgnąć, bo nagle Glenn zawirował na pięcie. Przez sekundę, jak skamieniały, stał na wprost Tony'ego.

Uderzenie – to Tony chwycił deskę, którą Glenn walił wcześniej w drzwi chłodni, zamierzył się i trafił dozorcę w skroń. Głowa rośłego mężczyzny poleciała w bok, jego ciało ciężko osunęło się na podłogę.

– Do chłodni z nim – wydusił chrapliwie Paul. – Musimy go zamknąć, kompletnie mu odbiło.

– Paul, kto lepiej niż dozorca zna wszystkie tajne przejścia w tym cholernym hotelu? – Nie wiedzieli, jak regulować temperaturę w chłodni, i postanowili zamknąć Glenna w jednym z niechłodzonych pomieszczeń magazynowych, które również dało się zamykać od zewnątrz. W niebieskich oczach Tony’ego pojawił się błysk. – Poza tym rozmawiałem z Rupertem i on przyznał, że Constance, Glenn, Mary i Sheldon byli już na wyspie parę dni wcześniej.

Szli korytarzem w kierunku holu.

– Gdzie jest teraz Rupert? – Paul zerknął na Tony’ego.

Kameryzista rozłożył ręce.

– Kiedy zszedłem razem z nim schodami prowadzącymi z pokoju Michaela, oświadczył, że chce się trochę rozejrzeć na zewnątrz. Nie mogę go przecież nieustannie pilnować, poszedłem więc do jadalni. Ostatnie, co jadłem, to ta zupa wczoraj.

Paul przystanął.

– Dziękuję za pomoc z Glennem. Prawdopodobnie zamknąłby mnie w chłodni i zamarzyłbym tam na śmierć.

– Usłyszałem wasze głosy, kiedy byłem w kuchni – odparł z uśmiechem Tony. – Obaj robiliście wrażenie trochę zdenerwowanych. Poszedłem sprawdzić, co się dzieje, a tu Glenn z nożem wymierzonym w pana.

– Powinniśmy powiadomić Mary – zasugerował Paul. – Może ona przemówi mężowi do rozumu.

Tony odetchnął głęboko.

– Racja. O ile wiem, jest teraz zajęta przenoszeniem żywności z rampy do hotelu. Może od razu pójdziemy zobaczyć?

– Właściwie to... – Paul się zawahał – chciałem sprawdzić jeszcze jedną rzecz.

– Ach tak? – Tony przekrzywił głowę. – Jakiś gorący trop czy coś w tym rodzaju?

– Ależ skąd. Tylko... Zarówno wczoraj wieczorem Michael, jak i teraz Glenn wspomnieli o czymś, o czym nie mogę przestać myśleć.

– O czym takim?

Paul popatrzył wzdłuż korytarza, na którym się zatrzymali.

– Podobno chodzą plotki na temat Jeffa Bohnera. – Przeniósł wzrok na Tony’ego. – Pewnie pan też o tym słyszał?

– Ja? Dlaczego? – zdziwił się Tony.

– No... kiedy Michael wspomniiał o tym wczoraj wieczorem, powiedział pan, że to tylko plotki. Zwykłe plotki. Ale co właściwie wygadują ludzie?

Tony wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, co pan ma na myśli. Ludzie gadają różne rzeczy, nigdy się tym specjalnie nie interesowałem. A Michael... – Po jego twarzy przemknął cień bólu. – Ledwie go znałem, ale miałem wrażenie, że... jest trochę rozchwiany, wie pan? Niezbyt stabilny psychicznie. Potrafię sobie wyobrazić, że interesował się plotkami. Ale mniejsza o to... Skoro to pana zaprzęta, Paul, niech pan się rozejrzy w bungalowach – zgromadzono tam prawdziwą kolekcję na temat Bohnera. Może coś tam pan znajdzie. –

Ruszyli dalej. – Może Beth mogłaby panu pomóc – ciągnął Tony. – Tylko że, o ile wiem, w tej chwili jest gdzieś na wyspie razem z innymi. Parę osób chciało sprawdzić, czy kogoś tu nie znajdują.

Wyszli na taras. Po drugiej stronie placyku widniało zejście do wąwozu i pierwsze bungalowy, przytulone do skał.

– Chyba tak zrobię. – Paul wskazał głową w kierunku wąwozu. – Rozejrzę się trochę po bungalowach. Jeśli nie znajdzie pan Mary, proszę dać znać. Pomogę panu szukać.

Tony otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko skinął głową i odwrócił się, żeby chodnikiem prowadzącym wokół hotelu odejść ku rampie.

Paul przemierzył placyk i skierował się do pierwszego bungalowu. Słońce chyliło się już ku zachodowi, ale wciąż jeszcze piekło w kark. Nagle przypomniało mu się, co Lizzie opowiadała o Tonym. O tym, że lubi przemoc. Czy naprawdę musiał zadać Glennowi tak mocny cios? Dozorca osunął się po nim na ziemię jak mokry worek.

Wtedy uprzytomnił sobie coś jeszcze. Drut... drut na szlifierce, który blokował włącznik, by urządzenie działało przez cały czas, na długo po tym, jak osoba, która jej użyła, opuściła łazienkę. Po co ktoś to zrobił? Tony mówił, że Mary widziała go pod drzwiami, kiedy jeszcze dobiegał z za nich warkot silnika. Czy to po to zabójca zablokował włącznik? Żeby móc się pokazać, podczas gdy wszyscy będą myśleć, że nadal jest za drzwiami, bo dochodzi z za nich warkot szlifierki?

„Oczywiście wszystko zależy od tego, jak będziemy liczyć, jakie statystyki weźmiemy za podstawę. W tym punkcie jednak wszystkie dane są zgodne: największe nasilenie mamy już za sobą. Największe nasilenie, ujmijmy to tak, kultury seryjnych morderców, punkt kulminacyjny epoki seryjnych zabójców mamy już za sobą”...

Paul ślizgał się wzrokiem po tekście. Był w bungalowie, w którym wystawiono najwięcej murderabiliów – nie w domku, w którym umieszczono instalację z kukłami, tylko w tym, do którego zaprowadziła ich na początku Beth. Na niewielkim regaliku pełnym rozmaitych broszur, czasopism i książek zauważył grzbiet książki z nazwiskiem Sheldona Lazarusa. Był to zbiór wydanych przez niego rozpraw naukowych, zawierający dłuższy tekst o Jeffie Bohnerze i morderstwach na Zodiac Island.

„I mam na myśli dokładnie to, że liczba zabójstw, tudzież zabójców w ostatnich latach spadła”, pisał dalej Sheldon. „Liczba seryjnych morderców, którzy jeszcze żyją, spada. Nie jest to jednak aż tak zdumiewające, jak mogłoby się wydawać. Bo podobnie jak wraz ze spadkiem liczby zabójstw zarysowuje się koniec tej epoki, epoka ta, którą chciałbym nazwać epoką seryjnych zabójców, miała swój początek. Oczywiście już wcześniej zdarzali się pojedynczy sprawcy, popełniający kilka morderstw jedno po drugim. Pojedynczych morderców mających na koncie serię, czyli kilka zbrodni popełnionych kolejno po sobie, można spotkać już w latach dwudziestych i trzydziestych w Niemczech; weźmy choćby Fritza Haarmanna albo film Fritza Langa *M – morderca*, opowiadający o seryjnym zabójcy. Jednak fakt istnienia jednocześnie kilku takich sprawców ujawnił się dopiero w latach 60. XX. wieku. Ten okres możemy określić jako narodziny kultury seryjnych morderców. By nie być gołosłownym, weźmy liczby podawane przez Jamesa Alana Foxa, profesora kryminologii na Northeastern University, a otrzymamy następujący obraz: podczas gdy w latach 60. zanotowano tylko 19 sprawców, w latach 70. było ich już 119! Równolegle możemy zaobserwować, jak zabójstwo seryjne coraz częściej staje się tematem wykorzystywanym w popkulturze. Zaczęło się od thrillera *Psychoza* Hitchcocka w roku 1960, później były takie filmy, jak *Teksańska masakra piłą mechaniczną* z roku 1974 czy *Halloween* z 1978 roku. W latach 80. liczba zarejestrowanych przez władze seryjnych morderców wzrasta do 200. To punkt kulminacyjny. Już w latach 90., w dekadzie *American Psycho*, *Milczenia owiec* i *Siedem*, liczba sprawców spada do 141. A w latach 2000–2010? W tym okresie zarejestrowano 61 sprawców kwalifikowanych jako seryjni zabójcy. O jedną trzecią mniej niż w latach 80. Ponieważ analiza tego typu danych przysparza pewnych trudności, nie ma jeszcze wiarygodnych liczb dotyczących bieżącej dekady. Jestem jednak przekonany, że będziemy mogli zaobserwować kontynuację tego trendu”.

Paul oparł się ramieniem o ścianę i przerzucił parę stron. Kiedy wyłowił wzrokiem nazwisko „Bohner”, zaczął czytać dalej:

„Celem niniejszej analizy jest przede wszystkim pokazanie unikalnej metody Jeffa Bohnera w kontekście zarysowanego rozwoju kultury seryjnych zabójców. Ponieważ Bohner – i to właśnie stanowi sedno mojej analizy – Bohner w swym sposobie działania, w obsesjach, które uwidaczniają się w jego poczynaniach, wykazuje coś w rodzaju

kryzysu zbrodni seryjnej.

A dlaczego? W jakim sensie? Wskazywaliśmy na to już wcześniej: inaczej niż jego poprzednikom, Bohnerowi – przy całej brutalności jego postępowania – nie chodziło tak naprawdę o morderstwo. Chodziło mu o coś, co dało się osiągnąć jedynie poprzez zabicie innej osoby. Samo uśmiercenie jest u Jeffa Bohnera niczym innym jak koniecznym zjawiskiem towarzyszącym, niejako stratą uboczną. Jego właściwym celem było przeżycie na różnych płaszczyznach – albo, jeśli ktoś woli takie określenie: różnymi kanałami – tego, jak przychodzi śmierć. Z jednej strony chodziło o przeżycie momentu śmierci w ciele ofiary, do której Bohner przywierał w trakcie uśmiercania najciaśniej, jak się dało; z drugiej strony – o przeżycie momentu śmierci w usposobieniu, w duszy *członka rodziny właściwej ofiary*. I to nie dowolnej osoby z rodziny, nie, pod tym względem wszystkie trzy jego zbrodnie przemawiają zupełnie jasnym językiem: chodziło o nadejście śmierci w duszy *dziecka ofiary*. Jednym słowem: chodziło mu o efekt, jaki jego zbrodnie wywierała na dziecku ofiary, prawdopodobnie dlatego – tak przypuszczamy – że z usposobienia dziecka o wiele wyraźniej i bardziej bezpośrednio dało się wyczytać reakcję na coś takiego jak spotkanie ze śmiercią niż w przypadku dorosłego.

Jeśli przyjrzymy się uważnie czynom Jeffa Bohnera, uwidocznili się to w sposób następujący: w przypadku wszystkich trzech zbrodni wybrał matkę samotnie wychowującą jedno dziecko. Na ofiarę wybierał matkę. Jednocześnie jednak dążył do tego, by dowiedzieć się, jaki efekt wywrze jego czyn na dziecku. Chciał – jeśli można to tak określić – przeżyć moment, w którym dziecko ofiary zostaje uszkodzone doświadczeniem morderstwa. I to nie fizycznie – fizyczne uszkodzenie dotyczyło wszakże matki. U dziecka uszkodzenia doznawała dusza”.

Paul oderwał wzrok od książki i podszedł do okna. Wyspę otuliła mgielka z rozpylonej przez fale morskiej wody, mżawki i nisko wiszących chmur. W mlecznobiałym powietrzu ledwie było widać zamazany, szarzielony ocean.

Uszkodzona dusza...

Wrócił do książki.

„Jeśli chodzi o dokładną mechanikę obsesji Bohnera, możemy tylko spekulować. Charakterystyczne jest jednak to, jak często powoływał się w swych nielicznych notatkach, w posiadaniu których jesteśmy, na Jane Toppan, znaną morderczynię z dziewiętnastego wieku. Co takiego fascynowało go w tej mordującej pielęgniarce? Odpowiedź jest za każdym razem taka sama: stosunek Toppan do śmierci – to właśnie to tak bardzo zaimponowało Bohnerowi. Jane Toppan nie tylko truła swoje ofiary, lecz – po podaniu trucizny – kładła się przy nich na łóżku i mocno trzymała w objęciach, podczas gdy pomału wysączało się z nich życie. To, co Toppan chciała czuć w ciałach ofiar, do czego chciała się zbliżyć jak najbardziej, to sposób, w jaki śmierć dosłownie brała w posiadanie ofiarę. I właśnie to fascynowało też Bohnera: jak śmierć nie tylko bierze we władanie ciało ofiary, lecz też rozprzestrzenia się w duszy, w usposobieniu, w oczach dziecka. Jest to podejście, rodzaj zaburzenia obsesyjno-kompulsywnego, z jakim w takiej formie nie spotkaliśmy się u żadnego innego sprawcy”.

Oczy... błękitne oczy... przypominały dwa górskie jeziora. Niemodny przedziałek, T-shirt w kolorowe paski, uśmiech – wyglądający, jakby fotograf na siłę przykleił go do tej dziecięcej twarzy. Zadarty nos, piegi. Brakowało tylko rysunku kosmonauty albo lądowania na Księżycu w tle.

Paul odłożył książkę i zwrócił się ku ekranowi, umieszczonemu na niewielkim słupku. Na monitorze można było obejrzeć rozmaite zdjęcia i filmy poświęcone zabójstwom na Zodiac Island.

Na ekranie zamigotały dwie fotografie. Przedstawiały chłopca, najpierw pięcioletniego, potem może dziesięciolatka. Zdjęcia malca w niemodnej bejsbolówce. Na obu był sam, tylko z pluszowym misiem, albo z wozem strażackim. A potem jedno zdjęcie z matką. Chłopiec, który najwyraźniej dorastał bez ojca. To nie były zdjęcia jednej z ofiar Bohnera, to musiały być fotografie jego samego.

Pojawieniu się obrazów towarzyszyła krótka melodyjka, a potem lektor powtórzył informacje, które Paul już znał. Bohnerowi zdołano przypisać trzy morderstwa z lat 1996 i 1997; wszystkie trzy popełnione na Zodiac Island. Spokojne widoczki wyspy z charakterystyczną kolejką górską i górującym nad nią diabelskim młynem zniknęły, ustępując miejsca rozedrganemu nagraniu wideo z kamery. Filmujący biegł. Pojawił się obraz kamienistej ścieżki, parterowego bungalowu, w oddali majaczyło morze. W kadr od lewej strony weszła kobieta. Biegła w tym samym kierunku, co osoba trzymająca kamerę, po czym zniknęła za drzwiami bungalowu. Zaraz potem kamera dotarła na próg parterowego domku, obraz pociemniał na moment, a po sekundzie automatyczna przesłona dostosowała się do zmienionych warunków i pojawiło się wewnątrz bungalowu, w ziarnistej jakości starych nagrań wideo. W półmroku widać było telewizor, opuszczone żaluzje, wysiedzianą kanapę. Na drugim planie kręciło się kilka umundurowanych osób. Kobieta, która przed chwilą biegła, podeszła do chłopca stojącego przy niskim stoliku. Paul nagle uprzytomnił sobie, kim była ta kobieta. To Kate, Kate Myerson, która na promie opowiadała o morderstwach Jeffa Bohnera. Na nagraniu była dwadzieścia lat młodsza, ale to na pewno ona.

Kamera zatrzymała się przy oknie obok drzwi. Chłopiec przy stoliku sprawiał wrażenie lekko oszołomionego. Był całkowicie skupiony na Kate.

Błysk... i na ekranie pojawiło się ascetyczne wnętrze... *Szpitalny oddział pediatryczny*, pomyślał Paul. W tle na białej ścianie dało się rozpoznać dziecięce rysunki i kolorowy kalendarz. Z przodu na krzeselku siedziało dziecko – w swetrze, który do niego nie pasował. Ten sam chłopiec, który przed chwilą opierał się o stół. Umyty. Uczesany. Zahukany.

Naprzeciwno niego – Kate. Słuchała, co mówił.

Był świadkiem, przemknęło Paulowi przez głowę. Ile mógł mieć lat, dziesięć? Paul miał zaledwie cztery, kiedy...

Cztery lata... Okres, którego praktycznie nie pamiętał. Gdy próbował do niego wracać, przez głowę przemykały mu dziwnie poszatkowane impresje. Jazda na karuzeli. A może to było później?

Miał cztery lata, kiedy matka...

Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Miał zdjęcia matki. Dzięki nim wiedział, jak wyglądała. Pamiętał je. Jej samej – nie. Kiedy o niej myślał, wydawało mu się, że czuje coś w rodzaju wstrząsów, jakby gdzieś głęboko coś ulegało miążdzeniu. Ale nie potrafił przypomnieć sobie czasu spędzonego z matką. Ani twarzy, ani odczuć, ani słów.

Chłopiec, którego widział przed sobą na ekranie, miał jednak znacznie więcej niż cztery lata. Na pewno dziesięć, może jedenaście.

On nie mógł tego zapomnieć.

– ...naprawdę miło – powiedział chłopiec, ze wzrokiem skierowanym na Kate. – Chodziliśmy nad morze, na plażę na wyspie, tam, gdzie jest piękny piasek. – Jego głos brzmiał piskliwie, może nawet wyżej niż zazwyczaj, bo to, o czym mówił, wywoływało w nim pewną nerwowość. – Mówił, że został zraniony w walce z Indianami. Dlatego miał bliznę na udzie; pamiętam, jak ją zobaczyłem pierwszy raz. Ale on nie walczył przeciwko Indianom, tylko dla nich. Tak powiedział. Strasznie mi się to podobało. A potem bawił się ze mną w Indian. Na wydmach po południowej stronie wyspy. Uwielbiałem to. Biegaliśmy po wydmach i czasem widziałem bliznę na jego udzie. Zbudowaliśmy zamek na piasku, w którym mogliśmy się barykadować.

Na plaży... Paul odpląnął myślami. Na plaży... zamek... barykadować... Wykopuje się pośrodku dół i usypuje wał wokół...

– Lubilem się z nim bawić, cieszyłem się, kiedy chodziliśmy na plażę. Myślałem... że tak powinno być z tatą. Że tak wyglądają zabawy z tatą. Dlatego zawsze bardzo się starałem. Starałem się, żeby podczas zabawy wszystko robić, jak trzeba. Ale to wcale nie było takie ważne. Było po prostu fajnie.

Zabawa w Indian na plaży.

Paul miał wrażenie, że lekko szumi mu w uszach. *Zabawa w Indian na plaży. Czy on też nie bawił się w Indian na plaży?*

– Ale potem – usłyszał głos chłopca – nagle wszystko się zmieniło. On stał się inny. – Otworzył szerzej oczy; głos zaczął mu się łamać. Wpatrywał się w Kate, jakby chciał wyczytać z jej twarzy, czy rozumiała, o czym mówił. – To było wczoraj... – Chłopiec nachylił się i powiedział coś Kate na ucho.

Zerknęła w stronę kamery, a potem przeniosła wzrok na chłopca, jakby nad czymś się zastanawiała.

– Myślisz, że mógłbyś to powtórzyć, Davy? – zapytała w końcu. – Żeby kamera też usłyszała, co mówisz? Oczywiście tylko, jeśli chcesz.

Chłopiec popatrzył w kamerę. W jego oczach nadal był spokój, taki sam jak w domu, a jednak na dnie źrenic rozżarzyło się światełko. Światełko, którego nie było na pierwszych ujęciach.

– To było wczoraj – powiedział, a ogienek zamigotał. – Jakby spadła mu z twarzy maska. – Popatrzył w obiektyw. Pojął, że ma się zwracać nie do Kate, tylko do kamery. – Jakby z twarzy opadła mu gumowa maska, a to – przy tych słowach twarz chłopca wydłużyła się, a głos popadł niemal w zaśpiew – co się ukazało, wżarło się w moją mamę.

Paul dotknął kciukiem przycisku na ekranie, zatrzymując nagranie.

Przez jakiś czas wsłuchiwał się w dochodzący zza okna szum fal i wiatru. W końcu

ponownie uruchomił projekcję. W kadrze pojawiło się ciemnoszare, trójkątne pomieszczenie. Pokój, oświetlony o wiele słabiej niż szpitalny oddział. Pośrodku siedziało coś różowego. Nieforemne. Istota zwrócona była plecami do kamery. Paul z nagłym ukłuciem w piersi rozpoznał w niej tego samego mężczyznę, który wpatrywał się w niego ze zdjęcia policyjnego powieszzonego na ścianie przy słupku z monitorem.

Pod fotografią, którą zauważył już podczas swej pierwszej bytności w domku, widniał podpis: „Jeff Bohner”.

Wątróbka z cebulą, dwa cheeseburgery, kilka rodzajów ciasta z wiśniami, lody waniliowe, cola i herbata z cukrem...

Postać na ekranie się odwróciła.

Był spasiony – właśnie to przyszło Paulowi do głowy. Mężczyzna był spasiony, a jego spojrzenie krzyczało przeraźliwym spustoszeniem. Wyłupiaste oczy, obwisłe policzki.

– Maski – odezwał się falset z ekranu. Paul uzmysłowił sobie, że to musiał być głos mężczyzny, na którego właśnie patrzył – maski, którą zrzucam z twarzy? Ależ oczywiście, że rozumiem, Kate... Mogę zwracać się do pani w ten sposób?

Nastąpiło powiększenie i w kadrze pojawiła się młoda, może dwudziestoletnia Kate. Siedziała na wprost mężczyzny w trójkątnym pomieszczeniu.

– Oczywiście, że początkowo okazywałem chłopcu i jego matce swą miłą twarz... – Mężczyzna urwał i popatrzył na Kate.

Badawczo? Czy on ją badał wzrokiem?

– ...wpierw okazywałem im swe miłe oblicze. Mówi się chyba o dwulicowości, prawda, Kate? Proszę zapytać doktora Lazarusa, on to pani wyjaśni. Bardzo dobrze rozumiem, co chłopiec chciał przez to powiedzieć. A właściwie to gdzie jest Sheldon Lazarus, czy to nie on powinien tu być?

Paul jeszcze nigdy nie widział tych materiałów. Nie udostępniły mu ich żadne służby policyjne. Kate... a może to był Rupert? Już na promie wspomnieli, że służby hojnie wsparły ich w gromadzeniu zbiorów na potrzeby Murder Park, udostępniając liczne materiały dochodzeniowe w sprawie Bohnera. Paul już wcześniej widział fotografie mężczyzny, tego mężczyzny, którego podobizna wisiała na ścianie – teraz jednak po raz pierwszy zobaczył, jak się porusza. Po raz pierwszy usłyszał brzmienie jego głosu, widział, jak pracują mięśnie jego twarzy – i w tym momencie dosłownie usłyszał, jak w głowie uruchamia mu się jakaś zapadka.

– Nigdy cię nie widziałem jako dziecko!

Paul wpatrywał się w monitor tak długo, aż pod jego spojrzeniem piksele zlały się w jedno. Obiema rękami objął słupek z monitorem.

– To NIE JEST PRAWDA! Nie jesteś mężczyzną, który przyszedł do naszego bungalowu. NIE JESTEŚ JEFFEM BOHNEREM!

Miał wrażenie, że krzyczy, ale z jego krtani nie wydobywał się żaden głos. Jego wargi się nie poruszały. Słyszał krzyk w swojej głowie.

Wywiad filmowy 8 z 12

Lew

Imię i nazwisko: Kate Myerson

Wiek: 46 lat

*Zawód: była agentka specjalna
służb federalnych*

Sheldon: Jak pani mówi: Zodiak czy Zwierzynek Niebieski?

Kate: Raz tak, raz tak; nigdy do końca nie rozumiałam, jaka to różnica.

Sheldon: I jest pani spod znaku Lwa?

Kate: Tak.

Sheldon: Miała pani pewną teorię, zgadza się? Przypuszczała pani, że między trzema zabójstwami na Zodiac Island istnieje powiązanie, które wykracza poza fakt, że wszystkie trzy zbrodnie przypisywano poszukiwanemu Jeffowi Bohnerowi.

Kate: Tak, to prawda. Przez jakiś czas podejrzewałam, że ta seria może mieć coś wspólnego ze znakami zodiaku poszczególnych ofiar. Trzy kobiety były spod znaku Skorpiona, Ryb i Byka. Ciało pierwszej, Nancy Cass, zostało wprawdzie rozplątane, ale przyczyną śmierci było ukąszenie skorpiona. Druga ofiara, pani Tartaglione, matka małego Davy'ego, została utopiona w wannie w swoim bungalowu – to pasowałoby do Ryb. Sarah Greenblatt, trzecia ofiara, została zadźgana, lecz nie zwyczajnym nożem, ale – jak stwierdzili eksperci medycyny sądowej – niemal tępym przedmiotem, którego nigdy nie udało się odnaleźć. Może rogiem? Czymś w rodzaju rogu? Czy to nie pasowałoby do jej znaku – Byka? Krótko mówiąc, przyczyna śmierci każdej z trzech kobiet odpowiadała jej znakowi. Przypadek? A może istniała tu jakaś więź? Wpadłam na coś istotnego? Proszę nie zapominać, że musieliśmy myśleć wielotorowo. Wszystko mogło być ze sobą jakoś powiązane. Ale... to prawda, przez jakiś czas rzeczywiście podążałam za tą teorią, musiałam jednak przyznać, że nie dało się potwierdzić tego przypuszczenia wyłącznie na podstawie tych trzech zabójstw. Miałam po prostu zbyt mało danych, za mało poszlak, by dało się je połączyć w spójną teorię. Mogło tak być, ale wcale nie musiało. A kiedy po trzecim morderstwie seria się urwała – z pewnością tylko dlatego że go schwytaliśmy – nie było już czwartej zbrodni, która mogłaby potwierdzić moją teorię. I Bogu dzięki.

Sheldon: Myśli pani, że to prawda? Że Bohnerowi chodziło o znaki zodiaku?

Kate: Trudno stwierdzić. Mogę powiedzieć jedno: przeświadczenie mówi mi, że to nie jest w porządku, żeby prezentować te detale w parku rozrywki. Te zbrodnie były straszliwe i to nie jest odpowiedni materiał dla parku tematycznego. Wiem, że skontaktował się pan ze mną, bo chciał pan się dowiedzieć czegoś więcej na temat

polowania na Jeffa Bohnera i jego aresztowania, ale... muszę powiedzieć, że cały ten pomysł na Murder Park – tak chcecie go nazwać, prawda? – napawa mnie obrzydzeniem. I nie rozumiem, jak pan może się w to angażować.

Sheldon: Całość znajduje się jeszcze na etapie planowania, Kate. Nie sądzę, żeby chodziło tu o park rozrywki w klasycznym tego słowa znaczeniu, park w stylu Disneylandu. I możemy wpływać na jego kształt. Niech mi pani pomoże – proszę pomóc mi zrobić z tego obiekt, który sprostą jego tematyce! Nie chcemy żerować na morderstwach popełnionych przez Jeffa Bohnera – wręcz przeciwnie, chcemy skorzystać ze sposobności i pokazać, co naprawdę stoi za taką serią zbrodni! Podejdźmy do tego projektu jak profesjonaliści, z pewną dozą... szczerości, jeśli pani chce. Nie uważa pani, że ludzie mają prawo się dowiedzieć, do czego są zdolni niektórzy z ich bliźnich? Padło już dużo słów na temat zła... a to, co objawia się nam w tych morderstwach, też jakoś się z tym łączy, nie uważa pani? Nie sądzi pani, że zainteresowanie takimi zjawiskami ma swoje uzasadnienie? Ja tak uważam i myślę, że to mój – a w pewnym stopniu i pani – obowiązek, by podzielić się z innymi tym, co wiemy na ten temat.

Kate: Hmm...

Sheldon: Poza tym jest jeszcze jeden powód, dla którego chciałbym panią prosić, by przyłączyła się pani do nas, kiedy po raz pierwszy będziemy prezentować mediom nasz projekt. W planowanej na weekend imprezie weźmie udział Paul Greenblatt. Pracuje jako dziennikarz, wyrobił sobie pewną markę jako reporter policyjny i...

Kate: Wiem, trochę go... obserwowałam z dystansu.

Sheldon: Naprawdę?

Kate: Oczywiście... Paul... Od tamtego poranka, kiedy spotkałam go pierwszy raz, jego losy zawsze leżały mi na sercu. Paul miał wtedy zaledwie cztery latka. Jego twarzyczka, buzia czterolatka...

Sheldon: Tak?

Kate: ...

Sheldon: Kate?

Kate: On... Wie pan, jak to jest, kiedy czterolatek próbuje być dzielny? Kiedy taki malec – mimo swojego wieku – nagle w jakiś sposób pojmuję, że dzieje się coś, co może go dosłownie zmiążdżyć, jeśli nie będzie uważał? Patrzył na mnie. Umundurowany funkcjonariusz stał na wprost niego, ale Paul patrzył przez jego nogi, świdrując mnie swoimi brązowymi oczami. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, wiedziałam już, co się stało. Wiedziałam od kolegów, że Paul pierwszy znalazł się na miejscu zbrodni, że siedział przy zwłokach matki... I kiedy go zobaczyłam, od razu doznałam wrażenia, że on wie. Miał dopiero cztery lata, ale wyglądał tak, jakby rozumiał, co się stało. Spędził przy ciele matki wiele godzin i... postarzał się w tym czasie o kilka lat. A jednocześnie zachował naturalny urok czterolatka. Między nami z miejsca nawiązała się nić czegoś w rodzaju zaufania. Podeszłam do niego, przykucnęłam, a on wyciągnął do mnie rękę. Wzięłam ją i trzymałam mocno, a on zrobił krok do przodu, odwrócił się i przywarł do mnie plecami. Nie mogłam inaczej, musiałam objąć go z całych sił i trzymać to drobne ciało, tulić je do siebie.

Sheldon: Rozmawiała pani z nim później?

Kate: Właściwie nie. Początkowo próbowałam, ale potem przekonałam się, że to nie ma sensu. Ukończyłam na akademii parę kursów psychologii dziecięcej, znałam kilka forteli, jak wydobyć z dziecka informacje, ale w tym przypadku wszystko to wydało mi się niewłaściwe... niewłaściwe jako narzędzie i niewłaściwe w jeszcze innym znaczeniu. Nie chciałam, żeby on musiał o tym mówić. Nie chciałam, żeby... wie pan... żeby to, co przeżył, utrwaliło się w jego psychice na skutek tego, że ubrał to w słowa. Gdyby zaczął mówić sam z siebie – w porządku. Ale nie zrobił tego. Czy wiedziałam, co dokładnie przeżył? Nie powinien szukać odpowiednich słów, jeśli nie chciał. A nie chciał. Dowiedziałam się od niego, że widział mordercę. Ale nie potrafił go opisać. Może nie rozumiał, że powinien. Zdaje się, że bawił się z tamtym mężczyzną. Nigdy nie udało mi się ustalić, co dokładnie robili tamtej nocy w bungalowie – Paul, jego matka i jej morderca. Było jednak niemożliwością wydobyć z niego jakąś przydatną informację, nie dokładając mu cierpienia. I wtedy – wie pan, wtedy nagle ważniejsze stało się dla mnie dopilnowanie, by chłopiec nie doznał przez nas jeszcze większego uszczerbku. To wydało mi się najważniejsze: obejść się z doznaną przez niego traumą tak, by mógł ją pokonać. A że był ciężko strauumatyzowany, to nie ulegało wątpliwości.

Sheldon: Jak długo miała pani na niego oko?

Kate: O, długo! Nie potrafiłam przestać o nim myśleć. Dotarło do mnie, jak później, jako nastolatek, zaczął się interesować znanymi mordercami. Ed Gein, Ted Bundy, David Berkovitz... Słyszałam, że zbierał artykuły z gazet, że kazał sobie przysyłać materiały z innych miast, że wytapetował zdjęciami ściany pokoju. Wszystko to bardzo mnie niepokoiło. Wiedziałam, że coś się w nim jątrzy, i nie da się przewidzieć, jak będzie się rozwijać dalej. Trzymałam się od niego z daleka, byłam przy nim bezpośrednio po morderstwie, przez pierwsze tygodnie, potem się zdystansowałam. Wiedziałam, że zawsze będzie mnie kojarzył z morderstwem swojej matki i nie chciałam nieustannie konfrontować go z tym przeżyciem. Więc trzymałam się z daleka, ale mimo to z oddali śledziłam jego rozwój. Poinformowano mnie, że dzień w dzień godzinami wałęsa się po ulicach, prosiłam kolegów z miejscowej policji, żeby od czasu do czasu poobserwowali go dyskretnie – i tak dowiedzieliśmy się, że włamał się raz do jakiegoś domu. Mieliśmy jednak wrażenie, że mogło chodzić o dziewczynę, która mieszkała w tym domu, i nie interweniowaliśmy. Nigdy więcej nie zrobił nic podobnego. A jednak kiedy o tym usłyszałam, było to dla mnie czymś w rodzaju dzwonka alarmowego... dla nas. To było najgorsze, co mogło się wydarzyć – rozwój w takim kierunku, jakiego najbardziej się obawiałam. Później jednak zaczęłam odnosić wrażenie, że... wykaraskał się z tego. Siły, uwolnione w nim przez tamto wydarzenie z dzieciństwa, poszukały – jeśli mogę tak się wyrazić – innego ujścia. Myślę, że pomogła mu praca reportera, podejście do zbrodni za pośrednictwem słowa pisanego. Ale nadal był to kruchy stan rzeczy. Jakby pod cieniutką powłoką coś drzemało. Dlatego zaproszenie go na wyspę uważam za nieodpowiedzialny krok...

Sheldon: Ale przecież nic mu tam nie zrobimy.

Kate: Ten chłopak jest nieobliczalny, Sheldon. Ile ma teraz lat? Dwadzieścia cztery? Jest pan psychiatrą, chyba nie muszę panu tego tłumaczyć!

Sheldon: Chce mu pani odmówić prawa do decydowania o sobie? Może pojechać

na wyspę albo z tego zrezygnować, złożyliśmy mu jedynie propozycję wzięcia w tym udziału. Może odmówić – żaden problem. Ale on, oczywiście, chce tam być. Jak moglibyśmy mu tego odmówić?

Kate: Wie pan, Sheldon, w ciągu tych pierwszych tygodni, zanim zapadła decyzja, do jakiej rodziny trafi Paul, w tym czasie nie było jasne, kto będzie się nim zajmował. Ja razem z kolegami dowodziłam wówczas śledztwem, jak pan wie – to była moja pierwsza sprawa – i dlatego to mnie powierzono ustalenie, co się stanie z chłopcem. Zaraz pierwszego dnia. Oczywiście mogłam powiedzieć którejś z policjantek, żeby się nim zajęła, ale... nie zrobiłam tego. Wprawdzie powiedziałam funkcjonariuszce, że ma się nim opiekować w czasie mojej nieobecności za dnia, ale wieczorem, kiedy wracałam z pracy, policjantka, która była z chłopcem w moim mieszkaniu, szła do domu. Paul był u mnie, Sheldon, przez pierwsze trzy tygodnie mieszkał u mnie. Przygotowałam mu łóżko w salonie, ale to było... to było okropne. Źle spał, budził się nocą... i nabrał zwyczaju przychodzić do mnie do łóżka. Obejmował mnie swoimi rączkami i tulił się do mnie. Często tak zasypialiśmy. Jak wspomniałam, nie wiem, co się wydarzyło w ciągu tych godzin, które Sarah Greenblatt, jej syn oraz morderca spędzili sami w bungalowie, ale... w te noce, kiedy Paul był przy mnie, docierała do mnie skala jego zaburzeń.

Sheldon: W jakim sensie?

Kate: W takim, że... Spałam, rozumie pan? Z Paulem u swego boku. Nagle się obudziłam... bo... próbował... ostrożnie, tak delikatnie, tymi swoimi rączkami, że początkowo wcale się nie obudziłam... Ale potem, kiedy już nie spałam, zauważyłam, że nie mam na sobie spodni od piżamy. Byłam naga, leżałam na wznak, a Paul... Wyobraża pan sobie, jak się wystraszyłam?

Sheldon: Co takiego zrobił?

Kate: Wśliznął się pod kołdrę, znaczy... nie potrafię sobie tego inaczej wytłumaczyć niż tak, że to były rzeczy, które wydarzyły się, kiedy był u nich Bohner... wśliznął się pod kołdrę i zaczął mnie...

Sheldon: Kate?

Kate: Ja... nie mogę o tym mówić. Sporządziłam wówczas notatkę; niech pan spróbuje uzyskać prawo do wglądu. Proszę mnie nie zmuszać do mówienia o tym. To... to... to jest coś, co dotyczy tylko Paula. Ja... sięgnęłam w dół i pociągnęłam go do siebie, do góry. Patrzył na mnie tymi swoimi brązowymi oczami i... ten wzrok! Niewinność w jego oczach. Nigdy tego nie zapomnę. „Mama”, zdawał się mówić spojrzeniem. „Mama, wszystko dobrze?”. „Tak, dobrze”, odparłam szeptem. „Wszystko jest dobrze, Paul”. Ale on zaczął płakać, bo wiedział, że to nieprawda. Nic nie było dobrze. Nie byłam jego mamą i nic nie było dobrze, bo ona została zamordowana, a on ponad cztery godziny czuwał przy jej zwłokach.

Paul został w bungalowie aż do zapadnięcia zmroku. Systematycznie przeglądał zgromadzone przez Levina i jego pracowników materiały na temat Bohnera. Stare akta policyjne, protokoły przesłuchań, zeznania świadków... Części z nich nie znał. Krok po kroku zaczynał wyrabiać sobie coraz jaśniejszy obraz.

Mężczyzna, który na nagraniu rozmawiał z Kate, podczas przesłuchań przyznał się do popełnienia morderstw na Zodiac Island. A w domu, w którym go aresztowano, zabezpieczono nóż i grzałkę, które na podstawie próbek krwi jednoznacznie przypisano morderstwom Bohnera – to znaczy dwóm zbrodniom, które śledczy zidentyfikowali jako popełnione przez tego samego sprawcę.

– Tak, krążą takie plotki, Paul, ale to przecież tylko plotki! – Beth stała na wprost niego na hotelowym tarasie. Słońce już zaszło. Ostatnie światło dnia uleci prędko i wyspę otuli noc. – To plotka i jestem pewna, że pojawiła się, dlatego iż koledzy z wydziału, który zajmował się Bohnerem, mieli Kate za złe jej sukces. Miała wtedy – ile? Dwadzieścia sześć, siedem lat? To była jej pierwsza duża sprawa, przydzielili jej do pomocy doświadczony dochodzeniowiec. Ale to Kate ostatecznie ujęła Bohnera. A koledzy żalowali jej tej zasługi. Minęło dwadzieścia lat, Paul, ale jeśli chodzi o równouprawnienie, to niewiele posunęliśmy się do przodu... Oczywiście oficjalnie wszyscy je popierają, ale w rzeczywistości? Nie mogą znieść, kiedy wyprzedza ich jakaś kobieta! Wtedy było jeszcze gorzej. Polowali na Bohnera przez długie lata, a tu nagle zjawia się jakaś młoda babka i sprząta im sprzed nosa jednego z najbardziej spektakularnych sprawców, którzy chodzą na wolności! Rozpuścili plotki, a fakty tylko im sprzyjały. Ślady na miejscach zbrodni nie były jednoznaczne, a jeśli chodzi o narzędzia zbrodni... Czy zatrzymany przez Kate mężczyzna nie mógł ich sobie *zalatwić*, jeśli kontaktował się z Bohnerem? Oczywiście wykorzystali te pogłoski...

– Więc jak? Wykorzystali te pogłoski czy je rozpuścili?

Beth wlepiła w niego wzrok, na moment zbита z tropu.

– Po tylu latach nie można tego... Mówimy o plotkach. W jaki sposób chce pan stwierdzić z dokładnością co do joty, kto je wypuścił w świat, a kto tylko rozpowszechniał? Bez względu na to to tylko plotka...

– Ale ten mężczyzna...

– Bohner.

– Bohner. Czy to jego prawdziwe nazwisko? Dla mnie zawsze pozostanie Jeffem Bohnerem, ale... to nie było nazwisko człowieka, którego aresztowała Kate, zgadza się?

Beth skinęła głową.

– Tylko że... – zawahała się.

– Tak?

– Wie pan, jak to jest z nazwiskami.

Jeff Bohner...

– „Jestem Jeff Bohner”, takie słowa nabazgrał na ścianie we wszystkich trzech miejscach zbrodni – stwierdził Paul. – Krwią każdej z ofiar. „Jestem Jeff Bohner”.

Beth ponownie skinęła głową.

– I dlatego poszukiwany zbrodniarz został nazwany właśnie tak. To wcale nie jest takie niezwykle, przeciwnie – znacznie ułatwia sprawę, kiedy ma się jakieś nazwisko. Syn Sama. Kuba Rozpruwacz. Unabomber. Tak zostali nazwani mordercy przez policję, prasę – albo przez siebie samych.

– Jeff Bohner... Nie nazywał się tak naprawdę! Mężczyzna, którego aresztowała Kate, tak się nie nazywał.

– Myśli pan, że ktoś podpisałby się nazwiskiem na miejscu zbrodni? Oczywiście, że nie!

Paul doznał dziwnego wrażenia, coś jakby lekki ucisk na karku.

– Tak. – Wypuścił powietrze z płuc. – Okay.

– Kate go...

– Moment, tamten mężczyzna, którego aresztowała Kate – jak on się nazywał, jak brzmiało jego prawdziwe nazwisko?

– Przecież pan musi znać te szczegóły, Paul!

– Owszem, w porządku, wiem, że Jeff Bohner to nie było jego prawdziwe nazwisko. I wiem, że utrzymywano, iż nie dało się ustalić jego tożsamości. To czasem się zdarza, na przykład wtedy, gdy nie da się zidentyfikować zwłok. Ale w przypadku aresztowania to dość niezwykle, kiedy nie da się zidentyfikować aresztowanego, prawda?

– Jasne. Ale też się zdarza. Dysponuje się DNA tej osoby, ale nie widnieje ono w żadnym rejestrze. Podobnie z odciskami palców. Po prostu nigdy wcześniej nie zostały zapisane w żadnym rejestrze. A wtedy nie da się ich przypisać żadnej osobie. Bez dowodu tożsamości, bez nikogo, kto by się zgłosił i stwierdził, że zna tę osobę. W takim wypadku służby mają problem z ustaleniem prawdziwego nazwiska. Oczywiście w przypadku mężczyzny aresztowanego przez Kate miały miejsce najróżniejsze spekulacje. Może był z Kanady i przemilczał ten fakt? Z Australii? Może przed czymś uciekał? Przez wiele lat żył na całkowitym odludziu... Po prostu nie zdołali go zidentyfikować. Ale kiedy wtargnęli do domu, w którym przebywał, pierwszą rzeczą, jaką powiedział, było: „Jestem Jeff Bohner”. I przy tym nazwisku został. Przyczepiło się do niego. Zwłaszcza po tym, jak policja zabezpieczyła w domu dwa narzędzia zbrodni, które jednoznacznie można było przypisać do zbrodni Bohnera. Poza tym podczas przesłuchań okazało się, że był bardzo dobrze poinformowany o tych morderstwach. I przyznał się do nich, Paul. O tym chyba też panu powiedziano, prawda? Że przyznał się do tych zbrodni.

– Tak... tak, oczywiście. – Ucisk spotęgował się nieco. Paul oparł się o filar, ale tak, by nie zdradzić złego samopoczucia. – Nie znaleźli metryki urodzenia? Ojca, matki, kogoś, kto zeznałby, jakie jest jego nazwisko? Jak naprawdę się nazywał!

Beth pokręciła głową.

– Przyjaciele... krewni... nie miał żadnych. W jego okolicy, w sklepie, w którym czasem robił zakupy, kazał mówić na siebie Clyde Oberman. Na ścianach w miejscach zbrodni stało „Jeff Bohner”. Dopóki nie został aresztowany, nazwisko to było dla niego tabu. Ale Clyde Oberman to też nie było jego prawdziwe nazwisko, wymyślił je sobie. Kate i jej ludzie to zweryfikowali. Wszystkie istniejące osoby o tym nazwisku sprawdzono. Nie było żadnego Clyde’a Obermana, który na przykład uchodziłby za zaginionego. Dlatego sprawę nadal nazywano sprawą Bohnera, a nie sprawą

Clyde'a Obermana. Oberman był tylko pseudonimem, ale Bohner... – uśmiechnęła się – nie można nie nazywać go w ten sposób... W każdym razie Bohner nie nabazgrał na ścianie nazwiska Oberman, widać nie było ono dla niego takie istotne. Używał go, by nie zostać powiązanim z zabójstwami Bohnera. Jako morderca wolał się nazywać Jeff Bohner, jako zwykły człowiek – Clyde Oberman...

Albo to były dwie różne osoby.

– A zdjęcia... zdjęcia dziecka, które widziałem wśród materiałów wystawionych w bungalowie? – Paul próbował ukryć sceptycyzm.

– To zdjęcia, które Kate i jej zespół znaleźli u niego podczas aresztowania. Nie zdołano jednak odnaleźć ani jego matki, ani nikogo innego z rodziny. Zeznał, że kobieta na fotografii jest jego matką, to zdaje się było dla niego ważne. Nie zdradził, gdzie można ją znaleźć i czy w ogóle jeszcze żyje. Jedyne, o czym mogli z nim rozmawiać, to te trzy zbrodnie.

Dobrze. Okay... Pomyślał chwilę.

– Twierdził „Jestem Jeff Bohner”, ale to nie była prawda, dobrze rozumiem?

– Cóż...

– Mam na myśli to, że mógł powiedzieć „Jestem Jeff Bohner”, ale mogło być tak, że wcale nie był tym, który popełnił zbrodnie Bohnera! Mógł się o nich dowiedzieć, mógł o nich słyszeć, a potem policja robi nalot na jego dom, a on mówi „Jestem Jeff Bohner”. Tylko że to wcale nie był on.

– Ale jego wiedza na temat tych zabójstw...

– Miał ją z gazet, z relacji. Po trzecim morderstwie w końcu było o nich dość głośno!

Beth wypuściła powietrze z płuc.

– Znał szczegóły, o których nie wiedział żaden dziennikarz.

– Morderca, ten prawdziwy... – Ucisk znów się wzmógł. Paul miał wrażenie, że Beth stoi pod dziwnym kątem, jakby przechylona. Poczł, jak jego lewe oko zamyka się powoli, a on kompletnie nie ma nad tym kontroli. Próbował to zwalczyć. – Mężczyzna, którego aresztowała Kate, mógł... mógł się tego dowiedzieć od prawdziwego sprawcy. Mógł nawet dostać od niego narzędzia zbrodni!

Beth nie odrywała od niego wzroku. Wyraźnie słyszała takie argumenty nie po raz pierwszy.

– Tak twierdzą niektórzy, Paul. Żeby zaszkodzić Kate. Ale to zupełnie nieprawdopodobne...

– Ale nie niemożliwe.

– Nie... oczywiście, że to nie jest niemożliwe.

– Mogliście posadzić na krześle elektrycznym niewłaściwą osobę!

– To tylko plotki, Paul! Nieważne, jak często będzie się je powtarzać, nie staną się przez to prawdziwsze! Jestem przekonana, że wykonali wyrok na prawdziwym Jeffie Bohnerze – człowieku, który zamordował trzy kobiety.

Paul słyszał ją jak przez zasłonę.

– Może jeszcze żyć – te słowa wydusił z siebie sylaba po sylabie. Od chwili, gdy zobaczył nagranie mężczyzny rozmawiającego z Kate w trójkątym pomieszczeniu,

wszystko, co wiedział o zabójstwach Bohnera, uległo przetasowaniu. – Co pani na to? Prawdziwy Jeff Bohner – i mam tu na myśli mężczyznę, który być może jeszcze żyje! Więc... prawdziwy Jeff Bohner poznaje kogoś. Człowieka, który nie jest taki... taki silny... osobowościowo jak on sam. I nakłania go, żeby to powiedział.

– Co powiedział, Paul?

– „Jestem Jeff Bohner”. Chociaż wcale nim nie jest! Nakłania go do tego, by się podłożył. Żeby przyznał się do serii morderstw, których nie popełnił. Czy macie DNA z miejsc zbrodni, które...

– Owszem, są ślady DNA z dwóch pierwszych miejsc zbrodni.

– DNA mężczyzny, którego stracono. Z miejsca zbrodni?

– Tak. – Beth przełknęła ślinę. – Wprawdzie były też inne ślady DNA...

– Co to znaczy?

– To może znaczyć dużo różnych rzeczy. Może prawdziwy Jeff Bohner jeszcze przed zabójstwami znał mężczyznę, który pozwolił się skazać na śmierć... Nawet to byłoby niewykluczone, nawet na ten temat spekulowano. Ale ostatecznie jest przecież tak, że nie trzeba mieć śladów DNA, jeśli ma się narzędzia zbrodni i człowieka, który bierze winę na siebie. Dlatego właściwe było skazanie mężczyzny, który przyznał się do tych czynów.

Przez pole widzenia Paula przemknęło coś jakby czarny cień ptaka – tylko przez moment – i znów widział przed sobą Beth.

– Źle się pan czuje? – Popatrzyła na niego z niepokojem.

– Wszystko w porządku.

– Proszę posłuchać: mężczyzna, który zamordował tamte dwie kobiety i pańską matkę... ja rozumiem... potrafię sobie wyobrazić, nie, pewnie nie potrafię sobie tego wyobrazić... ale wiem, że Kate go aresztowała. Wiem, że mężczyzna, którego stracono, był sprawcą zbrodni Bohnera.

– Mężczyzna z wałkami tłuszczu na karku.

Wpatrywała się w niego, ale coś w niej pracowało.

– Owszem. Ten mężczyzna – odparła powoli. – To jego szukano jako Jeffa Bohnera.

Ten mężczyzna nie zamordował mojej matki!

– Beth, przecież sama pani wie, że są faceci, którzy na różnych forach internetowych oferują najróżniejsze usługi. Dochodzi nawet do tego, że oddają się kanibalistycznym fantazjom innych facetów...

– Był pan kiedyś na takim forum, Paul? Widział pan, co piszą, co oferują, o czym dyskutują i dywagują? Nie ma takich rzeczy, o jakich by nie fantazjowali. To są pojedynki na słowa, to są... Czasami czyta się to dosłownie jak przechwałki. Ten, który wysunie najbardziej szokującą, najbardziej pokręconą propozycję, który napisze... albo zamieści taki post... o czymś, o czym inni jeszcze nie słyszeli i co wywoła u nich dreszcz, ten wygrywa, takie odnosi się wrażenie. Jak pan może przywiązywać uwagę do takich bzdur?

– To nie są tylko słowa, Beth, wie pani o tym tak samo dobrze jak ja. Chyba zna pani ten przypadek, kiedy ktoś dał się... zjeść. Tak samo można sobie wyobrazić, że ktoś dał się skazać na śmierć za kogoś, bo taki miał zboczony, dziwny fetysz...

– Można, Paul. Można sobie wiele wyobrazić.

Dać się zabić za kogoś innego.

Wydało mu się, że kątem oka widzi oślepiający błysk. W powietrze uniósł się smród przypalonego mięsa. Jak zapach grilla, tylko słodszy. Bardziej przerażający. Skwierczało i cuchnęło. *Ciasto z wiśniami, lody waniliowe, cola i herbata z cukrem...* Wiedział wszystko o człowieku, którego prawie dwadzieścia lat temu stracono na krześle elektrycznym; wiedział nawet, jaki był jego ostatni posiłek. *Ale to nie był Jeff Bohner – tamten mężczyzna nie był mordercą mamy! Stracili NIEWŁAŚCIWEGO człowieka.*

– Paul, coś takiego istnieje, oczywiście są i takie fantazje. Wiadomo, że występują szczególnie u kobiet. Oświadczają się mężczyznom osadzonym w celi śmierci. Oświadczają się im, ale marzą też o tym, by poddać się wyrokowi śmierci za nich. Marzą o tym, by... ci mężczyźni byli w nich, kiedy będą uśmiercane. Marzą o tym, by byli w nich, kiedy będą uśmiercane zamiast nich, Paul. Nie ma takiej fantazji, której nie snuto by w tym sektorze. Ale... Czy pomyślał pan, ile to zachodu? Ile wysiłku potrzeba, żeby dać się skazać na śmierć w miejsce kogoś innego?

On żyje.

Miał wrażenie, że brakuje mu powietrza,

– To znalezione DNA... To było DNA mężczyzny, którego stracono, ale prawdziwy sprawca mógł zostawić je na miejscu zbrodni celowo, Beth. Mógł umieścić tam obce DNA po to, by je znaleziono! Nie mam racji? To przecież możliwe.

– Tak, to możliwe, ale czy prawdopodobne?

Stracili niewłaściwego człowieka. A Jeff Bohner, prawdziwy Jeff Bohner, ŻYJE.

Mówił do niego „Jeff”. Bawił się z nim. Blizna na udzie. Długa. Właśnie taka, jak opisywał chłopiec na nagraniu wideo. Paul bawił się z Jeffem. Przywoływał strzępy wspomnień, kiedy o tym myślał. Morze... plaża...

Stał przy oknie swego pokoju i spoglądał na fale rozlewające się na skalistej plaży.

Bawił się z nim. Miał cztery lata, mama leżała na piasku niedaleko nich. Tutaj, na tej wyspie. Na ręczniku. W bikini. Nasmarowana oliwką. Rozleniwiona. Jak salamandra. Bawił się z Jeffem, biegali po wydmach, rozciągających się tuż za ich bungalowem, a mama leżała w słońcu.

Mówił do niego Jeff.

Jeff.

Paul wrócił do swojego pokoju i położył się.

„Możesz mi mówić *Jeff*, Paul”.

Nie myślał o tym od wielu lat. Jego matka była ostatnią ofiarą. Później obejrzał zdjęcia z miejsca zbrodni... Sam nic nie pamiętał. Ale zdjęcia sobie przypominał. Zdjęcia z miejsca zbrodni, które policja udostępniła mu na jego życzenie. „Jestem Jeff Bohner”, głosił zamazany napis na ścianie. Zdjęć nie opublikowano, a policji udało się nie dopuścić do tego, by wyciekły do internetu. Paulowi jednak pozwolono je obejrzeć, kiedy był już niemal dorosły i chciał wiedzieć o wszystkim.

„Możesz mi mówić *Jeff*, Paul”. Tak powiedział do niego tamten mężczyzna. Paul miał wrażenie, że nie tylko słyszał ochrypy głos Bohnera, lecz również czuł jego oddech, muskający mu policzek. „Możesz mi mówić *Jeff*, Paul. Okay?”.

Ale on tak się nie nazywał. Oczywiście, że nie. Przecież nie zdradziłby swego prawdziwego nazwiska! To nie było jego właściwe nazwisko, on tylko je sobie wymyślił.

Paul niezliczoną ilość razy oglądał fotografie mężczyzny, którego skazali na śmierć. Skazali jako Jeffa Bohnera. Widział na nich mężczyznę, z którym się bawił. Teraz jednak, kiedy leżał na łóżku... pod skórą tego faceta, tego, którego skazali, pod tłustą skórą jego twarzy coś jakby drgnęło. Jakby przesunęła się tkanka. Jakby twarz się pomarszczyła, wyrzuciła w jednym miejscu, ściągnęła w innym. Jakby poruszał się pod nią prawdziwy Jeff. Prawdziwy Bohner. Jakby twarz, którą spasiony mężczyzna w celi śmierci naciągnął na siebie jak rękawiczkę, przestała pasować. Jakby się zsunęła, ukazując Bohnera. Zakrwawiona, bo Bohner wyklął się spod tej drugiej twarzy. Zamazana, bo Paul nie mógł go sobie przypomnieć. Pamiętał tylko bliznę, tylko ją widział przed sobą wyraźnie. Kiedy w duchu zezował do góry, tam, gdzie musiała się znajdować twarz mężczyzny, miał wrażenie, że jego postać stoi pod słońce, jakby promienie łamały się na szyi i świeciły Paulowi prosto w oczy. Czarna sylwetka na tle płonącej słonecznej kuli.

„Możesz mi mówić *Jeff*, Paul”.

Czuł pod sobą mokre od potu prześcieradło. Było mu zimno. Dygotał. I nie mógł przestać myśleć o głosie. Nie o głosie Jeffa, lecz o tym należącym do matki. Krzyczała, mordowana w pokoju obok.

„Możesz mi mówić *Jeff*, Paul”.

– Paul, nie! Zostań w pokoju, słyszysz, na miłość boską – NIE!

W pokoju, kiedy jego matka błagała o życie, było coś jeszcze. Coś, co potężniało z każdą chwilą, z którą ona coraz rozpaczliwiej walczyła.

Śmierć.

– Śmierć – wyszeptał Paul. Dostał gęziej skórki z zimna.

Czy widział ją jeszcze? Swoją matkę? Kiedy... odeszła, wypchnięta do królestwa śmierci? Czy Jeff zabrał go do pokoju, a potem go w nim zamknął? Czy był przy tym, gdy umierała? Paul nie pamiętał. Nie potrafił tego przywołać. Mógł tylko czuć, jak jego ciało wyciskało zimny pot, jak dygotał, jak jego głowa, jego umysł, jego dusza zaczynały się łamać.

Z głębokim jękiem usiadł na łóżku, przyciskając pięści do skroni.

Blizna... Czy znaleźli ją u mężczyzny, którego skazali na śmierć? Chłopiec o imieniu Davy, którego Kate znalazła na miejscu drugiej zbrodni... wyraźnie o niej mówił. Że Bohner miał tam bliznę. Bliznę na udzie. I tę bliznę Paul pamiętał. Pamiętał, jak Jeff pozwala mu wodzić po niej palcem. Paul wciąż wyczuwał pod opuszkami zgrubienie skóry.

Mogła się pojawić później.

Oczywiście, że sprawdzili bliznę. Tylko jakie to miało znaczenie? Bohner mógł zrobić cięcie na udzie mężczyzny, którego stracili za zbrodnię. Odtworzyć bliznę, którą sam miał, tę, którą Paul wyczuwał palcami na jego skórze. Tak że w końcu obaj mieli na udzie blizny. Prawdziwy Bohner – i mężczyzna, którego schwytali i osądziła zamiast niego.

A zdjęcia z dzieciństwa? Beth powiedziała przecież, że prawdopodobnie były to zdjęcia mężczyzny, którego aresztowali i skazali na śmierć. Czy musiały to być zdjęcia Bohnera, prawdziwego Jeffa Bohnera?

– Nie.

Drgnął. Zupełnie jakby powiedział to ktoś inny. Ale to on sam wyszeptał to słowo.

– Kate, to pani go aresztowała. Beth opowiadała mi właśnie o tym, to samo jest w protokołach. Są nawet nagrania policyjne, na których panią widać!

– Tak, Paul, oczywiście...

Był w jej pokoju. Kate wciąż była w ubraniu, choć zrobiło się późno.

– A te pogłoski, że mężczyzna, którego pani schwytała...

– Paul, to nie jest prawda, to bzdury...

– Nawet Michael o tym słyszał.

– Michael?

– Tak. I nie tylko on. Nawet Beth, która zna wszystkie szczegóły sprawy, nawet ona nie może zaprzeczyć tym pogłoskom. Mówi wprawdzie, że to pani koledzy pozazdrościli pani ujęcia sprawcy morderstw Bohnera, że to pani koledzy rozpuścili te pogłoski... Ale czy to prawda czy tylko tak mówią?

– Ale co, Paul? O co pan pyta?

– Że on ciągle żyje.

– Jeff Bohner?

Przytaknął.

Kate była niższa od niego; długie lata służby w policji odznaczyły się na jej twarzy. To była twarz, która budziła zaufanie. Poważna, może odrobinę zmęczona, znacznie starsza niż wtedy, gdy powstały tamte nagrania. Sprawiała wrażenie kobiety, która nie ma czasu na plotki i spekulacje. Która nie ufa żadnym fantazjom, bo zbyt często widziała, dokąd to prowadzi, gdy ludzie oddają się im bez pamięci.

– Paul, wiem, dlaczego aresztowanie Bohnera jest dla pana tak ważne, ale w tym nie kryje się żadna zagadka. – Otworzyła przed nim drzwi na całą szerokość. – Wejdzie pan na chwilę?

Paul minął ją i wszedł do środka. Pokój Kate był położony na tym samym piętrze, co jego, tylko na końcu korytarza.

Spojrzał w stronę okna. Wiatr szarpał framugą; w szybie odbijało się wnętrze pokoju, za nią na wyspę opadła już noc. Druga noc.

– Przyjęła mnie pani pod swój dach – powiedział w końcu, nie oglądając się za siebie. – Nie pamiętam tego, ale wiem, że tak było. Moi przybrani rodzice opowiadali mi o tym.

– Tak, Paul – usłyszał za sobą. – Mieszkał pan u mnie. Ale niezbyt długo, tylko parę dni.

Odwrócił się i zatrzymał na niej wzrok.

– I? Jakie były te nasze wspólne dni?

Wyglądała niemal na zagubioną w ogromnym fotelu z lat siedemdziesiątych, w którym usiadła.

– Był pan... oczywiście kompletnie zdezorientowany – odparła powoli. – Miał pan zaledwie cztery lata, nie wiedział pan do końca, co się dzieje, tak myślę, ale czuł pan to. Odnosiłam wrażenie, że przede wszystkim należy pozwolić, by odnalazł pan spokój. Spędził pan przy matce kilka godzin... Byłam naprawdę rada, że nie było z panem

gorzej. – Wydawało mu się, że jej oczy zaszklily się odrobinę. Ale nie otarła ich dłonią. – Żałowałam, że nie mogłam zrobić dla pana więcej. Ale poznałam pana rodzinę zastępczą i przekonałam się, że to dobrzy ludzie. Oddałam pana w ich ręce bez wyrzutów sumienia. – Sięgnęła po stojącą na stoliku karafkę i naląa wody do dwóch szklanek. – Żałuję też, że nie mogłam w bardziej aktywny sposób wystąpić przeciwko temu, co się dzieje na tej wyspie – powiedziała cicho. – Ale... od tamtej pory... od czasu sprawy Bohnera... To mnie skrajnie wyczerpało. Już wtedy. – Opadła z powrotem na oparcie.

Paul usiadł naprzeciwko niej.

– Nie brzydzi pani ten cały szum, jaki robią wokół Bohnera? – Sięgnął po wodę i upił łyk.

– Mam dwójkę dzieci w wieku szkolnym, Paul... Ja... jestem zdana na te pieniądze. – Z jej twarzy wyzierało zmęczenie. – Zaledwie parę miesięcy po tym, jak go dorwaliśmy, zrezygnowałam z pracy. Musiałam – nie byłam w stanie dłużej tego znieść. Ale to prawda, byłam przy tym. Byłam przy aresztowaniu Bohnera.

Ona nazywa go „Bohnerem” i ma na myśli mężczyznę, którego ujęła. I na którym wykonano wyrok śmierci za morderstwa. Ale to nie był prawdziwy Bohner, nie ten Bohner, którego spotkałem. Nie ten Bohner, który zamordował moją mamę.

– Mieszkał w czymś w rodzaju chaty – ciągnęła Kate. – Taki trochę lepszy szałas, dach i cztery ściany, na odludziu. Nic niezwykłego w przypadku ludzi, takich jak on. Pewnie widział pan zdjęcia.

Owszem, Paul widział zdjęcia z chaty, w której śledczy w końcu namierzyli mężczyznę. Nie było ich wiele – dwa, może trzy ujęcia, które potem nieustannie przewijały się przez internetowe witryny. Fotografie, które sprawiały wrażenie lekko nieostrych i utrzymane były w dziwnie sztucznych barwach minionych dziesięcioleci. Widać na nich było nagromadzone przed chatą śmieci. Parę drewnianych schodków prowadzących do wejścia. Wystrzępiony fotel na werandzie. Na podjeździe zardzewiały pick-up.

– Sam zbudował tę chatę. W lasach jest sporo podobnych baraków. Koledzy przez kilka dni obserwowali ją z oddali, na ile się dało. Nieczęsto opuszczał dom. Ale i to nie jest niczym niezwykłym. Cała masa mężczyzn żyje w ten sposób – samotnie, bez pracy, spędzając dnie i noce w domu. Nawet po zakupy jeździł tylko raz na tydzień, głównie po mrożonki i konserwy...

Paul wiedział, że pick-up oferowano później do sprzedaży jako samochód Jeffa Bohnera. Swego czasu próbował nawet się dowiedzieć, kto był jego aktualnym właścicielem, ale trop urwał się wiele lat temu. Pierwotnie za starego forda dano kupę pieniędzy, bo chodziły słuchy, że morderca przewoził nim swoje ofiary. Może nawet śledczy przeoczyli narzędzie zbrodni, nadal tkwiące gdzieś pod karoserią. To windowało cenę.

– To prawda – ciągnęła Kate – że sporo kolegów było zdania, iż uderzyliśmy zbyt wcześnie. Że powinniśmy dłużej obserwować tego mężczyznę... że prawdopodobnie był tylko pośrednikiem i w końcu doprowadzi nas do właściwego sprawcy.

Paul, trzymając szklankę z wodą, przypatrywał się Kate. Wtedy miała dwadzieścia parę lat, ale to była ta sama kobieta, którą widział na nagraniach. Bez wątplenia.

– Jak wpadliście na to, że poszukiwanym mężczyzną jest właśnie człowiek w chacie? Dlaczego właśnie on, Kate?

– Ktoś zwrócił na niego uwagę w mieście, do którego jeździł na zakupy.

– Ach tak. Kto?

– Pierwszy telefon był anonimowy. Nikt nie chce osobiście zadzierać z facetem, który mieszka samotnie w leśnej chacie.

– Ustaliliście, kim był dzwoniący?

Kate pokręciła głową.

– Miejscowy szeryf sprawdził doniesienie, jakoby w lesie zbudowano bez zezwolenia chatę, w dodatku na działce, która nie jest własnością zamieszkującego szalas. Kiedy szeryf zobaczył dom, rozejrzał się po nim trochę i zamienił parę słów z jego lokatorem, postanowił, że najlepiej będzie, jeśli powiadomi nas.

– Służby federalne.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Szeryf oczywiście nie od razu pomyślał o Bohnerze, po prostu gość wydał mu się dziwny. Ale potem koledzy rozejrzeli się tam i znaleźli coś podejrzanego.

– Zegar słoneczny ze znakami zodiaku na polanie niedaleko chaty. – Paul często o tym czytał.

– Właśnie. – Kate odstawiała szklanekę na stolik. – To naprowadziło nas na morderstwa na Zodiac Island. Od wielu miesięcy ścigaliśmy Bohnera, ale nie mieliśmy żadnego obiecującego tropu. Po tym, jak wyszła ta sprawa z zegarem słonecznym, wszczęliśmy obserwację. Od razu miałam przeczucie, że może się za tym kryć coś więcej.

– Czy ten mężczyzna w miasteczku, w którym robił zakupy, był znany pod innym nazwiskiem?

Beth wymieniła nazwisko Clyde'a Obermana, ale teraz chciał usłyszeć je od Kate. Jeśli ktoś miał w tym wszystkim jakiegokolwiek rozeznanie, to właśnie ona.

– Kazał mówić na siebie Clyde Oberman – odparła. – Ale nie było żadnego Clyde'a Obermana, który byłby tam zameldowany i odpowiadał jego rysopisowi.

– Sprawdziliście to? Czy to było jego prawdziwe nazwisko?

– To nie było prawdziwe nazwisko. Nigdy nie udało się nam ustalić, jak naprawdę się nazywał. Przy nas zawsze mówił o sobie jako o Jeffie Bohnerze. I dla mnie zawsze nim pozostanie.

Ale to nie był Bohner. Bohner chciał, żebyście go znaleźli. Ten, kto jako pierwszy go zgłosił, ten anonimowy rozmówca, który naprowadził was na trop Clyde'a Obermana, TO może być on... prawdopodobnie właśnie TO był Bohner. A zegar słoneczny zbudował dla Clyde'a, żebyście połączyli haczyk.

– Udało mi się przeforsować, by przeszukano jego dom podczas jego nieobecności – mówiła dalej Kate. – I wtedy natknęliśmy się na grzałkę. Nie mogliśmy jednak zabrać jej do analizy. Bohner... czy Clyde... nie mógł się dowiedzieć, że byliśmy w jego domu. Nie mógł się domyślić, że deptaliśmy mu po piętach! Ale fakt, że w ogóle miał grzałkę...

– Każdy może mieć w domu grzałkę, Kate.

– Tak, ale rozmiary tej grzałki odpowiadały co do joty obrażeniom zadany takim

właśnie urządzeniem pani Tartaglione niecałe dziesięć miesięcy wcześniej. Bohner utopił swoją drugą ofiarę w wannie hotelowego bungalowu, ale zanim umarła, podłączył grzałkę i... – Kobieta głośno wypuściła powietrze. – Czasami to kwestia intuicji, wie pan? Kiedy zobaczyłam tę grzałkę... jasne, ma pan rację, każdy może mieć takie coś, ale... kiedy ją zobaczyłam... W całej tej cholernej chacie panował taki syf, jakby od lat stała pusta i tylko od czasu do czasu korzystał z niej jakiś bezdomny. Nie wiem, jak on mógł tam mieszkać i się nie rozchorować. Ale... kiedy zobaczyłam grzałkę, brudną, zapuszczoną... i mój instynkt mnie nie zawiódł... Po jego aresztowaniu oddaliśmy ją do badania. Jednoznacznie stwierdzono, że urządzenie miało kontakt z ciałem Patricii Tartaglione.

– Było na nim jej DNA?

– Tak.

– Ale kiedy zobaczyła pani grzałkę po raz pierwszy, jeszcze pani tego nie wiedziała.

– Tak jak wspominałam, to było coś w rodzaju przecucia. I to wystarczyło. Wysłałam z propozycją, żeby wziąć barak szturmem, i ostatecznie przyznano mi rację. Nikt nie chciał brać na siebie ryzyka, że Bohner popełni kolejną zbrodnię, podczas gdy my będziemy tylko się przyglądać. Powiedzieli więc: „Okay, Kate, damy pani niezbędnych ludzi, aresztuje go pani, a my w spokoju obejrzymy sobie dom”.

Kate skuliła się w fotelu. Przeguby jej dłoni i szyja były tak delikatne...

...że wystarczyłby lekki nacisk, aby je złamać.

– To było nocą – usłyszał jej głos. – Podeszliśmy do chaty, księżyc nie świecił. – Zwróciła wzrok w stronę okna. – Mam wrażenie, że było tak ciemno, jak teraz na wyspie. Dom stał głęboko w lesie, nie było czegoś takiego jak latarnie ani nic. Lecz gdy poczułam, jak przez zapach mokrej trawy i wilgotnej ziemi, który wisiał nad okolicą... jak przez ten normalny zapach przebija się inna woń... a raczej fetor... czegoś słodkawego... żywego... wtedy po raz pierwszy ogarnęło mnie przeświadczenie, po tych długich tygodniach i miesiącach, które spędziliśmy na ściganiu go... nagle uświadomiłam sobie, że to on. Że on istnieje. Żyje. Oddycha. Mężczyzna, którego poszukiwaliśmy jako Jeffa Bohnera. – Popatrzyła na Paula. Miał wrażenie, że odrobinę pobladła. – Nagle wydało mi się, że coś słyszę. Coś jakby szept? Ciche mamrotanie? Poczułam się tak, jakby ten pomruk, ten szept wnikał we mnie jak trucizna. Cały dom zdawał się tym niezauważalnie wibrować. – Zamilkła na chwilę. Do wiatru dołączył odgłos bębniącego o ciemne szyby rześistego deszczu. – Na tyłach kuchni była izba – podjęła stłumionym głosem. – Podczas naszej pierwszej wizyty nie otwieraliśmy jej, żeby nie wzbudzić w nim podejrzeń. Była zamknięta na klucz, a specjalista od zamków, którego wzięliśmy ze sobą, radził, by jej nie otwierać. Uważał, że Bohner mógł dodatkowo zabezpieczyć drzwi, żeby się zorientować, jeśli zostałyby otwarte. To mogła być grudka ziemi czy cokolwiek innego, co w tym całym chaosie nie rzucało się w oczy. W każdym razie zostawiliśmy drzwi zamknięte, choć od razu przykuły naszą uwagę, bo przecież wszystkie inne pomieszczenia stały otworem.

Paul przez moment miał wrażenie, jakby widział przed sobą spalonego mężczyznę w trójkątnym ciemnoszarym pomieszczeniu. „Maska, którą zrzucam z twarzy”, powiedział do Kate mężczyzna na nagraniu, „ale oczywiście, że rozumiem...”.

– Wyważyli jednocześnie drzwi frontowe i tylne – ciągnęła. – Ja zostałam z tyłu,

wtargnięcie do środka należało do zadań kolegów z jednostki specjalnej. Słyszałam ich wrzaski, słyszałam trzask łamanego drewna. I widziałam, jak jeden z nich wypadł na zewnątrz i zerwał z głowy maskę bojową. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie. W jego wzroku jakby coś pękło – jakby rysa na lustrze. A potem usłyszałam, jak milkną pozostali.

– Wtedy sama weszła pani do środka.

Kate utkwiała spojrzenie w Paulu.

– Nie aprobuję tego, co robią na wyspie Rupert i jego ludzie, chcę, żeby pan to wiedział. To nie jest w porządku, nie w porządku w stosunku do ofiar... ale... powiedziałabym nawet, że nie w porządku wobec Bohnera, tudzież Obermana. On też miał swoją godność. Nie jestem pewna, czy ją zachowa, kiedy stanie się jedną z atrakcji parku rozrywki.

– Co tam było... w tej izbie? Kiedy weszła pani do środka?

– On tam był. Bohner... W ogromnej wannie. To nie była zwyczajna wanna, raczej... nieduży basen, okrągły, o średnicy jakichś dwóch metrów. Tylko że nie było w nim wody.

– A co?

– Larwy.

Larwy.

– Kapał się w nich. Leżał z twarzą zanurzoną w larwach. Widziałam to przez ramię funkcjonariuszy stojących na przedzie... Był rozebrany, przynajmniej jego plecy były nagie, ramiona i kark, wszystko, co mogłam zobaczyć, było nagie. Ten słodki fetor, który przykuł moją uwagę... Dochodził z tej wanny. Robale musiały być dosłownie wszędzie... Podobno lekarz wyjmował je z ciała Bohnera jeszcze przez wiele dni po jego aresztowaniu. To wynika z otworów w ludzkim ciele... On musiał... Rozmawiałam o tym z Sheldonem Lazarusem, który był zdania, że Bohner, czy Oberman, w zależności od tego, jak chce pan go nazywać... że miał obsesję na punkcie śmierci, w tym na punkcie procesu rozkładu. Chciał czuć rozkład na żywym ciele, tak to określił Sheldon. – Kate patrzyła na Paula przejrzystymi, zielonymi oczami. Stoję po drugiej stronie, zdawały się mówić, między mną a tym ujętym przeze mnie mężczyzną przebiega rów, którego nie da się pokonać. – Kiedy zobaczyłam tył jego głowy wystający z tego koryta, pomyślałam, że on nie żyje, ale tak nie było. Leżał w nim i oczywiście nas słyszał. Prawdopodobnie dopiero wtedy zanurzył twarz w larwach.

Różowy. Spasiony. Obwisły.

– Wyrok został wykonany, Paul. Jest już po wszystkim.

Nie. Nie jest. To Clyde Oberman kapał się w robakach, to Clyde'a Obermana posadziliście na krześle elektrycznym, to Clyde Oberman został nakłoniony przez prawdziwego Jeffa Bohnera do tego, by dać się uśmiercić za te morderstwa.

– Nigdy nie wierzyła pani w te pogłoski?

– Że człowiek, którego schwytaliśmy, złożył fałszywe zeznania? Że zgodził się poddać wyrokowi śmierci zamiast prawdziwego sprawcy? Że prawdziwy morderca nigdy nie został ujęty?

Skinął głową.

– Nie, ja wiem, że to nieprawda.

– A co jeśli prawdziwy Jeff Bohner dał temu Clyde’owi Obermanowi narzędzia zbrodni? Jeśli przekazał mu szczegóły dotyczące morderstw...

Kate skierowała spojrzenie na okno.

– Paul, ja wiem – powiedziała. – Wiem, że niektórzy tak sądzą. Ale sprawdzono tę sprawę. I wyrok został wykonany. Nie sądzę, żeby moja intuicja mnie zawiodła.

– Ale mogło tak być. Nie może pani tego wykluczyć. Mogło być tak, że... Clyde Oberman nie był mordercą, nie był Jeffem Bohnerem. Że ta grzałka z DNA pani Tartaglione... że Oberman dostał ją od Bohnera. Że Bohner przekazał mu włosy, cząsteczki skóry czy co tam miał po Nancy Cass, że dał te pozostałości Obermanowi, żebyście mogli znaleźć je w chacie!

– Paul, on to powiedział. To były pierwsze słowa, które powiedział, kiedy wynurzył twarz z robaków.

– Co powiedział?

– „Jestem Jeff Bohner”.

Jestem Jeff Bohner.

– Wiem, to nic nie oznacza. Jeff Bohner... w tamtym czasie... a zwłaszcza w tej okolicy... kiedy zrobiło się głośno o zabójstwach na Zodiac Island, kiedy rozniosło się, że morderca napisał na ścianie: „Jestem Jeff Bohner”... to nazwisko było wtedy niemalże mitem. Oczywiście, że to nic nie oznacza. Ale Oberman miał wiedzę o zabójstwach, miał narzędzia zbrodni...

– Mimo wszystko, Kate, mimo wszystko nie może pani tego wykluczyć! Że tylko przyjął od kogoś narzędzia zbrodni. Że podobała mu się rola osoby sterowanej. Podczas gdy sterujący nigdy nie został ujęty. Nie może pani tego wykluczyć z całą pewnością!

Wpatrywała się w niego. Jej oczy wydawały się teraz ogromne, policzki zapadnięte.

– Nie, nie mogę.

– Sama nigdy nie pozbyła się pani wątpliwości! – Paul zniżył głos do szeptu. – Nigdy nie przestała pani wątpić, czy naprawdę schwyciła zbrodniarza czy tylko lalkę, którą się bawił!

– Tak – wyrwało się z jej gardła. Jej twarz wydała się pękać jak nadkruszona fasada. – Oczywiście jest coś takiego jak wątpliwości. Kiedy widziałam go, jak pływa w tym korycie... To ma być on?, pomyślałam. To ma być Jeff Bohner? Tak wiele się nauczyłam o zabójcach, a ten człowiek zdawał się być... inny. Może to prawda, Paul, może rzeczywiście nigdy do końca nie pozbyłam się wątpliwości. Ale jakie to ma znaczenie? Został stracony, odpokutował za swoje czyny. Wszystko inne to tylko spekulacje!

Odgłos jego kroków odbijał się od gołych ścian. W korytarzach i salach nie było nikogo, wszyscy zaszyli się w swoich pokojach.

Zaraz... zaraz otworzą się następne drzwi i wyjdzie Constance – a może Lizzie – i będzie chciała mnie powstrzymać. Splawić. Nakłonić do odwrotu.

Tylko że Paul nie zamierzał dać się splawić. Chciał ich zobaczyć. Dotknąć. Michaela i Jay.

Drzwi nie były zamknięte. To nie były pierwsze drzwi, które otworzył, lecz trzecie. Znajdowały się na parterze i wychodziły z holu, dokąd udał się prosto od Kate.

Podłoga w pozbawionym okien pomieszczeniu była wyłożona płytkami. Leżeli tam. Na dwóch łóżkach połowych stojących przy ścianach. Ciała przykryto prześcieradłami. Wionęło od nich chłodem.

Zbliżył się do leżanki po lewej stronie. Pod prześcieradłem odznaczała się głowa, po przeciwległej stronie sterczały palce stóp. Ostrożnie dotknął prześcieradła i odsłonił twarz. Była blada, niemalże biała. Oczy zapadły się w czaszkę. Włosy były jak siano – sfilcowane, nikt nie wysuszył ich suszarką. Nikt jej nie ubrał.

Jay wyglądała jak woskowa figura. Paul grzbietem dłoni dotknął jej czoła. Miał wrażenie, jakby dotykał kawałka surowego mięsa. Jego palce cofnęły się z obrzydzeniem.

Prześcieradło, opadając, wydeło się odrobinę.

Stanął przy drugim łóżku. Zobaczył zniekształcony obraz Michaela – nie dźwiękowca, z którym rozmawiał, lecz kupkę bólu i krwi, leżącą na piasku pod balkonem. Musiał się przemóc, by unieść prześcieradło.

Nie umyli go. Zobaczył zapiaszczone policzki, nasadę czoła, ucho. Głowa Michaela leżała na boku, rozpruta część tułowia była zakryta.

Pozwolił prześcieradłu opaść.

– Chłopak! – Wrócił pośpiesznie na korytarz. – To niemożliwe.

Chłopiec, który mówił o bliźnie. Davy. Davy Tartaglione. Musiał im przecież powiedzieć. Davy musiał to widzieć. Musiał widzieć, że mężczyzna, którego aresztowali, to nie był Bohner! Spotkał przecież prawdziwego Bohnera. Paul był jeszcze za mały, nie mógł pamiętać twarzy Bohnera. Nie wiedział, czy naprawdę wyglądał inaczej – inaczej niż ten, którego stracono. Lecz chłopiec imieniem Davy był starszy – widział to na nagraniu – miał co najmniej dziesięć, jedenaście lat, kiedy spotkał Bohnera. Musiał im powiedzieć, że złapali nie tego, co trzeba! Jeśli Oberman nie był Bohnerem – to Davy musiał się w tym zorientować!

Tym razem Kate nie wpuściła go do pokoju – rozmawiali w drzwiach.

– Widział ich pan? Jay. I Michaela?

– Tak, leżą na parterze. – Wcześniej powiedział jej, że do nich idzie. – Ale ten chłopiec, z którym pani rozmawiała... Musiał przecież widzieć, że mężczyzna, którego pani aresztowała, to nie Bohner!

Obrzuciła wzrokiem jego twarz.

– Wiem, co ma pan na myśli. Ale Davy nie dożył zatrzymania Bohnera. Kilka miesięcy wcześniej... to był wypadek. Parę miesięcy przed nalotem na chatę w lesie. To

było prawie rok po mojej pierwszej rozmowie z nim.

Paul usiłował wyczytać coś z jej oczu. Wyglądała na zmęczoną, pewnie ją obudził.

– Davy jechał na rowerze ulicą, ktoś go potrącił. Ciężarówka. Tragiczny wypadek.

– A kierowca tej ciężarówki...

– Nigdy go nie odnaleziono, po prostu pojechał dalej, ale to był wypadek, na skrzyżowaniu, na którym często...

– A blizna?

– Oczywiście Bohner, tudzież Oberman, miał na udzie bliznę. Naturalnie, że to sprawdziliśmy, co pan sobie myśli?

– A inne dzieci? Dzieci tych kobiet, ofiar...

– Były za małe. Davy był najstarszy. Nawet pan miał zaledwie cztery lata, prawda? Dziecko Nancy Cass było jeszcze młodsze...

Nie czekał, aż skończy mówić. Odwrócił się, pobiegł korytarzem i dalej – schodami w dół. Na sztywnych nogach wypadł na wiatr.

Aresztowali niewłaściwego. Bohner żyje. Kate mogła gadać co chciała – to po prostu do niego nie trafiało.

Bohner żyje.

Jay. I Michael.

Zostali zamordowani.

Przystanął i zapatrzył się w ciemność.

W oddali widział białe grzywacze na bezkresnej tafli Atlantyku. Nad nim wznosiło się nocne niebo, a po drugiej stronie placu widniały czarne, poszarpane sylwetki skał, podkreślone oświetleniem hotelu. Wyczuwał bicie swego serca, dziwne, podskórne mrowienie i strach, jakby coś od środka drapało jego pierś do krwi.

Oczywiście media donosiły, że Rupert Levin planuje park, którego główną atrakcją ma być unikatowa kolekcja murderabiliów. Paul słyszał o tym projekcie na długo przedtem, zanim dostał zaproszenie na prezentację. Rupert zbudował tu ołtarzyk, na którym święci się przede wszystkim jedno: dzieło mordercy. Nie dzieło mężczyzny, którego skazano na śmierć. On był tylko jedną cegiełką w całokształcie – dziele człowieka, którego nazwiska nikt nie znał.

„Możesz mi mówić *Jeff, Paul*”.

Z ust wydobywał mu się urywany oddech.

On żyje.

On jest tutaj.

Ponton, o którym powiedzieli Jay robotnicy.

Bohner wziął go, by dostać się na wyspę.

„Możesz mi mówić *Jeff, Paul*”.

I wtedy to zobaczył – po drugiej stronie mroku, przy wąwozie, w którym wznosiły się bungalowy z kolekcją. Coś bladego. Wyblakłego. Coś jak kości czaszki.

Zniknęło. Schowało się? A może... Migotanie światła. Łopot?

Niczym w transie postąpił o krok w stronę miejsca, gdzie widział to coś. Tam! Nieco dalej z tyłu – i trochę wyżej na wzniesieniu. Ruch. Coś czarnego. Peleryna? Kaftan...

Znowu coś zamigotało w mroku. Kości... Nie, to nie kości, to twarz dziecka – maska niemowlaka. Tam jest człowiek!

– Stój!

Świat wokół spowolnił, zupełnie jakby Paul nagle zanurzył się w miodzie. Jednocześnie plac zalało migoczące światło. Maskę zniknęła między skałami w pełgających cieniach, wśród krawędzi, wśród grani. Źródło tego nagłego światła musiało być za nim!

Zawirował na pięcie i na tle nocy ujrzał sylwetkę hotelu. Zasłonił usta ramieniem i wlepił wzrok w źródło blasku. Kula ognia zbliżała się ku niemu od strony hotelu. Pochodnia, ludzka pochodnia. Człowiek w niemym krzyku. Buchające płomienie dzieliły cienie na żywe języki. Skwierczały, a skwierczenie to było śmiercią. Pośrodku rozżarzonej kuli rozpoznał rysy twarzy. Oczy. Rozwarłe szeroko. Okolone płomieniami. Jeszcze stała, potknęła się, otworzyła usta, rozłożyła ramiona. Ruszyła biegiem przez plac – ku niemu.

To Beth.

Płonęła.

Jak pochodnia.

Nie był w stanie zrobić najmniejszego ruchu.

Budynek za jej plecami, czarne jamy okien. Ugięły się pod nią kolana – padła na ziemię, sypiąc iskrami. Języki ognia buzowały, ich huk mieszał się z szumem przyboju. Już nie była człowiekiem. Stopione włosy; ubranie, ciało – zespolone w jedną masę. Płomienie pełzały po sobie. Smród spalenizny był nie do zniesienia.

Raz jeszcze dźwignęła się na nogi i zatoczyła za skały; odbłask płomieni widać było już tylko pośrednio na kamieniach.

Paul wpatrywał się we wzniesienie; kark zeszywniał mu na głaz.

Postać, czerń, kości. Pustka. Tylko granie, skały i poblask ostatnich płomieni, sprawiający, że każdy kamyk wyglądał, jakby podrygiwał w tańcu.

Wywiad filmowy 9 z 12

Strzelec

Imię i nazwisko: Lizzie Hillstrom

Wiek: 31 lat

Zawód: dziennikarka

Lizzie: Halucynacje? Ależ doktorze, halucynacje występują może pod wpływem narkotyków, ale nie u zdrowego człowieka, który niczego nie zażył.

Sheldon: Kto powiedział, że Paul niczego nie zażył, pani Hillstrom? Lizzie, mogę mówić pani po imieniu?

Lizzie: Proszę bardzo.

Sheldon: Nie chcę napędzać pani strachu, Lizzie, chciałbym tylko uczulić panią na to, z kim będzie pani miała do czynienia w osobie Paula Greenblatta. W okresie życia, który chciałbym nazwać tu okresem dezorientacji, wiele lat po zamordowaniu jego matki – miał wtedy osiemnaście lat i już prawie pozbył się swej obsesji na punkcie morderców i psychopatów... Paul odkrył, że może trochę zarobić, angażując się jako królik doświadczalny w koncernach farmaceutycznych. Z pewnością słyszała pani, że przemysł farmaceutyczny czasem poszukuje testerów dla nowych produktów.

Lizzie: Owszem, słyszałam.

Sheldon: Koncerny te umieszczają ogłoszenia w metrze, że szukają chętnych. Trzeba być tylko zdrowym i ewentualnie należeć do określonej grupy wiekowej. Paul Greenblatt między osiemnastym a dwudziestym rokiem życia kilkakrotnie zgłaszał się do różnych koncernów i oferował swoje usługi jako tester w rozmaitych seriach eksperymentów. Wiem o tym, ponieważ na jego blogu natknąłem się na wzmiankę o jednej z tych firm. Zwróciłem się do nich, by dowiedzieć się nieco więcej. Brał udział w kilku seriach doświadczeń i najwyraźniej nie przejmował się tym, jakie może to mieć konsekwencje dla jego zdrowia. Interesował go zarobek – a to z kolei mogło być oznaką, że jego głęboka depresja nigdy do końca go nie opuściła i być może nigdy nie opuści. W każdym razie firma bardzo dokładnie protokołowała jego pobyt w laboratorium, to normalna procedura. Miałem wgląd do tych protokołów – dzięki wieloletnim kontaktom z firmą. Można przeczytać w nich, co następuje: w sposób jednoznaczny stwierdzono, że Paul miał halucynacje. Nigdy nie zdołano ustalić, czy był to efekt podanego mu leku czy pewnej osobistej predyspozycji. Pewne jest jednak, że u innych testerów efekt ten nie wystąpił.

Lizzie: ...

Sheldon: To jest ważne również dla pani, Lizzie. Lepiej, by pani o tym wiedziała, tak by mogła pani właściwie ocenić Paula. Pan Levin dał jednoznaczne wytyczne: chce, żeby wraz ze swymi ludźmi nie odstępowała go pani na krok. Musi pani się do niego zbliżyć. Wprowadzimy panią jako zespół filmowców, który ma zrobić reportaż o parku, ale głównie będzie chodziło o zdobycie materiału o tym, jak Paul odbiera ten park.

Lizzie: Dlaczego akurat ja zostałam wybrana?

Sheldon: A nie chce pani? Proszę pozwolić, że powiem wprost: ta rozmowa jest po to, by ustalić, czy rzeczywiście jest pani właściwą osobą. Rupert chciałby mieć panią w zespole, ale jeśli pani sama nie jest przekonana co do tego...

Lizzie: Dlaczego chce mnie mieć w zespole?

Sheldon: Dlaczego? Lizzie, wie pani przecież, co planuje Rupert. Koncepcja obiektu zakłada, że będzie to w głównej mierze platforma dla singli. Lokalizacja, gdzie ludzie, których na to stać i którzy szukają dla siebie partnera, będą mogli się odnaleźć. Pan Levin bardzo wiele sobie po tym obiecuje, wierzy w tę inwestycję, uważa, że rynek

usług dla singli w przyszłości będzie się rozwijał. I... wie pani, po tym, co przeszedł Paul Greenblatt, nie jest łatwo... pozyskać jego zaufanie. Ale pani, Lizzie, jest w tym dobra – pan Levin jest co do tego przekonany. Jest pani... wyjątkowo atrakcyjna, jeśli mogę się tak wyrazić.

Lizzie: Dobrze, ale...

Sheldon: Nie, żadnych „ale”. To jest sprawa wyjątkowej wagi. Wiemy, że Paul jest trudnym człowiekiem. Ale jest też... nie owijając w bawełnę: jest człowiekiem. Z krwi i kości. I on również tęskni za kimś, komu mógłby ufać. A my wierzymy, że pani zdoła pozyskać jego zaufanie. Jego sympatię. Nie wystarczy do tego sama atrakcyjność. Moglibyśmy wybrać inną piękną kobietę. Ale pani, Lizzy, nie tylko jest ładna, pani posiada coś jeszcze, co jest nie mniej ważne. Pani potrafi odpowiednio podejść do tak trudnej osobowości, jak Paul Greenblatt. Wierzymy, że pani się do niego zbliży. Poinstruowaliśmy również Constance w tym kierunku, prosiliśmy, żeby szukała zażyłości z Paulem...

Lizzie: Kobieta, która zajmuje się kontaktami z mediami?

Sheldon: Tak...

Lizzie: Czyli wszyscy mamy... w pewien sposób otoczyć Greenblatta?

Sheldon: A jak pani myśli? Greenblatt jest sercem tego parku! Jego matka została tu zamordowana. Oczywiście, że jest jego sercem.

Lizzie: I to chcecie... spożytkować? Jego przeżycia z dzieciństwa?

Sheldon: Musimy zobaczyć, co się stanie, co się wydarzy w ten weekend. Oczywiście – tu przyznaję pani całkowitą rację – aspekt rozrywkowy parku... sam jestem więcej niż sceptyczny, czy tak powinno się robić.

Lizzie: Ale jednak angażuje się pan w to, przeprowadza ze mną tę rozmowę.

Sheldon: Angażuję się, bo jestem przekonany, że takie skonfrontowanie Paula Greenblatt z jego przeszłością nie jest niczym niewłaściwym. Murder Park powstanie, Lizzy, niezależnie od tego, czy pani i ja weźmiemy w tym udział czy nie. Powstanie i tak, a ja jestem przekonany, że lepiej, jeśli Paul będzie miał panią przy sobie, niż gdyby musiał radzić z tym sobie sam – albo z kimś takim jak Constance. Proszę panią, Lizzie. Tak, dobrze pani mnie zrozumiała: proszę panią, by wzięła pani w tym udział, by wsparła Paula. On potrzebuje kogoś takiego jak pani, bo to nie będzie dla niego łatwe.

Lizzie: Ja... nie wiem...

Sheldon: Tylko musi być pani ostrożna. Greenblatt jest i pozostanie nieobliczalny. Zwłaszcza gdy poznaje kogoś bliżej... Wiemy na przykład, że jako nastolatek nie cofnął się przed włamaniem do domu dziewczyny, którą lubił. Na pewno nawiedzają go fantazje o zabijaniu. Wiemy to od dzieci innych ofiar. Traumatyczne przeżycia zapadają głęboko w warstwy duszy i czasem zaczynają żyć własnym życiem, a dana osoba nad tym nie panuje.

Lizzie: Snuje fantazje o zabijaniu?

Sheldon: Owszem, jestem o tym przekonany. Od lat, od dwóch dziesięcioleci jego myśli... może nie w każdej minucie, może nie każdej nocy, ale z pewnością raz na jakiś czas... krążą wokół tego, co spotkało jego matkę. Stawia się w ich sytuacji, w sytuacji ofiar, ale równie dobrze może być tak, że identyfikuje się ze sprawcą. Nie dziwi zatem

fakt, że wybierając swój zawód, wybrał zajęcie, w którym może się oddawać tej tematyce. Przystępstwa, mord, sprawcy... Chodzi mu o to, by nigdy nie musiał porzucić tej tematyki – czyli w pewnym sensie matki. Chce pozostać w jej pobliżu, choć sam, oczywiście, nie zdaje sobie z tego sprawy. Możemy wyjść z założenia, że tak właśnie jest. Na przykład nigdy tak naprawdę nie zaakceptował schwytanego i skazanego Clyde'a Obermana jako mordercy swej matki. Jasne, nie jest odosobniony w tym przekonaniu; ciągle pojawiają się pogłoski, jakoby Oberman nie był Bohnerem. Paul nigdy nie mógł do końca zaakceptować faktu, że ten otyły mężczyzna, który kazał mówić na siebie „Clyde Oberman”, że to on miałby być tym, który dokonał zbrodni. Dla Paula mordercą zawsze pozostał Jeff Bohner. Wykreował go na kogoś w rodzaju nadczłowieka. Myśl, że człowiek w pewnym stopniu prymitywny, jak Clyde Oberman, mógłby zamordować jego matkę, jest dla Paula nie do zniesienia. Dla niego morderca musi być mężczyzną o nadzwyczajnych właściwościach i umiejętnościach, kimś, kogo zawsze wyobrażał sobie jako Jeffa Bohnera. Bohner był i jest dla Paula mordercą. Na hasło „Bohner” można przerzucić wszelkie możliwe fantazje, na hasło „Clyde Oberman” – żadnych. Oberman jest czymś przemijającym, słabym, realnym. Dla Paula jest zerem. Paul potrzebuje nadistoty, szczególnej powierzchni projekcyjnej, swoistego ideału. I jest nim Jeff Bohner.

Lizzie: Okay...

Sheldon: Musi pani zawsze mieć to z tyłu głowy, kiedy jest pani w pobliżu niego. On sam z pewnością też identyfikował się z Bohnerem. Fantazjował o sile i umiejętnościach, jakie mu przypisał; wielokrotnie raz po raz przeżywał zabójstwo. Nie wiem, które z czynności, którym Bohner poddał matkę Paula, odnalazły się w jego fantazji, ale jestem pewien, że sam – podświadomie, ale może też w snutych na jawie marzeniach – posunął się w nich bardzo daleko... Że w gruncie rzeczy niczego nie opuścił, zwłaszcza dlatego że relacja między mordercą a matką Paula była bardzo naładowana seksualnie, co dla chłopca stanowi coś nieodparcie pociągającego, nawet wbrew jego woli.

Lizzie: Sądzi pan, że fantazjował nie tylko o tym, że zabija własną matkę, ale i...

Sheldon: Tak, wychodzę z takiego założenia. Można to zaobserwować w jego opublikowanym na blogu artykule na temat morderstwa matki. Oczywiście próbuje w nim pojąć to, co się stało, rozsądkowo, i w pewnym sensie odbiera głos swej podświadomości. Wypiera jakiegokolwiek relacje seksualne pomiędzy sobą a matką, a zamiast tego skupia się na teorii, że seria zabójstw Bohnera opierała się na dwunastu znakach zodiaku. Rzuca się na to, co racjonalistyczne, na system, stara się wyolbrzymić te zabójstwa, nadać im znaczenie teoretyczne. Próbuje wyrwać je z niskiego, krwawego amoku, w którym popełnił je Oberman, i powiązać jakoś z czystą systematyką. Dwanaście znaków zodiaku – to produkt jego umysłu. A wszystko to z zamiarem uczynienia z mordercy swej matki nadczłowieka, któremu ona po prostu nie mogła nie ulec. Jednocześnie Greenblatt sam awansuje się w ten sposób na kogoś, kto niejako góruje nad mordercą, bo dzięki temu może – lepiej niż on sam – wytłumaczyć, co było właściwym celem, właściwym zamiarem sprawcy – mianowicie zamordowanie każdej z ofiar w sposób wynikający ze specyfiki jej znaku zodiaku. Aż do skompletowania wszystkich dwunastu, do dopełnienia

całego systemu – i tym samym osiągnięcia perfekcji.

Noc.

Odległe eksplozje przyboju.

Paul założył gruby sweter, ale i tak było mu zimno. Jakby połknął bryłę lodu, która tkwiła ciężko w jego żołądku i nie chciała stopnieć.

Zamiast z powrotem zejść na dół, wyszedł na balkon.

Mary i Glenn ustawili na placu przed budynkiem kilka halogenów. Oświetlały taras, beton i skały czystym białym światłem. Obok zawiniątka przy skałach na skraju wąwozu ktoś klęczał.

Przedtem, kiedy Beth jeszcze płonęła, Paul, co sił w nogach, pobiegł do hotelu, zerwał ze stołu obrus, wypadł na dwór i cisnął go na płonący stosik, by zdusić płomień – ale było za późno. Beth, zanim wytoczyła się na dwór, musiała chyba biec przez pół hotelu. Z pomocą odpowiedniej techniki pewnie można byłoby ustalić, co się stało i gdzie. Ale nie mieli odpowiedniej techniki. Teraz płonęły ich dusze – dusze tych, którzy byli jeszcze na wyspie. Paul widział to, gdy spotykali się wzrokiem, widział, jak przerażenie draży ich od środka. Nikt nie był w stanie systematycznie przeszukać hotelu. Oczywiście zajrzeli do pokoju Beth. Ale to nie tam została podpalona.

Wywabił ją z pokoju.

On?

Odetchnął głęboko. Zdał sobie sprawę, że to już druga noc praktycznie bez snu. Myśl, że miałby wyciągnąć się na łóżku, podczas gdy inni wciąż próbowali zrozumieć, co się stało, była jednak nie do zniesienia.

Stał zatem na balkonie i spoglądał w dół na pozostałych. Rozpoznał Sheldona, Mary, Kate...

Lizzie?

Nie widział jej od rozmowy na plaży. Czyżby była w swoim pokoju? Odruchowo popatrzył na sąsiednie drzwi balkonowe. To był pokój, w którym zakwaterowano Lizzie. Pokój z przechodnimi drzwiami. W środku nie paliło się światło. Pewnie spała. Albo stała za ciemną szybą i tak jak on wyglądała na oświetlony plac. Już miał przejść na jej połowę balkonu, by to sprawdzić, kiedy zauważył, że dwie postacie odłączyły się od grupki i ruszyły w stronę budynku. Paul zasłonił oczy przed blaskiem reflektorów. Niezbyt rosły szpakowaty mężczyzna i drobna blondynka. Rupert Levin i Constance, jego rzeczniczka prasowa. Chyba nie zauważyli Paula, bo zatrzymali się pod sąsiednim balkonem, zaledwie parę kroków od niego.

Paul wychylił się bezszelestnie. Widział ich nogi i buty. Stali tuż przy ścianie budynku i rozmawiali, byli jednak zbyt daleko, by mógł ich zrozumieć.

Ostrożnie przesunął się w bok i dotarł do części balkonu, która należała do pokoju Lizzie. W wysokim głosie Constance powoli dały rozróżnić się poszczególne słowa.

– ...przed tym, co się wydarzyło z Michaeliem.

– Będę szczery, Constance, nie chcę tego wiedzieć – zabrzmiał głos Levina, niższy, spokojniejszy, bardziej zdecydowany. – Rozumiem, że ma pani szczególny stosunek do tej wyspy po tym, co się tu pani... przydarzyło. Ale nie uważa pani, że po... Ile to już lat,

dwadzieścia?

– Mówiłam panu przecież... i Sheldonowi... od samego początku, panie Rupercie. Mówiłam, że nie zdołam się od tego odciąć. Musi pan zrozumieć...

– Ależ ja rozumiem.

– Sheldon uważa, że to może być jeden z powodów, dla których... chciałam raz jeszcze przyjechać z wami... z panem na wyspę. Żeby raz na zawsze zostawić za sobą tamto... przeżycie... tamten szok. Lecz gdy byłam tam, w portierni... Przechowują tam trochę starych dekoracji z Halloweenland, wie pan?

– Beth chyba o tym wspominała. Do diabła, musimy jak najszybciej zdecydować o ostatecznym kształcie kolejki strachu. Jest tysiąc spraw, które jeszcze trzeba zorganizować; po prostu nie daliśmy rady się tym zająć.

– Mam na myśli stare dekoracje z Halloweenland w portierni, panie Rupercie. Rozumie pan? Akurat tam. Gdzie Glenn miał mnie związać. Byłam kompletnie rozstrojona, nie widziałam tych masek i kukieł od dwudziestu lat, i nagle... bez żadnego ostrzeżenia... Przez moment wydawało mi się, że wszystko wraca. Jakby od tamtej pory nie upłynęło parę lat, tylko parę godzin! Byłam tak dezorientowana, że dopuściłam, by Glenn, kiedy mnie wiązał...

– Nie chcę tego wiedzieć, Constance, naprawdę! Dopuściła pani? To nie moja sprawa. Musi to pani wyjaśnić z Glennem Braxtonem. – Głos przedsiębiorcy był zduszony.

– Cały czas myślałam o tym, co się stało wtedy w Halloweenland...

– Oczywiście że tak. Być może właśnie dlatego wróciła pani na wyspę – sama pani tak powiedziała.

Constance milczała przez chwilę. Gdy znów się odezwała, jej głos zabrzmiał bardziej nieśmiało, ciszej, jakby musiała zwalczyć wewnętrzną niepewność.

– To nie tylko przez te stare dekoracje... To było... Miałam wrażenie... że ta sytuacja z Glennem...

– Tak?

„Glenn mnie związał. I... wykorzystał to”. Constance opowiedziała o tym Paulowi, kiedy byli razem w pokoju Michaela. Przez ostatnie wydarzenia nie myślał o tym dłużej, lecz teraz przypomniał sobie jej słowa.

Glenn.

– W sumie to prawda. Dopuściłam do tego, pozwoliłam mu... to robić, ale jednocześnie...

– Prawdę mówiąc, Constance, powinna pani porozmawiać o tych sprawach z Sheldonem. Dobrze zrozumiałem? Nie chce pani się skarżyć na Glenna, on... w niczym nie zawinił. Oboje braliście w tym udział. Dopuściła pani do tego, mówi pani? Jasne, Glenn związał panią w portierni, ale to było uzgodnione.

– Jasne...

– A podczas wiązania... zbliżyliście się do siebie. To się zdarza. Wszyscy jesteśmy wyczuleni na atmosferę tej wyspy. Niektórzy twierdzą, że panuje tu szczególny klimat. Tym lepiej, rozumie pani? Tym lepiej dla projektu Murder Park.

– Tylko że...

– Naprawdę, Constance, proszę o zrozumienie. Ja też jestem wyrozumiały wobec pani. Ale po tym wszystkim, co tu zaszło w ciągu ostatnich godzin, nie mogę oglądać się na pani osobistą przeszłość. Mówi pani, że nie ma pretensji do Glenna Braxtona?

– Nie, on...

– Dobrze, w takim razie proszę mi wybaczyć, ale pójdę już.

Zachrzącił żwir. Paul cofnął głowę.

„Glenn to wykorzystał”, to były słowa Constance. Dlaczego nie powiedziała o tym Rupertowi? Czyżby to nie była prawda? Czy to, co Constance powiedziała Paulowi, było nieprawdą? Coś takiego sugerował również Glenn. A może po prostu się bała? Tylko kogo? Glenna? Levina? Ich obu?

Śledził wzrokiem, jak cień Ruperta odrywa się od ciemności pod balkonem. Levin ruszył przez plac w stronę halogenów.

Paul bezgłośnie usiłował podejrzeć coś w dole przez deski balkonu, ale były ułożone zbyt blisko siebie. Nie zdołał zobaczyć, czy Constance wciąż tam stoi.

Czy powinien do niej zawołać?

Drgnął. Wydało mu się, że za drzwiami balkonowymi pokoju Lizzie coś się poruszyło. Wyprostował się, przyłożył kant dłoni do szyby i zajrzał do środka.

W pokoju nadal było ciemno. W czarnej szybie odbijał się blask halogenów. Paul nie mógł niczego rozpoznać. Cichutko puknął brzegiem dłoni o okno i dojrzał w mroku jakiś ruch. Cień, który przesunął się po szybie.

– Lizzie?

Nasłuchiwał. Szum fal. Wiatr. A potem odgłos splukiwanej wody – i znowu cień, który tym razem zastygł bez ruchu. Pewnie stanęła na środku pokoju i patrzyła na niego. Czy go rozpoznała?

– To ja, Paul.

Przebieła mrok pokoju i podeszła do drzwi balkonowych. Przystanęła po drugiej stronie szyby. Miała na sobie ciasno owinięty szlafrok, ramiona skrzyżowała na piersi. Przyglądali się sobie przez szybę. Jej usta – nie potrafił inaczej, musiał na nie spojrzeć – były lekko rozchylone.

– Możesz mi otworzyć?

Jay. Michael. Beth.

– Lizzie, to Bohner. On tu jest, na wyspie, rozumiesz? – przemówił tuż przy szybie, niepewny, czy go rozumiała.

Wpatrywała się w niego, trzymając rękę na klamce.

– Co? – Zza szyby dobiegł jej stłumiony głos.

– Bohner. – Przyglądał się, jak przekręca klamkę i otwiera drzwi. Owionął go jej zapach. Ostrożnie ujął ją za rękę i poczuł, jak jej ciało ustępuje pod jego uściskiem. – Rozmawiałem z Kate. Aresztowali wtedy jednego mężczyznę, ale to nie był Jeff Bohner. Bohner podłożył im tego człowieka, zmanipulował go... tamten tego chciał, chciał to zrobić dla Bohnera.

Nie poruszyła się. Stała bokiem, jakby obawiała się stanąć z nim twarzą w twarz. Mógł widzieć tylko jedną z jej źrenic, przyczajoną w kąciку oka, które zwróciła ku niemu. Wyglądała nienaturalnie sztywno, jakby każdy mięsień jej ciała był napięty. Pociągnął ją

powoli w głąb pokoju. Na dywanie rozpływał się błękitny trójkąt światła rzucanego przez latarnie na zewnątrz.

– Widziałem go. Przedtem. Kiedy Beth... wybiegła na dwór – *plonąc*, dodał w myślach. – Widziałem go między skałami. – Skinął głową w kierunku wąwozu. – I tym razem miał na twarzy maskę, maskę niemowlaka. – *Wyglądała, jakby była z kości.*

– Kogo widziałeś, Paul?

Bohnera.

Jego usta ułożyły się w nazwisko, ale głos zamarł mu w krtani. W końcu się przemógł:

– Bohnera. Widziałem Bohnera.

Może to Glenn... napastował Constance – wykorzystał ją – a ona się go boi.

Zanim wypowiedział na głos te słowa, poczuł w sobie opór. Glenn nie mógł być Bohnerem – Glenn był pod kluczem! Paul razem z Tonym osobiście zamknął go w pomieszczeniu. ZANIM Beth...

...została

...podpalona.

Lizzie przyłożyła drobną dłoń do ust. Zauważył, że drży. Wyżej błyszcząły w mroku jej oczy.

Mogę cię pocałować?

Pochylił się odrobinę. *Nie musisz się bać*, chciał powiedzieć. Powiedziałby, gdyby czuł siebie. Ale nie czuł. Trzepotał. Drżał.

– Pozabija nas wszystkich. Jednego po drugim. Przybył na wyspę, żeby wskrzesić śmierć – wyszeptał ledwie słyszalnie. Przeczuwał to. Wessał go. Miał Jeffa Bohnera w kościach. – Przyplłynął tu pontonem parę dni temu, pozostawiał pułapki we wszystkich pokojach, wszystkich kątach, wszystkich zakamarkach. – Rozejrzał się. Łóżko. Komoda. Bielizna na krześle. – On tu jest władcą, a my jesteśmy zdani na jego łaskę i niełaskę.

– To niemożliwe, Paul, to nie jest możliwe... – Jej oddech był urywany.

Stał na wprost niej, chłonał jej obecność.

Czuję twój zapach, Lizzie, czuję, że twoja skóra jest mokra od potu. Pozwól, że zsunę ten szlafrok, chcę zobaczyć cię taką, jaka jesteś. Chcę cię poczuć. Chcę cię kochać.

– Zabije nas wszystkich, najpierw mnie, potem ciebie. Jedno po drugim. Najpierw Jay, potem Michael, teraz Beth. On nie przestanie, Lizzie – ujął jej podbródek i delikatnie pociągnął do góry, aż spotkali się wzrokiem. Przeszedł go prąd, przeniknął do szpiku. Paul zbliżył do niej twarz, zobaczył, jak zamyka oczy i poczuł jej usta na swoich.

Zatonął. W ciemności, która rozpostarła nad nim ramiona utkane z powietrza i bezświatłości – aż wtargnął między nich refleks światła.

– Proszę... Paul, nie... nie mogę...

Zaparała się dłońmi o jego pierś. Czuł jeszcze smak jej warg, ale ona już się odsunęła. *On tu jest, zabije nas.*

– To niemożliwe, Paul, nie ma takiej możliwości.

– Widziałem maskę, Lizzie. Dlaczego nosi tę maskę? – *Bo to ktoś z nas.* – Żadne z nas nie może się dowiedzieć, kim jest Bohner. On nie tylko tu jest, to jest ktoś z nas.

– Bo ty jesteś... masz obsesję na jego punkcie, Paul. To nic dziwnego. – W jej

wzroku pojawiła się jakaś surowość. – Po tym, co przeżyłeś... Z Bohnerem...

Odwróciła się do drzwi balkonowych i popatrzyła na plac. Pozostali wciąż byli widoczni między halogenami.

Ktoś z nich?

– Uczyniłeś z niego jakiegoś... nadczołowieka. Kompletnie przeceniasz jego zdolności. Mało brakuje, a zobaczysz, jak powstaje z martwych. – Odwróciła się ponownie do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. – Na Bohnerze wykonali wyrok, Paul.

Ale tu, na tej wyspie, na której praktycznie zbudowali mu relikwiarz, ołtarzyk na cześć jego dzieła, tutaj był żywy. Był żywy...

– ...Bo tu jest.

– Co?

– Możemy się przed nim obronić, Lizzie! – Paul chwycił ją mocno za dłonie. Drgnęła, ale nie puścił. Musieli mu się postawić. – Trzeba tylko dobrze oszacować czyhające na nas niebezpieczeństwo. Wtedy będziemy mogli stawić mu czoła.

– To nie jest Bohner, Paul! – Jej głos zabrzmiał świdrująco. – Zrozum to w końcu. Jesteś... przez to, co ci się przytrafiło w dzieciństwie...

Jej oczy były szeroko rozwarte – i takie piękne. Nie potrafił się oprzeć. Przyciągnął ją do siebie i poczuł, jak porywa go fala. W jego ramionach, w objęciach wydawała mu się jeszcze bardziej godna pożądania. Do wzięcia. Do ukształtowania. Krzycząca: „Weź mnie”.

– Co tu się dzieje, Lizzie? Co tu szaleje? Jak myślisz?

Jej szlafrok, jedwabna mgła, ślizgał się po jej skórze, zsuwał pod naciskiem jego dłoni. Poprawił uścisk, trafił pod cieniutką tkaninę i poczuł jej ciepło. To stało się samo. Jego dłonie zaczęły gładzić nagą skórę, przesuwając się po jej brzuchu i plecach, w dół, po pośladkach i dalej – tam, gdzie spotykały się uda...

...gdzie jest wilgotno...

Jej paznokcie rozdrapywały jego kark. A kiedy otworzył oczy, zobaczył tuż przed sobą jej zęby, bo otworzyła usta – w okrzyku.

Zatoczył się do tyłu, na poły podniecony, na poły oszołomiony strachem, który wzbudziła w nim jego własna natarczywość.

A jeśli nie jesteśmy w stanie się obronić? Ile godzin nam zostało? Dwie? Cztery? Niewiele brakowało, a zobaczyłby całe swoje życie przesuwające się przed oczami.

Lizzie dopadła do drzwi pokoju, chciała je otworzyć – napięła plecy, kiedy stały opór.

Zawirował na pięcie. W jej oczach widniało czyste przerażenie.

– Zaczekaj! – Uniósł dłoń. Przed chwilą, kiedy wyglądała przez okno, przekręcił klucz. Nie było słyhać szcęknięcia, bo drzwi na balkon stały jeszcze otworem. Ale przecież zrobił to, bo nie chciał, aby ktoś im przeszkodził! Nie chciał, żeby Bohner wparował tu akurat teraz. – Masz! – Sięgnął do kieszeni spodni. Staroświecki hotelowy klucz – w emocjach wyjął go z zamka i schował; przecież mógł go jej oddać!

Trzymał rękę w kieszeni, ale...

Ale...

Poczuł się tak, jakby zakipiało w nim mnóstwo pęcherzyków powietrza.

Włożył tam klucz – ale teraz kieszeń była pusta!

Naturalnie!

Zrobił krok w stronę komody stojącej przy drzwiach. Tam, leżał tam – tam go położył – i tam był!

Ale Lizzie już była przy przechodnich drzwiach do pokoju Paula. Szarpnęła i przeszła na drugą stronę.

Podążył za nią. Chciał ją zatrzymać, uspokoić, ale szli już ku niemu przez pokój. Tony, Sheldon, Rupert. Ich kroki tupały na wykładzinie.

– Lizzie, czemu?

Sekundę później go obezwładnili – zobaczył jeszcze, jak Tony podnosi krzesło – jeden cios trafił go za uchem, drugi w czoło. Zasłonił twarz, ale nie przestali – jego głowa poleciała w bok – rąbnął o wspornik – i zwałił się na ziemię.

Światło brzasku zalewało podłogę z surowego betonu.

Paul, oparty głową o skrzynkę z bananami, czuł taki ból, jakby ktoś ścisnął mu czaszkę imadłem.

Zamrugał. Blask raził go w oczy. W polu jego widzenia na tle oślepiającego prostokąta powoli pojawiły się czarne poziome pręty. Kraty w oknach.

Leżał na podłodze w magazynie, w którym parę godzin wcześniej zamknęli z Tonym Glenna.

Jak przez mgłę zobaczył to, co się wydarzyło: Jay... w niespokojnych falach. Michael na piasku, z twarzą wykrzywioną bólem. Beth – migotanie ognia – żar – biegła jeszcze – włosy w płomieniach. Leżąca na ziemi kupka i smród mięsa. Przypomniał sobie, jak zaczął napastować Lizzie w jej pokoju. Po tym, co przeżył z Beth na placu, sam stał w płomieniach. Przyciągnął Lizzie do siebie, patrzył na jej usta, całował ją. Przez chwilę trzymał ją w ramionach.

To Bohner. On tu jest i nas zabije, najpierw mnie, potem ciebie.

Schował twarz w dłoniach. Jak mógł to zrobić Lizzie? To było dla niego niepojęte. Przecież wyraźnie zasygnalizowała mu, żeby jej nie dotykał. Nie rozumiał siebie. Jej wzrok, jej zdumienie – siła, jaką miała w sobie, gdy wywijiała się z jego uścisku. Wszystko to tylko bardziej go pobudziło. Przekręcił klucz w zamku – tak! Ale tylko po to, żeby Bohner nie mógł do nich wejść! A potem... Myślał, że w gorączce wsunął klucz do kieszeni, a okazało się, że położył go na komodzie. I dobrze zrobił! Oczywiście mógł go schować, ale w tej sekundzie po prostu o tym nie pomyślał! Śmierć, to śmierć Beth, bliskość śmierci tak go rozbiła. Kiedy płomienie objęły Beth, uszło z niej życie. Upadła, buchnęły płomienie...

...i zabrała ją śmierć.

Poczuł, jak w oczach zbierają się mu łzy. Przetoczył się po podłodze i tuż obok zobaczył sterczące w górę buty Glenna.

Glenn.

Glenn nie może być Bohnerem.

Bo był zamknięty w magazynie...

...a jeśli są tu jakieś ukryte drzwi?

Omiótł spojrzeniem gołe ściany spiżarni. Za regałem z konserwami?

Spotkali się wzrokiem. Glenn popatrzył na niego wyczekująco, po czym odwrócił głowę w stronę okna. Paul przekręcił się na bok, by nie patrzeć na dozorcę. Miał wstać i sprawdzić, czy drzwi są zamknięte? Nie musiał. Na pewno były zaryglowane. Jak długo tamci będą czekać, aż w końcu ich wypuszczą? Aż zginie kolejna osoba i nabiorą pewności, że również i on, Paul, nie jest Bohnerem? Glenna jednak też nie wypuścili. Zapomnieli? Nie potrafili jasno myśleć? Zostawili klucz w zamku na zewnątrz drzwi? A jeśli... jeśli Bohner będzie tędy przechodził i zobaczy klucz? Otworzy i... Mogli go obezwładnić, byli we dwóch. A jeśli miał broń?

Twarz niemowlaka, blada jak kość.

Postać przywarła do skał, kiedy zobaczyła Paula. W cieniu kamieni wyglądała jak

elf.

– To ktoś z nas. – Paul poruszył wargami. Dał się słyszeć wydobywający się z nich szept.

– Co? – usłyszał za plecami głos Glenna.

Nic, Glenn, nic. To nie ty.

Więc kto? Zobaczył ich przed sobą – na promie – w holu – przy śniadaniu. Razem z nim była ich dwunastka. Dwanaście osób, dwanaście twarzy. Beth, Michael i Jay nie żyli, zostało zatem ich dziewięcioro. Widział przed sobą całą ósemkę, jakby pod okazywaną powagą na twarzach w rzeczywistości śmiali się, szczerzyli, uśmiechali. Jakby ich wzrok wędrował, choć źrenice patrzyły nieruchomo przed siebie. Jakby ich uszy się poruszały, skóra na czaszkach drgała. Widział przed sobą gnomy, senne koszmary. Widział ich jako morderców i kłamców. Patrzyli na niego, marszczyli nosy. Rupert. Tony. Sheldon. *Glenn za moimi plecami.* Mary? Kobiety? Lizzie? Constance? Kate? Kobiety też wyglądały jak figury woskowe, a pod ich skórą na głowie coś się ruszało. Maski. Paul zdał sobie sprawę, że zapomniał oddychać. Łapczywie chwycił powietrze. Nikt nie wiedział, jak Bohner wygląda w rzeczywistości. Zdjęcie w bungalowie. Podpisane było: „Jeff Bohner”, ale to nie był on, to był Clyde. Ten, który dał się skazać na śmierć. Jak wygląda Jeff Bohner, tego nie wiedział nikt. On, Paul, widział go, ale to było dwadzieścia lat temu, miał wtedy najwyżej cztery lata i nic nie pamiętał. Chłopiec, Davy, ten, z którym na filmie rozmawiała Kate i który widział Bohnera, już nie żył.

„Możesz mi mówić *Jeff*, Paul”.

Jego głowa płonęła. Oczywiście kobiety nie wchodziły w grę. Jego matkę zamordował mężczyzna. Znowu mignął mu przed oczami otłuszczony kark mężczyzny, którego skazali. Clyde Oberman. Ten, który pozwolił się manipulować Bohnerowi. Kiedy Paul myślał o Bohnerze, widział przemoc, mięśnie, erupcję. Drapieżnika. Błyskawiczny wypad w przód, atak, siekanie, strzepy, powrót, czyhanie. Widział przed sobą pięść, a kiedy się otwierała, z powierzchni dłoni spoglądały na niego oczy. To był Bohner. Nie pasowały do tego kąpiel z larw, wielkie wargi, MIEKKOŚĆ tamtego człowieka. Dlaczego TYLKO on, Paul, dostrzegał, że to do siebie nie pasuje? Bo gdzieś głęboko, pod zwałami świadomości, pamiętał Bohnera! Bo go widział. A inni nie.

To nie kobieta rzuciła się na jego matkę. Matkę również ledwie pamiętał. Jej zdjęcia, które miał i znał, zdawały się odklejać od jej prawdziwej twarzy. Wspomnienie o niej jakby stwardniało, skostniało, nie miało nic wspólnego z żywą kobietą, która była jego matką. A była ciepła i piękna, kochała go, trzymała w ramionach, a on spał w jej łóżku. Czasami zabierała go do szkoły, wołała na niego „Paulie”, tuliła do siebie, a jego włosy wilgotniały, kiedy płacząc, wtulała w nie twarz.

Aż zjawił się Bohner. Na plaży. Na wydmach. Nogi. Blizna. Widział przed sobą nogi Bohnera, rozgarniające piasek, kiedy przed nim uciekał. „Jeff – JEFF!” wołał raz po raz Paul, biegali wokół ręcznika mamy, a potem pędem wracali na wydmy. Jeff miał krótkie włosy i ciało jak wyciosane z drewna. To był Bohner, młody, być może nawet młodszy od matki Paula. Miał tylko jakieś dwadzieścia lat, policja uważała, że to całkiem możliwe. Ale może zbliżał się do czterdziestki. Coś między dwudziestką a czterdziestką. Dwadzieścia lat temu. To oznaczało, że teraz musiał mieć od czterdziestu do

sześćdziesięciu lat.

Ktoś z nich. Tony. Rupert. Sheldon. Glenn. Każdy był we właściwym wieku.

Wielkie oczy kamerzysty. Glenn – za jego plecami – ale Glenn był w zamknięciu, kiedy Bohner podpalił Beth. Rupert – ten, który stworzył ołtarzyk na cześć Bohnera? Sheldon – psychiatra?

Paul zobaczył przed sobą twarze mężczyzn. Przemknął po nich cień, zupełnie jakby ktoś przesunął lampą w dół. Spod skóry zdawała się przesączać tajemnica, ukazując ich prawdziwe oblicza i nadzierając zewnętrzną warstwę pozornej niewinności. Kiedy widział ich tak, jawili mu się jako Bohner – każdy z nich. Szaleniec, niewolnik tego, co kipiało w jego wnętrzu. Szarpany szalejącymi w nim dzikimi popędami.

Jako czteroletnie dziecko spędził długie godziny w pokoju sam z martwym ciałem matki. Wcześniej jednak byli tam razem. Bohner, Paul i jego matka. Wydawało mu się, jakby ich widział. Sheldon wspomniał o tym w artykule. O co naprawdę chodziło Bohnerowi? Nie chodziło mu o morderstwo. Tylko o błysk w oczach dziecka, które patrzyło, jak z jego matki uchodzi życie.

Buzia niemowlaka – blada jak kość. Kościana twarz. Śmierć.

To o to chodziło Bohnerowi. O śmierć. Śmierć, którą zapraszał, zabijając kobietę. Bohner wziął Paula do pokoju, żeby był przy tym, jak zabiera ją śmierć. Paul czuł to w sobie. Był w tym pokoju, ledwie czterolatek, i Bohner był w tym pokoju, a także sama śmierć, potężna władczyni nocy, ona też tam była. Otoczyła swymi czarnymi skrzydłami ich mały bungalow. Ostatnie tchnienie matki zabrzmiało jak charkot. Śmierć przyjęła zaproszenie Bohnera, wyrwała duszę z ciała matki i odeszła jak zanikający opar mgły. Ale coś z niej, ze śmierci, w Paulu pozostało. Jak lodowa bryła, od której jego dusza nigdy nie zdołała się uwolnić.

Kto to był? Który z nich był sługą śmierci? Tony? Rupert? Sheldon? Mieli garby i wykrzywione gęby, poorane czarnymi bruzdami, zamiast twarzy, a ich włosy sterczały jak peruki.

Paul przycisnął dłonie do twarzy. Szumiało mu w głowie. Czuł, że zaczyna tracić rozum. Skrywane uczucia, które towarzyszyły mu przez całe życie jak podziemna rzeka, właśnie zaczynały go obezwładniać.

Próbował się skupić. Tony, Glenn, Rupert, Sheldon. Był jakiś fałsz w uśmiechu Tony'ego, jakaś sztuczność w koleżeńskości Glenna, jakaś brutalność w przedsiębiorczości Ruperta, a w wyrozumiałości Sheldona było coś niezgłębionego. Ale nie mogli być nim wszyscy czterej, w rzeczywistości Jeffem Bohnerem był tylko jeden z nich. Tylko który? Obracali się przed nim jak manekiny na sklepowej wystawie.

Jakiś odgłos wyrwał go z zamyślenia. Z głuchego szumu wiatru, który gubił się w betonowych zakamarkach hotelu, z huku oceanu obmywającego wyspę wyłonił się jakiś szelest, jakieś skrobanie, szuranie, szurgotanie, powłóczenie.

Odwrócił się i zobaczył, że Glenn wstał. Czy to on tak szurał? Dozorca stał na palcach przy oknie, zaciskając dłonie na metalowych prętach.

– Widać coś? – Paul oparł się na łokciu.

Wywiad filmowy 10 z 12

Wodnik

Imię i nazwisko Rupert Levin

Wiek: 52 lata

Zawód: przedsiębiorca

Rupert: Miał pan przeprowadzić ze wszystkimi rozmowy, Sheldon, ale... może inaczej: niech mi pan najpierw powie, jak przebiegają.

Sheldon: Dobrze, panie Rupercie, bardzo dobrze. Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że to będzie fantastyczny, naprawdę wspaniały zespół.

Rupert: Dokonał pan już wyboru?

Sheldon: Beth miała się tym zająć, ale owszem, chętnie jej doradzam. Myślę, że w zasadzie jesteśmy zgodni, które osoby będą odpowiednie.

Rupert: Znakomicie. Bardzo mnie to cieszy. Jeszcze tylko jedno... W gruncie rzeczy leży mi na sercu tylko jedno. Prosiłem pana, Sheldon, by prześwietlił pan dla mnie kandydatów, żeby później, kiedy już wszyscy będziemy na wyspie, nic nie wzięło w łeb. Zła prasa w przededniu otwarcia, wątpliwości czy negatywne głosy mogłyby oznaczać śmierć dla przedsięwzięcia. Dlatego chcę mieć pewność, że ci, których zabiorę na weekend połączony ze wstępnym zwiedzaniem parku, to będą odpowiednie osoby. Tylko...

Sheldon: Tak?

Rupert: Pan... Wybrałem pana jako eksperta od zbrodni na Zodiac Island, ale... co ja właściwie wiem o panu? Pomaga mi pan dowiedzieć się czegoś o innych uczestnikach, ale o panu, Sheldon, nie wiem właściwie nic.

Sheldon: Naprawdę? Od niemal dwudziestu pięciu lat wykładam na rozmaitych katedrach, opublikowałem kilka monografii, wyrobiłem sobie nazwisko jako psychiatra dzieci i młodzieży – co jeszcze chce pan wiedzieć?

Rupert: Wie pan, co mnie zastanawia, doktorze? Byłem u Clyde'a Obermana... a może nazywa go pan Jeff Bohner? Nigdy nie zdołano tego ustalić, prawda? Jakie było jego prawdziwe nazwisko. Zatrzymany został jako Clyde Oberman. Więc byłem u niego, przed egzekucją. Nie było łatwo zaaranżować to spotkanie, ale w końcu mi to umożliwiono. Byłem u niego, nawet zamieniłem z nim parę słów, choć on przez większość czasu tylko siedział w milczeniu. Ale byłem u niego... i znam plotki, Sheldon. Uparcie utrzymujące się pogłoski. Pogłoski, że Clyde Oberman w rzeczywistości nie mógł być Jeffem Bohnerem.

Sheldon: To śmieszne.

Rupert: Tak, wiem, pan jako jeden z pierwszych orzekł, że Oberman to Bohner, że nie ma najmniejszych wątpliwości co do jego zeznań. A przy tym nigdy nie spotkał pan Obermana osobiście, prawda? To jest to, co mnie zastanawia. Sporządzał pan ekspertyzy w czasie, gdy już znano miejsca zbrodni – ale nie zbrodniarza. Ekspertyzy, które miały pomóc w ujęciu sprawcy. A potem, kiedy go w końcu aresztowano, nagle przestał się pan nim interesować. Bo pana praca była zakończona – a jego ujęto? Przecież umożliwiono by panu dostęp do niego. Był pan znany jako ekspert od Bohnera, oczywiście dopuszczono by go do pana, ale pan tego nie zrobił, nawet go pan nie odwiedził. Dlaczego?

Sheldon: Czy... odwiedziny u Clyde'a Obermana sprawiły panu przyjemność? Czuł się pan potem lepiej? Był pan rad, że to zrobił?

Rupert: To było... deprymujące doświadczenie. Kiedy wszedłem do pomieszczenia, w którym się znajdował, miałem wrażenie, że wkraczam w jakieś negatywne pole. Nie potrafię tego opisać. Być może było to związane z jego stanem fizycznym, który nie był wtedy najlepszy. Sama jego obecność... tak, bardzo mnie wyczerpała, choć nie potrafiłem powiedzieć dlaczego. Kiedy opuściłem pomieszczenie, byłem zlany potem. Oczywiście dzieliła nas szyba pancerna, komunikacja odbywała się przez telefon, ale i tak... a może to sama sytuacja, środki bezpieczeństwa, służby, przez które musiałem przechodzić... albo leki, przez które jego twarz była... opuchnięta.

Sheldon: To zawsze jest ekstremalne doświadczenie, przyznaję panu rację. Jest może garstka sprawców, z którymi mam tak samo. Ale kiedy ich odwiedzam, czuję się, jakby coś wysysało ze mnie życiową siłę. Ludzie pokroju Clyde'a Obermana... mogę tylko potwierdzić pana doświadczenia, panie Rupercie... Tacy sprawcy mają jakąś dziwną aurę, niczym siłę ssącą, która zbiera energię, którą przynosi się z sobą i której człowiek sam potrzebuje jak tlenu. Dziwi pana, że nieszczególnie się garnę do tego, by spotykać takich ludzi? Mój zawód ma to do siebie, że często mam widzenia z ludźmi pokroju Obermana, spędzam z nimi czas. Mam ograniczone siły, panie Rupercie. Ja... wzbraniałem się przed odwiedzeniem go, bo bardzo dobrze znałem jego zbrodnie, zbrodnie Jeffa Bohnera. Wiedziałem, a właściwie domyślałem się, jakim musiał być człowiekiem. Prawdę mówiąc, niemal obawiałem się spotkania z nim, obawiałem się znaleźć blisko niego. Nie chciałem tego.

Rupert: Przepraszam, jeśli zabrzmie trochę obcesowo, Sheldon, ale... trudno mi to sobie wyobrazić. Całymi latami zajmuje się pan ekspertyzami zbrodni Jeffa Bohnera, rozmawia pan z dziećmi ofiar, a kiedy sprawca w końcu zostaje ujęty, unika pan spotkania z nim?

Sheldon: Próbowałem to panu wyjaśnić.

Rupert: Jest może jakiś inny powód, prawdziwy powód, dla którego nie chciał pan się z nim spotkać?

Sheldon: Niby jaki?

Rupert: Zapytam inaczej: Czy był pan kiedyś na Zodiac Island?

Sheldon: Kiedy wyspa była jeszcze parkiem rozrywki? Przed zamknięciem?

Rupert: Mhm.

Sheldon: Owszem, byłem.

Rupert: W czasie, kiedy popełniono morderstwa?

Sheldon: To musiało być parę miesięcy wcześniej.

Rupert: Czy w swojej karierze zajmował się pan kiedyś mordercą zwanym Zodiakiem? Seryjnym zabójcą z San Francisco, działającym w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, którego nigdy nie złapano?

Sheldon: Tak, zajmowałem się nim, panie Rupercie. Opublikowałem rozprawę na jego temat.

Rupert: W ostatnich latach Zodiak znalazł cały szereg naśladowców. Można już nawet mówić o zjawisku *cult following*. Jak pan myśli, czy Bohner właśnie dlatego mordował na Zodiac Island, bo chciał, by kojarzono go z pierwotnym zabójcą nazywanym Zodiakiem?

Sheldon: O to należałoby zapytać Clyde'a Obermana.

Rupert: Tak... tak, naturalnie... Proszę posłuchać, Sheldon, wie pan przecież, że chcę pana mieć w zespole, kiedy za miesiąc, zgodnie z planem, pojedziemy na wyspę w ramach weekendu promocyjnego, ale chcę grać z panem w otwarte karty. Poprosiłem Glenna, żeby zasięgnął języka na pana temat.

Sheldon: Ach tak? Od dawna zna pan Glenna Braxtona? Ależ oczywiście, przypominam sobie, Beth również o tym wspominała. A dlaczego prosił pan Glenna, żeby zasięgnął o mnie języka – czego chciał pan się dowiedzieć?

Rupert: Cały czas chodzi mi o jedno, Sheldon, czego po prostu nie mogę pojąć: jak to możliwe, że był pan tak zafascynowany sprawą Bohnera, że nawet brał pan udział w śledztwie jako ekspert, a jednak potem, kiedy wiadomo było, że morderstwa popełnił Clyde Oberman, całkowicie przestał interesować się pan sprawą? Wie pan, co ustalił Glenn?

Sheldon: Niech mi pan powie.

Rupert: Że był pan na Zodiac Island, i to wielokrotnie. Był pan tam dwukrotnie parę miesięcy przed śmiercią Nancy Cass, Glenn ustalił to w sposób niezbity. Może był pan tam też wtedy, gdy to się stało, gdy Nancy została zamordowana. Może był pan tam, kiedy zostały zamordowane matka Davy'ego Tartaglioneo i Sarah Greenblatt. Dwa pierwsze pana pobyty na wyspie Glenn zdołał datować w sposób jednoznaczny, ponieważ zatrzymał się pan w hotelu i zarejestrowano pana noclegi. Ale co, jeśli później nie nocował już pan w hotelu – a jednak był na wyspie? A przede wszystkim, Sheldon, i to jest coś, co jest dla mnie decydujące: pan znał Clyde'a Obermana przed jego aresztowaniem...

Sheldon: Tylko dlatego że utrzymywał kontakty z pewnym nastolatkiem i jego osoba pojawiła się w śledztwie! Czysty przypadek! W tamtych czasach nie było jeszcze zbyt wielu psychiatrów wyspecjalizowanych w kryminalistyce i zajmujących się dziećmi i młodzieżą. Dlatego poproszono mnie o radę w sprawie morderstw Bohnera! Ponieważ we wszystkich przypadkach chodziło o samotne matki z dziećmi i jasne było, że sprawcy chodzi szczególnie o te dzieci. Z tego samego powodu poproszono mnie o opinię, kiedy policja zainteresowała się Obermanem. Pewien chłopiec w sąsiedztwie... jego rodzice zauważyli, że zaczął odwiedzać dziwnego typu mieszkającego w lesie. Chłopak miał

wtedy niecałe piętnaście lat, podchodził zatem pod moją dziedzinę, czyli psychiatrię dzieci i młodzieży. Istotnie spotkałem wtedy Obermana, ale to było przed zbrodniami Bohnera. Już wtedy mieszkał w tej leśnej chacie, stamtąd wyjeżdżał na wyspę, by dokonać swych czynów. Wtedy nic o tym nie wiedziałem! Spotkałem Clyde'a, to prawda, ale przed zabójstwami. To był czysty zbieg okoliczności!

Rupert: A może nie, Sheldon? Poznał pan Clyde'a i utrzymywał pan z nim kontakt. Mam rację?

Sheldon: Skąd ten pomysł?

Rupert: A nie było tak? Utrzymywał pan kontakt z Obermanem i wykorzystał go pan do swych celów! Któż lepiej nadawałby się do manipulowania takim człowiekiem, jak Clyde Oberman, niż pan, doktorze? Jest pan psychiatrą, wie pan, jak się zakraść do umysłu drugiego człowieka, zwłaszcza pokroju Obermana. Wkradł się pan do najmroczniejszych, najbrudniejszych i najbardziej głuchych zakątków duszy Obermana i nakłonił go do tego, by wziął na siebie winę za morderstwa Bohnera!

Sheldon: Co... co to ma...

Rupert: Wie pan, co powiedział Glenn? Nie mówił tego poważnie, ale nie mogło mi to wyjść z głowy. „A co jeśli Sheldon Lazarus to Jeff Bohner?” – tak powiedział. Był pan na wyspie, jest pan utalentowanym manipulatorem, znał pan Obermana. A plotka, że został omyłkowo skazany za zabójstwa Bohnera, nadal uparcie krąży. To oznacza jednak, że prawdziwy Bohner może być na wolności. Tylko kim był prawdziwy Bohner? Kim jest człowiek, który nazywał się Jeff Bohner, jeśli nie był nim Oberman? A jeśli to pan nim jest, Sheldon? Psychiatra dziecięcy, który jak nikt inny wczuł się w zbrodnię Jeffa Bohnera. Wie pan, co mi powiedziała Beth?

Sheldon: [milczy]

Rupert: Powiedziała, że to był pana pomysł, aby ograniczyć liczbę uczestników naszego weekendu do dwunastu. DWUNASTU, Sheldon! DWUNASTU uczestników – łącznie z nami dwoma. Przejrzałem sobie materiały o pozostałej dziesiątce, którą wybrał pan razem z Beth. Każdy z nich jest spod innego znaku zodiaku i żaden nie jest takiego samego znaku jak my dwaj. Myśli pan, że to przypadek? Dwanaście znaków, Sheldon! Po jednym uczestniku na każdy znak! To jest... fantastyczne. To jest perfekcyjne! To jest genialne! Ja jestem spod Wodnika, Sheldon. Więc jak? Utopi mnie pan? Tak to pan sobie obmyślił?

Sheldon: [spuszcza głowę]

Rupert: Rozumie pan teraz, dlaczego chcę pana mieć? Bohner wraca do parku – i dokańcza swe dzieło! To jest... tak jakby ostatni kawałek układanki, którego jeszcze brakowało, trafił na właściwe miejsce. Jakby park wraz z powrotem Jeffa Bohnera dostał nowe serce. Jakby park wreszcie zaczął żyć! Co jest, Sheldon? Czy dlatego nigdy nie odwiedził pan Obermana, bo to pan jest Bohnerem i obawiał się pan konfrontacji z istotą, która – choć ustępująca panu pod względem intelektualnym – trzymała w rękę pana los?

Glenn nie odpowiedział. Tkwił niemo przy oknie i jak zakłęty patrzył na zewnątrz. Paul wstał, podszedł do niego i zobaczył, co przykuło jego uwagę. Constance. Oglądała się za siebie. I kulała. Miała na sobie jeansy, T-shirt, wiatrówkę, ale była bez butów – przyciskała dłoń do brzucha. Dłoń była umazana.

– Constance! Tutaj! – zawołał Paul przez kraty, przywierając policzkami do chłodnych żelaznych prętów.

Jej spojrzenie śmignęło w ich stronę. Utykała na jedną nogę, miała zakrwawioną koszulkę. Jej śliczna twarz – wyostrzona, naznaczona, wstrząśnięta. Otworzyła usta, ale nic nie było słychać.

– Co się... – *Co się stało?*, chciał zawołać Paul, ale słowa utknęły mu w gardle.

To się działo dalej. Szaleństwo. Zabijanie. Nastął czarny świat. Zupełnie jakby otworzyły się jakieś drzwi i wyspa, wraz z nimi wszystkimi, wypadła przez nie na ciemną stronę świata.

Paul odruchowo podniósł dłoń do twarzy – i pojął, dlaczego nie dokończył zdania. Glenn zatkał mu usta.

– Oszalałeś pan? – wysyczał mu do ucha. – On może pana słyszeć! Niech pan siedzi cicho. Tutaj jesteśmy w miarę bezpieczni. Nie chcę, żeby zwrócił na nas uwagę! – Paul szturchnął go w bok. Glenn sapnął i zgiął się w pół, ale ogień w jego oczach nie zgasł. – Nie pojmuje pan? Tylko go pan ściągnie tym swoim krzykiem!

Paul wyrzwał na zewnątrz. Piasek, widoczne z okna skały za budynkiem. Ocean, stalowoszary pod warstwą chmur. Nie było widać ani jednego listka – tylko piach, beton i woda. Constance zniknęła z wąskiego przesmyku widocznego z ich okna.

Zaczął się trzeci dzień. Niedziela. Jutro miał przypłynąć prom.

Glenn miał rację, w tym magazynie byli bezpieczni. Ale...

– Tam znów się zaczyna – wycedził przez zęby, nie odwracając się – a pan jest zamknięty tutaj. Ale pierwszego dnia, kiedy był pan w portierni sam z Constance... Co tam się wydarzyło? – Obejrzał się za siebie. Przedtem tamci go obezwładnili. Teraz Glenn był sam. Jeden na jednego. Z Glennem mógłby sobie poradzić.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, w końcu dozorca spuścił głowę, cofnął się o krok i osunął na skrzynkę po bananach.

– To naprawdę nie jest pana sprawa, Paul.

– Constance powiedziała, że wtedy coś jej się przypomniało. Coś, co się wydarzyło dwadzieścia lat temu.

Oczy Glenna przypominały szklane kulki.

– Dwadzieścia lat temu? Dwadzieścia lat temu Bohner mordował. – Prychnął. – Naprawdę myśli pan, że jestem taki... szalony? Że mógłbym zrobić coś Constance, a potem spokojnie czekać, aż wszystkim o tym opowie? Czy jak? Może chciałem ją zlikwidować, ale nie miałem czasu? To śmieszne! Nie miała nic przeciwko temu, może mi pan wierzyć. – *Naprawdę nie miała?* – Nie chodzi o mnie i Constance – Glenn mówił cicho, lecz wyraźnie. – Constance podobało się to, że jest związana. Może to te stare dekoracje z Halloweenland, niektóre walają się jeszcze po portierni, może to one ją...

rozstroili. Moze ja tez bylem odrobinę rozstrojony... bo musieliśmy się śpieszyć, miałem zaraz wrócić do grupy. Ona była... istotnie była trochę rozemocjonowana, ale... nie doszło do niczego, czego nie chciała. – *Constance przyznała w rozmowie z Rupertem, że na to pozwoliła.* – Kto podpalił Beth, kto zranił Constance, kto grasuje tam na zewnątrz – ciągnął Glenn – to właśnie o to chodzi, Paul. I tym kimś nie mogłem być ja. Bo ja jestem tu razem z panem.

Paul przeczesał włosy palcami. Naturalnie! Sam też to mówił. Glenn był tu razem z nim. Na zewnątrz jednak szalał Bohner. Zranił Constance w brzuch. *Lizzie*. Wydało mu się, że wciąż czuje na ustach dotyk jej warg. Była gdzieś tam. Bohner w każdej chwili mógł się na nią rzucić.

Jednym susem minął dozorcę i dopadł do wyjścia. Ujął klamkę, szarpnął za nią, uderzył ramieniem o drzwi. Następnie cofnął się i kopnął w nie podeszwą buta. Wiedział, że Glenn go przeklnie, ale nie chciał tkwić tu dłużej. Nie mógł.

Drzwi nie ustąpiły ani na jotę. Paul zatrzymał wzrok na zawiasach. Otwierały się do środka. Kopanie nic nie da. Odwrócił się do regału z żywnością i zrzucił konserwy ze środkowej półki. Pospadały z brzękiem na podłogę i potoczyły się po gołym betonie. Zdejmując półkę z regału, wbił sobie drzazgę. Wetknął deskę w szparę pod drzwiami. Kopniakiem posłał pod nią parę puszek, żeby zrobić z niej dźwignię. Wsunęła się w szparę na głębokość zaledwie paru milimetrów, ale trzymała. Paul stanął na jej drugim końcu – rozległ się trzask – i deska wysunęła się spod drzwi.

Ponownie wbił ją w szparę. Nawet nie poczuł, jak rozorał sobie dłonie o szorstkie drewno. Na próżno. Byli uwięzieni, drzwi nie dały się otworzyć.

– Pan to weźmie – usłyszał nagle.

Uniósł zamknięte na moment powieki. Bolały go plecy, piekły dłonie, w głowie słyszał trzaski przebłysków myśli. Glenn stał na wprost niego, a w wyciągniętej ręce...

– Skąd pan to ma? – Paul nagle się wyprostował.

Glenn ruchem głowy wskazał na regał z zapasami.

– Na najwyższej półce jest skrzynka z narzędziami. Odkryłem ją parę godzin temu, ale nie chciałem stąd wychodzić. Tutaj jesteśmy bezpieczni. Zachowajmy spokój, odczekajmy, to ostatni dzień. Jutro rano przyplynie prom. Jeśli dopisze nam szczęście, nic nam się nie stanie.

To była ciężka siekiera o długim trzonku i szerokim ostrzu.

Paul sięgnął po nią. Popatrzył na Glenna. Zawahał się.

– A dlaczego daje mi ją pan dopiero teraz? – Powiódł wzrokiem po ranie na skroni dozorczy, tam, gdzie podczas starcia pod chłodnią trafił go Tony.

– Jeśli dopisze nam szczęście, nic nam się nie stanie, ale jeśli nie dopisze... – Glenn osunął się z powrotem na skrzynkę po bananach. – Pewnie i tak już zaalarmował go pan tym łomotem. Nie chcę ponosić winy, jeśli ten magazyn stanie się pana grobem, Paul. Niech pan sam zadecyduje, co pan robi.

Stal wbiła się głęboko w drewno, kiedy Paul z całej siły uderzył siekierą w drzwi. Od łoskotu zadrżał w posadach cały budynek, przynajmniej tak im się wydawało. Drewno trzasnęło, kiedy Paul wyjął ostrze z drzwi. Zamachnął się ponownie – kolejne uderzenie wstrząsnęło jego ciałem – i znów uniósł siekierę. Przy kolejnym ciosie poczuł, jak ostrze

przechodzi na drugą stronę.

Niebo przetarło się z chmur i słońce stało w zenicie. Przypiekało betonowe powierzchnie, skały, piasek, wodę. Promienie wgrzyzały się Paulowi w oczy, odbijane przez fale zawracały i ponownie wnikały w jego źrenice.

Wcześniej w spiżarni panował spokój. Dopóki drzwi były zamknięte, nie mógł z niej wyjść. Teraz jednak, gdy uzbrojony w siekiere wyszedł głównym wejściem przed budynek, spokój ulotnił się bezpowrotnie. Koszmar dopadł go ponownie. Powrócił wizg w jego czaszce. Wizg, który słyszał, kiedy biegła ku niemu Beth, wizg, który narastał teraz, kiedy kroczył przez plac w stronę przybrzeżnych skał.

To była Kate. Najpierw rozpoznał ją po ubraniu. Miała zmiądzoną dolną szczękę, prawdopodobnie od ciosu kamieniem. W sklepieniu czaszki ziała otwarta rana. Nie było gładkich brzegów, tylko miazga. Ciało kobiety leżało na wznak, z nogami w kierunku budynku, z głową zwróconą ku morzu. Piasek wokół był mokry od krwi.

Paul stał nad zwłokami i mrugał. Migotanie, lśnienie i pobłyski. Cały ocean był jedną skrzącą się taflą. Usłyszał muchy. Zobaczył je. Siadały na ranach, wznosiły się do lotu, bzyczały, opadały z powrotem na mięso. Wydało mu się, że dostrzega ich włoski, ich fasetowe oczy, gwałtowne ruchy. Skrzydła jak witraże, sześcioro odnóży, podrygujących, skaczących i macających, ryjek zanurzający się w krwi. Pełzały po skórze, brzegach ran, mięsie, łąziły po palcach, paznokciach. Składały jaja w żywicielu, brzęczały, żyły.

W dłoni wciąż trzymał siekiere. Kate rozmawiała z Davym, chłopcem, który – podobnie jak on – został zmuszony przez Bohnera do patrzenia na śmierć własnej matki.

Myślisz, że mógłbyś powiedzieć to jeszcze raz do kamery, Davy?

Paul wyprostował się i powędrował spojrzeniem wzdłuż wybrzeża, ścieżką, którą pierwszej nocy przemierzył razem z Lizzie. W oddali widać było jakąś postać. Była zaledwie cienką kreseczką na tle rozedrganej, rozmigotanej wody. Nie dało się rozpoznać, czy to kobieta czy mężczyzna. Nie dało się nawet rozpoznać, czy postać poruszała się w kierunku hotelu czy od niego uciekała.

Popatrzył w drugą stronę i dopiero teraz zauważył, że stoi na czymś w rodzaju wybiegu, który musiał należeć do dawnego parku. Po jego drugiej stronie w jaskrawym słońcu bieleły się bungalowy. Za nimi majaczyła głęboka szarość wąwozu prowadzącego w głąb wyspy, choć i ona w południowym słońcu sprawiała wrażenie wypłowiałej. Zerwał się lekki wietrzyk, dmuchał Paulowi w twarz. Ale bryza niosła nie tylko zapach oceanu, piasku i muszli... W powietrzu wisiała nuta czegoś innego. Zapach, który go odrzucał, a jednocześnie pchnął ku temu, by powoli ruszyć w stronę wąwozu. Im bardziej się zbliżał do przytulonych do skał bungalowów, tym bardziej się upewniał. Z wąwozu dochodził nie tylko zapach... kloaki, lecz również... tarcie, ciągnięcie, posykiwanie – dźwięk... stłumiony... Jęk...?

Czy to właśnie słyszał przedtem w spiżarni?

Kiedy dotarł do pierwszego z płaskich domków, ujrzał ścieżkę prowadzącą dalej w wąwóz. Ale to nie stamtąd dochodził odgłos. Po prawej stronie wyrastał skalisty stok. Dwadzieścia kroków w górę wzgórze zaczynała się wegetacja. Skarłowaciałe drzewka

i cierniste krzewy, wczepione w wysuszone podłoże. Słońce przypiekało mu czaszkę. Czuł, że pot spływa mu po plecach, a koszula lepi się do skóry. Smród był teraz ostry i uporczywy, nie dało się już wmawiać sobie, że to przywidzenie. Kroczył wąską dróżką w górę wąwozu, czując w dłoni trzonek siekiery. Teraz słyszał również szum drzew rosnących wyżej, podczas gdy po jego lewej stronie, głęboko w dole, szumiała woda.

Znalazł to na skraju rzadkiego lasu. Cztery kończyny. Ręce, nogi. Poruszające się. Ociężałe. Pomału. Nieustannie. Smród był nie do zniesienia. Chrapliwe jęki. Chropawe. Zduszone. Pierwszym, co rozpoznał, były włosy Constance. Jej wyciągnięte nogi i ręce. Przybite do ziemi kołkami. Twarz zwrócona ku słońcu.

Jakby lecąc w powietrzu, zbliżył się do drgających kończyn, które rozpostarte na ziemi nie ustawały w ruchu. Constance żyła. Przytwierdzona do kamienistego podłoża. Fetor był niczym ogłuszający hałas, krzyczący do Paula, żeby się oddalił.

– Constance?

Przycupnął przy niej. Przekręciła głowę.

Mętne, mleczne oczy – usta zaklejone szeroką taśmą – podbródek – drgający...

Dłonie Paula zaczęły pracować, bez udziału głowy, niezdolnej do podjęcia decyzji – zaczęły odklejać taśmę.

– Constance, jeszcze sekundę, pomogę pani, zaprowadzę do hotelu...

Słyszał swój głos, lecz ledwie wiedział, kto mówi. Pociągnął za taśmę i zobaczył, jak skóra odchodzi od policzka Constance. Oczy, mętne, przypalone słońcem, tańczyły – musnęła spojrzeniem jego twarz, a potem jej wzrok pomknął ku niebu, runął w dół, prześliznął się po horyzoncie... Jej ruchy, wcześniej ociężałe, teraz, kiedy Paul klęczał przy niej, stały się skoczne, sprężyste, urywane, jakby oddalała się od niego galopem, jakby galopowała do krawędzi urwiska.

W twarz buchnęła mu chmura zgniętego fetoru, kiedy odkleił do końca taśmę. Pod nią ukazały się wargi Constance, prawie czarne, zamknięte, zaciśnięte, i policzki, wydęte, drżące, jakby coś powstrzymywała, z białymi oczami skierowanymi na niego, jakby się wsłuchiwała w siebie. Rozchyliła usta i coś się w nich ukazało, coś czarnego, nie szersze niż trzy złączone ze sobą palce, wysunęło się przez wargi i Paul zobaczył, co to jest. Język, język Constance, ale nie czerwony czy różowy, lecz zielonkawy, niemal czarny. Oderwał się od ust i spadł na pierś kobiety, kiedy uniosła głowę. Z piersi zsunął się na ziemię. Paul, wiedziony przemożną siłą, pochylił się nad nim, nad tym leżącym na piasku językiem, i zobaczył, że jest czarny, bo pokryty mrówkami, które całkowicie oblażyły niewielką bryłkę mięsa i spłaszczone, uciekały w panice. Mrowiły się na ziemi i dopiero teraz spostrzegł z niemym krzykiem, że mrowiły się też na nim, mrówki, owady, rojące się na ciele Constance – bo została przybita do podłoża w ogromnym mrowisku.

Paul przeniósł wzrok na jej twarz. Wyłaziły. Spomiędzy warg, z ust, które rozchyliła szeroko, jakby chcąc złapać powietrze, wyłaziły bryłami, warkoczami, pokrywały jej szyję, roily się po twarzy, wyłaziły zza gałek ocznych, z nosa, barwiąc jej twarz czernią. Z jej piersi wyrwało się twarde, pozbawione języka prychnięcie.

Jednym sussem dopadł do pierwszego kołka. Uderzeniem siekiery przeciął plastikowy zacisk. Kolejny kołek przy drugiej nodze, potem ręce, najpierw lewa – Constance zgięła się w pół, z jedną ręką wciąż przytwierdzoną do kołka, zwinęła się,

sięgając wolną ręką po swój T-shirt, szarpiąc go do góry – i tam też były mrówki, lecz nie na gołej skórze, a na ziejącej ciętej ranie, wydobywały się z niej, tak że Paul przez moment doznał wrażenia, że cała leżąca przed nim kobieta, której cierpienie zdawało się być jedyną rzeczą łączącą ją jeszcze z życiem, z tym światem, że ta kobieta, jej ciało, jej kontur – rozpływają się w roju owadów.

To było jak drganie mięśnia. Jedną ręką wciąż przywiązana – nie zdołał tak prędko dosięgnąć do ostatniego kołka – a jednak na tyle wolna, by móc się poderwać w górę. Jej głowa wyrwała naprzód i runęła czołem na zakotwiczony mocno w ziemi ostatni żelazny kołek, na którym wisiała.

Głuche uderzenie. Ostatni ruch, kończący szaleńcze płasy jej ciała. Osunęła się na bok. Wtedy spod niej coś wypełzło, owad – lecz nie mrówka – większy od mrówki...

...skorpion.

Odpełzł po piasku w stronę kamienia i zniknął pod nim. I nie poruszało się już nic poza rojącymi się mrówkami, które jakby nie zauważyły, że drgawki Constance ustały.

– Skorpion? – Popatrzyła mu w oczy.

– Skorpion to jeden ze znaków zodiaku, Lizzie. – Paul wodził wzrokiem po powierzchni morza. – Tak samo jak Lew, Baran czy Strzelec. Nie znam się za dobrze na horoskopach, ale chyba każdy to wie. Jesteśmy na wyspie, która kiedyś nazywała się Zodiak Island. Zodiak. Na wyspie znaków zodiaku. Słyszałaś już o hipotezie, jakoby Bohner każdą z tych trzech kobiet zamordował w sposób odpowiadający jej znakowi?

Lizzie, skulona, siedziała obok niego na kamieniach.

Przedtem przez jakiś czas leżał na skąpej trawie obok Constance i wpatrywał się w chmury. Ciągły ociążale po niebie jak formacja piechoty. W głowie miał tylko szum, miał wrażenie, że myśli wyślizgują mu się jak ryby, których nie potrafił uchwycić, zatrzymać.

W końcu zebrał się w sobie i ruszył na poszukiwanie pozostałych. Czy powinien zanieść Constance i Kate z powrotem do hotelu? Taka myśl przemknęła mu przez głowę. Lecz był tak wyczerpany, tak wstrząśnięty, że postanowił odłożyć to na później. Jeszcze tylko niecały dzień. Jutro przed południem miał przybyć prom.

Hotel wyglądał na opuszczony. Sala jadalna, hol, klatka schodowa... nigdzie żywej duszy. Nie wiedział, czy pozostali pochowali się po pokojach, czy leżą gdzieś martwi na wyspie. Nie wiedział, czy nie obserwują go zza firanek czy może ukrywają się gdzieś w budynku.

W końcu zabrał ze spiżarni trochę owoców, warzyw i chleba i ruszył przed siebie. Chciał jeszcze za dnia oddalić się od hotelu. W dziennym świetle, zagląającym w każdy kąt, stary betonowy budynek wydał mu się bardziej zaniedbany i przygnębiający niż kiedykolwiek wcześniej. Oczywiście istniała możliwość, że niebezpieczeństwo czyha między skałami na wybrzeżu, w zaroślach, w wysokiej, suchej trawie. Lecz dopóki było jasno, wolał przebywać pod gołym niebem niż w budynku, gdzie miał poczucie, że jest bezbronny i rzucony na pastwę zła, które nawiedziło tę wyspę.

Kiedy maszerował ścieżką wzdłuż wybrzeża, poczuł, że zgroza, która ścisnęła go żelazną pięścią przez ostatnie godziny, odrobinę ustąpiła. Po swojej prawej stronie miał morze, wzburzone wzmagającym się wiatrem, po lewej – skały, wznoszące się pośrodku wyspy i tworzące niewielkie wzniesienie, za którym leżały zardzewiałe pozostałości dawnego parku rozrywki.

Zastanawiał się, czy nie spróbować okrążyć pieszo całej wyspy, choć chmury znów zaczynały się nad nią piętrzyć, kiedy dostrzegł na ostatnim skalnym grzbiecie wiotką sylwetkę – tę samą, która już wcześniej rzuciła się mu w oczy. Szedł dalej, aż zdał sobie sprawę, że to Lizzie. Spoglądała na morze. Na jej twarzy zawitał nieśmiały uśmiech, kiedy odwróciła się i zobaczyła, jak nadchodzi.

– Jestem prawie pewien – powiedział powoli Paul, kiedy siedzieli obok siebie na kamieniach – że znakiem zodiaku Constance jest Skorpion. To tylko przypuszczenie, ale naprawdę myślę, że tak jest.

Lizzie już się go nie bała. Wiedziała, że był zamknięty razem z Glennem, kiedy zostały zaatakowane Kate i Constance.

Paul skierował wzrok na wodę.

– Może podrzucił jej skorpiona do torby, a wszystkie pozostałe rany zadał później.

Bohner.

Spojrzał na nią z boku.

– Widziałaś, gdzie leży Kate? – Lizzie pokręciła głową. – Na wybiegu. Założę się, że to teren, który za czasów świetności parku służył za wybieg dla lwów. Wiesz, że trzymali tu żywe lwy, prawda?

– Tak.

– Kate jest spod znaku Lwa. – Paul znał datę urodzin Kate. Przeczytał o tym w jednej z rozpraw na temat sprawy Jeffa Bohnera. Urodziła się w sierpniu, a jej znakiem zodiaku był Lew. Znak policjantki, która jako pierwsza wysnuła hipotezę o powiązaniach morderstw ze znakami zodiaku.

– Kate to Lew – powiedziała Lizzie. – Constance to Skorpion. Możliwe. Dobra. Ale co z Beth? Ogień... płomienie... nie ma przecież takiego znaku. – Paul milczał. Miała rację. To wszystko to tylko teoria. Równie dobrze mogło być całkiem inaczej. – Słyszałam, że znaki Zodiaku są przyporządkowane czterem żywiołom – ciągnęła Lizzie. – Nie jestem ekspertką, ale... może to jakiś trop? – *Może...* – Ja jestem spod Strzelca – zauważyła – i wiem, że Strzelec należy do żywiołu Ognia. Strzelec, Lew i Baran są przyporządkowane do Ognia.

– Jeśli Kate jest Lwem, a ty Strzelcem... zostaje tylko Baran – zastanawiał się Paul. – Beth mogła być Baranem, wtedy by się zgadzało. – *Może, gdyby, toby...*

– A Michael? Pasuje do tego? – Lizzie oplotła rękami kolana. – Jay urodziła się pierwszego marca... – Jej oczy zaszklily się podejrzenie. – Constance wspominała o tym, kiedy próbowaliśmy pojąć, co się z nią stało. Wyszukała jej podanie o pracę i tam była zaznaczona data urodzin. – Zaczerpnęła powietrza. – Jeśli to prawda, jeśli Jay rzeczywiście miała urodziny pierwszego marca, to jest to czas Ryb!

Ryby...

Paul poczuł mrowienie na karku.

– Znaleźliśmy ją w morzu. Być może utonęła, o ile przeżyła upadek z urwiska – wyszeptał.

To się zgadzało!

Popatrzył na Lizzie. Jej skóra stała się niemal przezroczysta. Aura witalności i ufności, którą dziewczyna emanowała w pierwszych godzinach pobytu na wyspie, nie zgasła, ale wydawała się spłoszona, stłamszona, a jednocześnie kiełkowało w niej coś innego. Bezmierna niepewność. Wiatr zwiewał jej włosy z twarzy, wprawiał w łopotanie szerokie spodnie.

– On tu jest, Lizzie. Jeff Bohner tu jest – wymamrotał Paul. – Widziałem go, zaraz pierwszego dnia. Postać w masce niemowlaka. Miał na twarzy maskę, bo to ktoś z nas. – Nie patrzyła na niego. Paul przyciągnął do siebie nogi. – Pierwszej nocy wywabił z pokoju Jay. Może zapukał w okno – pokój był na parterze, a okno było otwarte...

– Okno w kuchni chyba też było otwarte – przerwała mu. – Constance mi mówiła.

– Tak, otworzyło się jedno ze skrzydeł w kuchni i zrzuciło na podłogę garnki. – Przypomniał sobie tamten obraz. – Może masz rację. Nie wiemy, jak było. Mógł się

dostać do środka przez kuchnię i pójść do pokoju Jay. Z drugiej strony... Może otwarte okno miało tylko naprowadzić nas na pomysł, że wszedł z zewnątrz, podczas gdy w rzeczywistości był już w hotelu.

– Obejrzałeś tamto okno?

Paul skinął głową.

– Nie wyglądało, jakby ktoś wyłamał je od zewnątrz.

– Jeśli zapukał do okna Jay, to nie otworzyłaby mu, gdyby go nie znała. A szyba nie była wybita.

Nie.

– No właśnie. – Paul rozprostował plecy. – Myślę, że zapukał do okna, Jay zobaczyła kto to i otworzyła mu, bo go znała.

– A okno w kuchni?

– Może otworzył je wcześniej, żeby wyglądało tak, jakby przyszedł stamtąd. Albo było niedomknięte i otworzył je przeciąg, kiedy zostało otwarte okno u Jay. – Paul zacinał się, ale nie przestawał mówić. Próbował to wszystko uporządkować. A im dłużej nad tym się zastanawiał, tym wyraźniejsze wydawały mu się powiązania. – Nie wiemy, czy wszedł do pokoju Jay drzwiami czy oknem, ale jej spodnie leżały na placu przed hotelem. Być może się broniła, być może zatkał jej usta. A być może wcale się nie broniła. Pewne jest tylko jedno. – *Jej wystające z wody plecy – jej włosy na nagiej skórze, zalewane falami. – Że zepchnął ją z klifu. Albo zrzucił. – Weźmy Michaela. – Z Michaelem jest dokładnie to samo. To mógł być każdy z nas. Każdy mógł przyjść do Jay. Sheldon, Rupert, Mary, Tony... Każdy, kto znał ukryte wejście za szafą, mógł wejść do Michaela. O ile wiem, wszyscy byli w hotelu, kiedy to się stało, prawda? Tak samo z Beth. Każdy mógł ją podpalić. Rozmawiałaś z ludźmi, pytałaś dokładnie, kiedy gdzie byli?*

– Nie.

– Musimy spróbować... uporządkować te sprawy, Lizzie, musimy wyjaśnić, kto z nich... – *jest potworem*, dodał w myślach.

Wziął głęboki oddech. Wpatrywały się w niego mętne oczy Constance, jej wargi wyduły się, pokazując, że za chwilę się rozewrą i zdradzą to, co umierająca próbowała ukryć. Paul stłumił sapnięcie i odsunął od siebie te myśli.

– Także któraś z kobiet? – odezwała się Lizzie. – Wspomniałeś właśnie o Mary...

– Nie wiem... nie. – Paul wbił wzrok w kamienistą ziemię. – Jeff Bohner nie jest kobietą.

– Więc kobiety nie. Mary nie, ja nie...

Skinął głową. *Kobiety nie.*

– Glenn był z tobą w spiżarni. To nie może być on.

– Bohner już raz miał kogoś, kto wszystko robił dla niego. – Paul podniósł wzrok. Wydało mu się, że Lizzie szuka czegoś w jego twarzy. – Nakłonił Clyde'a Obermana, by ten poświęcił się zamiast niego. Kim jest osoba, która teraz go wyręcza? Może to Rupert, a... człowiekiem, który dla niego morduje, jest Glenn. Albo Tony. Albo to Sheldon, a pomaga mu Tony. Albo... – Pokręcił głową. Wszystko było możliwe. I wszystko nie do pomyślenia. Glenn. Potężna sylwetka dozorca. Jak patrzył na niego, wciskając mu do ręki siekiere. I kiedy Paul widział go tak przed sobą, z pochyloną głową, zaciśniętymi ustami,

to wydało mu się, jakby pod skórą Glenna znów coś zaczęło się poruszać, ukazując prawdziwego mężczyznę, prawdziwą twarz, czaszkę potwora.

– Rupert, Sheldon, Tony, Glenn – wyliczała Lizzie. – Zostają tylko oni. Czyli jeden z nich.

– Tak.

– Tony... jest członkiem mojej ekipy. – Rzuciła mu spojrzenie. – Pracuję z nim, Paul, ale... wiesz przecież, jak... nie ufałam mu od samego początku.

– Myślę, że to raczej Rupert. – Wyprostował się. Bo któż inny? A jednak... Czyżby Rupert miał zbudować cały ten park, tylko po to by... fetować tu długi weekend? Wydało mu się to absurdalne, ale czy to nie było oczywiste? Rupert był opętany Bohnerem, bo... był Jeffem Bohnerem! Czy Constance nie przywitała jego, Paula, szczególnie serdecznie? Rupert go znał, tylko ON, Paul, nie mógł sobie Ruperta... Bohnera, prawdziwego Jeffa Bohnera przypomnieć. Ale Bohner go znał, oczywiście! Rupert bardzo dobrze pamiętał małego, czteroletniego chłopca, czyli jego!

Jakiś głos wyrwał go z zamyślenia. Męski głos. Lizzie również podniosła wzrok. Z drugiego krańca wyspy ktoś biegł w ich stronę ścieżką wzdłuż wybrzeża.

Paul poczuł na ramieniu rękę Lizzie. Biegł do nich Tony.

– Paul... Lizzie! – Kamerzysta zatrzymał się i pomachał im.

– To może być pułapka – zauważyła Lizzie.

Tak... tak, to możliwe. Ujrzał cienie, które pierwszej nocy osunęły się na umięśnioną sylwetkę kamerzysty, kiedy razem z nim i Michaelem przemierzał wyspę. Ale... potem z mroku wyłoniła się tamta postać. A Tony był przy nim, przy Paulu, nie mógł być tamtą postacią. A... czy Beth nie mówiła, że ta postać jest elementem show? Powiedziała to, choć może tylko po to, by go uspokoić, podczas gdy w rzeczywistości sama nie wiedziała, co się dzieje.

Zakręciło mu się w głowie. Wszystko mu się mieszało.

– Tam jest łódź! – zawołał Tony. – Dalej, w następnej zatoczce!

Łódź! Paul zerwał się na nogi i pociągnął za sobą Lizzie. Łódź! To oznaczało... to było... Może mogą uciec z wyspy!

Puścili się biegiem, ześlizgując się w dół po stoku.

– Prędko! Jest zaraz za następnym wzniesieniem! – Tony biegł już z powrotem ścieżką, którą przyszedł.

Podążyli za nim.

– To ponton – wyrzucił z siebie kamerzysta, kiedy Paul go dogonił. – Ale ten wiatr... Są potężne fale.

Paul spojrział na morze. Niebo zaciągnęło się całkowicie. Chmury nie sunęły już leniwie, tylko pędziły, gnane silnym wiatrem, który na wschodzie szrafował powierzchnię oceanu i przyduszał fale w zmiernie baranki, na zachodzie jednak, po tej stronie wyspy, do której właśnie się zbliżali, spiętrzał tak gigantyczne grzywacze, że huk przyboju niemal zagłuszał każde słowo.

Tam. Paul dostrzegł ponton. I jednocześnie poczuł obezwładniające rozczarowanie. Tak, to była łódź, ale... w taką pogodę... nie mieli szans na to, by opuścić na niej wyspę. A jednak człowiek, który znajdował się w pontonie, właśnie tego próbował. Siedział,

skulony, z ręką na silniku zaburtowym i kierował łódź ku otwartemu morzu.

– To Rupert... – wydyszała Lizzie. Teraz on też go rozpoznał.

Rupert. Był zwrócony do nich plecami, trzymał się mocno łodzi, której dziób wznosił się stromo w górę. Fale przetaczały się pod pontonem, żeglowały ku wyspie i łamały się z łoskotem na skałach.

– Ucieka – prychnął Tony. – Rejteruje!

Kolejna fala wypchnęła ponton w górę, przechylając go niebezpiecznie. Przez gumowe burty przelewała się woda.

– Musiał schować łódź gdzieś na wyspie. – Tony popatrzył na Paula i kopnął drobne kamienie. – A teraz próbuje uciec, ale przy tych falach...

Było jasne, że z każdą falą, która unosiła ponton, Rupert ryzykował jego wywrócenie.

– Boi się, jak my wszyscy – wyszeptala Lizzie tak cicho, że Paul ledwie usłyszał ją w huku przyboju.

A potem zobaczyli, jak się dokonało – niecałe trzysta metrów od nich. Rupert zdołał jeszcze utrzymać równowagę na potężnym grzywaczu, ale potem ponton wynurzył się z wody pod zbyt ostrym kątem. Szary plastik łodzi wybił się w powietrze, zjechał w dolinę, ukazując śrubę – i sekundę później widać było już tylko szarawą zieleń oceanu. Ponton pojawił się raz jeszcze, dnem do góry, z topieli wynurzyła się głowa, wiatr zrywał krzyki z ust Ruperta.

Stali na klifie. Paul nie mógł oderwać wzroku od głowy unoszącej się na wodzie. Impet, z jakim grzywacze uderzały o skalistą plażę, przypominał detonację. Było niemożliwością wejść do wody przy takich falach. Musieli przypatrywać się beczynnemu. Wydawało mu się, że nieskończenie długo widzieli jeszcze głowę Ruperta – łysą kulkę tańczącą na falach. Potem zniknęła pod powierzchnią – wynurzyła się raz jeszcze – zniknęła – i już się nie pojawiła.

– Wodnik? Nie wiem. – Mary zerknęła na Glenna. – A ty?

– Myślę, że pan Levin miał urodziny w grudniu. – Glenn podniósł wzrok znad talerza. – Czy to Wodnik?

Lizzie popatrzyła na sporządzony przez siebie szkic.

– Wodnik to w zależności od roku urodzenia osoby urodzone od dziewiętnastego, dwudziestego lub dwudziestego pierwszego stycznia do osiemnastego, dziewiętnastego lub dwudziestego lutego. – W pozostałościach po dawnym parku znalazła tablicę, na której zaznaczono daty poszczególnych znaków zodiaku, i przepisała je do tabeli.

– Beth urodziła się ósmego kwietnia. – Tony przyniósł z pokoju Beth segregator z dokumentami. Znaleźli w nim formularze każdego z gości, wraz z adresami i danymi kontaktowymi. Oraz datami urodzin.

– Więc jest Baranem. A Baran jest przypisany do Ognia, tak jak powiedziałam. – Lizzie odetchnęła głośno i popatrzyła na Paula. Zebrali się w sali jadalnej. Mary przyniosła ze spiżarni dość jedzenia, by wszyscy posilili się do syta. Lizzie i Paul, Glenn i Mary, Tony i Sheldon. Pozostała szóstka. – Wiem – ciągnęła Lizzie – bo sama jestem Strzelcem, a Strzelec należy do Ognia tak samo jak Baran. – Zwróciła się do pozostałych: – Na tablicy w dawnym parku też były zaznaczone te zależności. – Zmarszczyła czoło. – Beth była Baranem, tym samym jej znak należał do Ognia, a ona ... – jej głos stał się chrapliwy – ...spłonęła.

– Constance urodziła się na początku listopada. – Tony pochylił się nad dokumentami z pokoju Beth.

– Więc jest Skorpionem. – Lizzie uniosła swoje zapiski. Zanotowała w nich: Skorpion 22/23/24 października do 21/22/23 listopada.

To nie jest zbieg okoliczności, przemknęło przez głowę Paulowi.

Opowiedział im, co wylazło spod Constance i zniknęło w dziurze w ziemi. Skorpion.

– Przed chwilą byłem jeszcze raz w pokoju Michaela. W kącie leżą narzędzia. Wśród nich była poziomica, czyli rodzaj wagi. Kiedy urodził się Michael? – Popatrzył na Tony'ego.

– Dziewiątego października.

– Waga. – Lizzie przełknęła ślinę. – Równowaga... Czy to dlatego w tak ewidentny sposób miał bok rozpruty tylko po jednej stronie? Żeby zakłócić równowagę Wagi?

– No dobra... – Sheldon odchylił się na oparcie krzesła. – Rupert jest Wagą i utonął, Constance Skorpionem i być może została ukąszona przez skorpiona. A przynajmniej pan, Paul, widział skorpiona. Co jeszcze? – Oparł łokcie o stół i zetknął ze sobą palce obu dłoni. – Kate była Lwem i znaleźliśmy ją na dawnym wybiegu dla lwów. U Beth, Michaela i Jay znak Zodiaku również się zgadza. – Popatrzył wokół. – Wygląda na to, że każdy z nas, jeszcze żyjących, może sam porachować, w jaki sposób zginie.

– Jestem spod Bliźniąt – odezwał się Tony. – Co to znaczy? Jaki sposób śmierci pasuje do Bliźniąt?

– Bliźnięta, podobnie jak Waga i Wodnik, należą do żywiołu Powietrza. – Lizzie zerknęła do swojej tabeli. – Mógłby się pan udławić, Tony... albo zostać uduszony. – Podniosła wzrok.

– Są jeszcze trucizny – zabrała głos Mary. – Cyjanek potasu na przykład, człowiek dusi się od środka.

To było tak przesadzone, że Paul niemal się uśmiechnął, choć Mary mówiła całkiem poważnie.

– Dwanaścioro gości, dwanaście znaków zodiaku, każdy inny – myślał na głos. – Morderca kończy dzieło Bohnera, a właściwie to, co nie udało się Bohnerowi dwadzieścia lat temu. Wreszcie nadeszła pora. Tym razem dopełni się dwanaście zbrodni. I to znów tutaj. Na Zodiac Island, wyspie zodiaku. Ale... – Paul powędrował wzrokiem po twarzach zebranych. – To oznacza, że musiał nas wybrać, prawda? Musiał dopilnować, żeby każdy, kto weźmie udział w tym wyjeździe, był spod innego znaku. Zaprosił nas Rupert, tak? Tylko że Rupert nie żyje. Nie może być mordercą...

– O ile wiem, to Beth wybierała poszczególnych gości – wszedł mu w słowo Sheldon. – Ja miałem jej doradzać. Ale ostatecznego wyboru dokonała ona.

– Ale Beth również nie żyje, więc nie może...

– A czy naprawdę dokonała wyboru sama? – wtrącił Tony. – Kto wie. Może ktoś jej za to zapłacił, więc pozwoliła się manipulować. Nie wiemy, jak było! Wiemy tylko, że każdy z nas jest spod innego znaku!

– A czy to nie wszystko jedno, dlaczego to się dzieje? – Mary podniosła się z miejsca i stanęła obok stołu. – Chcę tylko wiedzieć, kto to jest. Kto to robi.

Ktoś z nas, pomyślał znów Paul. Glenn, Tony, Sheldon, Lizzie, Mary i on sam. Sześcioro. Z dwanaściorga gości została już tylko szóstka.

– A co z łodzią? – Paul spojrzał na Sheldona. – Skąd tak nagle się wzięła?

– Rupert mógł ją gdzieś schować. – Sheldon rozłożył ręce. – A to oznaczałoby, że od początku planował opuścić wyspę przed przybyciem promu. To z kolei dowodzi, że liczył się z tym, co tu się będzie działo.

– Mógł schować tu ponton z tysiąca innych powodów – powątpiewał Paul. – I co to w ogóle znaczy „schował”? Czy przeszukaliśmy dokładnie wyspę? Nie. Może po prostu był po drugiej stronie za jakąś skałą. Rupert mógł go wyciągnąć na brzeg już parę tygodni temu... albo tylko się na niego natknął.

– A czy Jay nie mówiła, że ktoś przyplynał na wyspę pontonem? – wtrącił Glenn.

– Ale ponton, o którym mówiła Jay, odpłynął – zauważył Paul.

– Mimo to. – Glenn popatrzył na Tony'ego. – Najpierw Jay mówi o pontonie, a potem widzimy Ruperta, jak próbuje zwiać na pontonie. Mamy więc dwa pontony?

– Albo to był ten sam – przekonywał Tony. – I przyplynał tu dwukrotnie!

Rozmawiali dalej, ale ich głosy docierały do Paula jak mamrotanie w tle. Czy Rupert zaryzykowałby odpłynięcie w taką pogodę, nawet gdyby to on był zagrożeniem? *Nie, Rupert nie stanowił zagrożenia – on przed nim uciekał!*

I przyplącił to życiem. Czyli? Co to oznaczało?

Bohner dowiaduje się o projekcie Murder Park... organizuje łódź, płynie na wyspę, chowa się i zaczyna sondować teren.

Kto wie, ile razy Bohner tu był? Gdzie zastawił pułapki? Ponton wprawdzie zniknął, ale przecież mógł przyplłynąć nim ponownie. Mógł opuścić wyspę na promie, który kursował przecież cały czas, żeby przewozić robotników. Zwróciliby na niego uwagę? Może nie. Rupert mógł natknąć się potem na schowaną przez Bohnera łódź. To było całkiem możliwe. W końcu Rupert w ogóle przestał się pokazywać innym po tym, jak ścięli się z Tonym w pokoju Michaela i stało się jasne, że to jego, jako gospodarza, obwiniali za to, co się działo. Paul widział go potem jeszcze raz – kiedy stał pod jego balkonem i rozmawiał z Constance. Potem Levin mógł całymi godzinami szwendać się po wyspie, natknąć się przy tym na łódź i następnego dnia odpłynąć, podczas gdy ktoś zabijał dalej...

– Nie ryzykowałby odpłynięcia w taką wichurę... – odezwał się, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę. Okrągła, krzepka twarz Glenna. Wyniosłe, odrobinę spięte oblicze Sheldona. Powątpiewająca mina Mary, która jakby ciągle za coś przepraszała. Głowa Tony'ego osadzona na byczym karku – on nie obawiał się zdrzec z żadnym z nich. Lizzie, która właśnie wstała, żeby dolać wody do karafki...

– Ma pan rację, Paul. – Sheldon zmrużył oczy i uśmiechnął się. – Gdyby to Rupert... popełnił te... czyny, to wiedziałby, że nie ma się czego obawiać na wyspie z wyjątkiem siebie samego. Czemu więc miałby ryzykować życiem, wypływając w morze, mam rację?

– Tak, może i tak – rzucił Tony. – Ale... kto lepiej wiedział o tajemnym wejściu do pokoju Michaela? Kto lepiej znał budynek i całą budowę?

– Nie. – Glenn pokręcił głową. – Myślę, że Paul i Sheldon mają rację. Rupert odpada, a to znaczy... – Nie dokończył. Z jego krtani wydobył się odgłos przypominający kliknięcie.

– To znaczy, że to musi być ktoś z nas. – Sheldon ściągnął wargi i powiódł po wszystkich wojowniczym wzrokiem. – Prawda, Tony? – dodał, nie patrząc na niego. – Przed czym miałby uciekać Rupert, jeśli sam był mordercą? To nie Rupert. To musi być ktoś z nas, ktoś z nas musiał szaleć jak obłąkany w pokoju Michaela. Musiał zepchnąć Jay z urwiska... O Kate, Constance i Beth nawet nie chcę wspominać.

– Powiedz im, co myślisz – rozległ się szept. Lizzie wpatrywała się w Paula szklistym wzrokiem.

– Ma pan jakąś teorię, Paul? – Mary wróciła do jadalni z nowym zapasem wędliny w plasterkach i podpieczonym chlebem.

Popatrzył na kościstą twarz dozorczyńni. Żona Glenna. *Glenn i Mary – cóż za dziwna para*, pomyślał. Mary przewyższała wzrostem Glenna o pół głowy i do tej pory trzymała się na uboczu. Ale posiłki, które przygotowywała z mężem, dużo owoców, wyborne sery i wędliny, były dobre, nawet bardzo dobre.

– Ja... myślę... że to Jeff Bohner. – Paul usłyszał swój własny głos. – Wtedy, przed laty, Bohner zaczął tę historię ze znakami zodiaku. I teraz kończy to, co wtedy mu się nie udało. To nie jest ktoś, kto naśladuje Bohnera, to jest sam Jeff Bohner. On jest tutaj. Jest wśród nas. To ktoś z nas.

– Jak to: Jeff Bohner? – Sheldon wychylił się do przodu, w kierunku Paula. –

Bohner został zgładzony, dobrze pan o tym wie!

Paul zatoczył wzrokiem. Tony, Sheldon, Glenn, Mary, Lizzie. *I ja*. Ktoś z nich musiał nim być. Obserwowali go ukradkiem? Zastanawiali się, czy to on?

Początkowo panika rozproszyła ich grupę, teraz jednak każdy zdawał sobie sprawę, że nie mogli czekać, aż... on... ich dorwie. Ten, kto działał przeciwko nim, nie miał skrupułów. Był jak maszyna, jak egzekwowane prawo, które ścinało każdego po kolei.

– Jestem przekonany, że na krześle elektrycznym wylądował wtedy niewłaściwy człowiek – oznajmił Paul. – To, co tu się dzieje, świadczy tylko o tym, że Bohner w końcu realizuje swoją dawną obsesję. Dwanaście zbrodni – dwanaście znaków zodiaku. Wtedy był to Skorpion, Ryby i Byk. Dzisiaj kompletna dwunastka.

– Widział pan to krzesło w ostatnim bungalowie? – zapytał Tony z rozplómienną twarzą. – Rupert zdobył oryginalne krzesło elektryczne, na którym przeprowadzono egzekucję Bohnera. Stoi w ostatnim pomieszczeniu wystawowym. Można na nim nawet usiąść..., znaczy, oczywiście, bez prądu. Wyobraża pan to sobie?

– Uważa pan, że to nie Jeff Bohner zginął na krześle? – Glenn odchylił się do tyłu, jego twarz wyglądała, jakby gdzieś w środku zapłonęło w nim światło. – Czy to możliwe? – Zerknął na Tony'ego. – Trzeba by zapytać Kate... albo Beth...

– Paul, pan spotkał Bohnera, prawda? – Lizzie. Chciała go w coś zrobić? Paul popatrzył na nią. A może miała rację? Może. Może najwyższy czas wyłożyć karty na stół.

– Naturalnie – rzucił z wyraźną ulgą Sheldon – nie może pan się uwolnić od Jeffa Bohnera, Paul. To już przy pierwszym naszym spotkaniu, cztery tygodnie temu, było dla mnie całkowicie oczywiste. Nie, proszę mnie źle nie zrozumieć, nie chcę tego bagatelizować, ale...

– Nie pamiętam tego, co się wydarzyło dwadzieścia lat temu, Sheldon, dobrze pan o tym wie. Nie mam obsesji na punkcie Bohnera. To po prostu najlepsze wytłumaczenie tego, co tu się dzieje!

Pozostałe rozmowy umilkły. Gwałtowna reakcja Paula przykuła uwagę zebranych. Teraz wszyscy się w niego wpatrywali.

To jedno z nich. Kogoś z nich już spotkałem.

– Nie mogę sobie tego jakoś wyobrazić. – Głos znów zabrał Glenn. – Jeff Bohner? Pomijając pana teorię, Paul, nie mogę sobie wyobrazić...

– Nie gadaj bzdur, Glenn. Czego sobie nie możesz wyobrazić? – naskoczył na niego Tony. – Że zostaniemy tu wymordowani jedno po drugim? Mam cię zaprowadzić do pokoi? Leżą tu obok. Constance jest jeszcze ciepła, tak myślę. Tylko uważaj, żeby nie oblaży cię mrówki. – Wstał tak gwałtownie, że o mały włos nie przewrócił krzesła. – Cholera jasna!

– Niech pan usiądzie, Tony. Najwyższy czas, żebyśmy w końcu się naradzili, co robić. – Sheldon popatrzył na kamerzystę. – Już wystarczająco długo biegaliśmy po wyspie jak kura, której ktoś odrąbał łeb... albo chce odrąbać. Musimy się zastanowić, jak się bronić!

– Ach tak? – burknął opryskliwie Tony. – A o wszystkim, o czym tu radzimy, od razu dowie się Bohner... morderca, bo jest jednym z nas! – Paul otarł dłonią usta. Pod nosem perlił mu się pot, choć w budynku było raczej chłodno. – To jak? – warknął

Tony. – Co teraz? – Utkwił wzrok w Paulu, jakby to od niego spodziewał się odpowiedzi.
Paul pomyślał chwilę. *Co teraz?*
– Jeden z nas – usłyszał w końcu własny głos – myślę, że... to się zgadza.
– Mógł się schować gdzieś na wyspie. Pomyślał pan o tym? – Sheldon skrzyżował ręce na piersi. Wyglądało to niemal tak, jakby chciał poddać w wątpliwość, dlaczego akurat Paul miał decydować albo proponować, co dalej robić.
– Tak, pomyślałem o tym – przytaknął Paul. – Ale nie sądzę, żeby się przed nami chował, bo wczoraj w nocy widziałem go na własne oczy.
– Kogo? – naskoczył na niego Tony.
– Nie wiem, kto to był, bo on... albo ona... nosił maskę. Znowu tę maskę niemowlaka. Wczoraj w nocy, tuż przed tym, jak Beth wypadła z budynku... – *i splonęła*. – Schował się między skały, ale widziałem go całkiem wyraźnie. Maskę, pelerynę, tylko nie twarz. Jego twarzy, albo jej twarzy, oczywiście nie rozpoznałem.
Tony wytrzymał jego spojrzenie.
Tak, ty też mogłeś być tą postacią, Tony.
– I?
– Miał na twarzy maskę, żeby nie było widać, kim jest, Tony.
– No dobrze – włączył się Sheldon. – Założmy, że ma pan rację, Paul. Przyłączam się do Tony'ego. Co teraz?
– Czyli jedno z nas. To oznacza – Paul wodził po nich wzrokiem – że jedno z nas kłamie. Gdy tylko otworzy usta. – Zawiesił spojrzenie na Tonym. – Na przykład pan. Słyszałem, że jeździ pan samotnie na miejsca zbrodni, filmuje ofiary... Może to pan jest Jeffem Bohnerem. Jak pan myśli? – Wielkie oczy. Oczy Tony'ego były wielkie, jasne i przenikliwe. – Albo pan, Sheldon – Paul zwrócił się do psychiatry. – Cztery tygodnie temu przeprowadzał pan rozmowy z każdym z nas. Któż lepiej mógłby wybrać odpowiednią dwunastkę?
– Levin zlecił mi...
– Ach, naprawdę? A może pan go do tego namówił? Jak to teraz sprawdzić? Beth nie żyje, Levin nie żyje... Jedyne, co mamy, to pana słowa, Sheldon. A kto z nas lepiej zna Bohnera niż pan? Jeśli to naprawdę pan jest Jeffem Bohnerem, to na pewno nie zdradzi nam pan, co tu jest grane. W głębi duszy będzie pan się napawał tym, jak błądzimy w ciemnościach!
– A pan, Paul? – skontrował Sheldon. – Co z panem? Straumatyzowany od wczesnego dzieciństwa, kiedy została zamordowana pana matka. Jeśli mam być szczery, to żadne z nas nie jest bardziej predestynowane niż pan.
– Ja w każdym razie nie mogę nim być – wtrącił Glenn. – Byłem zamknięty w spizarni, kiedy Kate i Constance...
– Ja też, Glenn – wszedł mu w słowo Paul. – Niech pan o tym nie zapomina. Tylko że to niewiele znaczy. Możemy przecież z kimś współpracować – tak jak Bohner współpracował z człowiekiem, którego w końcu poddano egzekucji. Bohner jest mistrzem manipulacji. Pan, Glenn, mógłby się kamuflować, każąc pracować dla siebie jednemu z nas – pańskiej żonie, na przykład. – Spojrzał na Mary, która właśnie usiadła. Wyglądała, jakby ktoś tuż obok wypalił z armaty. – Może pan i Mary działacie razem?

– A ona? – Tony skinieniem głowy wskazał na Lizzie. – Myślałem, że kobiety odpadają, ale skoro w grę wchodzi Mary, to Lizzie chyba też. – Sięgnął po karafkę i nalał sobie wody.

– Samotne matki jako ofiary – i kobieta miałyby być tą, która je mordowała? – Sheldon zmarszczył czoło.

– Na wyspie mógłby działać razem z kobietą, przecież on właśnie to powiedział. – Glenn wskazał na Paula.

– Jeśli o mnie chodzi, to mógłbym nim być – odezwał się Tony, upiwszy łyk wody. – Ale jednego dalej nie rozumiem. Dlaczego? Dlaczego miałbym po kolei...

– Bo on chce nas ukarać – dobiegł cichy głos. Wszyscy odruchowo spojrzeli na Mary. Trzymała się mocno brzegu stołu i sprawiała wrażenie, jakby przenikała ich wzrokiem. – Od samego początku zadawałam sobie pytanie, już wtedy, gdy Glenn przyszedł do mnie i powiedział, że pan Levin chce nas zaangażować do tego parku, na ten jeden weekend: park morderców, Murder Park? Nie powinniśmy na to iść! Tak sobie właśnie pomyślałam. To nie jest w porządku. Czy to nie przyszło do głowy każdemu z nas? – Prześlizgiwała się spojrzeniem po ich twarzach. – Że to nie jest w porządku! To nie w porządku czerpać korzyści z tego, że ktoś w brutalny sposób pomordował niewinnych ludzi. Żeby robić rozrywkowy spektakl ze zbrodni Jeffa Bohnera! Może Bohner, może tacy ludzie, jak on... może nie mogą inaczej, a zabijanie jest jak ich natura, przymus, który wychodzi z ich chorych umysłów. Ale my możemy inaczej, nie musimy tu być, nie musimy wspierać tego przerażającego parku, w którym z morderstw robi się jarmarczną atrakcją! Każdy z nas zawinił, bo miał nadzieję na profity z tego potwornego parku! Roztrząsaliśmy to, wątpiliśmy i wahaliśmy się, w końcu jednak postanowiliśmy się zgodzić. – Oczy jej się zaszkliły, spuściła wzrok. – Dlatego nas za to karze! Chcecie na mnie zarobić? To pokażę wam, co to znaczy zabijać! – Zasłoniła twarz dłońmi. – Pan Levin nigdy nie powinien był zakładać tego parku. Jeśli pan ma rację, Paul, jeśli to Bohner... – *...jeśli Bohner siedzi z nami przy tym stole...* – ...to karze nas, bo chcieliśmy zarobić na jego czynach. W tym jednym punkcie wszyscy jednakowo zawiniliśmy. Wszyscy chcieliśmy czerpać korzyści z morderstw.

Paul miał wrażenie, że jego kręgosłup zamienił się w lód. Ten park od samego początku wywoływał w nim dziwne uczucia. Sheldon pierwszy poruszył to otwarcie, tę niechęć, którą odczuwał w stosunku do tego pomysłu. Ale w końcu on też tu przyjechał. Paul nie wierzył, że Sheldon nie wiedział, co go tu czeka. Widział przecież materiały prasowe, widział tę teczkę! „Murder Park – Twój weekend z zabójcą”. Paul, podobnie jak Sheldon, dławił w sobie tę niechęć, wypierał ją, bo miał nadzieję, że będzie z tego dobry materiał! Mary miała całkowitą rację.

Było mu zimno. Popatrzył na Lizzie, która siedziała skulona na krześle obok. Odwzajemniła spojrzenie. Płakała. Jej dawna zadziorność i zaczepność wyraźnie ją opuściły.

Mary jakby otworzyła im wszystkim oczy. Jakby po raz pierwszy dotarło do nich, czym naprawdę jest ta wyspa. Sądem. Sądem, przed którym stanęli. A sędzia siedział pośród nich. Sędzia i kat w jednej osobie. Nie wiedzieli tylko, kto nim jest.

– Chodźmy, Lizzie. – Paul miał dosyć. – Zaprowadzę cię do pokoju.

Pochylił się ku niej, aż jego oczy znalazły się tuż przed jej oczami. Wyglądała, jakby szukała zapewnienia, że nie zrobi jej krzywdy. Ale jak miał jej dać taką pewność? Nie mógł. Musiała mu zaufać.

– Dobrze – wyszeptała, tak cicho, że pozostali jej nie słyszeli. – Nic mi nie zrobisz, prawda?

– Czemu prom miałby nie przyplłynąć? Jutro jest poniedziałek, dzień roboczy, przyplłyną robotnicy jak zawsze od paru miesięcy. Jak pan myśli, Paul?

Paul i Lizzie właśnie zbierali się do odejścia, kiedy rozległy się te słowa. Odwrócił się. Wypowiedział je Sheldon. Psychiatra wychylił się i patrzył na niego wyczekująco.

– Trudno powiedzieć... – zawahał się.

– Bzdura! – Sheldon wstał, nie spuszczać z niego wzroku. – Która jest teraz godzina? Czwarta po południu? Jutro o jedenastej prom już tu będzie. Musimy tylko mieć na siebie nawzajem oko. Te parę godzin chyba wytrzymamy! Proponuję, żebyśmy przynieśli trochę drewna, napalili porządnie w kominku i przeczekali tu przytulnie. – Oparł ręce na stole.

Paul rzucił spojrzenie na Lizzie. Wahala się.

– Tylko parę szczap, Paul – dodał Sheldon. – Zrobiło się zimno, nie uważa pan? Ogień w kominku ogrzałyby nas wszystkich. – Skinął głową w stronę szklanych drzwi na drugim końcu sali, prowadzących na dwór. – Widziałem, że na placu jest wystarczająco dużo drewna na opał. To zaraz za progiem.

– Tylko niech to nie będzie jakaś zasadzka, Sheldon. – Paul wypowiedział te słowa w przyjacielski sposób, ale... czemu właściwie Sheldon chciał wyjść na zewnątrz akurat z nim?

– Chyba nie mówi pan poważnie.

– Oczywiście, że nie, tylko...

– Tylko co? Niech pan idzie ze mną. Obojętne, kto tu grasuje – czy ktokolwiek z nas nim jest. Nie mówię, że musi mi pan ufać. To dużo prostsze. Jeśli wyjdziemy obaj i ja tam pana... zabiję... obojętnie jak... to jak pan myśli, co uznają pozostali? Że to nie może być nikt inny, tylko ja. Zgadza się? – Uśmiechnął się. – Słuchajcie, Paul i ja wyjdziemy teraz na chwilę na plac po drewno. Jeśli któryś z nas będzie tam potem leżał martwy, to znaczy, że mordercą jest ten drugi, dobra?

Paul się wahał. Może Sheldon miał rację. Może rzeczywiście najlepiej byłoby, gdyby spędzili razem te ostatnie parę godzin. A trochę ognia w kominku naprawdę by się przydało.

Kątem oka dostrzegł, że Tony zaczął manipulować przy jakimś urządzeniu. Przy swojej kamerze. Widział go z nią nie po raz pierwszy, ale po raz pierwszy zwrócił na to uwagę. W tym momencie usłyszał za sobą oburzony głos:

– A to co takiego? – Glenn, trzymając coś w dłoni, nachylał się nad torbą opartą o nogę stołu tuż obok miejsca, gdzie siedział Tony. – W pana torbie, Tony, to było w pana torbie, tu przy stole! Oczywiście, że to pana torba, w środku są akcesoria do kamery!

– Co pan robi przy mojej torbie, Glenn? – Tony opuścił kamerę. – Postawiłem ją tam, bo myślałem, że porobię trochę zdjęć... Czemu pan tam grzebie?

– Nie grzebię, tylko zerknąłem do środka, bo zastanowiło mnie, co to za torba! I to było na wierzchu – to! Czyje to majtki? To przecież damskie, damskie figi i...

– Co to ma znaczyć?! Każdy mógł mi to podrzucić! – Tony z wściekłością odłożył kamerę na stół.

– Przede wszystkim to pan sam mógł włożyć te majtki do swojej torby, Tony!

Kamerzysta cofnął się o krok. Prawie wszyscy wstali z miejsc i zwrócili się ku nim.

– Czego wy ode mnie chcecie, do cholery? Naprawdę myślicie, że włożyłbym czyjeś majtki do torby, na sam wierzch, żeby można je było znaleźć? To absurd! Tylko się do mnie nie zbliżaj, Glenn! Wara!

– Komu zdjąłeś te majtki, Tony? Kate? Constance? Jest na nich krew! – zacierzawił się Glenn. – Już to przerabialiśmy. To musi być ktoś z nas. Ach tak? Ja już wiem kto! Pomóżcie mi, co tak stoicie? Popatrzcie na niego. Tony. To on! Odwiedzasz miejsca zbrodni, filmujesz trupy. Poznaje go pan, Paul? Rozpoznaje pan go teraz? Czy to jest Jeff Bohner? Wycierałeś sobie gębę w te cholerne majtki, Tony? Zmyłeś z siebie krew, ale nie mogłeś się rozstać z majtkami? Aaaa! Kurwa, co to? WIDZICIE TO? On ma nóż! Rzuć nóż, Bohner! Nie wygrasz z nami wszystkimi, Tony, Bohner, czy jak tam się nazywałeś! Nie możesz zadźgać nas wszystkich – TRZYMAJCIE GO!

– Dobra, niech wam będzie! – Tony zamachnął się nożem w stronę Glenna. – Podwędziłem te majtki. Ale nikogo nie zabiłem! Majtki? Widzicie chyba, po ile te murderabilia... czy jak tam zwał... chodzą na wolnym rynku. Ile ludzie za nie dają! Pomyślałem sobie, że je wezmę, będę mógł je opylić, jeśli prom kiedykolwiek nas stąd zabierze. Wiem, oczywiście, to niskie! Ale to nie znaczy, że kogoś zabiłem. To jakiś absurd!

– Więc rzuć nóż, Bohner... Tony... rzuć go, a wtedy w spokoju porozmawiamy!

– Nie jestem żaden Bohner, co to ma znaczyć? I nie rzucę noża! Cofnij się, Glenn, nie podchodź do mnie!

– Glenn ma rację, Tony – wtrącił Sheldon. – Niech pan odłoży nóż, nic panu nie zrobimy. Zostanie pan w swoim pokoju, a jutro przed południem, kiedy przyplynie... TONY, NIE!

Tony z furją ciał nożem powietrze, kiedy Glenn zrobił w jego stronę kolejny krok.

– Uważajcie, on jest nieobliczalny – zawył Glenn. – DO TYŁU, on mnie ciachnął...

– W obronie własnej, do cholery! Sięgnąłem po nóż, żeby się bronić! Przed nim, przed tym, który nas morduje, przecież to nie JA!

– Ach tak? Przyznaj się! To ty okaleczyłeś Constance nożem...

– To jest nóż kuchenny...

– Dość duży, żeby zabić!

– Uwaga, on chce dojść do okien!

Tony chwycił ręką krzesło – zamachnął się – i z siłą cisnął mebel o panoramiczną szybę przed sobą. Rozległ się brzęk i na podłogę poleciał grad odłamków. Skoczył. Glenn skoczył za nim.

– Niech ucieka – powiedział Sheldon. – Zamkniemy budynek i będziemy tu bezpieczni. Niech pan wróci, Glenn, zamkniemy hotel, niech Tony spędzi noc na dworze!

Ale dozorca już się nie odwrócił. Rzucił się przez plac za Tonym.

Paul pierwszy podążył za Glennem przez rozbitą szybę. Czy pozwolić Tony'emu uciec? Dlaczego? Miał nóż, wymachiwał nim w powietrzu, aż Glenn został draśnięty.

Widział przed sobą grubo ciosaną twarz kamerzysty. To miał być Jeff Bohner? Tony?

Jest tylko wzburzony i zatrwożony. To nie on – to nie może być on, on tylko chciał spieniężyć majtki.

A jednak: wiek się zgadzał.

...u innych też.

Paul czuł pod stopami chrzęst piaszczystego gruntu. Biegł ile sił w nogach. Słońce jeszcze świeciło, ale zniżało się już do horyzontu. Tony, ze zmierzwionym włosom, wyciągał nogi do przodu. Za nim, tylko parę kroków przed Paulem, pędził Glenn. Za plecami słyszał jeszcze parę innych osób, które wybiegły z hotelu, ale szkoda mu było czasu na oglądanie się za siebie.

Tony szybko dotarł do skalnej przeszkody, ograniczającej plac od strony gór. W głąb prowadziła czarna sztolnia. Tunel już przedtem rzucił się Paulowi w oczy, ponieważ jednak właz był zagrodzony czerwono-białą taśmą, nie przyszło mu do głowy, by wchodzić do środka. Tony nie przejmował się taśmą, przesadził ją jednym susem. Tuż za nim Glenn. Zaraz potem Paul poczuł, jak sklepienie tunelu zasłania przypiekające mu grzbiet słońce. Podążył za Tonym i Glennem w głąb.

Dobiegł go tupot oddalających się kroków, stłumione sapanie mężczyzn.

– Tony! – Głos Glenna odbił się echem od ścian sztolni. – To jest ślepa uliczka! Dobiegnie pan do końca tunelu i tam pana dopadniemy.

Paul nie był tego taki pewien. Wprawdzie to miejsce wyglądało jak plac budowy, ale niekoniecznie jak ślepy zaułek. Zauważył, że na dnie tunelu biegły wąskie tory, nie szersze niż tory kolejki górskiej. Wszędzie wały się narzędzia budowlane, wyraźnie było widać, że prace nie zostały jeszcze zakończone.

Murder Park.

Najwyraźniej sztolnia należała do pozostałości po dawnym parku. Większość starych dekoracji usunięto, a nowych jeszcze nie zamontowano. Na ścianie widniał jakiś napis, tam, gdzie skała zafarbowana od starych liter.

„Halloweenland”.

Na ten widok Paul poczuł zimny dreszcz. Znał tę nazwę. *Halloweenland*. Znał ją z policyjnych akt. To tu znaleziono jego matkę. W kolejce strachu. W dawnym *Halloweenland*.

Biegł dalej co tchu – światło dochodzące od wejścia słabło. Z mroku wyłaniały się zarysy. Litery, nazwiska. Nazwiska morderców wyrte w kamieniu nad rzędem nisz w ścianie. Nazwiska morderców, które doskonale znał, bo jako nastolatek całymi latami zajmował się nimi.

Kuba Rozpruwacz. Fritz Haarmann. Ed Gein. Ted Bundy... Nazwiska...

...gwiazd wśród seryjnych morderców.

Nie dało się tego nie zauważyć. Każdy z nich miał otrzymać własną niszę w nowej

kolejce strachu. A w niszach zapewne ustawione zostaną figury z wosku lub plastiku. Jako elementy budzące grozę w nowym parku. W Murder Park. Zmiana dekoracji w upiornym tunelu.

Paul zatrzymał się mimowolnie. Kroki Glenna i Tony'ego zaczęły się oddalać.

Ile było tych nisz?

Dwanaście.

W mroku tunelu majaczyło niewyraźnie dwanaście znaków. Ryby, Lew, Strzelec... Dwanaście nisz – dwanaście znaków zodiaku – dwanaście gwiazd w historii seryjnych zabójstw. Paul przez moment widział to przed sobą. Jak to sobie zaplanowali. Levin. Beth. Dwanaście nisz, dwanaście relikwiarzy, dwanaście figur przypominających żywych ludzi.

I wtedy oślepiła go pewność, co Bohner chciał zrobić z tej alei śmierci. Kiedy już dokończy dzieła.

Dwanaście nisz, dwanaście relikwiarzy, dwanaście... *ciał.*

Ich ciał. Ciała Jay, Michaela, Beth i wszystkich innych.

Każde z nich...

...także i on...

...miało zostać wystawione w jednej z nisz. Woskowe twarze Michaela i Jay, Kate i Constance zdawały się szczerzyć do niego w półmroku.

Tylko że to nie będą twarze woskowych figur, lecz twarze trupów.

A on?

W której niszy Bohner ustawi jego, Paula? Jego znakiem zodiaku jest Panna... a w niszy Panny... czyje tu było nazwisko?

Ostrożnie poruszał się dalej.

Młoda dziewczyna z włosami do pięt... w niszy pojawił się znak Panny. A pod nim nazwisko – nazwisko mordercy – dla którego przeznaczona była ta nisza.

Jeff Bohner.

To była nisza Bohnera, przeznaczona dla...

... dla niego!

Była to ostatnia nisza w korytarzu, który kończył się ogromną halą.

Kręciło mu się w głowie. Do hali prawie już nie dochodziło światło. Półkoliste sklepienie wznosiło się nad nim srebrzyście – a na wprost...

...stał jakiś mężczyzna!

Patrzył prosto na niego.

To nie był Tony. Ani Glenn. Był rosły, szczupły, miał proporcjonalną twarz, cień zarostu na podbródku i uważne oczy... *za okularami bez oprawek.*

To był on sam! Patrzył na siebie z... lustra, które wznosiło się przed nim w hali.

– Glenn! Ma go pan? – usłyszał, jak jego głos gubi się w łukach i zakamarkach hali, odbija echem i niknie.

– Niech pan dopilnuje, żeby nie wyszedł, Paul! Wchodzę dalej – z głębin odezwał się Glenn.

Paul zaczął powoli stąpać wzdłuż lustra. Dotarł do krawędzi, obszedł je i znalazł się po drugiej stronie zwierciadła, które, jak stwierdził, było lustrem weneckim, przez które mógł patrzeć na wylot. Pobiegł wzdłuż szklanej tafli i skręcił za kolejny węgiel.

Szkoło – przezroczyste – i kolejne lustro. Wyglądało to tak, jakby wszędzie ustawiono pod ostrymi kątami szyby i lustra, tak by odbicia odbijały się od odbić i powielaly. Niektóre powierzchnie odbijały obrazy, przez inne dało się patrzeć na to, co się znajdowało za nimi. Ale to też były tylko kolejne szyby i odbicia.

Labirynt luster...

Sztolnia prowadziła do labiryntu luster. O tym też Paul już czytał. W materiałach policyjnych, w dokumentacji na temat morderstwa jego matki, była mowa o okrągłym pomieszczeniu z labiryntem luster. Hala, do której wszedł, była okrągła. I była częścią dawnej kolejki strachu. *Halloweenland*.

To był Circle Room. Paul wiedział o ekskluzywnym sektorze w Halloweenland, nazywanym Circle Room, do którego wykradali się niektórzy ojcowie, kiedy mieli dość rodzinnych rozrywek. Czy jego matka spędzała wolny czas w Circle Room, kiedy byli na wyspie, a on musiał się kłaść na popołudniową drzemkę? A może *pracowała* w Circle Room, by trochę dorobić? Nigdy nie udało się tego wyjaśnić. W Circle Room panowały inne reguły – nie był oficjalnie zarejestrowany ani administrowany tak jak inne atrakcje. W półmroku, pośród luster i nisz, działo się wiele rzeczy, które nie znajdowały odzwierciedlenia w księgowości. Kierownictwo Zodiac Island właściwie nie dociekało, co tam się wyprawia. Może jego matka poznała Bohnera przy budce z kiełbaskami. A może spotkała go tutaj.

Jako kobieta-kot? Z uszami królika? Króliczym ogonkiem?

Paul jak przez mgłę oglądał zaokrąglone ściany hali, wznoszące się w mroku ponad lustrami. Obrócił się dookoła – i przez moment miał wrażenie, że widzi wyłaniające się zza szklanych tafli kobiety w obcisłych, kolorowych kostiumach – sekundę potem pojął, że to nie callgirls sprzed dwudziestu lat, tylko sylwetki, cienie ostatnich gości na wyspie. Lizzie rozpoznał pierwszą, potem Mary, a na końcu Sheldona. Reszta tych, którzy poszli za nim, wreszcie dotarła do hali. Mógł ich obserwować przez liczne szyby, przez liczne odbicia, nie wiedząc, gdzie tak naprawdę się znajdują.

– Musimy uważać, żeby Tony nie zawrócił i nie wybiegł tunelem z powrotem na zewnątrz! – zawołał.

Teraz jest tu z nami, przemknęło mu przez myśl. Teraz wszyscy tu jesteśmy.

W tym samym momencie jaskrawe białe światło zalało szyby, szkło i lustra, rozpalając oślepiające morze jasnych refleksów. Źrenice Paula zwęziły się, zasłonił dłonią oczy. To musiały być dziesiątki, może nawet setki reflektorów. Natychmiast dało się odczuć, że w hali robi się cieplej.

– Kto to był? – rozbrzmiało warknięcie Sheldona. – Glenn? Czy to pan włączył światła?

Bez odpowiedzi.

– Tony? Czy to pan?

W odpowiedzi Paul usłyszał łomot – ktoś wpadł na szybę. I wtedy zobaczył go za krawędzią lustra, jakby skapanego w bieli od nadmiernie jasnego światła. Twarz miał białą, włosy białe, ubranie białe. Lecz z jego boku spływały czerwone krople. Usta Glenna były otwarte, wargi i jama ustna pałały czerwienią.

Paul zrobił krok w jego stronę – i z impetem rąbnął o szybę.

– Glenn!

Zwrócił się na prawo. Musiał obejść szybę. Zobaczył biegnącą Lizzie, unurzaną w bladą zieleń licznych odbić. Nieopodal niej, choć może tylko oddalony o jedno odbicie – był Sheldon. I znów Paul napatoczył się na szklaną tafłę. Ból przeszył mu głowę w miejscu, którym uderzył. Jego mięśnie przypominały rozpalone węzły. Przez setki szyb zobaczył Mary – zdawała się uciekać przed Glennem, ale prawdopodobnie tylko tak wyglądała w odbiciu. Tam! Tuż przy wyjściu! Tony! Niemal natychmiast został połknięty przez mrok wychodzącej z hali sztolni – podążał ku wejściu, przez które się tu dostali.

– Tony!

Paul wypadł ze szklanego korytarza i wtedy go zobaczył. Leżał na wprost, z nieruchomym wzrokiem i szeroko rozwartymi oczami.

Glenn.

– To nie byłem ja. Nawet go nie tknąłem! – Z daleka, niczym echo, dobiegł głos Tony’ego.

Cała reszta też już dotarła do Glenna. Lizzie, Sheldon i Mary.

– Chyba to widzieliście! To Tony, to on pchnął go nożem! – zabrzmiał przeraźliwy krzyk Mary.

– Widział ktoś, jak to się stało? – Paul usiłował zachować spokój. – Czy ktoś widział, że Tony pchnął Glenna nożem? – Popatrzył po obecnych.

– Nagle zrobiło się tak jasno, że musiałem zasłonić oczy. – Sheldon przyłożył dłoń do oczu, jakby chciał to zademonstrować.

Pozostali pokiwali głowami.

To mógł być każdy z nich.

– Nie sądzę, Paul, ja... Nie wierzę, że to był Tony. Nie widziałeś, jak on patrzył. On się bał, bał się, że go zabijemy, bo będziemy sądzić, że to on. Ale...

– Wymachiwał nożem, Lizzie. Już w hotelu zranił Glenna.

– Ale tylko lekko! Każdy z nas mógł wziąć ze stołu nóż i przynieść go do gabinetu luster! Nie wiemy, czy Glenn zginął od noża, który wziął Tony!

Podczas gdy Sheldon i Mary na wózku kelnerskim odwieźli ciało Glenna do hotelu, Lizzie i Paul zaryglowali budynek na noc – zamknęli okiennice i pozamykali drzwi. Chodziło o to, by Tony nie dostał się do środka. Przeszukali też wspólnie cały budynek, chcąc sprawdzić, czy Tony nie schował się gdzieś w środku. Niczego nie znaleźli, a jednak Paul nie mógł się pozbyć wrażenia, że zostało jeszcze mnóstwo zakamarków i schowków, w których mógł ukryć się mężczyzna. W końcu zamknęli się z Lizzie w jej pokoju.

Paul poszedł do łazienki i nalał wodę do dwóch szklanek. Lizzie siedziała na brzegu łóżka i przyglądała mu się. Sheldon jako pierwszy chciał trzymać straż na dole i po dwóch godzinach zawołać Paula.

Tony... Sheldon... któryś z nich. Albo...

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Może zamknął się tu z niewłaściwą osobą? W końcu to był jej pomysł. Żeby się tu zamknąć, u niej. Mogła przygotować i ukryć tu Bóg wie co. I nie bała się go. Dlaczego?

Bolała go głowa. Zakręcił kran. Od kilku dni miał gonitwę myśli, nie ufał innym, obserwował ich.

– Tony. To jest Tony – powiedział, kiedy wyszedł z łazienki. – Mary ma rację. Wszyscy widzieliśmy, jak zaatakował jej męża.

– Jej męża? – Lizzie odchyliła się do tyłu i oparła na rękę.

Kiedy tak na nią patrzył, czuł, jak w jego głowie na nowo rozkręca się karuzela. Mieli przed sobą całą noc. Lizzie już na samym początku postarała się, by mieli pokoje obok siebie. Dlaczego? Bo chciała wykorzystać go do swojego reportażu? Bo chciała mieć pokój na ostatnim piętrze? Czy można w to wierzyć? A może istniał jakiś inny powód, dla którego chciała mieć akurat ten pokój, w którym właśnie się znajdowali?

Ten pokój – połączony drzwiami z moim.

Zawiesił wzrok na drzwiach przechodnich. I dostrzegł klucz. Dlaczego klucz tkwił po jej stronie? Czy ona coś knuła? Tylko co? Chciała, żeby przesiedział te pozostałe godziny na łóżku obok niej?

Wydało mu się, że powietrze w pokoju zgęstniało jak wata. Przypomniał sobie, jak cieniutki szlafrok zsuwał się po jej nagiej skórze.

Byli tu sami, w pokoju z łóżkiem, które stało przy ścianie, posłane białą pościelą. Ona już na nim siedziała. Wiedział, jak miękkie są łóżka w tym hotelu. Mógł do niej podejść, łagodnie przewrócić ją na materac, ściągnąć z bioder jej spodnie...

– Mary nie jest żoną Glenna, Paul.

Jedno po drugim wszyscy zginiemy na tej wyspie. Może to ostatnia okazja...

– Słuchasz mnie, Paul? Nie byli małżeństwem! To nie była prawda, oni tylko

podawali się za małżeństwo.

Tak, Lizzie, wiem...

– Paul ...

Postawił szklanki na nocnym stoliku, usiadł na materacu i zwrócił się do niej twarzą.

– Posłuchaj!

– Co?

– Masz posłuchać, co mówię! Mary i Glenn, ja... Dzisiaj przed południem przechodziłam koło kuchni i słyszałam, jak ze sobą rozmawiają. Nie zwróciłam na to szczególnej uwagi, ale teraz... teraz nie mogę przestać o tym myśleć. Dlaczego Mary milczy na ten temat? Udaje, że rozpacza po śmierci męża, a przecież wcale nie była jego żoną.

– Oczywiście, że była. Rupert zatrudnił ich przecież, tylko dlatego że byli małżeństwem. Mary powiedziała mi to zaraz pierwszego dnia.

– Tak powiedziała. Ale oni tylko udawali małżeństwo, bo chcieli dostać tę pracę. Nie byli poślubieni! – Lizzie wstała i stanęła przed nim. Ujęła w obie dłonie jego głowę, tak że musiał podnieść wzrok. – Pomyślałam sobie nawet, że Mary... – Puściła go, ale nie ruszyła się z miejsca.

Korciło go, żeby chwycić ją za pośladki, wtulić twarz w jej brzuch.

Zapomnij o Mary, Lizzie – tylko na chwilę. Jeśli teraz nie zapomnimy o tym wszystkim wokół nas, być może nie będziemy już mieli ku temu okazji.

Jego dłonie znalazły się na jej biodrach.

– ...że może Mary tylko podaje się za kobietę. Paul, rozumiesz? Tak pomyślałam. Przez cały czas szukamy mężczyzny, przez cały czas myślimy, że tylko mężczyźni wchodzi w grę jako możliwi sprawcy zbrodni na tej wyspie. A to takie proste. Mary, jej grubokoścista budowa, nie zastanawiałeś się nigdy, czy ona przypadkiem nie jest mężczyzną?

– Mężczyzną? Mary? – Popatrzył na nią, zaskoczony.

– Sam mówiłeś, że to Bohner na nas poluje. A ilu zabójców na tle seksualnym jest rozdartych wewnątrz, bo nie radzą sobie z własną seksualnością? Ja... nie znam się na tym, ale... ona zawsze ma makijaż i jest zdumiewająco wysoka jak na kobietę. On mógł przez wiele lat nauczyć się chodzić jak kobieta, mówić jak kobieta, poruszać się... Ale jeśli postawimy go pod ścianą, to będzie musiał nam pokazać swoją prawdziwą twarz.

Jej dłonie, dłonie Mary – Paul przypomniał sobie, jak podawała posiłki do stołu. Czy dłonie Mary nie były podejrzenie duże? Zobaczył przed sobą jej twarz, w której coś się poruszało, jej włosy – niczym przyklejone do czaszki, oczy połyskujące złowrogo, kontury drgające i zmienne, aż w końcu przebiło się jej prawdziwe oblicze, wierzchnia warstwa stopniała i wyłoniła się spod niej facjata zabójcy. Oblicze, którego Paul jednak nie mógł rozpoznać, bo nie wiedział, jak wyglądał Bohner – bo nie mógł go sobie przypomnieć.

– Oni się sprzeczali w kuchni, Paul...

– Widziałeś, że ona jest mężczyzną?

– Nie, tego nie powiedziałam! Ale słyszałam, jak się sprzeczali, Mary i Glenn, jak

on miał do niej pretensje, że nie powinni byli podawać się za małżeństwo. Pan Levin ufa mu już od tak dawna, że nie powinien był wprowadzać go w błąd tylko po to, by dostać tę pracę. Mary argumentowała wprawdzie, że Rupert sam jest sobie winien, że go okłamali, że małżeństwo to zwykła formalność, a Rupert nie powinien być taki zasadniczy. I żeby Glenn się nie martwił, bo taka drobnostka na pewno nie nadkruszy wieloletniego zaufania między nimi. Ale Glenn nie chciał tego słuchać. Mówił, że gdyby nie okłamali Ruperta, to nie dostaliby tej pracy. Pracy, która teraz ich zabija! A to znaczy...

– ...że wcale nie są małżeństwem.

– Otóż to. Innymi słowy, o Mary wiemy właściwie tylko jedno: że razem z Glennem okłamała Ruperta. Kim ona właściwie jest, Paul? Próbowalesz wyczytać coś z jej twarzy? Jasne, ma półdlugie włosy, ale jej rysy... Może ona jest mężczyzną! Może to ona – może ona to Bohner.

– Bohner przyjechał z nami na wyspę... jako Mary... – Paul usiłował to sobie wyobrazić. Czy mogło tak być? W życiu by na to nie wpadł.

– Może Tony jest z nią w zмовie... z Mary... z Bohnerem. Chociaż nie sędzę, myślę, że Tony tylko się bał. – Lizzie osunęła się na kolana Paula.

Jaka ona lekka – a jednocześnie ciężka.

– Jeśli tak jest – przesunęła dłonią po jego karku; dotyk ten przemienił jego rozkojarzenie w coś innego, w jasną, konkretną potrzebę, by wreszcie odsunąć na bok wszystkie te pytania, wątpliwości i obawy – jeśli tak jest, Paul, to oznacza, że trzymamy tu straż i pilnujemy się przed Tonym, podczas gdy prawdziwy morderca od dawna jest w budynku. – Twarz Lizzie znalazła się blisko jego twarzy. Jej wargi, oczy, szyja. – Myślimy, że to Tony, ale w rzeczywistości to jedno z nas!

Pocałował ją i wreszcie poczuł chłód kojący jego przegrzane nerwy. Przez chwilę leżała w jego ramionach, ale zaraz cofnęła głowę.

– Paul, musimy iść do Mary. Nie możemy dalej zakładać, że to jest Tony.

– Zaraz, Lizzie, tylko najpierw... – Pragnął jej i nie potrafił myśleć o niczym innym.

Wyswobodziła się z jego objęć.

– Paul, teraz! Jeśli to prawda, jeśli Mary nie jest tą, za którą się podaje, to wreszcie będziemy mieli pewność!

– Zamkniemy ją w chłodni i wrócimy tutaj?

– Chodź, poszukajmy jej! – Już stała plecami do niego i przekręcała klucz w zamku.

Igrasz ze mną, Lizzie?

Czuł się tak, jakby ktoś wtrysnął mu do głowy klej. Zalało go pożądanie.

– Mary, jest pani tam? – Paul nasłuchiwał przy drzwiach mieszkania dozorców, położonego tylko parę kroków od dużej kuchni na parterze. Zapukał jeszcze raz.

Żadnej odpowiedzi. Popatrzył na stojącą obok Lizzie.

– Jak ty to sobie właściwie wyobrażasz? Że otworzy nam, a ja ją zapytam, czy jest kobietą? – Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Oczywiście, że Mary jest kobietą. Paul dawał jej na oko jakieś czterdzieści lat, nie mogła być wiele młodsza od Glenna. Kobieta jak kasjerka w supermarkecie, jak ekspedientka w domu towarowym, jak kobieta za kierownicą autobusu komunikacji miejskiej. Może była wyższa od większości kobiet, sprawiała wrażenie nieco cięższej, bardziej kościstej, ale poza tym?

Sheldon siedział w holu, kiedy zeszli, ale Paul nie mógł się przemóc, żeby powiedzieć mu, co zamierzają zrobić. Mruknął tylko, że chcą o coś zapytać Mary. Minęli go i poszli dalej w kierunku kuchni.

– Musisz wyważyć kopniakiem drzwi. – Lizzie przycisnęła dłoń do czoła, jakby bolała ją głowa.

– Wtedy ona zacznie się bronić, a ja zedrę z niej ubranie, tak?

Dlaczego po prostu nie zostawili jej w spokoju? To przecież Tony – to on krążył po wyspie, która dawno pograżyła się w ciemności. Musieli tylko uważać, żeby nie dostał się z powrotem do hotelu. Sheldon, on, Lizzie i Mary. Musieli jeszcze tylko wytrzymać parę godzin. Jutro przed południem będzie po wszystkim. Przyplynie prom. Jeszcze tylko osiem godzin.

Jednocześnie Paul miał niejasne przeczucie, że w tym miejscu panuje inny rytm.

Murder Park.

W drodze na wyspę na promie była dwunastka ludzi; zostało ich tylko pięcioro. Siódemka zginęła w ciągu dwóch dni. Od momentu, gdy Paul zobaczył dryfujące w wodzie ciało Jay, zaczęło mu szumieć w głowie. Z każdą zbrodnią szum narastał. Może już nigdy nie da się wyłączyć – nawet gdy uda mu się wydostać z wyspy żywym. Bohner miał jednak inne plany. Bohner nie spocznie, dopóki nie wyśle na tamten świat ostatniej czwórki. A na koniec prawdopodobnie i siebie. Dwanaście znaków zodiaku – dwanaście zbrodni. Glenn był Bykiem, Lizzie znalazła to w leżących na stole w jadalni dokumentach. Nóż przebił Glenna niczym róg. Róg byka.

Bohner pozabija ich wszystkich – chyba że go powstrzymają.

Drewno trzasnęło pod kopniakiem Paula. Drzwi wyleciały z zawiasów. W odpowiedzi z jednego z zakątków mieszkania dobiegł ostry krzyk.

Zedrę z niej ubranie i sprawdzę między nogami, jak u psa, jak u kota, zrobię to, a jeśli to Bohner i będzie próbował się bronić, złamię mu kark.

Stali w progu, wśród odłamków drewna. Przed nimi rozpościerał się opuszczony przedpokój.

– Nie mamy broni. – Paul zerknął na Lizzie. Ta myśl przeszła go jak prąd. Nie wzięli ze sobą żadnej broni. Trzeba było zabrać z kuchni jakiś nóż.

– Mary? – zawołała Lizzie.

Za drzwi salonu wyłoniła się dozorczyńni. Była blada, zapłakana, cała jej powierzchowność wyglądała na dziwnie rozmazaną.

Nie mogę tego zrobić. Spójrz tylko na nią, Lizzie! Mam ją rzucić na kanapę, ściągnąć spodnie – podczas gdy ty będziesz stać obok i krzyczeć?

– Przepraszamy, Mary – usłyszał głos Lizzie. – Pukaliśmy, ale nie odpowiadała pani.

Dozorczyńni otworzyła szeroko oczy. Wyglądała, jakby straciła kontakt z rzeczywistością, z sytuacją, w której się znalazła.

To nie jest Bohner, wiem to.

– Mary, jest sprawa... Przypadkiem usłyszałam, jak rozmawiała pani z Glennem... – Lizzie szukała właściwych słów. – Nie jesteście... nie byliście małżeństwem, Glenn i pani.

Paul wpatrywał się w Mary. Kobieta miała ręce skrzyżowane na piersi, głowę schowaną w ramionach.

– Pan Levin szukał małżeństwa, więc powiedzieliśmy, że nim jesteśmy, choć to nie była prawda. – Wodziła wzrokiem między Lizzie i Paulem. – Ale to nie jest pani sprawa, pani Hillstrom! I pana też nie, panie Greenblatt. Dlaczego wyłamaliście moje drzwi? Co to ma znaczyć? Znałam Glenna od wielu lat, byliśmy... przyjaciółmi.

Akurat.

– Nikomu nic nie zrobiliśmy. Po prostu nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać.

– Mary, proszę mnie źle nie zrozumieć, nie chcemy pani napastować...

– Więc idźcie sobie! – wyrzuciła z siebie Mary. – Zostawcie mnie. Jeśli to prawda, że kamerzysta to Jeff Bohner – przywarła spojrzeniem do Paula; po raz pierwszy, odkąd ją poznał, doznał wrażenia, że naprawdę na siebie patrzą – to dorwie nas wszystkich – dokończyła.

Paul instynktownie pokręcił głową. Naprawdę to powiedziała? *Dorwie nas wszystkich?*

– Chcemy tylko się upewnić, że nic nam się tu nie stanie – usłyszał głos Lizzie. – Czy miałyby pani coś przeciwko temu...

Paul przeniósł na nią wzrok. *...Żeby sprawdziła, czy naprawdę jest pani kobietą?* Tak to miało być? Naprawdę to powie?

Lizzie poruszyła rękami, ale nie dokończyła zdania.

– Możemy na chwilę wejść? – zapytała zamiast tego.

Mary nie odpowiedziała. Odwróciła się plecami i zniknęła w salonie.

Paul i Lizzie przeszli przez niewielki przedpokój. Kiedy stanęli w progu salonu, Mary siedziała w starym, antycznym fotelu. Nie patrzyła na nich.

Paul dotknął ramienia Lizzie i pochylił się ku niej.

– Chodź na chwilę. – Wciągnął ją z powrotem do przedpokoju. – To nie jest Bohner. Nie mogę tego zrobić. Zostawmy ją w spokoju.

Lizzie przytaknęła, ale potem podniosła głowę.

– Porozmawiam z nią. Zostań tutaj.

Weszła do salonu. Paul cofnął się do wejścia i oparł ramieniem o framugę. Za sobą słyszał cichą rozmowę. I tylko ten głos – głos Mary nie brzmiał kobieco.

A jeśli poddał się operacji? Jeśli tyka hormony?

Stał ze wzrokiem skierowanym na korytarz, pogrążony w myślach.

Jeśli Bohner dał się zoperować, co to da, jeśli go... zmuszą... żeby się rozebrał? Paul poczuł, jak coś umiera w nim na tę myśl. Naruszali godność Mary. I to nic nie da. Nie było sposobu, by stwierdzić, czy Mary jest Bohnerem.

Czy to tego chce Bohner? Żebyśmy byli jak zwierzęta – jak zwierzęta, które zaglądają sobie między nogi?

A co jeśli Lizzie niczego nie osiągnie? Powie mu, żeby on się tym zajął? To, co wtedy by go czekało, wydało mu się gwałtem... Jeśli będzie musiał... *zbadać* Mary wbrew jej woli.

Policzki zapłonęły mu ze wstydu.

Czy Bohner chce dowieść, że nie jesteśmy lepsi od niego, jeśli tylko znajdziemy się w odpowiedniej sytuacji?

Z zamyślenia wyrwał go nagły huk. Paul poderwał głowę. WYSTRZAŁ.

Wywiad filmowy 11 z 12

Bliźnięta

Imię i nazwisko: Tony Chang

Wiek: 48 lat

Zawód: kamerzysta

Sheldon: Więc pan również tam był. Pan i Michael. Podczas kręcenia zdjęć na wyspie rok temu.

Tony: Michael robił dźwięk, ja obraz. Nie znałem wcześniej Michaela, nigdy go przedtem nie spotkałem i poza tą jedną produkcją nigdy niczego z nim nie zrealizowałem.

Sheldon: Tamtego dnia jednak byliście tam obaj. Pan i Michael.

Tony: Tak. Poza tym na miejscu był Glenn, Glenn Braxton, teraz też ma przyjechać, zgadza się?

Sheldon: To prawda.

Tony: Glenn tam był, to taki chłopak do wszystkiego pana Levina. Tak słyszałem. Mam rację? W każdym razie takie wtedy odniosłem wrażenie. A Glenn naprawdę dobrze zna wyspę. Podobno już jako nastolatek często bywał na Zodiac Island. Wtedy, kiedy działał jeszcze dawny park rozrywki, a te wszystkie karuzele i cała reszta funkcjonowały.

Sheldon: Rozmawiałem już o tym z Michaelem, opowiadał mi o dniu, który

spędziliście razem na wyspie.

Tony: Co?

Sheldon: Tak, mówił, że dzięki swoim mikrofonom... Nie znam się zbyt dobrze na technice, ale mówił, że przypadkiem nagrał rozmowę telefoniczną pana Levina.

Tony: Tak... tak, wiem. Michael był potem bardzo poirytowany. Nie znaleźliśmy się wcale, ale... nie miał z kim o tym pogadać, więc zwrócił się do mnie. Dźwiękowcy... dla nich kamerzyści to swojacy. Sam nie wiem, skąd to się bierze, może dlatego, że czasem pomagają nam jako asystenci, a my mówimy im, co mają robić.

Sheldon: Co powiedział panu Michael?

Tony: Zapytał, co wiem o panu Levinie. Był naprawdę poirytowany, tak jak mówiłem, może nie panikował, ale jednak był odrobinę... wzburzony. Ja... w końcu go nie znałem... prawdę mówiąc, nie wnikałem w to, nie miałem ochoty być w coś przez niego wciągany. Wiedziałem, że pan Levin jest wpływowym człowiekiem, nie chciałem wiedzieć o nim niczego, czego sam nie chciałby mi powiedzieć. Czy Michael nie rozmawiał o tym z tą małą z miasteczka? Widziałem ich oboje tamtego wieczoru. Dobrze się dogadywali. Jak jej było? Jay? Jeśli w ogóle komuś się zwierzył, to jej. Rany, była naprawdę słodka. Czemu pan nie zapyta jej?

Sheldon: I to wszystko? Powiedział tylko, że... podsłuchał pana Levina?

Tony: On go... No dobra, zgadza się, coś tam usłyszał, coś, czego nie powinien, co nie było przeznaczone dla jego uszu, i chwilę o tym gadaliśmy. W jednym byliśmy zgodni: że kiedy Michael przysłuchiwał się jego rozmowie, Levin telefonował z Glennem. Tamten ciągle się kręcił koło Levina. Był na każde jego skinienie. Robił dla niego naprawdę wszystko. Niech pan tylko popatrzy na Glenna i na Ruperta Levina. To zdumiewające, ale też oczywiste: jeden wydaje rozkazy, drugi je wykonuje. Tego dnia zamieniłem z Glennem parę słów i dowiedziałem się, że pracuje dla Levina od niepamiętnych czasów. Nie chciał mi jednak zdradzić, co dokładnie dla niego robi. Kiedy zacząłem dopytywać, w jego spojrzeniu pojawiła się jakaś taka ostrość... Nie wiem, ale Glenn Braxton czasami wydaje mi się odrobinę niebezpieczny. Ja w sumie też nie jestem ułomkiem, ale w nim jest siła drapieżnego kota.

Sheldon: A propos drapieżnego kota... Spod jakiego pan jest znaku, Tony?

Tony: Znaku?

Sheldon: Znaku zodiaku, gwiazdozbioru, może pan to nazywać, jak pan chce. Znaku, takiego do tworzenia horoskopów.

Tony: Ach, ma pan na myśli... Spod Bliźniąt. Dlaczego?

Sheldon: Nie, nic szczególnego... Ja... właściwie chyba nie powinienem panu tego mówić, ale...

Tony: Ze względu na Zodiac Island? Na wyspie wszystko kręci się wokół tych znaków.

Sheldon: Tak... nie... Chodzi o pana podanie o pracę. To naprawdę nie ma nic wspólnego z naukowością, ale doświadczenie mówi mi, że w tych znakach i ich charakterystykach może drzeć jakaś prastara wiedza. Po prostu zawsze notuję to w protokołach z rozmów. Więc Bliźnięta, tak?

Tony: Bliźnięta, dokładnie, urodziłem się w czerwcu. Czy w zbrodniach Jeffa

Bohnera też nie chodziło o coś ze znakami zodiaku? Nie było jakichś powiązań między Bohnerem a znakami?

Sheldon: Powiązań? Nie wiem, o co panu dokładnie chodzi. Ale... Przepraszam, że zerkam na zegarek...

Tony: Bliźnięta, to dobrze? Znaczy, dla mojej kandydatury? Wie pan, bardzo by mi zależało na tym wyjeździe. Lubię Lizzie, a to dla niej mam pracować, znam wyspę z wcześniejszego pobytu, chętnie wziąłbym w tym udział. A teraz pan pyta, spod jakiego jestem znaku. Więc spod Bliźniąt. Moje szanse wzrosły czy zmalały?

Sheldon: Nie, jak mówiłem... proszę nie przywiązywać do tego zbyt wielkiej uwagi. A Bliźnięta... to dobrze! Ale zmieńmy temat. Powiedział pan, że Glenn wydaje się panu niebezpieczny. A co z panem? Słyszałem w pana firmie, że przez jakiś czas prowadził pan nasłuch radia policyjnego i jeździł pan na miejsca zbrodni, żeby móc sfotografować je jako pierwszy. Podobno raz wszedł pan do czyjś domu...

Tony: Ta kobieta już nie żyła. Była martwa! Wiem, co mówią, ale to jest cholerne oszczerstwo! Nie mam pojęcia, kto rozpowszechnia takie pogłoski. Że jeszcze żyła, widziała mnie? Że zrobiłem Bóg wie co? To nieprawda! Nie żyła już. Zrobiłem zdjęcia, wyszedłem, a zaraz potem przyjechała policja. I karetka.

Sheldon: Tak? Wie pan, Tony, ja... niekoniecznie muszę zgłębiać ten punkt, ale... Proszę mnie źle nie zrozumieć. Mógłbym uznać, że jestem do tego zmuszony... Mniejsza o to. Krótko mówiąc: tamta rozmowa, którą słyszał Michael, rozmowa między panem Levinem a Glennem, czy to możliwe, że chodziło w niej o mnie?

Tony: O pana, panie doktorze?

Sheldon: Tak.

Tony: Co to ma znaczyć? Chce mnie pan szantażować? Dobrze rozumiem? Poddaje mnie pan naciskom? Wspomniał pan o tej dawnej historii z domem, żeby dać mi do zrozumienia, że byłoby lepiej, abym współpracował?

Sheldon: To tylko prośba o informację, Tony, nic więcej.

Tony: Jezu, naprawdę... Wie pan co, doktorze? Nienawidzę was, nienawidzę was, psychiatrów. Zawsze o krok dalej, ciągle w głowie kogoś innego! Nie boicie się, że w końcu utoniecie w tym całym bagnie pływającym w ludzkich głowach? Kiedy się dowiedziałem, że w ramach rekrutacji mam przejść rozmowę z psychiatrą, od razu pomyślałem, że to się źle skończy.

Sheldon: Niech pan nie przesadza. Chodzi o proste pytanie...

Tony: Proste pytanie. Pięknie, doktorze, więc ma pan prostą odpowiedź: nie, w tej rozmowie telefonicznej nie chodziło o pana, przynajmniej o ile wiem. Tak jak mówiłem, nie chciałem wiedzieć wszystkiego. I nie powiedziałem tego, dlatego że realizuję jakiś plan, tylko tak po prostu było! Nie wiem, o co chodziło w tej rozmowie, a tym samym nie wiem, czy chodziło o niejakiego Sheldona Lazarusa. Nie jestem taki jak pan, doktorze; nie wszystko, co mówię, to trick, narzędzie do wywierania presji. Ale nie dziwi mnie, że pan tak postępuje. Typowy psychiatra. Kręciłem kiedyś materiał o psychiatrze, to była naprawdę piękna historia. Facet specjalizował się w tak zwanej terapii EW – zna pan? Ależ oczywiście, że pan zna, tak się mówi na elektrowstrząsy. Byliśmy przy tym, jak ten psychiatra zastosował terapię u chłopca, ośmiolatka. Pamiętam do dziś, jak wmawiał

smarkaczowi, który leżał przypięty do leżanki: „To jest dla ciebie dobre. Zobaczysz, pomożemy ci, potem będziesz się czuł lepiej”. Podali mu narkozę, chłopaczyna zrobił się senny, leżał na tym łóżku, chudzina taki. Przypięli mu do skroni te cholerne elektrody, podłączyli go do tej całej aparatury, a potem razili prądem. Dzieciakowi opadła szczeka, z ust ciekła mu ślina, trzęsły się ręce, a powieki poleciały do góry. A pod nimi nie było normalnego spojrzenia, jego źrenice były jak u martwej ryby. „Widzi pan, dajemy komórkom nerwowym impuls, którego im trzeba”, nawijał psychiatra. Cały czas nawijał. Pomyślałem sobie, co by było, gdybyśmy kręcili ten reportaż parę dziesięcioleci wcześniej – czy wtedy też wyjaśniałby w tak oczywisty sposób, dlaczego musiał przeprowadzić na tym małym lobotomię! „Pomagamy mu, sprawimy, że znów będzie całkiem zdrowy...” *Pierdol się*, pomyślałem, kiedy patrzyłem w miękką facjatę świrdoktorka w białych okularach, dokładnie taką samą facjatę jak pańska, doktorze Lazarus! Ale dobrze, pięknie, niech pan zamelduje panu Rupertowi, co pan chce, niech mu pan powie, że nie powinien mnie z sobą zabierać! Niech pan napisze, co pan chce, mam to gdzieś! Myślę, że został pan psychiatrą tylko po to, żeby jarać się chorobami innych. A wie pan co? Tak naprawdę to pan jest najbardziej chory!

– Ktoś strzela, Lizzie, na zewnątrz! – Paul obrócił się gwałtownie i spojrział na Lizzie, która zerwała się z kanapy.

Dozorczyni też podniosła wzrok, ale jej twarz wyglądała jak skamieniała.

– Na zewnątrz? – zawołała Lizzie. – W takim razie to musi być Tony. On jest na zewnątrz!

– Sheldon? – Paul wyszedł na korytarz. Sheldon powinien być w holu, gdzie widział go po raz ostatni. – Czy Tony wszedł do budynku?

Nie było odpowiedzi.

Lizzie nagle wyrosła u jego boku.

Plątały mu się myśli. Bohner w każdej chwili mógł się pojawić w korytarzu z bronią i po prostu wypalić. Byli kompletnie bezbronni.

Biegnij do swojego pokoju i zamknij drzwi, Lizzie! Prędko!

A jeśli Bohner czai się na schodach? Paul popatrzył na Mary, która stała w salonie i spoglądała w ich stronę. Może Lizzie powinna z nią zostać?

– Co powiedziała? – wymamrotał, wskazując gestem dozorczynię.

– To jakieś szaleństwo... Tak naprawdę nie zdołałam jej jeszcze wyjaśnić, czego chcemy. Ale... to nonsens... ona jest... Myślę, że to nie może być ona.

Paul znów zerknął na kobietę. Mary trzymała przy podbródku kościstą dłoń. Jej barki – biodra – czy nie były odrobinę... kanciaste? Oczywiście, okrągłe oprawki damskich okularów... Ale gdyby je zdjąć...

– Paul! Ktoś strzelał! – Lizzie pociągnęła go za rękę.

Wziął się w garść.

– Sheldon powinien być w holu, ale nie odpowiada.

Lizzie popatrzyła wzdłuż korytarza, który rozpościerał się przed nimi jak wymarły. Cały budynek, betonowe ściany, szkło, kuchnia – wszystko było martwe. Nastąpiło królestwo śmierci. A oni byli w nim uwięzieni.

– Musisz to sprawdzić – wyszeptała. – To przecież niemożliwe, żeby Sheldon... Po prostu cię nie usłyszał.

Paul chwycił ją za rękę.

– Pójdziemy razem do głównych schodów, potem ty pobiegiesz do swojego pokoju i zamkniesz się w nim, a ja poszukam Sheldona.

Kiedy dotarli do podnóża schodów, Paul musnął wzrokiem drzwi wychodzące na taras. Parę kroków za nimi na ziemi widać było ciało mężczyzny, ledwie oświetlone światłem padającym z holu.

– Idź! Zaraz do ciebie wrócę.

Stanął tak, by Lizzie nie mogła wyjrzeć na taras.

Czy to był Sheldon? W miejscu, gdzie siedział psychiatra, kiedy mijali go, idąc do mieszkania dozorców, teraz nie było nikogo.

Pogładził kobietę po policzku.

– Damy radę. – *Dostaniesz się na prom, Lizzie, musisz. Musisz się na niego dostać, musisz odплыnąć z tej wyspy, choćbyś była jedyną z nas.* – Niedługo przyplynie prom –

wyszeptał.

Popatrzyli na siebie. Oczy Lizzie wydały mu się jak dwie studnie, prowadzące w inny świat – z ciemności, w której byli uwięzieni.

– Nie powinnam pójść z tobą?

Nie będzie mógł na nią uważać. Następny strzał mógł paść z każdej strony.

Pokręcił głową i odprowadził ją wzrokiem, kiedy wchodziła po schodach. Na półpiętrze obejrzała się za siebie. Czy dostrzegła stamtąd leżące na zewnątrz ciało? Nie, skinęła tylko głową i zniknęła mu z oczu.

Odwrócił się. Nie miał ze sobą ani noża, ani kija, nie mówiąc o broni palnej. Zmrużył oczy, próbując rozpoznać, kim jest leżąca na ziemi osoba.

Dopiero wtedy spostrzegł, że szklane przesuwane drzwi, wychodzące z holu, są niedomknięte. Podszedł bliżej. Przez szparę do środka wpadało chłodne nocne powietrze. Paul usłyszał go znowu. Ocean. Odległy huk fal.

Odsunął drzwi do końca i wyszedł na dwór. Światło z holu rozświetlało zaledwie półokrąg przed budynkiem, dalej gubiło się w ciemnościach.

Mężczyzną, który leżał na ziemi, był Tony.

Paul ukląkł przy nim, dotknął ramienia masywnego kamerzysty – *zaraz się poderwie i wystrzeli mi w twarz* – ale ciało przypominało mokry worek. Obrócił je z trudem. Wilgotne od potu włosy Tony’ego na chwilę zakryły jego twarz. Jego wargi były niemal czarne, spierzchnięte, kompletnie wysuszone. W kącikach ust i nozdrzach była piana. Oczy mężczyzny zapadły się w szare oczodoły, białka były przebarwione, niemal szare, a źrenice zapatrzone w przestrzeń.

Paul mimo woli przypomniał sobie rozmowę przy stole sprzed kilku godzin.

„Bliznięta, podobnie jak Waga i Wodnik, należą do żywiołu Powietrza”, powiedziała Lizzie. „Są jeszcze trucizny – cyjanek potasu na przykład, człowiek dusi się od środka...”, dodała Mary.

Więc Tony został otruty?

Paul przywołał z pamięci wspomnienie, jak kamerzysta nalał sobie wodę z karafki i wypił. Czyżby była zatruta? Czy pił ją ktoś jeszcze? Czy zatruta była któraś z potraw? Każdy mógł niepostrzeżenie wsypać do szklanki albo domieszać do jedzenia truciznę!

Ciemność, wiatr, szum. Leżące w budynku ciała, okaleczone, nabrzmiałe, pełne owadów. Koszula mordercy w jednym z bungalowów. Krzesło elektryczne, w szczelinach którego gnił jeszcze pot, a może i mocz Clyde’a Obermana. Żywy morderca, czyhający na nich wszędzie. Cała wyspa była wyspą umarłych.

Balansując na palcach, obrócił się wokół własnej osi.

Tony nie żyje... To oznaczało... kto jeszcze został?

Sheldon!

Paul słyszał strzał. Tylko jeden. Tony nie został zastrzelony. Kto nacisnął spust?

I wtedy zobaczył kolejne ciało. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Tam, gdzie zaczynała się ścieżka do skał, przy których znaleźli Jay.

Mężczyzna leżał na boku, z jedną nogą wyprostowaną, drugą podwiniętą, jakby chciał zrobić potężny krok.

Paul, pochylony, podbiegł do ciała. To był Sheldon. Ukląkł, chciał zawołać

psychiatrę po imieniu, ale z jego krtani wydobył się tylko suchy charkot.

Kula musiała trafić go z przodu. Na koszuli rozlała się plama krwi, nie większa od pięści. Paul nie odważył się rozerwać materiału. Broń leżała na ziemi tylko parę kroków dalej.

Tony otruty...

Sheldon zastrzelony...

Nachylił się niżej, chciał dotknąć szyi Sheldona i wtedy ujrzał coś wypełzającego spod jego ciała – ślizgającego się – sunącego – drżącego...

Odskoczył do tyłu. Serce fiknęło mu koziołka. Wąż... Nie, dwa węże. Sheldon musiał upaść w pobliżu ich gniazda... A może już zdążyły się wśliznąć do jego wnętrza? Płaskie trójkątne główki wystrzeliły w stronę Paula, zakołysały się i odpełzły wijącym ruchem.

To tylko węże. Nie duchy. Węże, które pewnie przestraszyły się go tak samo jak on ich.

Otarł dłonią twarz. Poczul na niej wilgoć, choć powietrze było chłodne, a od wody wiał zimny wiatr. Na horyzoncie, tak jak ostatnio, pojawiło się błękitne pasmo. Świtało. Nadchodził ostatni dzień. Dzień, w którym ma przyplłynąć prom.

O ile przyplynie.

Zatrzymał się przy broni. Rewolwer. Paulowi zdarzyło się parę razy ćwiczyć na strzelnicy, ale nigdy nie łądował żadnej broni, nie mówiąc o jej posiadaniu. Na strzelnicy zawsze ktoś inny zajmował się tym i dawał mu broń do ręki tylko po to, by Paul oddał strzał.

Podniósł z ziemi rewolwer i obrócił go w dłoni. Zobaczył po boku wyloty komór, do których wsuwało się naboje. Naboi nie było jednak widać – komory były puste. Dotknął bębna. Może właśnie tam, gdzie nie mógł ich zobaczyć, jeszcze jakieś są? Mógłby wystrzelić w powietrze, żeby się przekonać. Ale może został już tylko jeden nabój – i zmarnowałby go w ten sposób. Lepiej, jeśli nie będzie strzelał. Tylko czemu morderca...

Mary. Została już tylko Mary.

A co z Lizzie? Ale to przecież niemożliwe!

Czemu Mary zostawiła tu broń? Bo rewolwer był pusty, inaczej by go tu nie zostawiała!

Ona ze mną gra.

On ze mną gra.

Ona mnie lubi.

On mnie lubi.

Nie zapomniał mnie od tamtej pory...

Paul odwrócił się z powrotem w stronę budynku. Betonowy szkielet wznosił się blado na tle czarnych skał.

Wracając do wejścia, nie czuł własnych nóg stąpających po betonie. Nie dostrzegał już nadciągającego brzasku, nie słyszał szumu oceanu.

Muszę ją przytrzymać, zedrzeć jej ubranie – jej? JEMU! Nie powinienem był zostawiać Mary samej...

Ale... strzał – Mary siedziała przecież w pokoju, w swoim pokoju. Nie mogła wystrzelić! Lizzie? Nie, Lizzie była razem z Mary – Mary nie mogła być Bohnerem – a Lizzie...

To nie były rozważania, to był taniec strzępków myśli w jego głowie.

I wtedy ich zobaczył. Oboje.

Wszedł do środka, stanął w holu i popatrzył na schody.

Była tam. Mary. Nie krzyczała, jej usta były zasłonięte dłonią. Wytrzeszczała oczy. Za nią stał mężczyzna, opasając ją ramieniem. Przyciskał jej rękę do ust. W drugiej trzymał nóż. Ostrze wisiało tuż przed jej twarzą. Wyglądało, jakby dzieliło ją na dwie równe części.

Paul odruchowo podniósł rękę. Trzymana w niej broń była przedłużeniem jego ciała. Nacisnął spust, lecz nie rozległ się huk, tylko trzask. Nie było eksplozji wyzwolenia, tylko zawód. Bęben obrócił się, lecz w lufie nie było już naboju. Oczywiście.

Postać na schodach drgnęła i z cienia wychynęła głowa. Łysa. Tłusta. Błada. Oblicze z gumy. Twarz, która wpatrywała się w Paula zza pleców Mary nie była ludzka, tylko plastikowa – maska przypominająca maskę niemowlęcia, którą widział pierwszego wieczoru. Tym razem jednak była to maska mordercy, jaką można było kupić w każdym supermarkecie przed Halloween.

To była maska Clyde'a Obermana – o rysach twarzy otyłego mężczyzny, straconego na krześle elektrycznym.

Gumowa.

Ale to nie jest twarz Jeffa Bohnera – to twarz Obermana, a prawdziwy Bohner, jego prawdziwa twarz znajduje się POD SPODEM.

– Paul!

Piętro wyżej przez barierkę wychylała się Lizzie, patrzyła na niego z przerażeniem. I wtedy ostrze wbiło się w skórę i na czole Mary ukazała się czerwona szrama. Kobieta wpatrywała się w Paula, nie rozumiejąc, co sprawiło, że jej czoło zapłonęło bólem. Ostrze wniknęło głębiej pod skórę, przesunęło się po kości czaszki wzdłuż nasady włosów. Clyde – o ile to był Clyde – szarpnął kobietą, jakby była zwierzęciem, które chciał oskórować. Oderwał wolną rękę od jej ust i zanurzył we włosach, pociągnął ostrzem do końca – a jednocześnie cofnął się na schodach razem z Mary.

– Rak. Rakiem, Paul, idziemy rakiem! – Głos jak świst.

Odepchnął ją. Paul zobaczył, jak Mary wyrzuca przed siebie ręce, zobaczył, jak na moment jakby nieruchomieje w powietrzu. A potem poleciała w dół, upadła, przetoczyła się, zsunęła dalej i w końcu zatrzymała się na podeście, podczas gdy Clyde na schodach naciągnął jej skalp na gładką gumową łysinę.

– Wyobrażasz to sobie, Paul? Ten wieprz poświęcił się dla mnie. Wykąpał się

w larwach i poszedł na egzekucję! – Głos był zniekształcony przez maskę. Paul widział tylko martwe plastikowe oblicze – nie widział poruszających się ust – ale w szczelinach błyskały oczy.

Sekundę później Clyde zniknął. Paul puścił się za nim po schodach, wbiegł w korytarz – lecz nikogo już tam nie było.

– Tutaj muszą być wbudowane drzwi! – Lizzie łapczywie łapała powietrze. Zbiegła na dół i przywarła do niego; czuł, jak cała drży. – Zniknął za którymiś z tych drzwi!

Przyczaił się – czeka – w ukryciu. Czeka na mnie. Na nas. Jeszcze nie skończył.

Ale kto?

Mary nie żyła. Tony. Sheldon. Wszyscy inni...

Nikt już nie został.

To nie mogła być Lizzie. Widział ją przecież, kiedy postać stała na schodach.

Obcy – mężczyzna w masce jednak jest kimś obcym! Kimś, kto przyplłynął na wyspę.

Pontonem, w którym utonął Levin.

Niebo było całkowicie bezchmurne. Słońce wisiało jeszcze nisko, ale jego promienie zwiastowały upalny dzień. Wspaniały dzień. Słoneczny. Mimo to chłód wżarł się głęboko w brzuch Paula. Trzymając za rękę Lizzie, czuł, jaka zimna jest jego dłoń. Miał wrażenie, jakby w nim samym zostało już niewiele żywego.

Szli na szczyt wzniesienia pośrodku wyspy. To była propozycja Lizzie, a Paul się zgodził. Ze szczytu będą mieli dobry widok na przystań, do której przybije prom. Paul obejrzał się na hotel, przytulony w dole do skał. Mógł rozpoznać ciało Tony'ego leżące na piasku przed wejściem. Ciało Sheldona zasłaniał budynek. Kiedy dotarli na górę, zeszli parę kroków w dół po drugiej stronie, do kilku większych odłamków skalnych, które sprawiały wrażenie, jakby można się było dobrze wśród nich ukryć. Paul wspiął się na najwyższą ze skałek i zbadał wzrokiem utworzoną przez głazy niszę. Nie było widać węży. To było najlepsze miejsce, jakie mogli znaleźć.

Prom miał przyplłynąć o jedenastej. Tak powiedziała Constance, kiedy zapytał ją o to pierwszego dnia. Tuż przed jedenastą Lizzie miała się wydostać z niszy i wspiąć na skałki, żeby popatrzeć na przystań. Kiedy zobaczy statek, ma bez względu na wszystko pobiec w stronę przystani. Do tego czasu Paul ściągnie na siebie uwagę mordercy. Cokolwiek by się działo, dopóki nie przybędzie prom, Lizzie ma zostać w kryjówce między głazami.

Wszystko dokładnie ustalili. Pocałowali się – a potem Paul zsunął się ze skały i ruszył z powrotem do hotelu. Lizzie została w niszy wśród kamieni.

Schodził po zboczu, a głęboko w dole rozбивały się o skały granatowe fale. Ocean. *Kiedy wpadnie w gniew, może pochłonąć całą wyspę.* Ale wyspa opierała się falom; wgrzyzała się kamienistym wybrzeżem niczym zębami w jego wody.

Dotarł do hotelu tuż przed dziewiątą.

Jeszcze dwie godziny.

Wszedł na pierwsze piętro i skręcił w korytarz, w którym wcześniej zniknęła postać.

Zaczął otwierać po kolei drzwi. Słyszał łomot trzaskających o ściany skrzydeł. Pokoje otwierały się przed nim, czarno-granatowe o poranku.

W przedostatnim znalazł odsuniętą od ściany komodę na wprost małżeńskiego łóżka. W ścianie za nią widniały skrzydła niskich drzwiczek. Za nimi prowadziły w dół wąskie schodki. Clyde. Bohner. *Tędy wszedł. Czeka na mnie.*

Czeluść za drzwiczkami zdawała się oddychać. *Ahhhhhccccccchchch*, dyszała mu w twarz, gdy zaglądał w ciemność, *ahhhhccccccchchch*, jak zużyty oddech. Jak ostatnie

tchnienie umierającego, wraz z którym ulatuje dusza.

Tylko to sobie roił. Zmusił się do pójścia w stronę powiewu. Nie chciał pozwolić, by mętne wyobrażenia kłębiące się w jego głowie zagoniły go do tyłu. Zaciśnął zęby. Wszystko się w nim żarzyło, tańczyło, drgało, wibrowało i obracało, a jednak zmuszał nogi, by szły naprzód, w ten oddech, w ten mrok, w którym czekał na niego Bohner.

Na końcu schodów otworzyło się przed nim coś w rodzaju kamiennego jaru – szczelina w skale, gdzie słońce zaglądało tylko wtedy, gdy stało w zenicie.

Kamienny korytarz... we śnie... zanim rozległ się krzyk Michaela... biegłem tędy...

Podążał przesmykiem jak zamroczony – zmierzał w stronę muru na jego końcu, widząc po drodze rozmigotane morze i wąską piaszczystą plażę – i już miał w ręku klamkę. Klamkę drzwi, które znajdowały się w murze na wprost niego. Nacisnął ją, otworzył i znalazł się w pomieszczeniu tak niskim, że ledwie mógł w nim stać wyprostowany. Było ciemno, jego oczy musiały się przyzwyczaić do nowych warunków. Ujrzał niewyraźne zarysy okien zasłoniętych tekturą – a może deskami? Kanapa, czy tam w półmroku stała kanapa? Szafa, na podłodze dywan, tak, obok kanapy stał chyba telewizor, stół, parę krzeseł. Paul próbował się zorientować w ułożeniu pokoju, lecz wszystko się ze sobą zlewało. Musiał najpierw otworzyć okno!

Do framug przyklejona była tektura, nie deski. Ostre brzegi starych kartonów rozcięły mu opuszki palców, kiedy wcisnął pod nie palce i pociągnął. Papier rozdarł się z głośnym chrobotem, w powietrze uniosła się chmura kurzu i do środka wpadło mętne światło. Okna nie były myte od lat. W poświacie wpadającej do środka wirowały drobinki kurzu. Za każdym załomem mógł się czaić tułów – para oczu – ostrze noża...

Szlamowata szarość rozjaśniła się, ale nadal widział tylko zużyte, wysłużone sprzęty. Już miał zerwać z okna kolejny karton, by wpuścić do środka więcej światła, gdy nagle zamarł. Telewizor, dywan, kanapa.

Do jego umysłu jak wij wpęzło przeświadczenie.

Znał to. Znał tę kanapę i ten dywan. Znał ten pokój. Znał kredens stojący w kuchennym kącie. Znał drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju.

I wtedy to zobaczył. Ciało. Kukła. Była rozebrana, skóra z wosku albo gumy, twarz nieruchoma, sztywna. Nie martwa, a jednak nieżywa – nieożywiona, sztuczna. Peruka, szklane oczy. Widział rozmazaną na ciele sztuczną krew, przerażające ułożenie nóg, widział perwersyjnie seksualną aurę emanującą z leżącej na kanapie kukły. Była umiejscowiona na siedzisku, i to tak, że Paul nie mógł zobaczyć jej od razu, gdy wszedł do pomieszczenia. Teraz jednak, kiedy podszedł do okna i się odwrócił, mógł ją widzieć. I zobaczył coś jeszcze. Drugą kukłę, mniejszą, stojącą w pokoju obok. Naturalnej wielkości woskowa figura małego chłopca, nie starszego niż czterolatek. Rozchylone usta, szeroko otwarte szklane oczy, zakurzone włosy. Chłopiec stał, jakby dopiero wszedł do pokoju, i wpatrywał się w nagą postać na kanapie.

– Poznajesz, Paul? – usłyszał czyjś głos i wiedział już, że to on.

To już było – on tu był już wtedy. Gdy Paul był chłopcem, który wszedł do pokoju.

To był pokój w bungalowie, w którym nocowali dwadzieścia lat temu – pokój, w którym umarła jego matka. A kukła w drzwiach, ten mały chłopiec...

To ja.

Paul miał wrażenie, że unosi się w powietrzu. Jakby płynął. Jakby prześliznął się do królestwa śmierci, opuścił ciało i zobaczył przed sobą tamtą scenę.

Obrócił głowę i wtedy go dostrzegł. Stał w drzwiach. Ściągnął z głowy maskę Clyde'a.

To był...

Sheldon

Paul pomyślał, że zawsze to wiedział.

– To nie była prawdziwa krew, Paul... Ale wystrzał słyszałeś, prawda? To takie oczywiste. Ostatnie morderstwo dokonane bronią, która leżała tuż obok mnie.

Chciał do niego podbiec i wtulić głowę w jego brzuch.

Jeff Jeff Jeff Jeff Jeff

Słyszał krzyk matki, kiedy Bohner ją zabijał, kiedy Bohner wykorzystał ją, by zaprosić do siebie śmierć.

– Wiesz, czego wtedy od ciebie zażądałem?

Nie...

Ale wiedział. Zobaczył to już pierwszego wieczoru, gdy Beth oprowadzała ich po okolicy. Paul oglądał tamtą przeciętą na pół kukłę. Figurę Nancy Cass i...

...zabawkowy samochódzik.

Proszę, nie mów tego.

– Poprosiłem cię, żebyś włożył coś w swoją matkę, Paul.

Nie chciał tego słyszeć.

– Wiesz, co to było?

Nie chcę wiedzieć.

– Miałeś zaledwie cztery lata, Paul, ale włożyliśmy to w nią, o ile się dało.

Paul czuł się tak, jakby odkręcono mu od ciała ręce, jakby jego kończyny zamieniły się w wosk, jakby wszystko z niego spływało. Jakby całe jego ciało zaczęło się roztopiać, jakby wszystko, co stałe, co trzymało się razem, oddzielało się i rozpływało u jego stóp.

– Lizzie nie żyje, Paul. Widziałem, jak wchodzić na wzniesienie, i poszedłem za wami. Zajrzałem do niszy w skale. Leży tam, a jej twarz jest zalana krwią.

Czy Sheldon przemawiał do niego głosem czterolatka?

Paul popłynął przez pomieszczenie.

– Tylko ty i ja, Paul. Bo ty, Paul, jesteś mną.

Jego umysł się zapętlił.

Jestem nim. Jeff to Paul.

On jest mną.

To ja.

Wywiad filmowy 12 z 12

Koziorożec

Imię i nazwisko: dr Sheldon Lazarus

Wiek: 54 lata

Zawód: psychiatra

Drogi Rupercie,
mam nadzieję, że ta wiadomość dotrze do Pana na czas.

Nasze rozmowy z kandydatami są zakończone. Tak jak ustaliliśmy, Beth Hoffman wybierze ostatecznych uczestników, a ja jej w tym doradzałem. Niestety, muszę poinformować Pana, że odniosłem wrażenie, iż Beth w swym wyborze sugerowała się opinią kogoś, kogo głos w procesie decyzyjnym przede mną zataiła.

Czy może jej Pan ufać, Panie Rupercie? Czy ewentualnie przyjmuje ona od kogoś pieniądze? Czy jest taka możliwość, że jakaś nieznana osoba płaci Beth za uwzględnienie jej życzeń? Czy jest Pan absolutnie pewien, że to wykluczone?

Ja w każdym razie mogę tylko mieć nadzieję, że tym, kto być może za naszymi plecami wywiera wpływ na Beth, nie jest Paul Greenblatt. Greenblatt – ze względu na śmierć jego matki – oczywiście jest w znacznym stopniu zainteresowany wszystkimi aspektami Murder Park. Greenblatt również – o czym mogłem się przekonać osobiście podczas mojej rozmowy z nim – jest skrajnie rozchwyany emocjonalnie. Nawet jeśli nie widać tego od razu: Paul Greenblatt nigdy nie pozbył się traumy, jaką było zamordowanie jego matki. Posunąłbym się nawet do tego, by radzić Panu, aby w nadchodzący weekend nie zabierał go Pan na wyspę. Zrozumiem jednak, jeśli powie Pan, że nie możecie z niego zrezygnować, że sukces tej medialnej imprezy zależy od tego, by mieć wśród obecnych osobę naprawdę dotkniętą ówczesnymi wydarzeniami.

Niemniej jednak muszę Pana ostrzec przed Greenblattem. Jest nieobliczalny, zaś otoczenie na wyspie spełnia wszelkie kryteria, by wywołać u niego napady dezorientacji, których nie da się oszacować zawczasu.

Już teraz wiem z całą pewnością, że unika on odpowiedzi na pytanie, co dla niego oznacza, że dawny Zodiac Island ma zostać wskrzeszony w formie Murder Park. Utrzymuje, że interesuje się tym projektem czysto zawodowo, jako reporter. Już sam ten fakt powinien dać nam do myślenia! Wyspa w oczywisty sposób łączy się dla niego z zupełnie innymi emocjonalnymi ekstremami niż dla innych osób, jego rzekomo czysto zawodowe zainteresowanie jest zatem bardziej niż wątpliwe.

Ponadto Paul Greenblatt w czasie naszej rozmowy próbował wielokrotnie zataić, że w związku z planowanym otwarciem parku znów intensywnie zajmuje się zabójstwami Bohnera. Poruszyliśmy ten temat, on jednak próbował skierować rozmowę na inne tory. Mimo to dało się wyraźnie zauważyć, że dopiero teraz, za sprawą ponownego zaangażowania się w sprawę, naprawdę uświadomił sobie pewien detal, który wprawdzie znał od dawna, jednak dotychczas nie zwrócił na niego uwagi. Mam na myśli to, jaką rolę

odegrały oba morderstwa poprzedzające zamordowanie jego matki. Mówię o Nancy Cass i pani Tartaglione. O obu tych morderstwach – jak Pan wie – dyrekcja parku w porozumieniu z policją początkowo nie poinformowała opinii publicznej. Celem tego posunięcia, co zrozumiałe, było uniknięcie spadku liczby gości, a tym samym szkody dla parku. Negatywnym efektem tego kroku było jednak to, że Sarah Greenblatt pojechała ze swym synem na wyspę – czego najprawdopodobniej nie zrobiłaby, gdyby w porę dowiedziała się o morderstwach, podobnie zresztą jak inne samotne matki. Sarah nie wiedziała jednak o obu morderstwach, przybyła z synem na wyspę – i wpadła w ręce mordercy. Samotna matka z dzieckiem idealnie odpowiadała schematowi ofiar Jeffa Bohnera. Jej śmierci dałoby się uniknąć, gdyby podjęto decyzję o poinformowaniu opinii publicznej o obu zbrodniach. W pewnym stopniu istnieje zatem bezpośredni związek między zatuszowaniem pierwszych dwóch morderstw a śmiercią Sary Greenblatt. Paul poniekąd słusznie obciąża odpowiedzialnością za śmierć swojej matki dyrekcję parku i wszystkich, którzy brali udział w zatuszowaniu sprawy.

Jestem przekonany, że Greenblatt – odkąd to do niego dotarło – nosił się, ewentualnie nadal się nosi, z myślą o pociągnięciu do odpowiedzialności winnych. Paul Greenblatt przez całe swoje życie musiał się borykać ze skutkami brutalnej śmierci matki. Przeświadczenie, że być może dało się jej uniknąć, musiało wywołać w nim ciężki konflikt. Na podstawie tego, co wiem o jego dotychczasowym życiu, nie mogę wykluczyć skrajnej reakcji. W związku z tym dochodzi do głosu jeszcze jeden aspekt. Przy wyborze uczestników kładliśmy nacisk na to, by znaleźć osoby, które miały już do czynienia z Zodiac Island. Jeśli mam rację, a Greenblatt rzeczywiście wpadnie na pomysł, by pomścić śmierć matki, wówczas osoby powiązane z dawnym parkiem byłyby narażone na szczególne ryzyko. Glenn Braxton, Mary Padillo, Jay Jackson, nie zapominajmy o mnie i o Panu, Panie Rupercie, wszyscy w sposób pośredni lub bezpośredni mieliśmy do czynienia z dawnym parkiem. Z tych względów byłibyśmy szczególnie zagrożeni, jeśli głęboko ukryta trauma Greenblatta się odnowi. W takim wypadku planowany przez Beth i Pana weekend zatrwajając prędko obróciłby się w poważną katastrofę!

O ile wiem, Beth Hoffman zależało na tym, by wybrani kandydaci byli spod różnych znaków zodiaku. Czy o tym zadecydowała sama Beth? Czy to Pan jej to podsunął? A może chodzi o wspomnianą osobę trzymającą się na uboczu? Próbowałem właśnie po raz kolejny skontaktować się z Beth, ale prawdopodobnie jest już w drodze do Pana. Proszę z nią o tym porozmawiać, Panie Rupercie, niech pan ją o to zapyta, czy się myślę, czy ktoś jednak na nią wpływał. Proszę porozmawiać z nią o tym, czy wybór kandydatów na podstawie znaków zodiaku jakoś się z tym łączy. I – pragnę ponownie podkreślić wagę tego punktu – proszę się wycofać z tego przedsięwzięcia, jeśli miałyby się okazać, że Beth w jakiś sposób, pośrednio lub bezpośrednio, kontaktowała się z Pauliem Greenblattem – czy wręcz pozwoliła, aby wpłynął na nią podczas dokonywania wyboru kandydatów.

Pana oddany
Sheldon Lazarus

Rozpływał się. Po twarzy ciekły mu łzy. Jakby bariery w jego głowie rozpuściły się bez śladu. Rozpływał się i nie było już nic, czym mógłby to powstrzymać.

Nie mógł do tego dopuścić.

– NIE!

Zebrał się w sobie, chwycił, zamachnął się – i wtedy zobaczył, jak noga podniesionej lampy leci w powietrzu, ciągnąc za sobą świetlną smugę. Czubek metalowego stojaka uderzył w okno, z którego przed chwilą zerwał tekturę, a na podłogę posypały się odłamki szkła. Poderwał nogę, upuścił lampę, zgiął plecy, poczuł, jak szkło, które jeszcze tkwiło we framudze, rozcina mu grzbiet, i przecisnął się przez rozbitą szybę na zewnątrz.

Ona żyje, Lizzie żyje, to niemożliwe, to... to nieprawda, nie jestem Jeffem, a Lizzie żyje.

Biegł. Kamyki wystrzeliwały spod jego butów, pośliznął się na wysypanym żwirkiem placu, ujrzał poszarzałą w palącym słońcu skórę Tony'ego. Bungalowy, wąwóz, ścieżka prowadząca ku wzniesieniu. Skarłowaciałe drzewa, połyskująca w słońcu woda.

– Lizzie!

Krzyczał tak, że niemal widział tryskającą ze swego gardła krew. Dotarł do szczytu. Dopadł do skał, wspiął się na nie – i spojrzał w pustkę. Nic. W niszy między głazami nie było nikogo. Odeszła.

– Więc tu ją schowałeś!

Odwrócił się gwałtownie. Był tu. Błyszczące w słońcu włosy, umazane krwią ze skalpu Mary. Wykrzywiona twarz. Rysy szaleńca.

– Nikt tak pięknie nie potrafi przyjmować śmierci jak ty, Paul!

Paul przykucnął na skale, a potem skoczył. Poleciał. Na ciało stojące w dole. Paul był młodszy. Silniejszy. I wściekły. Pod jego ciosami nie drgał stalowy szkielet, tylko mężczyzna z krwi i kości. Nie zorganizował sobie żadnej broni, ale znalazł wielki jak stopa kamień, trzymał go wysoko w obu dłoniach, klęcząc na przeciwniku, którego oblicze zdawało się rozciągnięte wzdłuż, oczy zmrużone w szparki, niemal zamknięte, usta – jakby ich kąciki wystawały poza krawędź twarzy.

Bohner się tym rozkoszuje, on to KOCHA, on kocha śmierć. Zostawił mnie sobie na koniec, bo za moją sprawą chce umrzeć i on.

– Paul, NIE!

Wzdrygnął się. Przekręcił głowę i spojrzał w górę na skałę. Słoneczna kula, ogromna, prażąca – a przed nią sylwetka, szczupły obrys – Lizzie.

Czuł, jak tamten wierzga – kamień, który trzymał w górze, spadł – tamten wywinął się spod niego.

Paul rzucił się za nim. Sheldon...

Bohner!

...wprostował się i stanął na krawędzi urwiska. Paul skoczył – uderzył w niego ciałem – powietrze przeciął krzyk – i Sheldon runął w przepaść.

Koziorożec – nie Strzelec!

Dowiedział się tego z dokumentów.

Sheldon był... Koziorożcem – Lizzie była Strzelcem. Jeśli już, to Lizzie powinna zostać zastrzelona!

Zaledwie oddech później Paul sam znalazł się na krawędzi wąwozu. Zmusił się do zwolnienia, do ostrożności, podczołgał się na czworaka, wysunął głowę za krawędź, wbijając ręce w trawę. Pod sobą zobaczył otchłań, a tam – jakieś sześćdziesiąt metrów w dół – ciało Sheldona, nieruchome, leżące na brzuchu, z rozpostartymi rękami i nogami, roztrzaskane.

Na jego plecach spoczęła czyjaś ręka.

Odwrócił głowę. Jej twarz była tuż-tuż.

Lizzie.

I wtedy to usłyszał.

Syrena. Basowa, potężna, przetoczyła się po falach oceanu.

– Paul, prom. Przybija prom.

Podniósł głowę i zobaczył zmierzający w ich stronę statek. Kiwał się, ledwie prąc do przodu, ale tak, zmierzał w ich stronę, przybliżał się do wyspy. Paul rozpoznawał już ludzi stojących na dziobie. Mężczyzn w pomarańczowych kamizelkach.

Robotnicy...

– Halo! Tutaj! – Lizzie zaczęła podskakiwać, jej włosy fruwały w powietrzu. – Tutaj jesteśmy!

Ci na statku zaczęli machać. Paul widział kaski robotników. Machali do nich, nie wiedząc jeszcze, co ich czeka. Wyspa zmarłych. Brzęczenie much. Wszędzie trupy.

Przeniósł wzrok na Lizzie, która nie mogła oderwać oczu od promu. Wstał, wyciągnął ręce i objął ją. Razem spoglądali w dół, gdzie statek już prawie dobił do brzegu. Czuł, jak jej ciało przywiera do niego.

– Pomyślą, że to my zamordowaliśmy pozostałych. Nikt inny nie przeżył poza nami.

Popatrzyła na niego. Pokręciła głową, powoli, całkowicie pewna swych racji.

– Chodź – szepnęła i przyciągnęła go do siebie – jeszcze mamy czas, zanim nie dadzą nam spokoju.

Przywarła do niego wargami, rozchyliła je i połączyli się w jedno. Jej dłonie przesuwały się po jego plecach, wsuwały pod koszulę. Przygarnęła go do siebie, pociągnęła dalej od miejsca, gdzie zwał się z szaleńcem i skąd widać było jego ciało. Wciągnęła go w rosochate zarośla na wzniesieniu, w których wcześniej się ukryła. W pleniące się pośród nich kłujące trawy. I kiedy prom zawijał do przystani, a robotnicy schodzili na brzeg, zdjęła T-shirt, wyśliznęła się ze spodni i zaczęli się kochać.

– Paul?

Głowa Lizzie spoczywała na jego piersi. Obejmował jej nagie ramię. Wokół leżały porozrzucane ubrania, które przed chwilą z siebie ściągnęli. Musiał na chwilę zapaść w drzemkę. Zamrugał. To nie Lizzie zwracała się do niego po imieniu, a jednak znał ten głos. Odwrócił lekko głowę.

Niecałe trzy metry dalej w zaroślach siedziała w kucki kobieta. Patrzyła na nich. Około czterdziestki, krótkie blond włosy, wymizerowana twarz.

Śnił? Zasnął – i nadal śnił!

Mocniej objął leżącą na nim dziewczynę.

– Wosk, Paul, to tylko wosk. – Kobieta w zaroślach się uśmiechała.

Obejmowały ją płomienie, stopiły jej twarz... Widział to przecież!

– Wosk, wosk modelujący, wosk charakteryzatorski, wszystko jedno, jak go nazwać... Wszystko to można dziś stosować bez większych nakładów.

– Nie spłonęła pani.

– Nie, nie spłonęłam.

– Ale...

– Paul, to działa, ma pan pojęcie, jak się cieszę?

Oddychała. Słyszał jej oddech.

– Co... co działa, Beth?

– Mój park! – Skinęła głową w stronę Lizzie i wróciła do niego spojrzeniem. – Wspaniałe uczucie, prawda? To jest najpiękniejsza rzecz na świecie, nie mówiłam panu zaraz pierwszego wieczoru?

Nie śnił. To była Beth. Rozmawiała z nim.

Ten park to wielkie przedsięwzięcie, Paul. A pan lepiej niż ktokolwiek inny udowodnił, że to działa. Że człowiek tu się zakochuje. Że można się do siebie zbliżyć, bo powietrze tu płonie! Że można tu odnaleźć drugiego człowieka! Idealne miejsce dla singli, którzy nie chcą dłużej być singlami.

Lizzie leżała na nim, przytulona.

– Panna, prawda, Paul? Jest pan Panną. – Beth zmrużyła oczy; wyglądała, jakby chciała zrobić przyjazne wrażenie, ale efekt był karykaturalny. – I chyba nie chodzi tylko o znak zodiaku, mam rację?

Męska dziewica. Prawiczek.

– Wiem, wiem, Paul. Próbował pan wszystkiego. Terapeuci... Ale po tym, co pan przeżył jako dziecko, po zamordowaniu pana matki... żadna terapia, choćby nie wiem jak wyrefinowana, nie pomagała. Terapeuci próbowali to panu wytłumaczyć, prawda? Że jest pan straumatyzowany, że musi pan nad sobą pracować, ale nic nie pomagało. Wiem, Paul.

Ona wie.

– Dopiero u nas, w Murder Park! Chyba to panu obiecałam? Że kogoś pan tu znajdzie? – Beth zniżyła głos do szeptu, a mimo to dało się słyszeć, że rozpiera ją duma. – To działa, Paul. Nikt nie może być lepszym dowodem niż pan. Wszystko nagrywaliśmy, przez całe trzy dni. Jak pan myśli, co cały czas robili Tony i Michael? Nagrywali każdy

pana krok. Można to dokładnie prześledzić. Można zobaczyć, jak się zbliżacie do siebie z Lizzie, jak się w sobie zakochujecie, jak stajecie się parą. Co za wspaniały spektakl. I jakie szczęście! A wszystko za sprawą tego obiektu!

– Robiliście... co? Nagrywaliście?

Na twarzy Beth pojawiło się zdumienie.

– To chyba nic złego? Kto byłby dla parku lepszą reklamą niż pan? Chociaż był pan straszliwie strauumatyzowany, park pana uleczył. Mężczyzna, który nigdy przedtem nie uprawiał seksu, który w wieku dwudziestu czterech lat wciąż był prawiczkim, w Murder Park zostaje uleczony i znajduje swoje szczęście. „Twój weekend z zabójcą” – i to jaki! Dzięki panu park stanie się słynny. Nikt nie podważy takich dowodów! Choćby nie wiem jak trudny był... – zawahała się, po chwili jednak podjęła: – ...pacjent, w Murder Park z każdego zrobimy kochanka. Prawda, Lizzie? Tylko niech pani nie mówi, że panią rozczarował!

Paul usiadł gwałtownie. Lizzie skierowała na niego lśniące oczy i nabrał przekonania, że to, co przed chwilą ze sobą dzielili, nie było oszustwem, było autentyczne.

– Nie wiedziałam, że chcą to zrobić, żeby rozreklamować wyspę, Paul – usłyszał jej przejęty głos. – Ja... słyszałam, co przeszedłeś jako dziecko. Powiedzieli mi, że będą próbowali cię tu uzdrowić. Wyobrazasz to sobie? Uzdrowić! To nie była prawda! Gdybym wiedziała, co planują, nigdy bym się na to nie zgodziła. Ale pomóc człowiekowi, który jako dziecko przeżył głęboką traumę? Wprowadzili mnie w błąd, a ja im uwierzyłam. Chciałam ci pomóc! – Zarzuciła mu na szyję ramiona. – Nie chciałam cię oszukać.

– To jest... reklama... – W umyśle Paula powstała pochłaniająca wszystko dziura.

– Pan naprawdę w to wierzył, prawda? – zapytała Beth. – Że jest tu Jeff Bohner. Uwierzył pan. – Wyglądała, jakby chciała go figlarnie szturchnąć w bok. – A ja miałam wątpliwości. Niech pan zapyta Ruperta. Miałam wątpliwości, czy pan naprawdę w to uwierzy. Ale Rupert powiedział, że mam się całkowicie zdać na pana. I proszę. Miał rację!

– Rupert... żyje...

Mężczyzna... w oceanie... w dolinie między grzywaczami... Dziób sterczał stromo w górę, zanim łódź się wywróciła i małeńka główka Levina zatańczyła na falach.

– Wszyscy żyjemy, Paul. Oczywiście, że żyjemy.

– My... Kto?

– Wszyscy! Mnóstwo zachodu, ma pan rację. Ale opłaciło się, nie uważa pan?

– Jay roztrzaskała się na skałach. Jej ciało dryfowało w wodzie twarzą w dół! – Podparł się ręką i zerknął na Lizzie, która założyła T-shirt, żeby zasłonić swą nagość.

– Nie było łatwo, Paul, nikt tak nie twierdzi – ponownie dotarł do niego głos Beth. – Wyposażyliśmy Jay w wężyk do ust, żeby mogła trzymać twarz pod wodą... Rozumie pan? Z Michaeliem było dużo trudniej! Sam pan się nad tym zastanawiał, mam rację? Czy to mogła być sztuczna krew, jakiś trick. Tak, to był trick! Wnętrznosci – to były jelita zwierzęce, sprowadziliśmy je na wyspę. Musieliśmy sprowadzić nawet mewy! Nie wydało się to panu dziwne? Przez cały czas ani jednej mewy, a tu nagle fruwiąca całym stadem nad ciężko rannym Michaeliem? To był efekt specjalny. Jak wyszło?

Jak wyszło? Paul wpatrywał się w Beth z konsternacją.

– Świetnie wyszło! Sama wiem – powiedziała. – A to nie jedyny efekt. Wycie

szlifierki, potem wołanie Tony'ego, odgłos uderzenia ciała o ziemię? Spuściliśmy wór z piaskiem, to był odgłos, który pan słyszał. A kiedy wyszedł pan na plac, nie leżał już na nim worek, tylko Michael. Bok cały w krwi, tyle że to była sztuczna krew, wnętrzności na piasku, tyle że to były wnętrzności, które wzięliśmy od rzeźnika i przechowywaliśmy w chłodni. A jak krzyczał! Tacy już są ludzie filmu. W każdym siedzi mały aktor!

Co?

– Tinsley, Kryolan to świetne produkty, cały ten sektor efektów specjalnych, całe to rzemiosło, z trickami, tajemnicami i fachowcami! To jest park rozrywki, Paul, zawsze to powtarzaliśmy z Rupertem! Kapsułka rozgryziona we właściwym momencie i z ust Michaela już płynie najpiękniejsza krew.

– Przecież byłem u nich, w tym pomieszczeniu na parterze, Jay i Michael...

– Powiedział pan o tym Kate, pamięta pan? Że idzie pan obejrzyć zwłoki. Użyliśmy zimnego nawiewu suszarki, wyobraża pan sobie? Żeby ich schłodzić. Jay i Michael leżeli w tym pomieszczeniu, a my tak właśnie myśleliśmy, że będzie pan chciał sprawdzić. Ale ten numer z suszarką... Zimne ciało jest zupełnie inne w dotyku!

Kapsułka... Suszarka... Inne w dotyku...

– Po to... – przełknął ślinę – ...po to ten drut. Mam rację? Drut na szlifierce, u Michaela... od samego początku się nad tym zastanawiałem. Dlaczego ktoś zacisnął drutem włącznik szlifierki?

– Wyobraża pan sobie, jakie to było trudne, Paul? Z iloma niewiadomymi musieliśmy się liczyć? Czy mieliśmy pewność, że zejdzie pan na dół i nie będzie próbował dostać się tam, gdzie było słycać szlifierkę? Wtedy od razu dowiedziałby się pan, kim jest nasz – uśmiechnęła się – kiler, bo bez tego drutu wszyscy, których pan spotkał w czasie, gdy to cholera działała, nie wchodziliby w grę. A tak wszystko doskonale zadziałało! Obojętnie, dokąd pan poszedł, silnik było słycać, bo miał zablokowany włącznik! Obojętnie, kogo pan spotkał czy zobaczył, kilerem mógł być każdy, bo każdy mógł zostawić włączoną szlifierkę!

Paulowi wydało się, że powoli wynurza się z jakiejś mgły.

– Sheldon... to nie Sheldon leży tam w dole na kamieniach.

– Oczywiście że nie. – Beth potarła czoło. – Nawet nie wiem, kogo w końcu tam położyli, ale... to samo ubranie, a efekt jest zdumiewający: facet był zabezpieczony liną i nie spadł z wysoka. – Nie odrywała wzroku od Paula. – Naprawdę pan wierzył, że Sheldon to Bohner?

Nie... Tak...

– Niezłe to było, prawda? Najpierw węże, żeby nie odważył się pan zbadać dokładniej Sheldona, a on potem ponownie staje przed panem! Trzeba przyznać, że napędził pan facetowi niezłego strachu, kiedy pan się zamachnął na niego tym kamieniem. Gdyby nie Lizzie, o mały włos nie roztrzaskałby mu pan czaszki.

Paul popatrzył na Lizzie, ale miała spuszczone wzrok.

– A przy tym Sheldonowi naprawdę chodziło o to, żeby się dowiedzieć, jak ta inscenizacja na pana podziała, Paul! Zależy mu na panu! Od wielu lat śledzi pana rozwój. Rupertowi może chodziło o reklamę, mnie również, jeśli mam być szczerą – kolejny uśmiech – ale Sheldon i Lizzie, może mi pan wierzyć, nie są tacy bez serca jak my. Oni

przeczuwali, że wydarzenia na wyspie mogą wpłynąć na pana pozytywnie. Sheldon był nawet gotów wziąć na siebie walkę wręcz na urwisku... która rzeczywiście miała miejsce. Tyle że – przeniosła wzrok na przepaść, rozciągającą się niedaleko miejsca, gdzie siedzieli – nie było to aż tak ryzykowne, jak mogło się wydawać. Starannie wybraliśmy miejsce, do którego Lizzie miała pana dyskretnie przyprowadzić. Pamięta pan? To była propozycja Lizzie, żeby się schować tu, na górze. Dokładnie to sobie obejrzelśmy. Sprawdziliśmy, jak zabezpieczyć Sheldona, żeby nie doznał kontuzji. Wykorzystał moment, w którym pan był oszołomiony faktem, że Lizzie nie ma w kryjówce, by zabezpieczyć się liną, i ujawnił się dopiero potem. Reszta nie była już trudna. Kiedy runął w dół, asekurowała go lina, a potem od razu ją odczepił, zanim zdążył pan zajrzeć w przepaść. Chce pan zobaczyć?

Nie.

– Nie?

Pokręcił głową?

– Nie.

– OK, rozumiem. Trochę tego za dużo, tak?

Wpatrywał się w nią. Widział drżące w porannym powietrzu jasne kosmyki włosów, ale tak naprawdę miał przed oczami jej twarz roztapiającą się w burzy ognia.

Stapiał się wosk, a nie jej twarz.

– Kiedy byłam młodsza – Beth przemieściła ciężar ciała, by skrzyżować nogi w siadzie po turecku – pracowałam jako kaskaderka. Wtedy nauczyłam się tej sztuczki z ogniem. Bieg przez wyspę jako żywa pochodnia... Rupert twierdził, że to zbyt niebezpieczne, ale powiedziałam mu, że wiem, co robię. Przyklepał to, jednak muszę przyznać, że kiedy płonęłam – ubrana w kombinezon z azbestu – przez moment myślałam, że jest za późno.

Za skałami. To było za skałami koło wąwozu, tam upadła i już się nie podniosła. I tam ją zgasili.

– Ale twarz, przecież widziałem pani twarz, Beth, nie była zasłonięta!

– A słyszał pan o żelu kaskaderskim? Oczywiście trzeba go nałożyć grubo na skórę i się na tym znać, ale to wystarczyło, żebym mogła przebiec przez plac do skałek. A wosk... owszem, odkształcił się pod wpływem gorąca, ale to był element spektaklu!

Do skałek...

– A potem, kiedy pan przybiegł z obrusem, to już nie ja leżałam na ziemi, tylko zwęglona kupka mięsa i szmat.

Wciąż nie spuszczała z niego wzroku. Chyba wyraźnie widać było po nim, że źle przyjmuje to, co słyszy. Jej ton sygnalizował, że próbowała go sobie zjednać.

– Kolorowe szkła kontaktowe, sztuczna krew w żelu, sztuczne strupy – z odrobiną doświadczenia i odpowiednim know-how można osiągnąć zdumiewające efekty. Ale nie może pan brać im tego za złe, Paul. Kate, na przykład, ona też... ona też była zdania, że to będzie dla pana dobre, że to może uwolnić pana od demonów, z którymi musi się pan zmagać przez całe życie! Tak samo Lizzie! Wszyscy jesteśmy jakoś powiązani z Zodiac Island, wiemy, co się przytrafiło panu i pana matce. – Błyszczały jej oczy. – Constance przecież też... A dla niej, biedaczki, to było chyba najtrudniejsze... Te mrówki... Musiała

je wziąć do ust, włożyły jej do oczu. Mlecznobiała powłoka na oczach, która sprawiała, że wyglądały jak spalone słońcem? To były specjalne soczewki kontaktowe. Odcięty język? Kawalek zafarbowanego języka wołowego. A skorpion? Wybraliśmy taki gatunek, który prawie nie jest jadowity. Poza tym wcześniej sprowokowaliśmy go do ukąszenia, więc nie miał w sobie jadu. Kompletnie niegroźny, tak samo jak żelazny kołek, na który nadziała się Constance i który zapadł się w ziemię. Rozumie pan? Kołek nie wbił się w jej czoło, tylko został spreparowany, tak że mógł wnikać głębiej w ziemię. Została jej tylko niewielka szrama na czole. Tylko ten smród... Byłam zdania, że powinniśmy zatroszczyć się o to, by przy mrowisku śmierdziało. Jeśli zapach będzie dość ostry, sprawi, że nie będzie pan mógł normalnie myśleć. – Beth zastanawiała się nad czymś przez chwilę. – Rupertowi udzielili pomocy Michael i Jay, którzy nie musieli już leżeć nieruchomo na pryzkach. Przygotowaliśmy dla nich skafandry do nurkowania. Byli przy pozorowanym utonięciu jako nurkowie... to nie było takie trudne, był pan dość daleko od miejsca akcji i nie mógł pan widzieć, co się dzieje pod wodą. A fale? Cóż, to był oczywiście szczęśliwy zbieg okoliczności, że zaczęło trochę wiać, ale tak blisko południowego cypla fale i w normalnych warunkach bywają mordercze. Przy czym chmury, które nadciągnęły, nadały całości odpowiedniego dramatyzmu. Z drugiej strony byliśmy też przygotowani na mało prawdopodobny przypadek, że zapanowałaby całkowita flauta. Zasymulowalibyśmy awarię silnika, Rupert wskoczyłby do wody, a nurkowie mieliby pod ręką płetwę rekina!

Paul obserwował, jak Beth bawi się zerwanymi źdźbłami trawy. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Tylko w przypadku Glenna – podjęła w końcu, znów zaznaczając w powietrzu cudzysłów – tylko przy jego „śmierci” w labiryncie luster nie byłam pewna, czy to nie będzie zbyt malownicze, z całą tą bielą i czerwienią... Bez zestawu lateksowych ran i całego tego galimatiasu z szybami, lustrami i odbiciami to pewnie by nie zadziało. – Utkwiła wzrok w oddali. – Czarne wargi Tony’ego... piana w kącikach ust... zatrważający koloryt twarzy i dziobata cera, to tak zwana skóra z Gelafixu na bazie gliceryny... skalp Mary... musiałby pan ją zobaczyć w jej zwykłej, krótkiej fryzurze. Mary przez cały czas nosiła perukę, tylko po to, abyśmy ostatniego dnia mogli uzyskać ten efekt – dlatego od samego początku wyglądała jakoś tak dziwnie, prawda? Jest gimnastyczką, wie pan? Dlatego wie, jak spadać ze schodów, nie łamiąc sobie karku. Pracowałam z nią już wcześniej. – Beth przeniosła spojrzenie na Paula, ale ciągnęła dalej, zanim zdołał odpowiedzieć: – Nie chcę pana zanudzać, ale te muchy na Kate to też był taki fortel dla odwrócenia uwagi. Musieliśmy dosłownie wysmarować ją miodem, żeby zwabić owady, i dodatkowo umieściliśmy w pobliżu cały słoik z muchami. Na owadach można polegać. Obsiadły Kate i łąziły po posmarowanych miodem atrapach ran. To nie był problem. No i mieliśmy jeszcze tę dość dobrą atrapę szczęki. – Zdawała się nad czymś zastanawiać. – I aplikację symulującą ranę czaszki.

Paul odchylił głowę do tyłu, nie patrząc już na Beth, jej głos jednak wciąż do niego docierał:

– Moim największym zmartwieniem było to, czy nie będzie pan się dziwił, Paul. Od razu powiedziałam Rupertowi: czy nie będzie się dziwił, że w parku dzieje się

dokładnie to, co zapowiedzieliśmy? Witamy gości, mówimy im, że to będzie specjalne miejsce dla singli, park przygodowy dla osób samotnych, w którym grasuje „morderca”, a potem dokładnie to się dzieje. W parku grasuje morderca i Paul w to wierzy? Wierzy, że na wyspie naprawdę jest morderca? Nie domyśla się, że to gra?

– Zabraniam wam – odezwał się cicho, ale stanowczo. – Zabraniam wam wykorzystywać te nagrania, filmy, czy co tam utrwaliliście, dla celów promocyjnych.

– Zabrania nam pan?

– Tak.

Beth wycelowała w niego palcami.

– Nie może pan, przykro mi. Pamięta pan zgodę, którą pan podpisał? Załączyliśmy ją do teczki z materiałami prasowymi, którą dostał pan na samym początku. Zgoda ta zwalnia nas ze wszelkich roszczeń z tytułu odpowiedzialności. Wyraźnie tam stoi, że zgadza się pan na wszelkie nagrania filmowe i dźwiękowe oraz przekazuje je do wykorzystania dla naszych celów.

Zgoda...

Paul przypomniał sobie pisane drobnym druczkiem linijki sporządzone w języku biurokratów. Nawet ich nie przeczytał, po prostu podpisał. Musiał podpisać, by w ogóle móc wziąć udział w tej imprezie!

Lizzie podniosła się i pociągnęła go na nogi.

– Chodź, Paul...

Beth również wstała.

– Musi mi pan powiedzieć jeszcze jedno, Paul. Naprawdę wierzył pan w tę plotkę? – Wpatrywała się w niego z niekłamaną ciekawością. – Nie zdziwiło pana, że nigdy przedtem nie słyszał pan o tym? Przez całe życie zajmował się pan morderstwami Bohnera i akurat pan nigdy nie słyszał, jakoby Clyde Oberman wcale nie był Jeffem Bohnerem? Nie dało to panu do myślenia?

Paul przeniósł wzrok na Lizzie.

Stracili prawdziwego zabójcę? Clyde Oberman BYŁ Jeffem Bohnerem?

Coś się w nim przed tym wzbraniało. Przecież to czuł – każdą komórką swego ciała, każdym włóknem. Kiedy zobaczył zdjęcia Obermana w celi. Tamten mężczyzna – to nie był ten, z którym bawił się na plaży! Paul miał tylko cztery lata, ale... oczywiście było możliwe, że się mylił, ale jednak... Czy to wszystko było kłamstwem, iluzją i pomyłką?

W milczeniu odwrócił się od Beth.

– Rupert ma świadomość, że po tym, co się wydarzyło, prawdopodobnie będzie pan chciał jak najszybciej opuścić wyspę – usłyszał za plecami jej głos. – Uwzględniliśmy to życzenie. Zatroszczyliśmy się o to, by za godzinę prom przewiózł pana na ląd.

Tony, Sheldon, Glenn... wszyscy tu byli.

– Nie musi pan się żegnać z Rupertem. On to rozumie.

Ach tak? Rozumie? Po tym, jak mnie wykorzystał, wydoił i wyrzucił, mogę sobie pójść?

Poczuł, jak lodowata furia ścina w lód warstewkę potu na jego twarzy.

– Zastraszył ją! – wykrzyknął z pałającym wzrokiem Michael. – Zawsze tak robi, to jego metoda. Inaczej nie zostałby takim wielkim przedsiębiorcą. Zastraszył ją, tylko dlatego że Sheldon ją sobie upatrzył. Ale Jay lubi mnie, a nie zdiadziałego psychiatrę. Byłem z nią już parę miesięcy temu, kiedy nawet jeszcze nie wiedziała, kim jest Sheldon. A mimo to tutaj, na tej wyspie, do kogo idzie? Do Sheldona. A dlaczego? Bo Rupert dał jej do zrozumienia, że nie ma wyjścia. – Michael podniósł z ziemi kamień i cisnął go daleko w morze.

Paul skierował wzrok na środek wyspy. Nad wzgórzem wznosił się diabelski młyn. Zardzewiały, z łuszczącą się farbą. Przez trzy dni widział, jak stoi nieruchomo. Teraz robotnicy przywieźli części zamienne, dzięki którym Rupert miał nadzieję uruchomić mechanizm. W górze majaczył jaskraworóżowy neon, umocowany na potężnym stelażu. Panna. Diabelski młyn należał wtedy do sektora Panny.

– Myśli pan, że dla mnie to jest w porządku? – Michael usiadł na ziemi i popatrzył na Paula. – Pana matka... Myśli pan, że dla mnie to w porządku, że Rupert wykorzystuje pana przeszłość dla reklamy jednego ze swoich przedsięwzięć? On we wszystkim tak działa. A ja nie jestem pewien, czy naprawdę powinienem trzymać język za zębami. – Zwiesił głowę i utkwiał wzrok w żwirku pokrywającym przystań. – Nie wszystko, co tu się dzieje, to gra. To, że Jay chodzi do pokoju Sheldona, to nie jest gra. I że pana matka została zamordowana, też nie.

Po rozmowie z Beth Paul poszedł z Lizzie na przystań, żeby wsiąść na prom. Widział ich wszystkich w oddali. Tony’ego, Glenna, Constance... Trzymał się od nich z daleka. Nie chciał się do nich zbliżać.

Ruperta nie widział. Na przystani przypomniało mu się jednak, co wyrwało się Michaelowi pierwszego dnia. „Naprawdę uważasz, że mówią nam, o co tu chodzi?”. Powiedział to, zanim pojawiła się postać w masce niemowlaka. Był wściekły, wzburzony – i brzmiał szczerze. Bo nie chciał, żeby wykorzystywano Paula? Nie, teraz Paul już wiedział, co go tak oburzyło. Michael poznał Jay w miasteczku na wybrzeżu – ale na wyspie nie przyszła do jego pokoju, tylko do Sheldona. Paul słyszał, co robili zaraz po przybyciu na wyspę. Teraz już wiedział, dlaczego Jay była u Sheldona. Kiedy dobre pół godziny wcześniej dotarł z Lizzie do przystani, jeszcze nie miał pewności. Domyślał się tylko, że oburzenie Michaela było szczerze. Przypomniał sobie, że Michael już pierwszego wieczoru brzmiał tak, jakby nie zgadzał się z tym, co się dzieje na wyspie.

„Naprawdę uważasz, że mówią nam, o co tu chodzi?”.

Dlatego Paul zapytał Lizzie, czy nie zgodziłaby się – zanim odpłynie prom, zabierając ich na ląd – pójść do Michaela i poprosić go, by przyszedł na przystań, gdzie Paul mógłby z nim porozmawiać. Gdyby odmówił, musiałby się z tym pogodzić, ale nie, Michael był gotów z nim pogadać.

Paul wychylił się do przodu.

– To było to. To miał pan na myśli, pytając Tony’ego, czy sądzi, że mówią nam, o co tu chodzi? Chodziło o to, że Rupert posłał Jay do Sheldona, choć przecież była pana przyjaciółką?

Blade oczy dźwiękowca wpatrywały się w Paula spod daszka bejsbolówki. Widać było, że bije się z myślami.

– Słyszałem go – wymamrotał w końcu. – Rok temu. Byłem wtedy na wyspie po raz pierwszy. Przypadkiem... usłyszałem przez jeden z mikrofonów, jak rozmawia z kimś przez komórkę.

– Kto?

– Levin. Myślę, że rozmawiał z Glennem, ale pewności nie mam.

Z Glennem.

– Powiedział mu, żeby nie wpuszczał nas do kolejki strachu. Do Halloweenland. Tony i ja robiliśmy wtedy materiał o dawnym Zodiac Island. No i Glenn oprowadzał nas po wyspie. Świetnie się orientował w dawnym parku. Miał nas wszędzie prowadzić, tylko nie do kolejki strachu.

Tam, gdzie znaleziono zwłoki mojej matki.

– Byliśmy ekipą filmową, robiliśmy reportaż o Zodiac Island, ale Rupert wtedy kupił już wyspę. „Nie muszą wiedzieć, jak dobrze znasz Halloweenland”, powiedział do słuchawki. Mam to na taśmie. Kto doskonale się zna na starych karuzelach? Glenn, prawda? Glenn szwendał się po tym parku, jeszcze kiedy był nastolatkiem. – Zmrużył oczy. – A wie pan, co Levin powiedział potem do Glenna?

Paul pokręcił głową.

– „Odrobina pasty do blizn to było wszystko. Kto wie, jak długo to jeszcze pociągnie”.

Pasta do blizn.

– Tak powiedział?

– Tak powiedział.

Specjalne szkła kontaktowe, lateksowe rany, krew w żelu. Jak się wyraziła Beth? „To jest park rozrywki”. Nic dziwnego, że wykorzystują efekty specjalne. Naprawdę myślał, że w parku tematycznym poświęconym seryjnym zabójcom powstanie z martwych prawdziwy zabójca?

Blizna. Kiedy Paul o tym myślał, doznał wrażenia, że miga mu przed oczami udo. *Zabawa w Indian...*

Jednocześnie gdzieś w jego umyśle uruchomiła się zapadka.

Odruchowo przełknął ślinę. Zaszło mu w ustach, jego język leżał w nich jak martwy szczur.

Dźwiękowiec mówił dalej, ale jego głos rozpląwał się w oddali, podczas gdy myśli Paula zaczęły skakać.

„Możesz mi mówić *Jeff*, Paul”.

Clyde Oberman... NIE, to nie był Clyde, to nie z nim się bawił.

Ale blizna, Davy... Mały Tartaglione, wypytywany przez Kate... on mówił o bliznie... Paul sam widział na nagraniach, jak chłopiec o tym mówił...

Blizna...

Blizna...

Myśli przemykały mu przez głowę jak błyskawice: wprawdzie o morderstwach media oficjalnie nie donosiły, ale każdy, kto pracował na Zodiac Island, o nich wiedział.

Wśród właścicieli bud nie było tajemnicą, że morderca nabazgrał na ścianie „Jestem Jeff Bohner”. A o bliźnie? Czy wiedzieli o bliźnie?

Wystarczyło przecież, że dowiedział się o zeznaniach chłopca...

„Odrobina pasty do blizn to było wszystko. Kto wie, jak długo to jeszcze pociągnie”. *Czy nie to usłyszał Michael?*

Paul sam jej... dotykał. Blizny, na nodze Jeffa. Powiedział policjantom o bliźnie. A Clyde Oberman miał bliznę na udzie.

Wszystko się zgadzało.

– Paul?

Podniósł wzrok. Lizzie wskazywała głową prom. Załoga przygotowywała się do odpłynięcia. Michael zamilkł, wydawał się czekać, aż Paul coś powie.

– Tak? – Paul spojrzął na Lizzie.

– Prom zaraz wyruszy, ale... Jeśli teraz odpłyniemy... Już dawno chciałam ci o tym powiedzieć, tylko jakoś się nie złożyło. Sheldon zaklinał się, jakie to ważne, żebyś naprawdę uwierzył, że spotykasz Bohnera, żebyś był święcie przekonany, że to Bohner! Że to będzie dla ciebie jedyną szansą na pokonanie traumy.

Skinął głową. Patrzył w jej kierunku, ale jej nie widział. W ciągu ostatnich godzin miało miejsce tyle przesunięć, miał wrażenie, że jego umysł jest jednym wielkim osuwiskiem błota. Myśli, wspomnienia, lęki, sny, skojarzenia, wszystko to wymieszało się na nowo. Sheldon o tym wiedział, znał się na tym? Mógł to kontrolować? Sterować tym?

Oby się nie mylił.

– Wiem to od Kate – ciągnęła dalej Lizzie. – Powiedziała mi... kiedy gadałyśmy o twojej sprawie... ledwie wczoraj... Powiedziała, że właściwie tego przed tobą nie zatajali... Ale kiedy zaczęłaś zgłębiać sprawę morderstwa twojej matki... Większość materiałów ci udostępniła, ale jeden punkt pominęła.

Wpatrywał się w nią bez wyrazu.

– Że Bohner... znaczy Clyde... Przyznał się do popełnienia morderstwa na Nancy Cass i Patricii Tartaglione. Ale do zabójstwa twojej matki nie.

Nie.

– Ona, znaczy Kate... Powiedziała, że chodziło im o to, by cię chronić. Żebyś mógł zamknąć dla siebie tę sprawę. Zarówno pani Tartaglione, jak i Nancy Cass zostały zamordowane na Zodiac Island, to się zgadza, a ty sam mówiłeś o bliźnie...

– To dlatego teraz na to wpadłaś? Z powodu blizny?

Skinęła głową.

Bohner nie przyznał się do morderstwa mamy. Clyde. Clyde się nie przyznał. To nie był Clyde, to nie był mężczyzna, z którym się bawiłem.

A jeśli wszystko było inaczej?

Paul sam powiedział policji, że morderca miał na nodze bliznę. Dokładnie tak samo, jak zeznał mały Davy Tartaglione. Aresztowali Clyde'a. Znaleźli bliznę na nodze. A jednak...

– Jeśli blizna u mężczyzny, z którym się bawiłem, nie była prawdziwa... – wydusił z siebie. – Oczywiście musieli sądzić, że Jeff... że Bohner... Clyde Oberman, że to on

zamordował moją matkę. Chociaż... – przerwał. – Tak mogło być, prawda?

Lizzie i Michael wpatrywali się w niego. Czuł chłód, który zdawał się rozchodzić wokół.

A JEDNAK ON ŻYJE!

– Clyde nie przyznał się do morderstwa mamy, bo to nie był on! Blizna... To była sztuczna blizna...

On chciał, żebym opowiedział o bliźnie. Wiedział, że morderca Nancy Cass i Patricii Tartaglione naprawdę miał na nodze bliznę. Zeznania Davy'ego Tartaglioneo musiały się rozejść wśród właścicieli bud na Zodiac Island, a on, mężczyzna, który był u mamy w bungalowie, chciał, żebym też wyczuł u niego bliznę.

„Tutaj, dotknij, zarobiłem ją w walce z Indianami”. Tak powiedział. Chciał, żebym ją wyczuł, żeby było jasne... Żeby i to morderstwo poszło na konto Bohnera!

Tylko KTO?

I nagle Paul wyraźnie zobaczył przed sobą jego twarz. Jeff. Wydało mu się, że go rozpoznaje – zasłonił dłońmi oczy, wbił pięści w oczodoły, aż w czerni zamigotały czerwone mroczki. Jak to możliwe? Zaczynał kompletnie tracić orientację. Nie mógł sobie przypomnieć, nie mógł wiedzieć! Nie mógł dać się teraz porwać!

Obok zachrzęcił żwir. Michael wstał z ziemi. Paul poczuł, że dźwiękowiec ostrożnie kładzie mu rękę na ramieniu.

– Wszystko w porządku, Paul?

Oderwał dłonie od twarzy, podniósł wzrok, zamrugał, bo zza głowy Michaela świeciło na niego słońce.

– Wiesz może, gdzie jest teraz Rupert?

– Przy diabelskim młynie. – Michael z troską zajrzał mu w twarz. – Robotnicy przywieźli części zamienne. Ale nie wiedzą, czy uda im się uruchomić tego rupiecia.

Diabelski młyn zaczął powoli się obracać.

Kiedy Paul zbliżył się do potężnego stalowego monstrum, wznoszącego się nad pozostałościami po dawnym parku, na spotkanie wyszedł mu Rupert.

– Paul! Co pan tu jeszcze robi? Nie spóźni się pan na prom? Słyszałem, że rozmawiał pan z Michaelem. Jak pan myśli, wypróbujemy razem staruszka? – Skinął głową w stronę ogromnego koła i roześmiał się. – Panna. Pasuje, prawda?

Jeśli puści do mnie oko, złamię mu kark.

Paul odchylił głowę i popatrzył w górę. Koło obracało się ze zgrzytem. Nie poruszało się od dwudziestu lat.

– To bezpieczne? – Rzucił Levinowi spojrzenie.

– Ależ tak! Fachowcy, którzy zajmowali się naprawą, poszli na chwilę do hotelu, żeby się posilić. Ale może pan na nich polegać, Paul. No i jest tu Glenn, spędził z nimi całe przedpołudnie.

Paul powędrował wzrokiem do Glenna, który stał tuż przy młynie, a potem wrócił do Levina.

Rupert wie, że rozmawiałem z Michaelem. Wie, że ja wiem.

Było mu to obojętne. Musiał się z nim rozmówić. Rupert chciał go wciągnąć w pułapkę? Paul nie miał nic do stracenia.

Widział już większe diabelskie młyny, obracające się szybciej, może ładniejsze, ale ten na Zodiac Island miał swój szczególny urok. Gondole były otwarte i przeznaczone dla dwóch lub trzech osób.

– No to chodźmy, Paul, przejedźmy się! – Rupert zaprowadził go na platformę, z której wchodziło się do gondoli, zrobił jeden zdecydowany krok i już stał w najbliższej kabinie, która przesuwała się obok podestu.

Paul bez wahania podążył za nim.

Natychmiast poczuł przyśpieszenie – siłę ciągu, kiedy wzniósł się w powietrze. W dole po prawej stronie zobaczył morze, po lewej rozciągał się teren parku. Z najwyższego punktu koła powinno się dać objąć wzrokiem całą wyspę.

Rupert usiadł naprzeciwko niego. Paul przez chwilę myślał, że będzie mógł ustać, ale kołysanie metalowej łupiny, w której się znajdowali, zmusiło go do zajęcia miejsca.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, Paul – odezwał się Rupert – ale po tym wszystkim, co się stało... Sheldon uznał, że najlepiej byłoby, gdyby pan odrobinę wypoczął. Nabrał dystansu do wyspy... a może i do nas. Nie chcę pana wyganiać, ale...

– Teraz, gdy ma pan już materiał potrzebny do rozreklamowania parku, już mnie pan nie potrzebuje. Czy nie tak?

Levin przyglądał mu się uważnie. Bruzdy na jego twarzy zdawały się pogłębiać.

– Możesz mi mówić *Jeff*, Paul – powiedział cicho Paul i wyraźnie dostrzegł, jak rysy twarzy przedsiębiorcy się napinają.

– Co? – niemal wysyczał Rupert.

– Dobrze usłyszałeś – odwarknął w odpowiedzi. – Michael cię podsłuchał. Nakazałeś Glennowi, żeby nie wpuszczał ekipy telewizyjnej do Halloweenland. Pasta do

blizn jako kamuflaż przestała wystarczać!

Levin znieruchomiał na moment, jakby wrósł w siedzenie.

Gondola wznosiła się do góry. Widać już było obmywający wyspę Atlantyk. Paul miał wrażenie, jakby od lat był więziony na tym skalistym kawałku lądu. Głęboko w dole, u podnóża diabelskiego młyna, zaczęli się gromadzić pozostali. Tutaj, na wysokości, było znacznie zimniej. Paula zdjął chłód.

Rozległ się trzask pałaku zabezpieczającego, który Rupert opuścił przy krzeselku Paula. Levin zamknął też własny pałak.

– Więc jednak mnie znalazłeś. – Twarz Ruperta przybrała blady, szarawy odcień. Koło zachybotało się nagle, zapewne koła zębate, utrzymujące urządzenie w ruchu, nie zazębiały się jeszcze tak gładko, jak powinny. Zważywszy na to, że maszyna była w ruchu po raz pierwszy od dwóch dziesięcioleci, funkcjonowała zadziwiająco dobrze.

Tak, znalazłem cię.

Na skroni Ruperta zaczęła pulsować żyła.

– Sam pozbyłeś się zwłok czy wyręczyłeś się Glennem?

– Glennem?

– Tak, Glennem! Przecież on za ciebie wszystko robi. Był wtedy wystarczająco duży, by ci w tym pomóc. A Halloweenland znał jak własną kieszeń, prawda?

„To nie tylko przez te stare dekoracje”, usłyszał w głowie odbijający się echem głos Constance. „Przez moment wydawało mi się, że wszystko wraca...”, „Ta sytuacja z Glennem...”.

– To nie był pierwszy raz, kiedy Glenn wykorzystał bezbronność Constance, prawda, Rupercie? Zetknęła się z nim już raz, dwadzieścia lat temu. Nie była tego pewna, ale gdzieś w pokładach podświadomości jednak go rozpoznała. Glenn! Zgwałcił ją wtedy!

– Glenn, tak? – powtórzył Levin. Paul odniósł wrażenie, że tamten nie mówi, tylko terkocze. – Sądziłem, że Constance do dziś wierzy, że miała w sobie wtedy wielkiego Jeffa Bohnera!

Rozpoznała Glenna w tym momencie, w którym tak jak wtedy, znalazła się razem z nim. Myślała, że wtedy to był morderca, ale to tylko Glenn. Który pomagał mordercy!

Nagle wszystko połączyło się w całość, każdy kamyczek trafił na właściwe miejsce.

– Ty ją zabiłeś, Rupercie. Ty zabiłeś moją matkę! Zaaranżowałeś wszystko tak, by to wyglądało na dzieło Bohnera. Ale to byłeś ty. I kazałeś Glennowi złożyć ciało w kolejce strachu, żeby zatrzeć ślady. Żeby zatrzeć fakt, że w rzeczywistości to nie była zbrodnia Bohnera! Napis? „Jestem Jeff Bohner”, tak było nabazgrane na ścianie we wszystkich trzech miejscach zbrodni. Ale było to tak toporne, że mogłeś skopiować napis z dwóch pierwszych miejsc. Skąd wiedziałeś, jak dokładnie wyglądał? Skąd wiedziałeś o bliźnie?

– Jesteś pewien, Paul?

– Pewnie od właścicieli bud – ciągnął Paul. – Rozniosły się wśród nich wszystkie detale zbrodni, a Glenn bez przerwy obracał się w ich towarzystwie.

– Wszystko pięknie ładnie – rozległ się terkotliwy głos – tylko nie zrozumiałeś jednego. To nie ja zabiłem twoją matkę. Ty to zrobiłeś.

Mama.

– Miałaś tylko cztery lata, ale... posłusznie robiłaś to, co ci mówiła matka.

Paul poczuł w brzuchu świdrujący ból. Otworzył usta i usłyszał świst wydychanego powietrza. Jednym błyskiem wszystko powróciło. Miał cztery latka. *To byłem ja.* Znajdował się w łazience. Był tam Jeff. I ona też. Mama. Leżała w wannie, naga. Miała zapuchniętą twarz. Paul wyczuwał to przez cały dzień: napięcie, złość... Czuł, że ten mężczyzna, do którego miał się zwracać „Jeff”, miał ich w ręku. Nie wolno im było wychodzić z bungalowu, nie mogli tego robić – ani Paul, ani mama. Mama była zamknięta w jednym pokoju, on w innym. Paul słyszał jej kwilenie przez drzwi, ale Jeff zatkał jej usta szmatką. Płakała. Teraz, kiedy Paul stał przed nią w łazience, widział jej zapuchniętą twarz. I miała czerwone plamy na gołej skórze, tam gdzie Jeff chwycił ją zbyt mocno. Leżała w wannie, do której napuszczono trochę wody. Jej głowa spoczywała na brzegu wanny, włosy były mokre i wyglądała, jakby było jej zimno.

„Nie jest mi zimno, Paul, wszystko jest dobrze”.

„Nie, nie wchodź do pokoju”, wołała przedtem.

Teraz jednak, kiedy oboje byli w łazience, gdzie zaprowadził go Jeff, teraz przekonywała go łagodnie: „Nie płakałam, Paulie, ze mną jest dobrze, wszystko jest dobrze, chcę tylko...”.

– Powiedziała ci to. – Paul usłyszał głos Levina. Lodowaty wiatr przenikał przez jego ubranie. Obrazy z przeszłości zwierzały się w jego głowie w ostrze, które przecinało go na pół.

– Powiedziała ci, co masz zrobić.

Tak, Jeff, bo miałaś nad nią władzę.

Jeff jej kazał.

Jeff jej powiedział...

mama

...że wyrządzi mu krzywdę, Paulowi, jej małemu synowi, jeśli nie zrobi, co każe jej Jeff.

– Słyszałem, że na wyspie działał morderca. – Rupert siedział przyczajony na siedzeniu naprzeciwko. Za nim rozpościerało się lodowato błękitne niebo. – W tamtym czasie byłem tu prawie co weekend. Zaprzyjaźniłem się z Glennem Braxtonem. On mi o tym opowiedział. O morderstwach, o zbrodniach Jeffa Bohnera. Możesz sobie wyobrazić, jaka tu panowała atmosfera, Paul? Wtedy, na Zodiac Island?

Paul wpatrywał się w niego. Jego twarz jaśniała. Nagle gondola zatrzymała się z szarpnięciem. Pewnie jakiś problem z silnikiem. Kołysała się lekko na wietrze. Było tak zimno, że zaczął dygotać.

– Na wyspie wrzało, jakby nawet ci, którzy nie wiedzieli, że grasuje tu kiler, wyczuwali to w głębi duszy. Ja wiedziałem. Wiedziałem od Glenna. Był tu morderca, który zabił już dwie kobiety. Już po pierwszej zbrodni ludzie nie mówili o niczym innym. A z kręgów policyjnych wyciekło, że morderca ma na udzie bliznę. I że upatrzył sobie przyjeżdżające na wyspę samotne matki z dzieckiem. Wtedy poznałem twoją matkę, Paul. Sarah.

Sarah.

– Przy użyciu takiej specjalnej pasty zrobiłem sobie na nodze bliznę, Paulie, to prawda. To była tylko sztuczna aplikacja, ale nader efektowna. Michael podsłuchał, jak o tym mówię, tak?

Paul nie odpowiedział.

Rupert przechylił głowę i popatrzył na wyspę. Z namysłem.

– Od tamtego weekendu, który spędziłem na wyspie, kiedy on też na niej był, od tamtego momentu nie mogłem przestać o nim myśleć. – Levin mówił teraz, nie patrząc na Paula. – Wiedziałem, że to najlepszy rodzaj dreszczyku, jaki można przeżyć. Ta wyspa, park i kiler. Dlatego, właśnie dlatego, Paul, stworzyłem Murder Park. Samotne serca, pieniądze? To prawda, pomysł z singlami wiąże się bezpośrednio z tym, co można było przeżyć w kolejce strachu na Zodiac Island. W Circle Room. A jednak ty sam zapytałeś mnie, czy za pomysłem parku nie kryje się coś więcej. Co jest prawdziwym powodem, dla którego wymyśliłem Murder Park. – Skierował wzrok na Paula. – I miałeś rację. Nie chodzi tylko o to, żeby na tym zarabiać. Obawiam się, że do końca życia nie uwolnię się od Jeffa Bohnera.

Jest opętany tym, co tu się stało. Opętany Bohnerem. Tak dalece, że zaczął go naśladować – a teraz stworzył ten park, który jest niczym innym jak mrocznym pomnikiem wystawionym czynom Bohnera. Morderstwom! Murder Park.

Twarz Levina wyglądała jak wykuta w kamieniu.

– Wiedziałem, że to będzie wielkie, i nie myliłem się, nie uważasz? Sheldon nie ma dla tego zrozumienia... – Przerwał i machnął ręką. – Sheldon! Niby taki szacowny psychiatra, a tego nie pojął. Nic nie pojął. Ten wywiad, który ze mną przeprowadził! Ja go dosłownie prowokowałem, igrałem z nim, ale... Przez całe życie zajmował się zbrodniami i ich psychiką, a mimo to kompletnie ich nie rozumie. – Błysnął oczami. – W najgorszym razie, gdyby doktor Lazarus rzeczywiście coś zauważył... To koło to jednak zdezelowany rupieć, ani się człowiek obejrzy, jak wydarzy się jakiś wypadek, prawda? – Sprawiał wrażenie, jakby wsłuchiwał się w jakiś wewnętrzny głos. – Za to Beth... ona... ma coś w sobie. Tak samo jak Glenn. To ludzie, na których naprawdę można polegać. Nie każdy taki jest, ale jeśli ma się w zespole paru takich, to już połowa sukcesu!

Dłonie Paula były wilgotne od potu. Drżał. On ich jakoś przyciągał nawet po śmierci. Bohner. Takich ludzi jak Rupert Levin, Glenn Braxton, Beth Hoffman.

Jak moja matka.

Jej twarz. Leżała w wannie i dygotała tak samo jak on teraz. Patrzyła w górę – na niego.

– Powiedziałem jej, żeby cię przekonała. – Głos Ruperta był tak blisko, jakby rozlegał się bezpośrednio w głowie Paula.

Mama... na wprost niego, w wannie.

– Zrób, co ci powie Jeff, Paulie. – Szept. Śmierć w jej oczach.

Inaczej zrobi ci krzywdę.

– „Inaczej zrobię małemu krzywdę”, powiedziałem do niej. Tak, to prawda. – Oczy Ruperta były lodowato szare.

Obelkowaniem koła ponownie wstrząsnął łoskot. Utknęli na dobre. W gigantyczne

urządzenie wkradło się ledwie dostrzegalne drzenie.

– Wiesz, słyszałem, co Bohner... Bo pod tym względem nie różnię się od innych: dla mnie ten człowiek zawsze będzie się nazywał Bohner, nie Oberman czy inaczej, tylko tak, jak on sam siebie nazwał, mając na ścianie swoje nazwisko. – Gondola kołysała się lekko na wietrze. – Co chcę powiedzieć: słyszałem, co Bohner robił ze swymi ofiarami. Uwielbiał doprowadzać je na krawędź śmierci, a potem... kiedy... balansowały na granicy życia i śmierci... łączyć się z nimi. Jak się wyraziła Kate? Chciał zsynchronizować śmierć ofiary z własnym szczytowaniem? Penetrować ją równocześnie ze śmiercią? Chyba jakoś tak... W każdym razie już wtedy o tym słyszałem, kiedy jeszcze się zastanawialiśmy, kto to jest, ten grasujący Bohner, którego wszyscy się baliśmy. Wiedziałem, co zrobił Nancy Cass i tej drugiej ofierze, tej Tartaglione. Właściciele bud na Zodiac Island gadali o tym, niejeden z nich rzucił okiem na miejsce zbrodni, zanim wszystko zagrozdzi. Inni rozmawiali z mundurowymi, którzy mieli pilnować dostępu do miejsc zbrodni. Niektóre szczegóły prędko się rozchodziły, i to od nich Glenn ostatecznie się dowiedział...

„Zrób, co mama mówi”.

Paul słyszał jej głos, widział ją, jak leży naga w wannie. I przez sekundę miał wrażenie, że spogląda na samego siebie, na drobne czteroletnie ciało. Patrzy wzdłuż ramienia ku dłoni trzymającej blaszany uchwyt wiaderka, w którym chlupotał jakiś płyn.

– Kwas. To był kwas siarkowy, Paul. Wlałeś go do wanny. „Nie musisz się bać, to nie boli, chcę, żebyś to zrobił”, powiedziała do ciebie matka. Bardzo cię kochała. Bała się, że coś ci zrobię. A ja dotrzymałem słowa. Nic ci nie zrobiłem. Wlałeś zawartość wiaderka do wanny, widziałeś, jak podnosi się dym, jak twarz twojej matki się zmienia, widziałeś, co kwas robi z jej nagą skórą. Krzyknęła, ale krótko, bo ktoś mógłby ją usłyszeć, a do tego nie mogłem dopuścić. Z powrotem wetknąłem jej knebel do ust... ale ty już wiedziałeś. Ja... Tyle rzeczy wydarzyło się naraz... Nie miałem zbyt wiele czasu na obserwowanie ciebie, Paul, ale rzuciłem okiem na twoją buzię, kiedy swymi niezdarnymi rączkami opróżniałeś wiaderko. Kiedy wyraz miłości na twarzy twojej matki, gdy spoglądała na ciebie w górę, ustąpił innemu, którego nie mogła pohamować... w tym momencie, w którym kwas wżerał się w jej gładką skórę. Widziałem, jak zareagowałaś, Paul, kiedy zaglądała w oczy śmierci. Widziałem, że... zostałeś nadzarty tak samo jak ona, lecz nie przez kwas, a przez przerażenie tym, co zrobiłeś. Byłeś zaledwie czterolatkiem, Paul, nie rozumiałeś jeszcze zbyt wiele, ale czułeś to, tak dogłębnie i mocno, że jak nieżywy osunąłeś się obok wanny. Czułeś, co właśnie się stało.

Nastąpił wstrząs i gondola ponownie ruszyła. Nogi i ręce Paula były jak obumarłe, cała krew zdawała się odpłynąć z jego głowy. Kończyny mrowiły, miał wrażenie, że jego twarz się rozplynęła; połowa jakby zwisała w dół – jakby ktoś odciął podtrzymujące ją nitki. Poczul jakby lekki przechył w lewo, ale Rupert nadal siedział na wprost niego.

Naprawdę to powiedział? Czy Levin naprawdę powiedział te słowa?

– Nie jesteś chyba okablowany, co? Michael cię okablował? Nie, nie sędzę.

Paul był jak sparaliżowany. Patrzył, jak Rupert nachyla się ku niemu, rozrywa mu koszulę, przesuwa dłonią po jego brzuchu i plecach.

Nie, nie jestem okablowany.

Gondola zbliżała się ku ziemi. Ale nie płynęła już tak gładko i równomiernie jak w górę, coś nią szarpało, coś tarło, a kiedy Paul powędrował spojrzeniem w dół, zobaczył, że Glenn odgania ludzi od młyna. Tylko Lizzie uparcie tkwiła w miejscu. Stała z dłońmi przy ustach i coś krzyczała. Nie mógł jej zrozumieć. Wiatr odrywał strzępki jej słów i zanosił w morze.

Usłyszał trzask, a kiedy podniósł wzrok, Rupert przed nim stał. Musiał odchylić metalowy pałąk i podnieść się z miejsca.

– Żegnaj, Paul – powiedział.

Dłonie Paula zacisnęły się na pałąku opinającym jego brzuch. Spróbował dźwignąć go do góry, ale zabezpieczenie zablokowało się po paru milimetrach.

Gondola kiwała się tak mocno, że jej łomotanie zagłuszało wszystko wokół. Nie tylko kabina wibrowała, lecz całe koło. Cały szkielet. Paul popatrzył do góry, na zawieszenie pośrodku młyna. Iskry? Czy coś się sypało w dół? Oś...

Przechyliła się?

Mama. Jej głowa na krawędzi wanny, oczy skierowane w górę, ku niemu, wargi sine z zimna. „Wylej to z wiaderka do wanny, tak jak mówi Jeff, to nie boli, chcę tak, słyszysz?”.

Zobaczył, że płacze, zobaczył to w jej przepelnionych łzami oczach, choć próbowała się uśmiechać. Poczuł, jak jego mała rączka unosi się i wylewa zawartość wiaderka.

Wszystko pociemniało.

Głośny łoskot – Rupert otworzył drzwiczki gondoli. Ziemia pędziła w ich stronę – ręka Paula wysunęła się jak chwytak – dłoń uczepiła się ręki Levina, palce zamieniły się w szczypcę.

Szarpięcie – twarz Ruperta – zwrócona ku niemu.

– Puść! – wychrypiał, ale Paul zaciskał kurczowo rękę.

Poczuł cios, ale trzymał ramię Ruperta tak mocno, jak jego samego trzymał ten cholerny metalowy pałąk. I w tym momencie koło ostatecznie zerwało się z zawieszenia.

Rupert nie chciał go wypychać z gondoli, bo wszyscy na dole by to zobaczyli. Zamiast tego wysłał swego najlepszego człowieka, Glenna. Fachowcy od karuzeli poszli do hotelu? To z pewnością nie był przypadek. Glenn przez całe przedpołudnie przyglądał się im przy pracy, miał dość czasu, żeby zapytać, o co trzeba – i dokonać sabotażu zaraz po tym, jak robotnicy się oddalili. Czy Constance nie mówiła, że Glenn całe życie spędził w lunaparkach? Znał się na tym! A wszystko miało wyglądać jak wypadek. Levin chciał w porę opuścić gondolę – ale Paul go trzymał.

Cały świat zaczął wirować. To już nie była wędrówka w górę i w dół – ogromne koło uwolniło się z zawieszenia i zaczęło powoli, lecz nieuchronnie toczyć się w stronę morza. Chociaż ruch ten wydawał się powolny, dla kogoś w gondoli był piekłem. Paulem rzucało na boki jakby znajdował się w doczepionej do rakiety windzie. Siła odśrodkowa szarpała nim i wciskała w siedzenie. Czuł, że jeszcze trzyma ramię Ruperta – wciąż miał przed sobą jego twarz, jego oczy, jego strach – aż w końcu nie mógł dłużej. Zobaczył, jak ciało Levina zostaje wykatapultowane z gondoli niczym kukłą, jak uderza o stalowe belki i spada, podczas gdy potężne koło nadal toczy się po zboczu. Głęboko w dole zobaczył

jego ciało, miażdżone na skalistym podłożu zewnętrzną obręczą, a potem trzymający go w krzeselku metalowy pałak tak mocno wbił się w jego brzuch, że znów pociemniało mu w oczach.

Mgnienie oka później ciemność pojaśniała – poczuł, że zanurza się w lodowatej wodzie – potoczył się jeszcze kawałek dalej i zatrzymał. Zawisnął dobre dwa metry nad stalową powierzchnią oceanu, rzut kamieniem od wybrzeża. Nad sobą niczym zardzewiałą górę widział kompletnie zdeformowane koło.

– Paul!

Lizzie. Brodziła po płyciźnie, zsunąwszy się z niewysokiego, kamiennego brzegu. Biegła ku niemu, rozpryskując na boki fontanny wody. Ostatnie metry musiała przepłynąć. Jednocześnie przekonał się, że płatanina metalowych prętów, w której tkwi, trochę się wygięła od ruchu koła. Używając całej siły, zdołał się wyswobodzić. Przez chwilę wisiał na zgniecionej gondoli, w końcu się puścił i zsunął głęboko do wody, tuż obok Lizzie. Wynurzył się i poczuł, jak dziewczyna przyciąga go do siebie.

– Ponton, ten, w którym widzieliśmy wczoraj Ruperta... – wydyszała do jego ucha – ...jest tam, niedaleko.

Popatrzył w kierunku, który mu pokazała, i ujrzał łódź za skałą.

Nie oglądając się na ląd, popłynęli do skały i wdrapali się na ponton. Lizzie wypchnęła silnik na wodę i pociągnęła za linkę rozrusznika. Mechanizm obudził się z wyciem. Paul przechylił się w tył, dziób uniósł się nad powierzchnię wody i wyrwali naprzód po spokojnej tafli.

Zamierzał się skontaktować z Constance – to jedno wiedział na pewno. Chciał jej wyjaśnić, że to Glenn wykorzystał ją w tunelu dwadzieścia lat temu i że zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Za tamto i wszystko inne. Levin zaś miał już swoją egzekucję.

Sięgnął po rękę Lizzie i przytrzymał ją mocno. Odwrócił się i zobaczył wystający z wody diabelski młyn. W tle – mroczna i skalista jak tego wieczoru, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy – wznosiła się wyspa.

Powoli znikwała w oddali, przypominając ogromnego gada, podczas gdy oni mknęli łodzią po oceanie.

12 OSÓB NA WYSPIE

I	Sheldon Lazarus	psychiatra	Koziorożec
II	Rupert Levin	przedsiębiorca	Wodnik
III	Jay Jackson	pokojówka	Ryby
IV	Beth Hoffman	menedżerka parku	Baran
V	Glenn Braxton	dozorca	Byk
VI	Tony Chang	kameryzista	Bliźnięta

VII	Mary Padillo	dozorczyńi	Rak
VIII	Kate Myerson	ekspolicjantka	Lew
IX	Paul Greenblatt	reporter	Panna
X	Michael Bach	dźwiękowiec	Waga
XI	Constance Parker	rzeczniczka prasowa	Skorpion
XII	Lizzie Hillstrom	dziennikarka telewizyjna	Strzelec

ZODIAC ISLAND – SAMOTNA WYSPA U WYBRZEŻY USA, SMAGANA WIATREM I FAŁAMI WZBURZONEGO MORZA

A na niej park rozrywki: dwanaście tematycznych sektorów poświęconych znakom zodiaku. Cukrowa wata, rozbawione rodziny, diabelski młyn, kolejka górską, strzelnice. I maniackalny morderca, który szczególnie upodobał sobie młode kobiety.

Mija dwadzieścia lat. Park, zamknięty po serii brutalnych morderstw, ma zostać ponownie otwarty. Wesołe miasteczko ze znakami zodiaku zmienia się w upiorny skansen słynnych zabójców i zbrodni, które wstrząsnęły światem. Manager parku zaprasza na długi weekend starannie wyselekcjonowaną grupę: ludzi mediów i tych, którzy pamiętają to miejsce sprzed dwóch dekad. Dwunastka wybrańców przybywa na wyspę, na której straszą jeszcze zardzewiałe karuzele. Ostatni prom odpływa. Nadciąga sztorm. Urywa się łączność. Zaczynają się dziać dziwne rzeczy. A do tego te upiorne pogłoski, że prawdziwy morderca nie został skazany, że wciąż jest na wolności...

Murder Park to mroczny thriller, w wyrafinowany sposób grający z klasyką gatunku. Jonas Winner sprytnie żongluje znanymi motywami, mając w zanadrzu niejedną niespodziankę. Nikt nie odgadnie, jak się zakończy upiorny weekend na wyspie.

Właśnie taki powinien być thriller!
nicolesbaucherwelt.blogspot.de

Napięcie w czystej formie!
Closer

Prawdopodobnie najbardziej zakrecony thriller roku.
krimi-couch.de

To thriller nieprzewidywalny i zapierający dech w piersiach.
WAZ Westfälische Rundschau, Witten

Patroni medialni:

POCISK

ZOBACZ

biblioteka.pl

BRAMA

PORTAL

KSIĄŻKA ZAMIAST KWIATKA

Wszystko

Stacja Książka

duze.pl

BRAMA

PORTAL

KSIĄŻKA ZAMIAST KWIATKA

lubimy czytać.pl

TwojaKultura.pl

kultura.wroclaw.pl

Magik, 1995

initium
wydawnictwo

www.initium.pl

ISBN 978-83-62577-63-7

Cena 34,90 zł